
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

Marek Albinia (red. nacz.), Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz, Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski, Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja-Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Szajnochy 7/2
01-637 Warszawa

e-mail: opinia.ihoo@gmail.com

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

ISSN 2352-5725

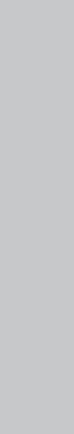
Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

Uhonorowany	7
Agentura w środowiskach kultury	10
Matki Niepokornych	12
VI Konferencja Świętokrzyska	14
Nowelizacja ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych	18
ZBIGNIEW JACKIEWICZ Byśmy nie zapomnieli: o Eli... ..	20
DR JERZY BUKOWSKI Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego	25
DR DARIUSZ GRABOWSKI O ekonomii i nie tylko... ..	65
W odpowiedzi Bohdanowi Urbankowskiemu	95
DR BOHDAN URBANKOWSKI Gender, bindu i Lejla Dawidowicz	105
RYSZARD CZARNECKI I KRZYSZTOF TURKOWSKI rozmawiają z Generałem Klemensem Rudnickim	117
LESZEK MOCZULSKI Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie	142

DR ANDRZEJ ANUSZ	
Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1989	174
ŁUKASZ PERZYNA rozmawia z Andrzejem Potockim	232
ANDRZEJ JANKOWSKI	
Nazywam się życie	247

WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI



3 maja w Pałacu Prezydenckim minister Wojciech Kolarski w imieniu Prezydenta Andrzeja Dudy odznaczył rekomendowanego przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, dr **Bohdana Jerzego Urbankowskiego**, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Bohdan Urbankowski

to jeden z najwybitniejszych i najwszechstronniejszych polskich pisarzy: poeta, dramaturg, prozaik historyk i filozof. Działacz społeczny i polityczny. Był twórcą i teoretykiem Nowego Romanizmu – ruchu literackiego



i politycznego jednocześnie. Głosząc hasło ocalania narodu przez kulturę ruch ten nawiązywał do literatury romantycznej, okupacyjnej i emigracyjnej, wydał wiele legalnych i nielegalnych publikacji, zorganizował dziesiątki jawnych i tajnych imprez (zasada „gry na dwóch fortepianach”) na terenie Warszawy i całego kraju, działał wewnątrz kultury studenckiej i w ZNP. Niektóre utwory Urbankowskiego (np. poemat „Przedwiośnie” – o Marcu ‘68) były latami poszukiwane przez bezpiekę.

Od studiów do końca PRL inwigilowany przez SB (m.in. jako figurant „Romantyk”), przesłuchiwany i z przyczyn politycznych wielokrotnie usuwany z pracy – z dwóch uczelni, z telewizji, z radia i z kilku redakcji – z „Orien-

tacji”, „Człowieka i Światopoglądu”, „Poezji”, „Wiary i Odpowiedzialności” i „Studiów Filozoficznych” (z tej ostatniej redakcji za „notoryczne propagowanie tzw. filozofii narodowej kosztem marksizmu – leninizmu”). Po wprowadzeniu stanu wojennego – jako działacz „Solidarności” – usunięty z Polskiego Radia, nie mogąc się zatrudnić w Warszawie – rozpoczął wieloletnią pracę w Teatrze Płockim, jako konsultant – kierownik literacki. W stanie wojennym współorganizował i współredagował wydawnictwa podziemne, pisywał m.in. w „Słowie Podziemnym”, w łódzkim „Przedświcie”, w berlińskim „Poglądzie”, warszawskim „tu teraz” (pismo „Solidarności” nauczycieli) a przede wszystkim w wydawnictwach KPN i „Solidarności”. Współredagował kilka książek i wydał kilka własnych pozycji – m.in. dwie książki poświęcone Piłsudskiemu i fragmenty „Czerwonej mszy”. Jako prezes ZLP zorganizował dwa Sejmiki w Obronie Kultury Narodowej, kilkadziesiąt sesji naukowych i literackich poświęconych literaturze walk o niepodległość (powstania XIX–XX w., wojna 1920, SiN, Powstanie Antysowieckie)

W latach 1992 – 2000 prezes odnowionego Związku Literatów Polskich, Przewodniczący Rady Programowej Związku Piłsudczyków, Wiceprzewodniczący Rady Programowej Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, kierownik działu kultury „Gazety Polskiej”.

Stypendysta Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku i Fundacji Dembińskiego w Paryżu, dwukrotny delegat na zjazdy Ligi Antykomunistycznej (obok Rafała Gan – Ganowicza) w Paryżu i N. Jorku (1989, 1990); w roku 2000 kandydat środowisk niepodległościowych na stanowisko prezesa IPN.

W 2014 roku za działalność opozycyjną odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności.

Apel

Szanowni Państwo! Żyje wśród nas wielu ludzi którzy swoim życiem i działalnością na rzecz wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej zasłużyli na wyróżnienie i uhonorowanie ich postawy. Niestety nasza Ojczyzna zachowuje się czasami jak macocha i palcem trzeba jej pokazać, że ta córka, ten syn narażając siebie i swoją rodzinę, bił się o to by była wolna i demokratyczna. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego chce być takim palcem ale bez

UHONOROWANY

Państwa pomocy nasze działania będą mało efektywne. Proszę więc serdecznie Wszystkich o dostarczanie nam informacji o osobach które waszym zdaniem zasługują na wyróżnienie i uhonorowanie. Informacje można wysyłać na adres redakcji „Opinii” bądź Instytutu albo na adres emajlowy ihoo@o2.pl

Michał Janiszewski

AGENTURA W ŚRODOWISKACH KULTURY

19 maja 2017 roku z inicjatywy Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego we współpracy z Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” w Warszawie odbyła się konferencja pod tytułem „Agentura w środowiskach kultury”. Konferencję poprowadził prezes Fundacji „Łączka” Tadeusz Płużański oraz autorzy których książki „Pierścień Gygesa” Bohdana Urbankowskiego oraz „Najweselszy barak w obozie” Jarosława Jakimczyka były punktem wyjścia do dyskusji.



Ludzie z tych dawnych układów, jeszcze „magdalenkowych”, w gruncie rzeczy trzymają za gardło naszą kulturę dzisiaj. A pozostali się tego boją - stwierdził podczas konferencji Urbankowski – pisarz, poeta i filozof.

Prowadzący dyskusję historyk i publicysta Tadeusz Płużański dopytywał uczestników, „dlaczego ludzie kultury byli tak ważni dla komunistów” i „czemu tak wielu ludzi kultury poszło na współpracę”.

„Po latach i po lekturze akt w IPN uderzyło mnie jeszcze jedno: to, że ci, którzy donosili w latach 60. i 70. XX w. w zasadzie nie musieli donosić. Jest tu jakościowa cezura między donosicielami z lat 40. XX w., którzy byli często zmuszani torturami lub szantażowani, a tymi, z którymi już ja miałem do czynienia”

– mówił Urbankowski.

Stwierdził też: *„Ja nie tylko uważam, że ubekom, dawnym aparaczykom partyjnym i działaczom należy obciąć świadczenia i emerytury”. „Twierdzę, że ci ludzie, póki jeszcze żyją, powinni zostać ukarani. Miałbym nawet taki sposób, żeby się nie marnowali jako ludzie, np. zsyłać ich na galery”* – dodał.

Pisarz wyjaśnił, że *„przestudiował ponad 300 donosów”*, co pozwoliło mu napisać tekst pt. *„Wstęp do poetyki donosu”* (opublikowany w miesięczniku „Nowe Państwo” i kwartalniku nurtu niepodległościowego „Opinia”). *„To był gatunek literatury epistolarnej, listy pisane przez wybitnych ludzi do władzy. (...) Zdarzały się teksty pisane naprawdę z polotem, były też donosy robione według pewnego schematu (...)”* – dodał.



MATKI NIEPOKORNYCH

W dniu 25 maja w Domu Polonii Stowarzyszenia Wspólnota Polska odbyło się otwarcie wystawy „Matki Niepokornych” będącej owocem wspólnego projektu Archiwum Akt Nowych i Fundacji „Rodzice Szkole”.



MATKI NIEPOKORNYCH

Na uroczystość przybyły tytułowe Matki – bohaterki projektu, których relacje oraz biogramy zostały zawarte w albumie wydanym w ramach tej inicjatywy. Podczas uroczystości przemawiali pomysłodawcy i realizatorzy akcji, a także goście specjálni: minister Anna Maria Anders, a w imieniu Prezydenta RP głos zabrała minister Barbara Fedyszak-Radziejowska. Liderzy ugrupowań politycznych, z których wywodzili się działacze młodzieżowi zaprezentowali streszczenia swojej działalności opozycyjnej. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.



VI KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

Wólka Milanowska, 26–28 maja 2017 roku

Tradycyjnie już, w ostatni weekend maja, odbyła się u stóp Łysej Góry, konferencja zorganizowana przez Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Temat konferencji był następujący: „*Szkice z historii myśli nurtu niepodległościowego*”.



W konferencji wzięło udział ponad 30 osób.

Program konferencji obejmował 5 wykładów. Po każdym z nich odbywały się dyskusje, zwykle wielogodzinne (dyskusja piątkowa skończyła się o drugiej w nocy w sobotę).

Konferencje otworzył dr Maciej Zakrzewski z krakowskiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, który przedstawił wykład „Zarys myśli politycznej Leszka Moczulskiego w latach 1979–1989”.

VI KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

Po kolacji w piątkowy wieczór Mirosław Lewandowski przedstawił referat „Nurt niepodległościowy w Polsce po II wojnie światowej”.

Debatę w sobotni poranek otworzył dr Bohdan Urbankowski wykładem „Myśl Marszałka Piłsudskiego i jej geneza od Konfederacji Barskiej”.

Sobotnie popołudnie było zarezerwowane dla Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jana Józefa Kasprzyka, który mówił na temat „Dziedzictwo myśli Marszałka Piłsudskiego w III Rzeczypospolitej”.

Ostatni referat, w niedzielne przedpołudnie przedstawił dr Karol Chylak – „Ocena myśli politycznej KPN-u u zarania III Rzeczypospolitej”.



Szukając początków nurtu niepodległościowego referenci sięgnęli aż do XVIII wieku, wskazując już nawet nie na Konfederację Barską (1768–1772), ale na Konfederację Dzikowską (1734), która jako pierwsza podjęła walkę z Rosją sprzeciwiając się jej ingerencji w sprawy polskie. Tezę tę bardzo mocno sformułował i uzasadniał dr Bohdan Urbankowski.

Z kolei dr Maciej Zakrzewski podkreślił znaczenie okresu po Powstaniu Listopadowym, dla kształtowania się koncepcji programowych nurtu niepodległościowego. W tym kontekście mówił o Hotelu Lambert („Najpierw być, potem – jak być”) i księciu Adamie Jerzym Czartoryskim, który starał się formułować takie hasła, które jednoczyły a nie dzieliły Polaków. Charakterystyczna była ewolucja, którą przeszedł Maurycy Mochnacki – z czasem uznał, że rewolucja społeczna jest tylko narzędziem do walki o niepodległość Polski. Kontynuatorką tego sposobu myślenia była PPS, dla której program materialny był tylko instrumentem walki o niepodległość i narzędziem mobilizacji społeczeństwa.

Józef Piłsudski dodał do tego nową jakość – związał postawę niepodległościową z poczuciem osobistej godności. W tym kontekście dr Zakrzewski cytował słynny fragment z listu do Feliksa Perla: *Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą*. Charakterystyczne jest, że min. Jan Józef Kasprzyk, który nie był obecny na wykładzie dr. Zakrzewskiego (a dr Zakrzewski – na wykładzie min. Kasprzyka), odwołał się do tych samych słów Marszałka.

Piłsudski wywodził poczucie godności nie z myśli chrześcijańskiej, ale nawiązywał do tradycji nitscheańskiej. W tym kontekście zarówno dr Zakrzewski, jak i min. Kasprzyk odwoływali się do słynnej, klasycznej już książki Bohdana Urbankowskiego – „Filozofia czynu” (1988). Dr Zakrzewski podkreślił też znaczenie myśli Stanisława Brzozowskiego.

Obydwaj mówcy (dr Zakrzewski i min. Kasprzyk) odwoływali się też do Żeromskiego. Min. Kasprzyk przypominał rozmowę Piłsudskiego (który był bez spodni, w kalesonach!) z Żeromskim, w Zakopanem w 1912 r. Mówca podkreślił niezachwianą wiarę Piłsudskiego w odzyskanie przez Polskę niepodległości, skoro w rozmowie ze znanym pisarzem rozwijał ten temat nie zważając na okoliczności.

Mówiąc o Piłsudskim zarówno dr Urbankowski, jak i min. Kasprzyk podkreślali etos służby, charakterystyczny dla postawy Marszałka. Dr Zakrzewski i min. Kasprzyk zwracali też uwagę na coś, co można określić republikańską postawą, cechując ruch piłsudczykowski („Niech każdy obywatel będzie żołnierzem, a każdy żołnierz – obywatelem”). Dr Zakrzewski silnie podkreślał, że piłsudzycy wyrastają z myśli republikańskiej a nie demokratycznej a obie te tradycje są przeciwstawiane tradycji monarchistycznej.

Kolejnym elementem tradycji nurtu niepodległościowego jest tradycja Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość.

Dr Zakrzewski podkreślił, że wszystkie te elementy znajdujemy w myśli programowej Leszka Moczulskiego, który w 1979 r. odwołał się do tradycji nurtu niepodległościowego, podczas, gdy wszystkie wcześniejsze wystąpienia przeciwko władzy (1956, 1968, 1970 i 1976) miały podłoże trockostowsko-leninowskie. Zakrzewski bardzo mocno zaakcentował, że wedle Moczulskiego podstawowym problemem Polski nie był komunizm, ale Rosja.

VI KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

Miedzy Polskim Państwem Podziemnym i WiN-em a KPN-em jest luka, obejmująca kilkadziesiąt lat. Próbę wypełnienia tej luki podjął Mirosław Lewandowski, który poświęcił swój referat na przedstawienie działań grupy oficerów o piłsudczykowskich przekonaniach, którzy tworzyli silne (choć mało znane i zbadane) środowisko w latach 1956-1977 i przygotowali grunt pod powstanie najpierw Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela a następnie – Konfederacji Polski Niepodległej. Do grupy tej należeli: gen. Roman Abraham, gen. Mieczysław Boruta-Sopiechowicz, gen. Jan Jagmin-Sadowski, płk. Ludwik Muzyczka, płk Kazimierz Pluta-Czachowski, płk Józef Rybicki, płk Józef Szostak i inni. Lewandowski najwięcej czasu poświęcił postaci Ludwika Muzyczki, „Benedykta”.

Dr Karol Chylak oceniając myśl polityczną KPN przedstawił w zarysie propozycje posłów Konfederacji pierwszej kadencji Sejmu. Za najważniejszy uznał projekt ustawy o „Restytucji Niepodległości”.



We wrześniu Instytut Historyczny NN planuje wydanie materiałów po-konferencyjnych z tekstami wszystkich referatów oraz zapisem najważniejszych głosów w dyskusji.

Redakcja „Opinii”

NOWELIZACJA USTAWY O DZIAŁACZACH OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ ORAZ OSOBACH REPRESJONOWANYCH Z POWODÓW POLITYCZNYCH

Dożywotnie świadczenie pieniężne dla wszystkich działaczy opozycji antykomunistycznej i osób represjonowanych z powodów politycznych oraz pierwszeństwo w opiece zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych – to główne założenia przyjętej przez Sejm nowelizacji ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych.

Ta nowelizacja ma znaczenie fundamentalne. Ustawa przestaje mieć charakter pomocowy, a zacznie być ustawą godnościową. Każdy, kto otrzyma status działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych, będzie posiadał podobne uprawnienia jak kombatanci walczący o niepodległość w latach 1939-1956” – podkreśla p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

Zdaniem Jana Józefa Kasprzyka zmiana przepisów jest dobrym uzupełnieniem tzw. ustawy dezubekizacyjnej. *Sprawiedliwość dziejowa polega na tym, że wspiera się tych, którzy walczyli o Niepodległość, a odbiera tym, którzy gnębili Polaków – wskazuje p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Ustawa ma wejść w życie 31 sierpnia br. To także symboliczne. W rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych państwo polskie doceni należyście wysiłek tych, dzięki którym jesteśmy wolni – podkreśla Kasprzyk.*

Dotychczas świadczenie pieniężne mogło być przyznawane wyłącznie osobom posiadającym drastycznie niskie dochody. Dlatego też na 2683 osoby,

którym Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych dotychczas potwierdził status działacza opozycji antykomunistycznej, świadczenie pieniężne w wysokości 402,72 zł. otrzymać mogły jedynie 422 osoby. Nowelizacja ustawy znosi progi dochodowe i tak jak w przypadku kombatantów, bez względu na dochód, zapewnia dożywotnie świadczenie w powyższej wysokości.

W szczególnych przypadkach Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych – tak jak dotychczas – będzie przyznawał dodatkową pomoc pieniężną osobom uprawnionym znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej lub w związku ze zdarzeniami losowymi. Dawni działacze opozycji będą mogli otrzymać środki na częściowe pokrycie kosztów zakupu wózka inwalidzkiego, sprzętu rehabilitacyjnego, przedmiotów ortopedycznych, środków pomocniczych, dostosowanie pomieszczeń mieszkalnych do rodzaju inwalidztwa oraz opłacanie pomocy pielęgnacyjnej. Z pomocy takiej skorzystało do tej pory blisko tysiąc osób, którym przyznano pomoc w łącznej wysokości blisko trzech milionów złotych. Zgodnie z nowelizacją działacze opozycji antykomunistycznej będą także przyjmowani poza kolejnością w zakładach opieki zdrowotnej i aptekach, a także uzyskają możliwość leczenia specjalistycznego bez obowiązujących dotychczas skierowań. Nowelizacja wprowadza także zasadę uwzględniania okresów uwięzienia lub internowania przy ustalaniu prawa do emerytury lub renty, jako okresów składkowych w wymiarze podwójnym.

Na mocy nowelizacji ustawy powstanie ogólnopolska Rada do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych, która będzie organem doradczo-konsultacyjnym Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Za serwisem UdSKiOR

BYŚMY NIE ZAPOMNIELI: O ELI...

Kiedy rok temu, na łamach Tygodnika Solidarność, żegnałem zmarłą w marcu 2016 roku śp. Elżbietę Pacułę, Przewodniczącą Sekcji Krajowej Pracowników Telekomunikacji (SKPT) NSZZ Solidarność, napisałem między innymi tak: „Elżbieta Pacuła zasłużyła sobie na naszą modlitwę i pamięć. Od dziś modlitwa i pamięć o Niej staje się elementem kultury Solidarności, której i Ona nas uczyła”.

Takie słowa zobowiązują. Słowa sprzed roku potrzebują swojego dalszego ciągu, opowieści o tym, co stało się w tak zwanym – międzyczasie. I tak proszę traktować niniejszy tekst. Chciałbym zdać sprawę z tego, co ważne dla uczczenia pamięci o śp. Elżbiecie Pacule stało się w ciągu minionego roku.

A stało się i to nie mało. 3 marca 2017 r. w Warszawie odbyła się **uroczystość wręczenia Krzyża Wolności i Solidarności, nadanego pośmiertnie Elżbiecie Pacule przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę**. Uroczystość odbyła się w obecności Prezesa IPN – dr Jarosława Szarka, szefa Urzędu ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych – Jana Józefa Kasprzyka, prezesa Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego – Andrzeja Chyłka, przewodniczącego Sekretariatu Łączności NSZZ Solidarność – Bogumiła Nowickiego, Wiceprzewodniczącej Regionu Dolnośląskiego NSZZ Solidarność – Marii Zapart, pocztów sztandarowych organizacji związkowych NSZZ Solidarność i Solidarność '80, Rodziny śp. Elżbiety Pacuły i tych wszystkich Jej przyjaciół, którzy zjechali do Warszawy z całego kraju, tak ze Szczecina, jak Rzeszowa i Lublina, by swoją obecnością zaświadczyć o szczególnej randze wydarzenia.

BYŚMY NIE ZAPOMNIELI: O ELI...

„ ... ale z krzyżem swoim za Zbawicielem idąc...”

C.K.Norwid



Elżbieta Pacuła

Przewodnicząca SKPT NSZZ Solidarność

w latach 1991-2016

Odznaczona Krzyżem Wolności i Solidarności



W wygłoszonej w czasie tych uroczystości **laudacji na cześć śp. Elżbiety Pacuły**, niżej podpisany, występując w imieniu SKPT NSZZ Solidarność, powiedział, co następuje;

Czcigodny Ojciec śp. Elżbiety Pacuły, Szanowni Jej Koleżanki i Koledzy z Solidarności i Konfederacji Polski Niepodległej

Dostojni Gospodarze i Goście Dzisiejszej Uroczystości

Honor to dla mnie wielki, że mogę -w imieniu SKPT NSZZ Solidarność – powiedzieć to wszystko, co powiedzieć trzeba z okazji wydarzenia, które nas tu gromadzi. Śp. Elżbieta Pacuła jest wielką obecną/nieobecną tego spotkania. Obecną duchem, nieobecną ciałem.

Przedstawienie życiorysu śp. Elżbiety Pacuły, to w ramach laudacji rzecz zwyczajna, niemal obowiązkowa. Większość z nas tu obecnych doskonale zna działalność związkową i najważniejsze fakty z życia Elżbiety, więc szykuje się, że powiem to, co wszyscy wiedzą, ale co wypada powiedzieć raz jeszcze. Mogłbym to zrobić, ale czuję, że nie o to chodzi, że obecna tu duchem Elżbieta, szczególnie ode mnie, spodziewa się, wręcz wymaga, czegoś zupełnie innego.

Nie będzie zatem streszczenia: gdzie Ela była i co w życiu zrobiła. Polegać będę w dalszym ciągu swego wystąpienia na zdaniu, nie nowym wcale, że biografia winna być wizerunkiem życia nie tyle uwięzionym w faktach, co oddającym uczucia i emocje, rozwój umysłu i ducha opisywanej osoby. Tak patrząc na śp. Elżbietę pierwsze co mogę powiedzieć to to, że Ona nie chciała być odznaczona odznaczeniem, jakie dzisiaj w Jej imieniu otrzymał Jej Ojciec. Ona – taka prawda – zgodziła się na nasze, spóźnione, jak się szybko okazało, chcenie, by Jej ten krzyż nadano. Dlaczego sama nie chciała? To pytanie wraz z odpowiedzią pokazuje ważny rys Jej osoby. Nie chciała, bo małą w sobie nosiła porcję egoizmu i mało dla Niej ważne było dotączyć, w ten czy inny sposób, do solidarnościowej elity zastug. Jej naturalnym środowiskiem była elita walorów.

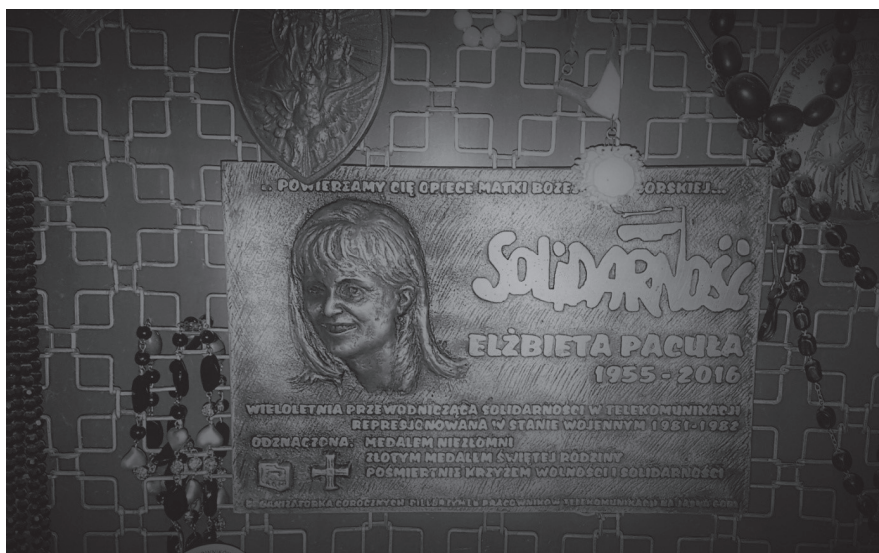
*Ale też Krzyż Wolności i Solidarności znakomicie pasuje do Niej właśnie. Pochwalić trzeba pomysłodawców tego odznaczenia. Jest coś niesamowicie pięknego i wzniosłego w symbolice tego krzyża. Walczący i pracujący w sposób najbardziej zaangażowany dla Solidarności czują, że ta walka, ta praca to krzyż jest właśnie. Krzyż w wymiarze duchowym, chrześcijańskim. Norwid ujął to tak: „**Nie za Zbawicielem na Krzyżu ale z krzyżem swoim za Zbawicielem** – oto kwintesencja chrześcijaństwa”. I tej norwidowskiej dewizie była bardzo bliska śp. Elżbieta Pacuła. Większą część swojego życia poświęciła pracy/walce o wolność i solidarność. Służyła sprawie wolności i solidarności swoim życiem z wielkim oddaniem, nie rezygnując z innych wymiarów*

*życia, ale je umniejszając i podporządkowując swojej działalności dla innych, w imię wolności i solidarności. Elżbieta Pacułą jaką znaleźliśmy, jaką wspieraliśmy w Jej pracy, nosiła zawsze w swojej duszy krzyż wolności i solidarności. A dziś, krzyż nadany Elżbiecie przez Pana Prezydenta, Jej niepotrzebny, bo przecież ni razu go nie założy, zostaje jako wielka pamiątka po Niej, pamiątka dla Jej Rodziny, pamiątka dla nas, Jej przyjaciół. Potrafię sobie wyobrazić śp. Elżbietę, która tak się do nas zwraca: - Krzyż Wam na drogę Moi Drodzy, Mój Krzyż Wolności i Solidarności zostawiam Wam na waszą drogę. (...) **Cześć Jej Pamięci, Cześć śp. Elżbiecie Pacule.***

Po uroczystościach w IPN, tego samego dnia jeszcze, odbyła się w Warszawie, w klubie Proxima, związkowa część uroczystości, wypełniona: wspomnieniami najbliższych, prezentacją specjalnych dedykacji artystycznych na tę właśnie okazję przygotowanych. Kulminacyjnym punktem spotkania w Proximie był koncert Dominiki Świątek, wypełnionym piosenkami z tekstami Słowackiego, Herberta, Okudźawy i Asnyka. Koncert, zatytułowany w myśl jednego z wierszy Asnyka, „**Miejmy nadzieję...**” – dał, wielkie za to dzięki artystce, wszystkim obecnym dużo dobrych wzruszeń i dużo nadziei na przyszłość. Stworzył tę samą cudowną aurę spotkań, o jaką kiedyś dbała śp. Elżbieta, zapraszając na spotkania SKPT takich artystów, jak Jan Kondrak (Lubelska Federacja Bardów) czy Agnieszka Chrzanowska.

Tak to właśnie w marcu było, ale nie koniec na tym.

W maju, w sobotę 20 maja tego roku odbyły się kolejne uroczystości poświęcone śp. Elżbiecie Pacule, tym razem na Jasnej Górze w Częstochowie. Miejsce szczególne i jak najbardziej właściwe, wszak śp. Elżbieta była organizatorką i niezłomną przewodniczką corocznych, odbywających się od 1990 roku pielgrzymek na Jasną Górę pracowników telekomunikacji polskiej. Ksiądz Sroka, duszpasterz środowiska pracowników telekomunikacji to właśnie w czasie nabożeństwa przypominał jako najważniejszą Jej zasługę: „... **śp. Elżbieta prowadziła swoich współpracowników i współzwiązkowców do Boga**”. Mszę w bazylice jasno-górskiej kończącą pielgrzymkę pracowników telekomunikacji celebrował arcybiskup Stanisław Nowak, towarzyszący sumiennie tym pielgrzymkom od roku 1990. W czasie mszy poświęcona została, z brązu odlana, tablica wotywna dedykowana śp. Elżbiecie, dzieło artysty rzeźbiarza Dariusza Kowalskiego (Kodara). **Po mszy tablicę tę, w asyście zgromadzonych pielgrzymów, Jerzy Iwaszkie-**



wicz i Waldemar Stawski zawiesili na poczesnym miejscu, w kaplicy Matki Boskiej Jasnogórskiej. Niech będzie to wiadomym, Czytelnikom i wszystkim ludziom Solidarności, niech nie umknie ich uwadze, gdy będą już w progach kaplicy zbliżali się do cudownego obrazu Czarnej Madonny.

Uroczystości nasze, majowe, na Jasnej Górze sprawiły, że po raz pierwszy od śmierci śp. Elżbiety poczulimy ulgę. My, dla których śmierć Elżbiety była serdeczną stratą i ciężarem. Z uczuciem ulgi będziemy wracać na Janą Górę wiedząc i widząc, że po prawicy cudownego obrazu Matki Boskiej znajduje się okazała tablica wotywna z wizerunkiem, imieniem i nazwiskiem śp. Elżbiety oraz – szczególnie widocznym – znakiem Solidarności. Nie lepszego nie mogliśmy zrobić, jak to właśnie co zrobiliśmy i co oddają też wyryte na tablicy słowa:

„Powierzymy Cię opiece Matki Boskiej Jasnogórskiej...”.

Nawet jeśli nic lepszego nie możemy już zrobić, to możemy zrobić coś jeszcze. Wracając z Częstochowy do Warszawy z Prezesem Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego – Andrzejem Chyłkiem, niezawodnym przyjacielem śp. Elżbiety, rozmawialiśmy o tym, co dalej. Czas tej podróży wystarczył i już mamy nowy pomysł co by tu zrobić**byśmy – my wszyscy -nie zapomnieli o Eli.**

DR JERZY BUKOWSKI

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

MARZEC 2017

Legalne ustawki na rosyjskim mundialu?

Deputowany do Dumy Igor Lebiediew z populistycznej Partii Politycznej LDPR (dawniej Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji) Władimira Żyrinowskiego zaproponował przekształcenie organizowanych przy okazji meczów piłkarskich awantur kibiców w oddzielny sport, aby wyładować ich agresję w związku z mistrzostwami świata, które odbędą się w tym kraju w 2018 roku – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„- Wiedząc o tym, że nasi kibice wyróżniają się walecznością i że nie są chuliganami, moglibyśmy przekształcić walki między fanami w sport. Na przykład przyjeżdżają kibice angielscy i wszczynają awantury. Odpowiadamy im: wyzwanie przyjęte, spotkanie na stadionie o takiej godzinie. Rosja byłaby pionierem nowego rodzaju sportu” – powiedział całkiem na serio cytowany przez „Rz” polityk.

Jego zdaniem takie walki przyciągnęłyby na trybuny podczas mundialu równie wielką liczbę widzów jak same mecze.

Gazeta przypomina, że w wyemitowanym w lutym br. przez BBC reportażu rosyjscy kibice obiecali, że przygotowują na mistrzostwa świata w ich kraju festiwal przemocy, co zostało ocenione przez władze w Moskwie jako dyskredytująca propaganda.

„Ze swojej strony Międzynarodowa Federacja Piłkarska wykluczyła jakiegokolwiek ryzyko dla kibiców, którzy pojadą do Rosji na tegoroczny Puchar Kon-

federacji i przyszłoroczny mundial, zapewniając, że oba turnieje będą festiwalem futbolu” – czytamy w „Rzeczpospolitej”. Zobaczmy!

Kobiece patronki ulic

Z bardzo oryginalną propozycją związaną z dekomunizacją przestrzeni publicznej wystąpiła Partia Razem. Jej członkinie uznały, że jest to znakomita okazja do przypomnienia i uhonorowania znanych kobiet. Obecnie przedstawicielki płci pięknej są bowiem patronkami zaledwie 95 ulic w podwawelskim grodzie, a mężczyźni aż 1057.

Na mocy ustawy dekomunizacyjnej Instytut Pamięci Narodowej zalecił zmianę patronów 6 krakowskich ulic: Jana Szwai, Lucjana Szenwalda, Emila Dziedzica, Franciszka Kajty, Janka Szumca, Józefa Marcika. Wszyscy wymienieni działali w czasie II wojny światowej na rzecz Sowietów.

Zdaniem PR te ulice te powinny zostać „przejęte” przez kobiety. Partia złożyła już stosowną petycję do Rady Miasta Krakowa oraz odpowiedni wniosek do magistrackiego Wydziału Geodezji.

„Obecnie liczba patronów dziesięciokrotnie przewyższa liczbę patronek, co jest stanem kompromitującym. Kobiety stanowią połowę społeczeństwa i musi to znaleźć odzwierciedlenie w przestrzeni miejskiej. Nadając ulicom imiona działaczek społecznych dajemy jasny komunikat kobietom i dziewczynkom, że ich wkład w życie publiczne spotyka się z docenieniem. Jesteśmy przekonane i przekonani, że pogląd ten podzielają krakowskie Radne i Radni” – czytamy w petycji.

Partia Razem przedstawiła 6 swoich kandydatek: działaczkę oświatową i publicystkę Kazimierę Bujwidową, psychiatrę Marię Orwid, działaczkę społeczną, pisarkę i malarzkę Marię Dulębiankę, pionierkę spółdzielczości mieszkaniowej Władysławę Habicht, nauczycielkę akademicką Wandę Bobkowską, dramatopisarkę i reporterkę Marcelinę Kulikowską.

Władze Krakowa szacują koszty zmiany patronów 5 lub 6 ulic (wątpliwości dotyczą Józefa Marcika) na około 90 tysięcy złotych. Najprawdopodobniej każda z nich będzie musiała zostać zatwierdzona osobną uchwałą radnych.

Prezydent miasta, profesor Jacek Majchrowski, wystąpił do IPN o wydanie opinii w sprawie patronów kolejnych 12 ulic, którzy nie są jednoznacznie

kojarzeni z propagowaniem ustroju totalitarnego. Chodzi o: Władysława Spasowskiego, Karola Bunscha, Hannę Mortkowicz-Olczakową, Stefana Otwinowskiego, Juliana Przybosia, Macieja Słomczyńskiego, Tadeusza Śliwiaka, Leona Chwistka, Zygmunta Młynarskiego, Maksyma Rylskiego, Jana Kurczaba, Kiejstuta Žemaitisa.

Uratowane Kuropaty

Po 11-dniowej bitwie stoczonej przez działaczy białoruskiej opozycji o uroczysko Kuropaty, w którym znajdują się masowe doły śmierci, planująca wybudować tuż obok niego centrum biznesowo-handlowe firma „Bielekonstrukcja” wycofała się ze swoich zamierzeń – poinformował portal Kresy 24, któremu powiedział o tym organizator protestów, lider „Młodego Frontu” Zmicier Daszkiewicz po spotkaniu z jej kierownictwem.

Dostał on zapewnienie, że z terenu graniczącego z miejscem, na którym w masowych grobach spoczywają ofiary egzekucji dokonywanych przez NKWD, robotnicy już wkrótce wywiozą materiały budowlane i sprzęt oraz usuną ogrodzenie.

– Już teraz zawarli umowę z „Zelenstrojem” (państwowa firma zajmująca się architekturą krajobrazu i pielęgnacją terenów zielonych), która zajmie się rekultywacją terenu – dodał Daszkiewicz.

„Szef <Bielekonstrukcji> powiedział mediom, że kiedy cztery lata nabywał działkę nie zdawał sobie sprawy, że niegdyś znajdowała się ona w strefie chronionej i może to wywołać jakieś problemy. Oświadczył, że oczekuje od miasta propozycji terenu do realizacji swojej inwestycji w miejscu, które nie wywoła sprzeciwu. Daszkiewicz z kolei zapowiedział, że kiedy na własne oczy przekona się, że Kuropatom nic już nie grozi, obóz obrońców zniknie” – czytamy na stronie www.kresy24.pl.

Chcesz być posłem? Idź do psychiatry!

Ta propozycja powraca co pewien czas w debacie publicznej, ale teraz nabiera konkretnego, legislacyjnego kształtu: prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego Władysław Kosiniak-Kamysz poinformował, że za 2-3 miesiące gotowy będzie projekt ustawy, na mocy której parlamentarzystą nie mogłaby zostać

osoba cierpiąca na chorobę psychiczną bądź urojenia lub mająca poważne zaburzenia osobowości.

Szef ludowców wyjaśnił Polskiej Agencji Prasowej, że trwają na ten temat rozmowy w regionach oraz konsultacje z najważniejszymi ekspertami zajmującymi się sprawami psychiatrii w Polsce.

– Te wariactwa, które działy się na przełomie roku, ta zabawa w chowanego w sali Kolumnowej lub w berka na sali plenarnej doprowadziła do tego, że wśród naszych rodaków jest poczucie szaleństwa, które się dzieje w Sejmie. Określenie „cyrk” stało się powszechnym w odniesieniu do Sejmu nie tylko ze względu na jego kształt – powiedział Kosiniak-Kamysz.

Pomysłodawca projektu poseł Paweł Bejda powiedział PAP, że wśród chorób, które będą wykluczały ewentualnego kandydata na posła lub senatora są m.in. otępienia takie, jak w chorobie Alzheimera, organiczny zespół amnestyczny czy majaczenia niewywołane alkoholem i innymi substancjami psychoaktywnymi, czynne psychozy w przebiegu np. schizofrenii, uporczywe zaburzenia urojeniowe, ostre przemijające zaburzenia psychotyczne, zaburzenia schizoafektywne.

„Parlamentarzystą – zdaniem PSL – nie będzie mogła też zostać osoba cierpiąca na paranoiczne czy schizoidalne zaburzenia osobowości, antyspołeczne zaburzenia osobowości, zaburzenia osobowości typu borderline oraz obsesyjno-kompulsywne czy narcystyczne. Bejda podkreślił, że badani mają być kandydaci na posłów i senatorów, a nie sami posłowie. Badania mają się odbywać dyskretnie, by nikogo nie stygmatyzować” – czytamy w depeszy PAP.

– Jeżeli ktoś nie przejdzie tych badań, może się w ogóle nie przyznać, że był badany. Zgodnie z projektem, podstawą do startowania w wyborach będzie pozytywne zaświadczenie o stanie zdrowia psychicznego. Chodzi o to, żeby ludzie mieli sto procent pewności, że głosują na człowieka zdrowego psychicznie, który potem będzie tworzył prawo i decydował o ich życiu – uzasadnił projekt PSL w rozmowie z Polską Agencją Prasową poseł Bejda.

Zapowiada się kolejna interesująca dyskusja w Sejmie.

Bar w świątyni

Czy poniższy przykład jest dowodem na postępujące zeświecczenie Belgii, czy też raczej na otwartość tamtejszego Kościoła pragnącego w nowatorski, ale i zgodny z lokalnymi obyczajami sposób zatrzymać wiernych?

Jak podała Katolicka Agencja Informacyjna, po zamknięciu ostatniego baru w położonej w zachodniej Flandrii wsi Brielen miejscowy proboszcz postanowił otworzyć taki lokal w kościele. Wyszedł w ten sposób naprzeciw oczekiwaniom swoich parafian, którzy po niedzielnej Mszy Świętej tradycyjnie chodzili na piwo.

„Aby tej tradycji stało się zadość, nie będą teraz musieli nawet opuszczać świątyni. W każdą niedzielę mieszkańcy są zaproszeni do skorzystania ze znajdującego się w niej baru – pod warunkiem, że wcześniej uczestniczyli we Mszy. Z lokalizacją wyszynku związane są jednak pewne ograniczenia: picie piwa nie będą towarzyszyć muzyka ani tańce, a ponadto drzwi kościoła zamykane są już o 13.00” – czytamy w depeszy KAI.

Co ciekawe, autor tego oryginalnego pomysłu, 57-letni ksiądz Joseph Nyembo-Kamwanga pochodzi z Demokratycznej Republiki Konga.

Oleandry – wstyd na całą Polskę

Nie tak dawno pisałem tutaj, że obchody 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości powinny zacząć się w Krakowie, bo nie byłoby 11 listopada 1918 roku bez 6 sierpnia 1914 roku, ta druga data kojarzy się zaś głównie z Oleandrami, z których wczesnym rankiem tego dnia wymaszerowała na rozkaz Józefa Piłsudskiego Pierwsza Kompania Kadrowa, by po obaleniu słupów granicznych między zaborem austriackim i rosyjskim obok komory celnej w Michałowicach obrać kierunek na Kielce.

Oleandry są miejscem symbolicznym, często trafnie określanym mianem kolebki polskiej niepodległości. Podobną rolę odegrała w sierpniu 1980 roku Stocznia Gdańska im. Lenina.

Niestety, wiele wskazuje na to, że podczas przyszłorocznych uroczystości rocznicowych ich uczestnicy nie będą mogli wejść do wybudowanego w latach 20. minionego wieku na historycznym miejscu Domu im. Józefa Piłsudskiego.

To, co dzieje się tam od 27 lat, nie przynosi chluby Krakowowi. Upór jedne-

go człowieka roszczonego sobie pretensje do bycia wyłącznym spadkobiercą idei legionowej powoduje, że tam, gdzie od dawna powinien funkcjonować prężny ośrodek myśli patriotycznej, spotyka się garstka osób, a pięciokondygnacyjny budynek w centrum miasta niszczy i popada w ruinę zamiast służyć – po generalnym remoncie – kombatantom, strzelcom, harcerzom, piłsudczykom oraz bezdomnej Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego.

Kolejni prezydenci podwawelskiego grodu nie umieją poradzić sobie z tym problemem, wydawane przez sądy korzystne dla gminy miasta Krakowa wyroki pozostają na papierze, a Oleandry popadają w zapomnienie. Nie udało się przywrócić ich społeczeństwu w stulecie wymarszu „kadrówki”, nie widać szans na załatwienie tej sprawy przed 100. rocznicą powrotu Polski na mapę Europy.

Może organizujące bogate w treści i w formie przyszłoroczne obchody władze państwowe z Prezydentem RP na czele powinny energicznie wkroczyć do akcji, zwłaszcza że Andrzej Duda poparł trzy lata temu powstanie Obywatelskiego Komitetu na rzecz Oleandrów, którego celem jest wpisanie tego historycznego miejsca na listę Pomników Historii oraz nadanie mu takiego charakteru, o jakim myślał Związek Legionistów Polskich wznosząc 95 lat temu Dom im. Józefa Piłsudskiego.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Radia RMF FM.

Rokita chce ponad pół miliona zł

Jeden z czołowych niegdyś polskich polityków, Jan Rokita, domaga się od Skarbu Państwa 550 tysięcy złotych odszkodowania za internowanie podczas stanu wojennego w Zależu od stycznia do lipca 1982 roku oraz za utracone w związku z tym zarobki.

Były szef Urzędu Rady Ministrów w rządzie Hanny Suchockiej, a później niedoszły „premier z Krakowa” z ramienia Platformy Obywatelskiej, który kilka lat temu odszedł z polityki, pozostając jej komentatorem, był w latach 80. przewodniczącym Niezależnego Związku Studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim, jesienią 1981 roku stał zaś na czele Komitetu Strajkowego NZS Uczelni Krakowskich.

Rokita otrzymał już w 2010 roku najwyższe przewidziane przepisami odszkodowanie za internowanie w wysokości 25 tys. zł, ale ponieważ zniesiona została górna granica, wystąpił obecnie o znacznie większą kwotę.

Nie wiem, czy lubiący nazywać się państwowcem były polityk postępuje słusznie we własnej sprawie.

Chińczycy walczą ze złodziejami papieru toaletowego

Nowoczesny system rozpoznawania twarzy zainstalowano w 3 publicznych szaletach w Pekinie, by rozprawić się z procederem podkradania papieru toaletowego przez osoby odwiedzające Świątynię Nieba – poinformowała „Rzeczpospolita”, powołując się na dziennik „Falu Wanbao”.

„Dozowniki zapamiętują twarz i odmawiają wielokrotnego wydania papieru tej samej osobie. Sześć automatycznych dozowników z kamerami zamontowano na próbę w toaletach na terenie Świątyni Nieba, jednej z największych atrakcji turystycznych stolicy Chin. Jeden odwiedzający może liczyć na maksymalnie 60 centymetrów papieru raz na dziewięć minut” – czytamy w gazecie.

Problem znikania z publicznych szaletów w Pekinie w podejrzenie szybkim tempie papieru toaletowego rozwiązali dziennikarze „Beijing Wanbao”, którzy opublikowali zdjęcia zrobione ukrytą kamerą w jednej z toalet przy Świątyni Nieba; widać na nich mieszkańców stolicy Chin w starszym lub w średnim wieku przychodzących tam wielokrotnie wyłącznie w celu przywłaszczenia papieru.

„Choć system rozpoznawania twarzy może być pomocny w walce z toaletową kleptomanią, jest on również źródłem pewnej niewygody. By otrzymać papier, należy stanąć przed dozownikiem i zdjąć okulary oraz nakrycie głowy. Komputer powinien teoretycznie rozpoznać twarz w ciągu trzech sekund, ale w praktyce zajmuje mu to czasem nawet ponad minutę, co może być szczególnie frustrujące dla osób spieszących się do toalety” – napisał cytowany przez „Rz” dziennik „South China Morning Post”.

Jeżeli ten system kontroli spodoba się odwiedzającym, zostanie wprowadzony we wszystkich toaletach na terenie świątyni. W przeciwnym wypadku jej administracja będzie dalej poszukiwać skutecznej metody ochrony papieru przed złodziejami.

„Świątynia Nieba (chiń. Tiantan) została wzniesiona w latach 1406-1420, w czasie panowania cesarza Yongle z dynastii Ming. Od 1998 roku kompleks świątynny znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Karygodny happening przed bramą Auschwitz

Takiego skandalu jeszcze na terenie byłego niemieckiego obozu śmierci Auschwitz-Birkenau nie było.

Jak poinformowała Polska Agencja Prasowa, jedenaścioro Polaków, Niemców i Białorusinów rozebrało się, zabiło owcę, odpaliło racę, a potem skuło się łańcuchem przy bramie z napisem „Arbeit macht frei”. Miał to być oryginalny protest przeciwko wojnie na Ukrainie.

Rzecznik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau Bartosz Bartyzel powiedział PAP, że zaraz po rozpoczęciu incydentu zainterweniowała straż muzealna. Teren został zabezpieczony, na miejsce wezwano policję, powiadomiono prokuraturę.

„Zastępca prokuratora rejonowego Mariusz Słomka poinformował, że wszyscy zatrzymani trafią na 48 godzin do izby zatrzymań. Prokuratura będzie wyjaśniać, jakie były motywy ich działania. Prokurator dodał, że śledczy w tej chwili ustalają przebieg wydarzeń. Badają sprawę na miejscu w Muzeum. Chcą m.in. przejrzeć i zabezpieczyć zapis z monitoringu” – czytamy w depeszy PAP.

– Jeżeli wykonamy czynności, od których musimy rozpocząć, w tym zabezpieczenie materiału dowodowego, wtedy będziemy w stanie ustalić poszczególne role zatrzymanych w tym wydarzeniu i ewentualnie stawiać zarzuty – powiedział dziennikarzowi PAP.

Dyrekcja Muzeum w oświadczeniu podkreśliła, że wykorzystywanie symboliki Auschwitz do jakichkolwiek manifestacji lub happeningów jest rzeczą karygodną i oburzającą, ponieważ godzi w pamięć jego ofiar.

Policja kwalifikuje ten czyn jako znieważenie pomnika lub innego miejsca symbolicznego. Jest on zagrożony karą grzywny lub ograniczenia wolności.

„Brama główna w byłym obozie Auschwitz I jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli tego miejsca. Wykonali ją na rozkaz Niemców polscy więźniowie polityczni. Zostali przywiezieni jednym z pierwszych transportów

przybyłych z Wiśnicza na przełomie 1940 i 1941 roku. Wykonanie bramy związane było z wymianą prowizorycznego zewnętrznego ogrodzenia obozu, wspartego na słupach drewnianych, na ogrodzenie stałe na słupach żelbetowych, z drutem kolczastym pod napięciem. Napis nad bramą <Arbeit macht frei> (Praca czyni wolnym) wykonali więźniowie z komanda ślusarzy pod kierownictwem Jana Liwacza” – przypomniała Polska Agencja Prasowa.

Matka miała prawo odebrać telefon synowi

Sąd w hiszpańskiej Almerii oddalił pozew 15-latka, który wystąpił przeciw swojej matce, ponieważ zabrała mu telefon komórkowy, co uznał on za formę znęcania się nad nim – poinformowała TVP Info.

Kobieta skonfiskowała synowi urządzenie po to, żeby skupił się na nauce przed ważnym sprawdzianem.

Sędzia uznał, że podjęła ona właściwe kroki i właśnie takiego zachowania prawo powinno wymagać od rodziców.

– Nie byłaby odpowiedzialną matką, gdyby pozwoliła, by jej syn rozpraszał się przy nauce i przez to oblał sprawdzian. Pośród obowiązków, jakie nakłada na rodzica kodeks cywilny, znajduje się bycie odpowiedzialnym za edukację dziecka, co jest dokładnie tym, co zrobiła oskarżona. Przy czym nie sięgnęła po żadne ekstremalne środki. Działała w sposób bezdyskusyjny, zgodnie z prawem – powiedział uzasadniając oddalenie pozwu (cytat za TVP Info).

Dobrze, że przynajmniej tym razem nie zatriumfowało polityczne słusznictwo (political correctness).

„Biedronka” zamiast „Hawelki”

„Sic transit gloria mundi” i „signum temporis” – te dwie łacińskie maksymy nasuwają mi się, kiedy czytam, że w miejscu jednego z najbardziej luksusowych sklepów w Krakowie, jakim były przez wiele dziesięcioleci delikatesy na linii C-D Rynku Głównego, powstanie dyskontowa Biedronka.

Popularnie nazywało się ten sklep „Hawelką”, ponieważ w 1881 roku krakowski restaurator o tym nazwisku przeniósł do pałacu Spiskiego swój sklep kolonialny, a obok otworzył istniejącą do dzisiaj ekskluzywną restaurację.

Delikatesy przy Rynku Głównym 34 wyróżniały się zwłaszcza na tle skle-

powej szarzyzny w siermiężnej epoce PRL, kiedy można w nich było kupić za niemałe pieniądze luksusowe towary lub przynajmniej popatrzeć na nie, aby poczuć „dyskretny urok burżuazji”. W moich latach licealno-studenckich na pięknych, drewnianych półkach można było dostrzec francuski szampan, włoskie wina, szwajcarską czekoladę, izraelskie pomarańcze, brazylijską kawę oraz inne, niedostępne gdzie indziej frykasy z krajów kapitalistycznych.

Po śmierci Antoniego Hawelki pałac Spiski przejęła rodzina Macharskich (stryj kardynała Franciszka był jego spadkobiercą). W 1945 roku lokal trafił do przetwórci Spółdzielczo-Handlowej „Przełom”, potem został upaństwowiony, a w 1984 roku przejęła go Podwawelska Spółdzielnia Spożywców, która nie wytrzymała jednak znacznej podwyżki czynszu.

I tak oto w prestiżowym miejscu, w plenerowym salonie Krakowa, jak często nazywany jest Rynek Główny, zamiast luksusowych delikatesów zagości prząsny sklep dyskontowy.

Skoro zacząłem od łacińskich maksym, zakończę ten felieton jeszcze jedną: „O tempora, o mores!”

Obywatelska dekomunizacja w Szczecinie

Lepiej późno (i to bardzo) niż wcale. Dobrze więc, że Szczecin wreszcie obudził się i dokonał tego, co w innych miastach zrobiono już dawno.

Jak poinformowała Polska Agencja Prasowa, tamtejsi radni pozbawili tytułu honorowego obywatela miasta prezydenta RP i agenta NKWD Bolesława Bieruta, I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysława Gomułkę, premiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Edwarda Osóbkę-Morawskiego, wicepremiera i ministra obrony PRL, a także wiceministra obrony Związku Sowieckiego Konstantego Rokossowskiego, I sekretarza KC Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Nikitę Chruszczowa, dowódcę wojskowego, który zajmował w 1945 roku Szczecin generała Pawła Batowa i walczącego w tej okolicy gen. Władysława Dźandżagę.

Za uchwałą autorstwa radnych Prawa i Sprawiedliwości w tej sprawie zagłosowało 20 osób, wstrzymały się trzy ze związanej z prezydentem Szczecina Piotrem Krzystkiem, formacji Bezpartyjni, jeden (także z tego klubu) był przeciw..

W uzasadnieniu podkreślono, że wyróżnienia te przyznano między 1945

a 1989 rokiem, „kiedy Polska nie była suwerennym krajem, zaś władzę w niej sprawowali całkowicie zależni od Związku Sowieckiego dygnitarze”. Honorowe obywatelstw wielu miast nadawano wówczas „ewidentnie pod naciskiem okoliczności i politycznej atmosfery tamtego czasu”.

Rada Miasta Szczecina jednoznacznie stwierdziła, „że nadawanie tych tytułów nastąpiło bądź to osobom, które dopuściły się wielu czynów, jakimi działały na szkodę Narodu Polskiego i Niepodległego bytu Państwa Polskiego, albo też dotyczyło osób, które uczestniczyły w odbywających się w toku działań wojennych działań polegających na zajmowaniu miasta wiosną 1945 roku dającego początek kilkudziesięcioletniej sowieckiej dominacji na Pomorzu Zachodnim” (cytaty za depeszą PAP).

Wpływ piłkarzy na demografię

Starsi wiekiem PT Czytelnicy zapewne pamiętają jeszcze, jak w latach 70. ubiegłego wieku partyjni dygnitarze PRL cieszyli się z sukcesów piłkarzy Górnika Zabrze w europejskich pucharach, ponieważ po każdym ich zwycięstwie polscy górnicy podobno lepiej fedrowali.

Przypomniało mi się to, kiedy Polska Agencja Prasowa poinformowała, że w weekend 25-26 marca lekarze islandzkich szpitali odnotowali rekordową ilość porodów, co tłumaczą upływem dokładnie dziewięciu miesięcy od sensacyjnej wygranej Islandii nad Anglią 2:1

27 czerwca ub. r. w 1/8 finału piłkarskich mistrzostw Europy we Francji.

„– To nie może być przypadek. Islandczycy po tym meczu długo i w szalony sposób świętowali to zwycięstwo. Podczas tego konkretnego weekendowego dyżuru, dziewięć miesięcy po tym niesamowitym dla nas meczu, jeszcze nigdy nie zrobiliśmy tylu znieczuleń porodowych” – powiedział lekarz uniwersyteckiego szpitala narodowego Landspítali w Reykjavíku Asgeir Peter w rozmowie z islandzkim dziennikiem „Visir”.

Po ubiegłorocznych mistrzostwach szwedzki trener reprezentacji Lars Lagerbäck został bohaterem narodowym, któremu chciano nawet postawić pomnik.

„– Nasz słynny selekcjoner trenuje teraz Norwegów, lecz jak widać, pozostawił po sobie trwały ślad na wulkanicznej wyspie, przyczyniając się do wzro-

stu populacji małej Islandii. Według naszych informacji większość nowonarodzonych chłopców otrzymało na drugie imię Lars” – skomentował szwedzki dziennik „Expressem” (oba cytaty za PAP).

KWIECIEŃ 2017

Demograficzna ofensywa muzułmanów

Islam nakazuje swoim wyznawcom rywalizację w dwóch dziedzinach: pomnażania majątku oraz posiadania dzieci. A oni są mu posłuszni, więc nie dziwi prognoza demografów z amerykańskiego ośrodka Pew Research Center, wedle których w 2035 roku liczba dzieci w rodzinach muzułmańskich przewyższy o milion liczbę noworodków chrześcijańskich.

Ich raport pt. „The Changing Global Religious Landscape” został oparty na 250 spisach powszechnych przeprowadzonych w różnych krajach świata w latach 2010-15 poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Wskazują oni, że w latach 2010–15 więcej dzieci rodziło się w rodzinach chrześcijańskich (235 milionów, czyli o 10 milionów więcej niż w muzułmańskich), ale ta tendencja za kilkanaście lat ulegnie zmianie.

„Jak wynika z prognoz Pew Research Center, w 2060 roku wyznawcy różnych odłamów chrześcijaństwa pozostaną najliczniejszą grupą religijną na świecie, ale ich przewaga nad muzułmanami poważnie się skurczy. Obecnie chrześcijanie stanowią 31 procent światowej populacji, a muzułmanie 24 procent – w 2060 roku będzie to odpowiednio 31,8 i 31,1 procent. Jak wynika z raportu, do roku 2060 zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie zwiększą swoją przewagę nad wyznawcami innych religii takich jak hinduizm (14,5 procent światowej populacji w 2060 roku) i buddyzm (4,8 procent). Niewierzących bądź niezwiązanych z żadną religią ma być wówczas 12,5 procent” – czytamy w depeszy PAP.

Agresywni Rosjanie

Rosja dopuszcza przeprowadzanie ataków uprzedzających na cele daleko poza swoimi granicami – poinformowało Radio RMF FM powołując się na „Niezawisimą Gazietę”.

„Równocześnie Rosja przyspiesza dostawy kompleksów S-500. To najnowszy antyrakietowy i przeciwlotniczy system rosyjski o zasięgu rażenia do 600 kilometrów. System S-500 Prometheus jest wyjątkowo groźny dla Polski. Rozlokowany w obwodzie kaliningradzkim, czy na Białorusi będzie kontrolował całe niebo nad Polską. Systemy mają trafić do armii już za rok. Mając ten system Rosja może zwalczać cele znajdujące się 200 kilometrów nad ziemią, czyli również satelity wojskowe USA i innych krajów, co w przypadku konfliktu oznacza osłepienie wroga” – czytamy na stronie RMF.

Zastępca dowódcy Wojsk Powietrzno-Kosmicznych generał Wiktor Gumionny powiedział gazecie:

„- Doświadczenie wojen w okresie ostatnich dziesięcioleci wskazuje, że samą obroną wojennych zadań się nie zrealizuje” (cytat za RMF).

Gumionny mówił także o potrzebie niszczenia nie tylko rakiet i samolotów operujących w powietrzu, ale także na lotniskach oraz bazach rakietowych poza granicami Rosji.

„Równocześnie prasa donosi o zmianach w rosyjskim lotnictwie oraz o zaawansowanych pracach nad super myśliwcem szóstego pokolenia dalekiego zasięgu MIG-41. Rosjanie prowadzą też loty doświadczalne i oblot myśliwca piątego pokolenia T-50 PAK FA. Myśliwiec startując z Rosji będzie mógł atakować cele w Europie i po ich zniszczeniu wrócić do macierzystej bazy, bo jego zasięg to 2700 kilometrów” – napisano na stronie RMF FM.

Bogata fontanna

1,4 miliona euro wyłowionych z rzymskiej fontanny di Trevi zostanie przekazane na Caritas – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

To większe zyski niż przynosi kilka rzymskich muzeów. Od 2013 roku wartość wyłowionych monet wzrosła o około 100 tysięcy euro.

„To wszystko dzięki znanej turystom z całego świata tradycji, zgodnie z którą trzeba tam wrzucić monetę, jeśli chce się jeszcze wrócić do Wiecznego Miasta. Ponadto, jak się podkreśla, znacznie więcej pieniędzy turyści wrzucają, odkąd zabytek architektury baroku został gruntownie wyremontowany i oddany pod koniec 2015 roku do użytku” – czytamy w depeszy PAP.

Pieniądze z tej fontanny otrzymuje od wielu lat – na mocy porozumienia

z władzami Rzymu – Caritas.

„27 procent całej sumy przeznaczona jest na pomoc dla ubogich rodzin, 32 procent na różne inicjatywy społeczne, 8 procent trafia do stołówek dla ubogich, a 31 proc. do ośrodków dla migrantów” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Zmiana 10. punktu Prawa Harcerskiego

39. Zjazd Nadzwyczajny Związku Harcerstwa Polskiego zmienił brzmienie 10. punktu Prawa Harcerskiego z „Harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych” na „Harcerz pracuje nad sobą, jest czysty w myśli, mowie i uczynkach; jest wolny od nałogów”.

Jest to rezultat długich dyskusji i konsultacji, a także odpowiedź na dokonujące się w świecie zmiany, na które – zdaniem władz ZHP – trzeba adekwatnie reagować.

„W obecnym świecie jest wiele zagrożeń czyhających na młodego człowieka. W naszym Prawie Harcerskim do tej pory ujęta była tylko walka z uzależnieniem od papierosów i alkoholu, podczas gdy w dzisiejszym świecie równie dużym problemem są inne choroby cywilizacyjne, takie jak chociażby uzależnienie od korzystania z komputerów, czy stałej aktywności w przestrzeni wirtualnej internetu. W ZHP najważniejszym aspektem jest wychowanie młodego człowieka. Tak zapisany punkt prawa da kadrze instruktorskiej ZHP możliwość jeszcze lepszego oddziaływania na młodych ludzi. Zmiana 10. punktu umożliwi pełniejsze rozumienie go przez młodzież. W nowym brzmieniu dziesiąty punkt Prawa Harcerskiego pokazuje, że harcerz ma być wolny od wszelkich nałogów i ma pracować nad sobą” – czytamy na stronie internetowej ZHP.

Tą zmianą punktu, który zawsze wywoływał ogromne emocje, ZHP stanął w jednym szeregu z wieloma organizacjami skautowymi, w których nigdy nie było wymogu abstynencji, a widok palącego fajkę lub popijającego piwo pełnoletniego skauta w mundurze nie budził negatywnych odczuć.

Kiedy Andrzej Małkowski formułował w 1911 roku podstawy ideowe, programowe i organizacyjne harcerstwa wzorował się na brytyjskim skautingu, ale zakaz picia alkoholu oraz palenia tytoniu dodał pod wpływem organizacji

abstynenckich, które były wówczas bardzo silne na polskich ziemiach pod zaborem.

W epoce PRL 10. punkt Prawa Harcerskiego był przestrzegany głównie w środowiskach wiernych przedwojennym ideałom ZHP, w 1980 roku jako swój wyróżnik potraktowały go opozycyjne wobec podporządkowanych komunistycznym władzom Związku Kręgi Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego. To wtedy na oznaczających stopnie instruktorskie granatowych, zielonych i czerwonych lilijkach na lewym ramieniu munduru pojawiły się haftowane na białą cyfry „10”. Naszywali je później także instruktorzy niejawnego Ruchu Harcerskiego Rzeczypospolitej, z którego powstały po 1989 roku Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej i Związek Harcerstwa Polskiego – rok założenia 1918.

Zmiana dokonana przez 39. Nadzwyczajny Zjazd ZHP z pewnością wzbudzi wiele kontrowersji. Przez jednych zostanie ona potraktowana jako słuszna forma dostosowania się do realiów współczesnego świata, przez innych jako zdrada ideałów, na których wyrósł polski skauting.

Raport komisji Maddena

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej doktor Jarosław Szarek zaprezentował na wczorajszej konferencji prasowej wydawnictwo w języku polskim pt. „Mord w lesie katyńskim. Przesłuchania przed amerykańską komisją Maddena w latach 1951–52”.

„– Czekaliśmy na tę książkę 65 lat. To ważne źródło dla historii zbrodni katyńskiej. Katyń to miejsce-słowo dla Polaków symbolizujące zagładę polskiej elity w 1939 r., ale również symbol kłamstwa i dochodzenia do prawdy. Od pierwszych dni po jej ujawnieniu, zbrodni towarzyszyło kłamstwo. Związek Sowiecki, będący jej sprawcą, przez kilkadziesiąt lat używał wszystkich możliwych sposobów, aby prawda o tej zbrodni nie dotarła do opinii publicznej. Nie wystarczyło tych ludzi zabić, trzeba było zniszczyć wszystkie ślady po nich. Zmowa milczenia trwała przez dziesiątki lat. Dopiero w 1951 roku, gdy narażał konflikt w Korei, rozpoczynało się apogeum Zimnej Wojny, Amerykanie zdecydowali się na powołanie komisji. Od tamtego momentu świat wiedział, ale milczał. To ważny element, gdy mówimy o zbrodni katyńskiej – cały świat

od samego początku znał prawdę, ale milczał. To stawia pytanie o kwestię moralności w polityce. Ta książka to pierwszy z trzech tomów, w których zamieścimy większość dokumentów tej komisji” – powiedział prezes IPN (cytat za „Rzeczpospolitą”).

Gazeta przypomniała, że w 1951 roku Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych powołała do życia specjalną Komisję Śledczą do Zbadania Faktów, Dowodów i Okoliczności Mordu w Lesie Katyńskim, która nazwę wzięła od nazwiska swojego przewodniczącego – kongresmena z Indiany Raya Maddena. W jej skład weszło 7 demokratów i republikanów.

„Do końca 1952 r. komisja przeprowadziła śledztwo, gromadząc dowody rzeczowe oraz przesłuchując przeszło 100 świadków. Dochodzenie zaowocowało przyjęciem raportu końcowego, stwierdzającego, że Związek Sowiecki ponosi odpowiedzialność za mord, popełniony na Polakach w 1940 r.” – czytamy w „Rz”.

Wydawcy książki podkreślili w trakcie jej prezentacji, że prace komisji Maddena odsłoniły mechanizmy utajania w USA prawdy o zbrodni katyńskiej. Ponieważ do tej pory nie przeprowadzono żadnego sądowego dochodzenia w sprawie tego aktu ludobójstwa, raport Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych pozostaje najważniejszym formalno-prawnym orzeczeniem potwierdzającym winę ZSRS za mord na Polakach.

Na 26 kwietnia zaplanowano dyskusję wokół książki, która odbędzie się w Muzeum Katyńskim w Warszawie.

Wolimy Ukraińców od muzułmanów

74 procent spośród 1075 osób zapytanych przez Centrum Badania Opinii Społecznej sprzeciwia się przyjmowaniu przez Polskę uchodźców z Bliskiego Wschodu i z Afryki, 22 proc. uważa, że powinniśmy ich przyjmować, a 5 proc. nie ma zdania w tej sprawie – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„W badaniu CBOS podkreślono, że stosunek do przyjmowania uchodźców jest związany z preferencjami partyjnymi. Wśród osób, które w hipotetycznych wyborach zagłosowałyby na PO lub na Nowoczesną zdania są podzielone – niemal taki sam odsetek opowiada się za relokacją uchodźców, jak przeciw niej. Z kolei zwolennicy PiS oraz ruchu Kukiz'15 są bardziej jednomyślni – więk-

szość spośród nich sprzeciwia się przyjęciu części uchodźców (odpowiednio 88 proc. i 90 proc.)” – czytamy w depeszy PAP.

Za przyjmowaniem uchodźców opowiadają się najczęściej mieszkańcy największych miast (39 proc.), osoby posiadające wyższe wykształcenie (33 proc.) oraz badani o najwyższych dochodach (29 proc.). Aż 87 proc. młodych ludzi (w wieku 18-24 lat) jest przeciwnikami relokacji, może też zastanawiać, że – mimo apeli papieża Franciszka i części polskich biskupów – niewiele mniejsza liczba osób uczestniczących w praktykach religijnych również nie chce widzieć w naszym kraju uchodźców.

„Jak wynika z sondażu CBOS, Polacy są zdecydowanie przychylniej nastawieni do przyjmowania uchodźców ze wschodniej Ukrainy. Obecnie za udzieleniem im schronienia opowiada się ponad połowa (55 proc.) badanych, a przeciwnych jest 40 proc. respondentów. Najbardziej przychylnie nastawieni do przyjmowania uchodźców ze wschodniej Ukrainy są potencjalni wyborcy Nowoczesnej (86 proc.) oraz Platformy Obywatelskiej (72 proc.). Osoby, które w hipotetycznych wyborach zagłosowałyby na Prawo i Sprawiedliwość lub Kukiz'15, rzadziej wyrażają zgodę na udzielenie schronienia Ukraińcom z zagrożonych terenów (odpowiednio 57 proc. i 52 proc.)” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Ukraińców mile widzą mieszkańcy dużych miast posiadający wyższe wykształcenie, spore dochody, a także rzadziej uczestniczący w praktykach religijnych. Przeciw ich przyjazdowi do Polski opowiadają się głównie najmłodszy rodacy (55 proc.). We wszystkich grupach akceptacja przyjmowania Ukraińców z terenów zagrożonych wojną jest zdecydowanie większa niż uchodźców z południa.

IPN weryfikuje „bezpieczniaków”

Ponad 34 tysiące funkcjonariuszy służb mundurowych podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji ma mieć obniżone świadczenia emerytalne w związku z ustawą dezubekizacyjną – dowiedział się reporter Radia RMF FM.

„Takie są dotychczasowe efekty weryfikacji przebiegu ich służby przez Instytut Pamięci Narodowej. W sumie do sprawdzenia jest prawie 200 tysięcy osób. Dotąd zweryfikowano mniej więcej połowę funkcjonariuszy, czyli około

100 tysięcy osób. IPN bada ich teczki i karty osobowe, wytworzone w trakcie służby, które są w zasobach Instytutu. Jeśli potwierdzi się, że ktoś służył w organach bezpieki, informacja na ten temat jest przesyłana do Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA – czytamy na stronie internetowej Radia.

W ocenie dyrektor Archiwum IPN Marzeny Kruk ustawie będzie podlegać nie więcej niż 50 tysięcy osób.

– Zgodnie z regulacją, sprawdzanie funkcjonariuszy ma się zakończyć 10 czerwca. Trudno, żebym jako dyrektor archiwum Instytutu odpowiedziała, że nie zdążymy. Musimy się wywiązać z obowiązku nałożonego przez ustawę. Liczyliśmy na to, że będziemy mieć 6, a nie 4 miesiące. To jest dodatkowa trudność i komplikacja. Jeżeli będzie taka potrzeba, to uruchomimy nadgodziny w ciągu tygodnia – powiedziała na antenie RMF.

Świadczenia dla byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa PRL i ich rodzin nie będą wyższe niż średnie emerytury i renty wypłacane przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych (emerytura – około 2 tysięcy złotych, renta – ok. 1,5 tys. zł, renta rodzinna – ok. 1,7 tys. zł).

Ustawa obniża emerytury i renty „za służbę na rzecz totalitarnego państwa” od 22 lipca 1944 roku do 31 lipca 1990 roku.

Sieroty po PRL znowu w akcji

W Gdańsku grasują w ostatnich dniach nieznani sprawcy, których można chyba utożsamić z sierotami po PRL.

W święta Wielkanocne zniszczyli fragment poświęconego Żołnierzom Niezłomnym muralu „Wilki” we Wrzeszczu, pisząc przy portrecie pułkownika Zygmunta Szendzielarza-„Łupaszki” czerwoną farbą „Morderca!”, a teraz zdebastowali tablicę obok pomnika Danuty Siedzikówny „Inki” na Oruni.

Warto przypomnieć, że zamordowana przez komunistów w wieku niespełna 18 lat legendarna sanitariuszka była podwładną ówczesnego majora „Łupaszki” – dowódcy 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej.

Wandale połamali tablicę, na której przedstawiono życiorys „Inki”.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że teren wokół pomnika objęty jest monitoringiem. Nie wiadomo, czy policja połączy te dwa zdarzenia i obejmie je wspólnym śledztwem.

Odsłonięty w sierpniu 2015 roku pomnik bohaterskiej sanitariuszki powstał ze społecznej inicjatywy, którą pomógł sfinansować rezydujący właśnie na Oruni metropolita gdański ksiądz arcybiskup Sławoj Głódź.

Bohaterowie Polski Niepodległej nadal stoją kością w gardle tym, dla których prawdziwą ojczyzną był Związek Sowiecki.

Zanika kolejny język

Popularność angielskiego oraz nowoczesność zagrażają przetrwaniu języka islandzkiego, którym mówi dziś tylko około 400 tysięcy osób – poinformowała „Rzeczpospolita” powołując się na Associated Press.

Jednym z powodów jest to, że większości tzw. inteligentnych urzędów komendy trzeba wydawać po angielsku. Islandzkiemu zagraża również duża liczba turystów odwiedzających wyspę, z którymi trzeba rozmawiać w obcych językach.

Zdaniem byłej prezydent Vigdis Finnbogadóttir należy niezwłocznie podjąć środki zmierzające do ocalenia rodzimego języka. Bez rozwijania programów umożliwiających stosowanie islandzkiego w nowoczesnych urządzeniach obsługiwanych głosowo skończy on bowiem jak niegdyś łacina.

„Problem dostrzegają też islandzcy nauczyciele. Anna Jonsdóttir, cytowana przez AP twierdzi, że często słyszy islandzkich nastolatków porozumiewających się ze sobą po angielsku. Jonsdóttir zwraca również uwagę, że 15-letni Islandczycy nie muszą już zapoznawać się z <Sagami islandzkimi> – napisaną w języku islandzkim średniowieczną sagą opisującą historie z IX–XI wieku. Do niedawna elementem narodowej tożsamości była umiejętność płynnego czytania tego średniowiecznego dzieła. Coraz później uczniowie zapoznają się również z twórczością zdobywcy literackiej Nagrody Nobla w 1955 roku, Halldora Laxnessa” – czytamy w gazecie.

Z przeprowadzonych przez profesora Eiríkura Rögnvaldssona na grupie 5 tysięcy osób na wyspie badań wynika, że już dziś noworodki słyszą islandzki zbyt rzadko, żeby stworzyć sobie solidną bazę do nauki tego języka na kolejne lata.

„Poważnym problemem – jak pisze AP – jest fakt, że język islandzki – obok gaelickiego, łotewskiego, maltańskiego i litewskiego – jest jednym z najrzadziej wykorzystywanych przez urządzenia cyfrowe. W efekcie używające ich osoby

muszą używać angielskiego. Islandzkie Ministerstwo Edukacji szacuje, że potrzeba ok. 8,8 mln dolarów na prace nad otwartą bazą danych, która pomogłaby programistom dołączać islandzki jako opcję językową np. przy obsłudze urządzeń inteligentnych” – napisała „Rzeczpospolita”.

Bez podjęcia zdecydowanych działań przez rząd język islandzki może całkiem wyjść z użytku.

Likwidacja nielegalnego pomnika UPA

Na cmentarzu komunalnym we wsi Hruszowice (województwo podkarpackie) rozebrano nielegalny pomnik ku czci Ukraińskiej Armii Powstańczej – poinformował Portal Przemyski.

Monument ustawiono w październiku 1994 roku. Wieloletnie żądania jego likwidacji nie przynosiły żadnego skutku. Przypuszczano, że pochowani są pod nim ludzie.

– Pomnik ten budził największe sprzeciwy i spory oraz emocje wśród Polaków, którzy zadawali często pytania, jak to jest możliwe, że przez tyle lat na Polskiej ziemi stoją pomniki ludobójców Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Taka sytuacja jest niedopuszczalna. Wystąpiłem jeszcze w 2014 roku z zapytaniem do wójta o stan prawny tego pomnika oraz do kogo należy ten cmentarz komunalny. Otrzymałem informację, że ten obiekt jest nielegalnie postawiony. Kolejne działania były w kierunku, aby umożliwić rozbiórkę tego nielegalnego pomnika. W toku działań, które prowadziliśmy wspólnie z wiceprezesem Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanców ustaliliśmy, że skoro nielegalny obiekt stoi na własności urzędu gminy, tylko wójt ma możliwość podjęcia decyzji co będzie działo się z tym obiektem. W ubiegłym roku złożyliśmy wniosek o rozbiórkę tego obiektu. Od tamtego czasu prowadziliśmy rozmowy dotyczące tego w jaki sposób moglibyśmy to przeprowadzić. Zachęcamy do współpracy inne samorządy. Państwo Polskie przez ponad 20 lat nie zrobiło w tej sprawie nic. Ani również strona ukraińska nie zrobiła nic żeby ten stan prawny uregulować. Myślę, że udało się stworzyć precedens, który sprawi, że pozostałe nielegalne obiekty poświęcone UPA będzie można w ten sposób usunąć – powiedział portalowi prezes Ruchu Narodowego na Podkarpaciu Marek Kulpa.

Pomnik rozebrano w ramach czynu społecznego. Decyzję podjął wójt gminy Stubno Janusz Słabicki.

– Ustaliliśmy, że postanowienie Prokuratury Rejonowej w Przemyślu z 1995 roku dotyczące tego pomnika stwierdza jednoznacznie, że jest to samowola budowlana naruszająca około 11 aktów prawnych i nie powinna tu być usadowiona. Moja organizacja dołoży wszelkich starań aby pomóc tej grupie osób, które tutaj działają aby takich nielegalnych postumentów, które faktycznie godzą nie tylko w uczucia narodowe, ale też w sferę dobrych obyczajów nie zalegały na naszej ziemi, chyba, że są to obiekty legalnie postawione – wyjaśnił Portalowi Przemyskiemu wiceprezes Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich Dariusz Raczkiewicz.

A wójt dodał:

– Nigdy to nie było pomnikiem, było to nielegalne upamiętnienie. Chcieliśmy go usunąć również ze względów estetycznych. Taka była wola większości mieszkańców, nie tylko naszej gminy, ale wszystkich Polaków. Nie boimy się konsekwencji tego działania ze strony ukraińskiej.

Litewski pomnik dwóch braci Piłsudskich

W Zułowie odsłonięto pomnik urodzonych tam Józefa i Bronisława Piłsudskich będący dziełem Vytautasa Musteikis z trzyosobowym zespołem współpracowników – poinformował „Kurier Wileński”.

„- Naszym celem nie jest politykowanie, lecz wyłącznie pokazanie tego, jak różnymi drogami chodzą bliscy z tej samej rodziny. Minęło pięć lat, zanim ten pomysł udało się urzeczywistnić. Pewnie będzie wiele kontrowersyjnych opinii, zarówno ze strony litewskiej, jak i polskiej, ale naszym celem nie była konfrontacja, lecz chęć głębszego spojrzenia na historię, bez względu na to, jaka była prawda: przyjemna czy nieprzyjemna. Po prostu musimy ją znać” – powiedział gazecie pomysłodawca i twórca monumentu..

„Pomnik ma postać wysokiej tablicy z wypisanymi na niej w języku litewskim wydarzeniami z życia obu braci oraz wybranymi cytatami. U góry zostały umieszczone płaskorzeźby z podobiznami obu braci: Bronislavas Petras Pilsudskis (1866-1918) i Juozapas Klemensas Pilsudskis (1867-1935) opatrzone łacińską sentencją: <Sit mihi palma fides> (<Niech wiara będzie

moją tarczą>) oraz jej tłumaczeniem na litewski. Poniżej została wyryta data 1887, ze wskazaniem, że w tym roku obaj bracia uczestniczyli w spisku przeciwko carowi Rosji Aleksandrowi III i zostali zesłani na Syberię” – czytamy w „KW”.

W osobnych kolumnach wymieniono ważne wydarzenia z życiorysów obu braci.

„Na pomniku po litewsku upamiętniono następujące fakty biograficzne, dotyczące Bronisława Piłsudskiego: 1898–1914 – badał życie tubylców Dalekiego Wschodu, 1903 – uhonorowany medalem Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego <Za zasługi naukowe>, 1916 – napisał pracę o litewskich krzyżach. Na pomniku widnieje również fragment jego listu z zesłania, adresowanego do ojca: <Pokrzepieniem jest mi miłość do ludzi...>. W drugiej kolumnie zostały umieszczone daty oraz wydarzenia z życia Józefa Piłsudskiego: 1892 – członkostwo w Polskiej Partii Socjalistycznej, 1914–1918 – tworzył wojsko polskie, 1918 – ogłosił niepodległość Polski, 1918–1922 – naczelnik państwa polskiego, dążył do przywrócenia państwa litewsko-polskiego od morza do morza, 1920 – marszałek Polski, 1922 – zabrał Litwie Wilno i Wileńszczyznę, 1926–1936 – samowładca Polski i minister wojny. W kamieniu wyryto również słowa Marszałka: <Litwinem jestem i wprowadzę wam litewski ład!>. U dołu pomnika biegnie napis: <Litwo, two korzenie są tak potężne, ale dlaczego ich owoce zrywają obcy?>” – napisał „Kurier”.

Miejsce ustawienia pomnika zostało wybrane nieprzypadkowo.

„- Przede wszystkim jest to miejsce urodzenia braci Piłsudskich. Zapytaliśmy właściciela tej ziemi o pozwolenie i zgodził się on wydzielić nam plac pod pomnik (właścicielem działki jest Romualdas Juraitis). Podobało nam się również samo miejsce. Trochę dziwne się wydaje, że inni, którzy zachowują pamięć o Piłsudskim i tworzą aleję pamięci, powiedziałbym, że niezupełnie uporządkowali otoczenie. Chcemy pokazać, że można to ładniej uporządkować” – powiedział gazecie Musteikis.

Według niego Józef Piłsudski to niepospolita postać światowego formatu, należy się jej więc szacunek.

„- Piłsudski czuł się obywatelem wspólnego państwa. To, że zagarnął Wileńszczyznę, bez wątpienia, spowodowane było chęcią przywrócenia kraju ro-

dzinnego i nie rozumiał Litwinów, którzy buntowali się i nie chcieli żyć razem z Polakami. Często podkreślał potrzebę bycia razem. Myślę, że Polska powinna być wdzięczna za to, ile otrzymała od Litwy. I Jagiełło, i Kościuszko uważali się za Litwinów. Więcej jest takich osób, które możemy zobaczyć w szerszym kontekście. Nasza mentalność zakłada, że odrzucamy to, co nie jest napisane po litewsku” – dodał w rozmowie z „KW” artysta, który ukończył na Uniwersytecie Wileńskim studia historyczne ze specjalizacją z archeologii, wykładał w Konserwatorium, pracował w Centrum Kultury Ludowej Litwy.

Gazeta przypomina, że na Litwie ani marszałek Piłsudski, ani jego brat Bronisław nie doczekali się jeszcze żadnego pomnika.

„Co prawda, przed dziesięć laty podobnej inicjatywy podjął się mer Druškiennik Ričardas Malinauskas, który rozważał ustanowienie w tym uzdrowiskowym mieście, w którym zatrzymywał się również naczelnik państwa polskiego, kamienia lub tablicy pamiątkowej na cześć Józefa Piłsudskiego. Niestety, pomysł ten spotkał się z atakiem litewskich nacjonalistów i inicjatywy zaniechano” – czytamy w „Kurierze Wileńskim”.

Ukraiński odwet w sferze pamięci

Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej oświadczył, że w związku z brakiem reakcji władz Polski na niszczenie znajdujących się na jej terytorium ukraińskich miejsc pamięci narodowej, wstrzymuje legalizację polskich upamiętnień – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Ma to oczywisty związek z rozebraniem pomnika żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii w Hruszowicach i znieważeniem herbu państwowego Ukrainy (tryzuba).

„IPN zapowiedział, że zainicjuje wstrzymanie wydawania pozwoleń na prace poszukiwawcze pochówków i porządkowanie polskich miejsc pamięci na Ukrainie. Instytut zaapelował także do lokalnych władz samorządowych, by wstrzymały rozpatrywanie wniosków <jakichkolwiek polskich instytucji, osób prywatnych czy organizacji społecznych dotyczących wydawania zezwoleń na budowę nowych polskich pomników i znaków pamięci, czy też restaurację już istniejących>” – czytamy w depeszy PAP.

Na terenie Ukrainy znajduje się obecnie co najmniej 105 polskich pomni-

ków i znaków pamięci, które powstały w latach 1991–2017 i są – zdaniem tamtejszego IPN – nielegalne.

Polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego napisało w komunikacie przesłanym PAP, że demontaż pomnika w Hruszowicach był zgodny z prawem i zwróciło uwagę, iż wzniesiono go z naruszeniem obowiązującego w Polsce prawa.

MKiDN podkreśliło, że „strona polska stoi na stanowisku, że każdy poległy lub zamordowany na skutek wojen i represji politycznych na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej (jak i Ukrainy) ma prawo do godnego uczczenia i spoczynku”. Jednocześnie „nie ma przyzwolenia na funkcjonowanie w przestrzeni publicznej, wzniesionych niezgodnie z obowiązującymi na terenie RP przepisami prawa, pomników <chwały Ukraińskiej Armii Powstańczej>, których celem jest gloryfikowanie formacji zbrojnej, odpowiedzialnej za zbrodnie dokonane na tysiącach, w zdecydowanej większości bezbronnych polskich obywateli”.

Rozebranie pomnika ukraiński IPN powiązał z 70. rocznicą rozpoczęcia akcji „Wisła”, która polegała na wysiedleniu ludności ukraińskiej z Polski południowo-wschodniej na tzw. Ziemię Odzyskane.

„70 lat temu polski reżim komunistyczny dokonał straszliwej zbrodni (...). Z własnych domów wysiedlonych zostało blisko 150 tysięcy Ukraińców, których wywieziono daleko od rodzinnych stron, by ulegli asymilacji i zniknęli jako wspólnota narodowa. Niestety, 70. rocznica tej tragedii mija nie pod znakiem pojednania i dialogu historycznego, a staje się kolejnym przyczynkiem do niszczenia śladów istnienia naszego narodu na terenach południowo-wschodniej Polski” – czytamy w jego oświadczeniu.

Instytut przypomniał, że od 2014 roku w Polsce zdewastowano 15 ukraińskich upamiętnień i zarzucił polskim organom porządkowym, że nie wyjaśniły żadnego z tych przypadków.

„Dodał, że w Polsce nie odnawia się zniszczonych ukraińskich pomników, podczas gdy na Ukrainie – jak podkreślił – zdewastowane w ostatnim okresie cztery polskie pomniki zostały odnowione przez władze, a w związku z incydentami wszczęto sprawy karne. Ukraiński IPN oświadczył, że gotów jest do wznowienia współpracy z polskimi partnerami pod warunkiem przeprowadzenia przejrzystego śledztwa w sprawie niszczenia ukraińskich upamiętnień

w Polsce, ukarania sprawców, odnowienia tych obiektów ze środków strony polskiej oraz ich legalizacji” – napisała Polska Agencja Prasowa.

MAJ 2017

Czy to powstańcy?

Wkrótce na wileńskiej Górze Zamkowej (Giedymina) rozpoczną się badania archeologiczne w poszukiwaniu szczątków ciał powstańców styczniowych – poinformował Polską Agencję Prasową archeolog z Litewskiego Muzeum Narodowego Arunas Kalejus.

Jest wielce prawdopodobne, że w latach 1863-64 zostało tam pochowanych 21 powstańców straconych na wileńskim Placu Łukiskim, w tym przywódcy: Zygmunt Sierakowski i Konstanty Kalinowski. Na ten trop litewscy archeolodzy wpadli przed kilkoma miesiącami.

„W trakcie prac archeologicznych w lutym na Górze Zamkowej odkryto dwa groby, w których szczątki zostały złożone bez trumien i przesypane wapnem. W jednym z grobów został pochowany mężczyzna ze związanymi rękoma. Buty i ubranie uległy zniszczeniu, ale zachowały się poszczególne elementy stroju: guziki, klamra od paska. Drugi grób był zbiorową mogiłą czterech osób. Obok szczątków jednego ze zmarłych znaleziono srebrny medalion z połowy XIX w., co według naukowców wskazuje, że pochówku dokonano w II połowie XIX w.” – czytamy w depeszy PAP.

– Dzisiaj nie możemy jeszcze jednoznacznie stwierdzić, że znalezione szczątki to są powstańcy styczniowi, ale nie znajdujemy też argumentów, by sądzić inaczej – powiedział PAP Kalejus.

Szczegółowe badania antropologiczne potrwać co najmniej pół roku. Potem nastąpi pogrzebanie powstańców z przysługującymi im honorami.

„O możliwości istnienia grobów powstańców na Górze Giedymina pisał w swym przewodniku po Wilnie Władysław Zahorski. Stare przewodniki informują też, że w 1917 roku na górze został ustawiony krzyż, ale usunęły go okupacyjne władze niemieckie. Krzyż ponownie wzniesiono tu w 1921 roku. W roku 1925 obok krzyża odsłonięto dwie tablice pamiątkowe. Na jednej według starych przewodników miał być napis w języku polskim: <Niezanemu

żołnierzowi>, na drugiej nazwiska powstańców straconych w 1863 roku na Placu Łukiskim. W czerwcu 1940 roku krzyż został usunięty” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Hidżaby przeciw jarmułkom i turbanom

Międzynarodowa Federacja Koszykówki (FIBA) zezwoliła na grę w nakryciu głowy, które ma związek z wyznawaną religią, czyli w hidżabach, jarmułkach i w turbanach – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Decyzję podjęto podczas kongresu FIBA w Hongkongu, a wejdzie ona w życie 1 października br.

Noszone na parkiecie nakrycie głowy nie może zasłaniać twarzy, a dopuszczalnymi kolorami są białe, czarne lub taki, który dominuje w pozostałych elementach stroju. Zawodnik lub zawodniczka nie może mieć żadnych elementów zapinających znajdujących się w okolicach twarzy lub szyi.

„W przeszłości koszykarkom z Kataru zabroniono grać w tradycyjnym nakryciu głowy – hidżabie w meczu 17. Igrzysk Azjatyckich w południowokoreańskim Incheon z Mongołkami. Przed meczem sędziowie poprosili zawodniczki o zdjęcie nakryć głowy. Te jednak odmówiły, argumentując, że ich religia zabrania, aby kobieta pokazywała się bez hidżabu, zakrywającego włosy, uszy i szyję, jednak nie ramiona i twarz. Kierownictwo reprezentacji postanowiło wycofać drużynę z turnieju” – czytamy w depeszy PAP.

Właśnie ten przypadek wpłynął na dokonanie ważnej zmiany w przepisach gry w koszykówkę.

Belgijscy Bracia Miłosierdzia skarceni za eutanazję

Kuria generalna Braci Miłosierdzia domaga się od członków ich belgijskiej prowincji, żeby niezwłocznie wycofali się ze zgody na przeprowadzenie eutanazji w prowadzonych tam ośrodkach psychiatrycznych – poinformowała Fronda powołując się na Radio Watykańskie.

Jak wcześniej pisałem, zarząd tych należących do belgijskiej gałęzi zakonu placówek zgodził się na dokonywanie w nich eutanazji. Zakonnicy przerzucają odpowiedzialność na osoby świeckie, które stanowią większość w zarządzie.

Przełożony generalny zakonu, Belg brat René Stockman, jednoznacznie

stwierdził, że taka sytuacja jest niedopuszczalna i całkowicie sprzeczna z charyzmatem miłosierdzia. Powoduje też ogromne zgorszenie, ponieważ katolickie ośrodki lecznicze zawsze dawały w sposób bezkompromisowy świadectwo pełnej ochrony życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci.

Brat Stockman wie, że na jego belgijskich podwładnych jest wywierana silna presja, ale nie oznacza to, że wolno im skapitulować.

Podkreślił on, że jasne stanowisko w tej sprawie musi też zająć Episkopat Belgii. Przyznał, że jest zaskoczony postawą biskupa Antwerpii, który próbuje usprawiedliwić decyzję belgijskich zakonników i tym samym zgadza się na eutanazję.

– Biskup nie może się wypowiadać w ten sposób – powiedział brat Stockman (cytat za Frondą).

Honory dla SKS

Ustanowionym w 1992 roku i przyznawanym przez Radę Miasta Krakowa brązowym medalem „Cracoviae Merenti” uhonorowano Studencki Komitet Solidarności w 40. rocznicę jego powstania.

Na uroczystej sesji RMK obecni byli dawni działacze SKS z Krakowa i z innych miast

Przewodniczący Rady Bogusław Kośmider przypomniał, że na marmurowym portyku przy wejściu do Urzędu Miasta widnieje łacińska sentencja: „Znakomitym mężom nie wolno lekceważyć dzielności poddanych”.

– W ten sposób nasi przodkowie – krakowianie sprzed wieków – zobowiązali nas, władze Krakowa, do podkreślania dzielności i waleczności naszych mieszkańców. Ten napis bardzo pasuje do dzisiejszej uroczystości – powiedział (wszystkie cytaty za Polską Agencją Prasową).

Prezydent Krakowa profesor Jacek Majchrowski mówił, że dzięki powołaniu SKS podwawelski gród stał się kolebką jednego z czołowych nurtów dysydenckich przed odzyskaniem przez Polskę wolności.

– Poprzez komitet – jego nazwę – w polskiej przestrzeni publicznej Polski po raz pierwszy mocno i wyraźnie wybrzmiało słowo Solidarność. Profesor Andrzej Chwalba powiedział niedawno, że dałby najwyższe odznaczenie temu, kto tę Solidarność do nazwy komitetu dodał. I my dziś właśnie to czynimy:

ofiarowujemy Komitetowi najwyższe odznaczenie Stołecznego Królewskiego Krakowa. Jak wspominają założyciele, członkowie Komitetu, powstał on właśnie z potrzeby zwykłej, ludzkiej solidarności. Ale jego narodziny były też z całą pewnością aktem wielkiej odwagi i determinacji. świadectwem tęsknoty za życiem w prawdzie” – powiedział.

W imieniu odznaczonych medal odebrała Liliana Batko-Sonik, mówiąc:

– SKS tworzyli ludzie młodzi, przepełnieni marzeniami, które wydawały się mrzonkami. W nazwie wybrzmiało słowo „Solidarność”, które trzy lata później stanie się nazwą najważniejszego w świecie ruchu związkowego i będzie polskim logo. Kiedy u stóp Wawelu 15 maja 1977 roku czytałam oświadczenie o powołaniu SKS nie myślałam, nikt z nas wtedy nie myślał, że kiedyś w Polsce wolnej, należącej do Unii Europejskiej, zostaniemy uhonorowani. SKS-y powstały także w innych miastach Polski i choć mówi się bardzo często, że tworzyła je garstka ludzi, to jednak trzeba pamiętać, że deklarację poparcia dla SKS podpisało w Krakowie niemal tysiąc osób ze środowiska akademickiego, co wymagało wówczas odwagi. Tacy odważni się znaleźli, ich decyzja wprowadziła nową jakość. Wcześniej opozycja to były izolowane grupy intelektualistów, niezwykle ważne, ale jednak izolowane. Udało się nam odzyskać Polskę wolną, ale przecież nie Polskę idealną. Dobrze wiemy, że idealne światy po prostu nie istnieją i zawsze trzeba będzie rzeczywistość poprawiać. Rzeczywistość bez naszego nieustannego wysiłku zawsze ciąży ku chaosowi. Przekonanie o wartości pluralizmu, wolności i żmudnej, organicznej pracy wynieśliśmy z tamtego zaangażowania, z tamtego doświadczenia, a także wiarę w to, że ludziom należy się szacunek niezależnie od poglądów jakie wyznają, dlatego medal „Cracoviae Merenti” za zasługi dla Krakowa należy do nas wszystkich, również do tych, którzy dzisiaj tutaj pojawić się nie mogli.

„15 maja w dzień powstania SKS przed 40. laty, odbędzie się uroczystość nadania imienia Studenckiego Komitetu Solidarności skwerowi przy Domu Studenckim Żaczek, przy al. 3 Maja w Krakowie. Obchody uzupełniają m.in. IPN-owska wystawa plenerowa pt <Solidarność narodziła się w Krakowie>, konferencja naukowa w Uniwersytecie Jagiellońskim, premierowy pokaz filmu dokumentalnego <Skażeni genem wolności>”. Wystawy poświęcone rocznicy powstania SKS pojawiły się także w gmachu Senatu (17.05) i Sejmu RP

(22.05)” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej, która przypominała, że SKS w Krakowie powstał na fali wzburzenia śmiercią studenta UJ Stanisław Pyjasa, którego zwłoki znaleziono 7 maja 1977 roku w bramie kamienicy przy ulicy Szewskiej 7.

Zmarł uczestnik „Małego Arsenалу”

W wieku 89 lat odszedł na Wieczną Wartę ksiądz prałat harcmistrz Stefan Wysocki – poinformował portal internetowy Związku Harcerstwa Polskiego.

W konspirację zaangażował się już w 1939 roku jako członek Pogotowia Harcerzy, a w 1943 roku rozpoczął służbę w najmłodszej wiekowo grupie Szarych Szeregach – „Zawiszaków” w Łowiczu, gdzie w czasie Powstania Warszawskiego kolportował „Biuletyn Informacyjny” i inne ulotki. Potem działał w Powiatowej Radzie Opiekuńczej organizując pomoc wysiedlonym mieszkańcom Warszawy, którzy znaleźli schronienie w Łowiczu.

„8 marca 1945 roku uczestniczył w akcji odbicia więźniów z więzienia NKWD w Łowiczu zwanej <Małym Arsenalem>. Po wojnie wstąpił do seminarium, 8 sierpnia 1954 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk bp Wacława Majewskiego. W latach 1972–2003 piastował funkcję proboszcza parafii Opatrzności Bożej w Warszawie-Wesołej, jednocześnie w latach 1987–2003 pełniąc funkcję dziekana dekanatu rembertowskiego” – czytamy w portalu.

W 2002 roku został przewodniczącym Rady Naczelnej Stowarzyszenia Szarych Szeregów, a w 2004 członkiem Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

„Daje krzepę i krasi lica”, ale wciąż nielegalnie

Z każdą zmianą władzy w Polsce łączy sadownicy wiązą spore nadzieje na legalizację słynnej śliwownicy która nadal jest produkowana nielegalnie, chociaż w 1989 roku została uznana za niematerialne dobro kultury narodowej a 6 lat później umieszczono ją na liście chronionych europejskich produktów tradycyjnych.

Czy w najbliższym czasie coś się w tej materii wreszcie zmieni? Dyskutowano o tym podczas Święta Kwitnących Jabłoni w Łącku. Wzorując się na systemie austriackim nasz rząd chce, aby rolnicy mogli legalnie produkować

do 100 litrów wysokoprocentowego trunku, a 300 litrów mogłoby pochodzić z gorzelni gospodarczych.

– To dobre rozwiązanie, bo ochroni dziedzictwo naszych ojców – powiedział Radiu Kraków prezes Stowarzyszenia Łącka Droga Owocowa Krzysztof Maurer.

A wójt Łącka Jan Dziedzina dodał:

– Ubolewam nad tym, że to, co wypracowali nasi pradziadowie jest marnowane teraz przez szarą strefę, oszustów, którzy na potęgę podrabiają słynną łącką śliwovicę. Jeśli będą ją produkować tylko gospodarze i zakłady z gminy Łącko, to będzie to tylko z korzyścią dla całej gminy i konsumenta. Jak zapłacić 50 procent akcyzy, to zysk dla budżetu państwa też będzie. To dla naszego regionu spora szansa.

„To leży w interesie Łącka, żeby nad śliwovicą udało się zapanować. Kiedy na etykiecie na butelce pojawi się nazwisko i adres tego, który ją wyprodukował, to efekt będzie taki, że kupujący wie od kogo kupił a to będzie gwarantować jakość produktu” – czytamy na stronie internetowej krakowskiej rozgłośni.

A na razie na polski rynek trafiają podróbki śliwownicy z Ukrainy, co oburza łąckich sadowników.

Odnawianie wawelskiej nekropolii

Sarkofagi 19 królów, wieszczów i bohaterów narodowych pochowanych w królewskiej katedrze na Wawelu w ciągu najbliższych trzech lat zostaną poddane konserwacji – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„Parafia archikatedralna otrzyma na ten cel ponad 3,1 mln zł z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa. Blask mają odzyskać sarkofagi m.in. króla Jana II Kazimierza, Zygmunta III Wazy, Augusta II Mocnego, Stanisława Leszczyńskiego, marszałka Józefa Piłsudskiego, Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza” – czytamy w depeszy PAP.

Zastępca przewodniczącego Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa i zarazem dyrektor Zamku Królewskiego – Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu profesor Jan Ostrowski przekazał proboszczowi parafii archikatedralnej księdzu prałatowi Zdzisławowi Sochackiemu promesę czyli

dokument potwierdzający finansowanie prac, które mają kosztować w sumie 3,825 miliona złotych (dotacja stanowi 81,7 procenta kosztów).

Środki na Narodowy Fundusz Rewaloryzacji Zabytków Krakowa pochodzą z Kancelarii Prezydenta RP.

– To zadanie, jak żadne inne, pokazuje znaczenie środków publicznych przekazywanych na ratowanie krakowskich zabytków. Pokazuje też, że rolą władz RP jest troska o materialne dziedzictwo – powiedział podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Wojciech Kolarski przypominając, iż program konserwacji wawelskich sarkofagów jest jednym z jedenastu najwyższej ocenionych z tzw. projektów kluczowych, wybranych przez SKOZK, które mają zapewnić trzyletnie finansowanie (wszystkie cytaty za PAP).

Ks. Sochacki bardzo się cieszy z realizacji tego projektu, bo interwencji konserwatorów wymagają zarówno sarkofagi, jak i krypty odwiedzane codziennie przez tysiące osób, a nie mające odpowiedniej wentylacji.

– Zależy nam na tym, żeby bezpowrotnie nie zostało zdegradowane świadectwo dziedzictwa narodowego, jakim jest miejsce pochówku ludzi, którzy wpisali się na trwałe w naszą historię – stwierdził.

„W 2017 roku renowacji mają być poddane sarkofagi: króla Stanisława Leszczyńskiego, królowych: Anny Austriaczki i Barbary Zapoły, królowny Anny Marii Wazy i królewicza Aleksandra Karola Wazy. We wnętrzach krypt konserwacja obejmie: ściany, posadzki i elementy wystroju. Zmodernizowane zostaną instalacja elektryczna i wentylacja, przybędą multimedialne tablice informacyjne” – napisała PAP.

Dyrektor biura SKOZK Maciej Wilamowski zauważył, że konserwatorzy będą się mierzyć z trzema rodzajami wyzwań: najpoważniejszym będzie odnowienie sarkofagów z cyny, która jest materiałem bardzo nietrwałym, sarkofagów miedzianych i ich wewnętrznych szkieletów wykonanych z żelaza, które koroduje w kontakcie z miedzią oraz nastroczających stosunkowo najmniej problemów sarkofagów kamiennych.

– Sarkofag marszałka Józefa Piłsudskiego będzie musiał zostać otwarty. Wewnątrz znajduje się srebrna trumna z przeszkleniami z kryształu górskiego z lat 30. XX wieku. Ten sarkofag nie był od tego czasu otwierany, nie wiemy zatem, co znajdziemy w środku i w jakim stanie znajdują się doczesne szczątki

marszałka. Konserwacja wyłącznie sarkofagu zewnętrznego będzie się odbywała na miejscu, nie opuści on katedry. Przyjęty program prac nie przewiduje w żadnym wypadku otwierania trumien kryjących szczątki ani prowadzenia jakichkolwiek badań naukowych – wyjaśnił.

Prof. Jan Ostrowski powiedział dziennikarzom, że większość sarkofagów królewskich nie była konserwowana od dziesiątek, a czasem nawet setek lat.

– Na oko wygląda, że wszystko jest w porządku, bo oglądają je tysiące ludzi i nie widzą istotnych uszczerbków, ale w ciągu ostatnich lat została przeprowadzona konserwacja cynowych sarkofagów Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki i Stefana Batorego i okazało się, że one są w fatalnym stanie. W wyniku nieumiejętnych napraw w wieku XIX one zmieniły swoją formę, konieczna była głęboka ingerencja w ich stan. W tej chwili wyglądają znakomicie – dodał.

„Przed rozpoczęciem projektu kluczowego parafia prowadziła już konserwację sarkofagów (m.in. Zygmunta Starego, Jana III Sobieskiego, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, księcia Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki). Przy współudziale środków przyznanych przez SKOZK w 2015 r. odnowiono kryptę oraz sarkofag króla Stefana Batorego, a w 2016 r. sarkofagi króla Zygmunta Augusta i królowej Anny Jagiellonki” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Pomnik Pileckiego

Na skwerze przy Alei Wojska Polskiego u zbiegu z ulicą Bitwy pod Rokietną na warszawskim Żoliborzu odsłonięto pomnik rotmistrza/pułkownika Witolda Pileckiego w 116. rocznicę urodzin jednego z największych bohaterów w skali całego świata w XX wieku.

Monument stanął niedaleko od miejsca, w którym 19 września 1940 roku ówczesny podporucznik Pilecki dobrowolnie dał się schwytać w łapance, aby trafić do niemieckiego obozu śmierci Auschwitz, gdzie zbierał pierwsze informacje dotyczące popełnianych tam zbrodni i zorganizował wśród więźniów siatkę konspiracyjną.

Pomnik, którego budowę zainicjowało cztery lata temu Stowarzyszenie Młodzi dla Polski odsłoniły córka „Witolda” Zofia Pilecka-Optułowicz i prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Przemawiający podczas tej uroczystości wicepremier Mateusz Morawiecki podkreślił znaczenie pielęgnowania pamięci o zamordowanym przez stalinowski reżim 25 maja 1948 roku rotmistrzu, który z własnej inicjatywy wrócił zaraz po zakończeniu II wojny światowej do rządzonej już przez podwładnych Kremla Polski. Aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w 1947 roku, został bezpodstawnie oskarżony o działalność szpiegowską.

– Właśnie pamięci po bohaterze komunistyczni oprawcy obawiali się najbardziej. Dlatego po jego zabiciu stale usuwali ślady po nim z kart historii. Ten sam los spotkał wielu jego towarzyszy walki (cytat za Informacyjną Agencją Radiową).

Historyk i prezes Fundacji „Łączka” Tadeusz Płużański wyraził w rozmowie z IAR nadzieję, że w Polsce będą powstawały kolejne monumenty ku czci Pileckiego.

– Na pierwszy jego pomnik czekaliśmy wiele lat. Przez długi czas Witold Pilecki był wyklętym bohaterem, a jego pamięć zaczęto przywracać, podobnie jak innych Niezłomnych Żołnierzy, dopiero kilka lat temu.

Teatralna pasieka

Na dachu Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie staną wkrótce dwa ule, z których miód posłuży jako prezent dla sympatyków i gości tej sławnej sceny – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Uroczysta inauguracja pszczelarskiej działalności nastąpiła 28 maja, podczas Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

– Projekt ma charakter edukacyjny. Chcemy uświadamiać, jak ważne, potrzebne są pszczoły. Ktoś kiedyś wyliczył, że świat szybko przestałby istnieć, gdyby te owady wyginęły. Nic mi nie wiadomo, by był drugi teatr, który ma na dachu ule. Pszczoły nie będą zagrażać ludziom. Nektar będą zbierać z roślin na pobliskich Plantach oraz rosnących wokół budynku teatru, gdzie Zarząd Zieleni Miejskiej sadzi różne rośliny. Wśród pracowników krakowskich teatrów są zapaleni pszczelarze – powiedział PAP dyrektor Teatru im. J. Słowackiego i pomysłodawca małej pasieki Krzysztof Głuchowski.

„Ule na dachu krakowskiej instytucji pojawiają się za sprawą kierownik

muzycznej Teatru Haliny Jarczyk, członkini koła pszczelarskiego <Nektar> w Alwerni. To od pszczelarzy z Alwernii ule i pszczoły przyjadą do Krakowa. Pszczelarze z koła <Nektar> będą doglądać ule pod Wawelem. Projekt teatr organizuje wspólnie z <Tygodnikiem Powszechnym> oraz z Greenpeace” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Minipasieki stoją już na dachach kilku budynków w Krakowie, m.in. na Akademii Górniczo-Hutniczej.

Spektakularna porażka politycznego słusznictwa

Francuski Sąd Kasacyjny jednoznacznie orzekł, że w aktach stanu cywilnego możliwe są tylko dwie referencje związane z płcią: męska i żeńska – poinformował na swojej stronie internetowej Instytut Ordo Iuris.

W aktach stanu cywilnego nie może pojawiać się kategoria osoby neutralnej płciowo.

Sąd odniósł się do wniosku mężczyzny, który w wieku 63 lat zażądał sprostowania aktu urodzenia i przy wskazaniu płci użycia sformułowania „neutralny płciowo”.

„Swoje żądanie uzasadniał twierdzeniem, jakoby w czasie, gdy przyszedł na świat i kiedy sporządzano jego akt urodzenia, nie było możliwe właściwe określenie jego tożsamości płciowej, czyli takie, o jakim jest przeświadczony obecnie. Sam siebie określa bowiem jako osobę <interseksualną>, czyli niebędącą <ani mężczyzną, ani kobietą>. Sąd Apelacyjny, którego wyrok wydany w niższej instancji mężczyzna zakwestionował, uznał natomiast, że jego wygląd fizyczny, podobnie jak i fakt pozostawania w związku małżeńskim i posiadanie w nim potomstwa, są całkowicie zgodne z określeniem płci w jego akcie urodzenia” – czytamy na stronie Instytutu.

W uzasadnieniu Sąd Kasacyjny stwierdził, że francuskie ustawodawstwo przewiduje w aktach stanu cywilnego tylko dwie referencje związane z płcią.

„Również w ustawie regulującej status osób cierpiących na transseksualizm, którym umożliwia się zmianę adnotacji o płci w aktach stanu cywilnego, nie przewiduje się możliwości wprowadzenia tam żadnej innej kategorii niż <kobieta> bądź <mężczyzna>. Uznanie trzeciej kategorii płciowej miałoby poważne konsekwencje dla porządku społecznego i prawnego, różnice między kobieta-

mi i mężczyznami są bowiem podstawą całej organizacji społecznej i prawnych ram jej funkcjonowania” – napisano na stronie Ordo Iuris.

Sąd Kasacyjny dodał, że postulowana przez skarżącego kategoria „neutralności płciowej” jest wyrazem promocji ideologii „gender” na gruncie ponowoczesnej kultury co skutkuje ekspansją subkultur LGBT wykorzystujących instrumenty polityczne do destabilizacji płciowości i struktur, których jest ona istotnym elementem, zwłaszcza zaś małżeństwa i rodziny.

„Mimo zaawansowania Francji w proces destabilizacji ludzkiej płciowości, orzeczenie Sądu Kasacyjnego jednoznacznie przypomina, że porządek społeczny, a w związku z tym i prawny, muszą potwierdzać fakt, że człowiek bytuje jedynie jako kobieta bądź mężczyzna. W tym kontekście orzeczenie francuskiego Sądu Kasacyjnego należy postrzegać jako chroniące podstawowe prawa człowieka i podstawy ładu społecznego” – tak skomentowała to orzeczenie analityk Instytutu Ordo Iuris na jego stronie internetowej Magdalena Olek.

Harcerze odnawiają groby legionistów na Wołyniu

Kilkudziesięciu harcerzy z Polski – głównie z Łódzkiej Chorągwi ZHP – ponownie wyruszy w sierpniu na Ukrainę, aby szukać kolejnych, zapomnianych grobów polskich legionistów na Wołyniu, gdzie w poprzednich latach udało im się odtworzyć sześć nekropolii: w Kostiuchnówce, Wołczecku, Kowlu, Koszyszczach, Jeziornej i Maniewiczach – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

– Planujemy w tym roku dokończenie prac ekshumacyjno-poszukiwawczych w miejscowości Kukle. Według przekazów, znajduje się tam siedem mogił, rok temu znaleźliśmy pierwszą z nich. Będziemy też prowadzić prace archeologiczne w miejscu pochówku polskich żołnierzy w miejscowości Jabłonka. Harcerze wykonują tu całą pracę fizyczną, ale również uczą się archeologii pod okiem specjalistów, przede wszystkim ekipy profesora Andrzeja Koli, znanego z prac w Katyniu. Dostępują zaszczytu pracy przy odkrytych szczątkach i artefaktach. Oczywiście to zajęcie tylko dla harcerzy dorosłych, którzy sami wykazują chęć takiej pracy – powiedział PAP prowadzący Centrum Dialogu w Kostiuchnówce harcmistrz Jarosław Górecki.

Pod tą miejscowością zginęło w lipcu 1916 roku ponad dwa tysiące legio-

nistów, którzy w ciągu trzech dni skutecznie odpierali rosyjską ofensywę. Co trzeci żołnierz biorący udział w walkach na terenach zwanych dziś Polską Górą i Polskim Lasem został ranny lub oddał życie.

„W okresie powojennym mogiły legionistów na Wołyniu praktycznie zniknęły z powierzchni ziemi – zarośnięte przez las i zdewastowane, przy pełnej akceptacji sowieckich władz, bądź zapomniane przez ludzi. Dwa lata temu w Kostiuchnówce odbył się pogrzeb szczątków ok. 250 żołnierzy, którzy zginęli w czasie bitwy. Odnalezione i ekshumowane przez harcerzy szczątki spoczęły na cmentarzu w Polskim Lesie. W tym roku harcerze chcą odnaleźć pod Polską Górą mogiłę 40 legionistów. Tysiące odwiertów wykonanych w ostatnich latach nie pozwoliło na wytypowanie miejsca pochówku” – czytamy w depeszy PAP.

Harcerze liczą na pomoc Instytutu Pamięci Narodowej, który ma sfinansować georadar i obsługującego go eksperta.

– To jest bardzo ciężka praca: z niczego odbudowujemy cmentarz wzniesiony w latach międzywojennych, dokopujemy się do postawionych wówczas obramień betonowych. W latach późniejszych kołchoźnicy rozbijali to, co było na powierzchni. Musimy dotrzeć do tego, co zostało pod ziemią, odtworzyć układ pochówków, bo nie ma takiej możliwości, abyśmy wszystkie szczątki ekshumowali – dodał w rozmowie z PAP hm Górecki.

„Harcerze znają jeszcze co najmniej pięć miejsc pochówku legionistów, po których na powierzchni ziemi nie pozostał żaden ślad. Będą chcieli je odtworzyć albo przenieść szczątki w inne miejsce, jak np. w miejscowości Karasin, gdzie dawna mogiła znajduje się w samym centrum wsi i trzeba ją przenieść, zanim ktoś zechce zagospodarować wolny plac” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Co wolno imigrantom?

Włoski Sąd Najwyższy orzekł, że cudzoziemcy, którzy decydują się zamieszkać w danym kraju mają „obowiązek dostosować się do wartości jego społeczeństwa” – poinformowała „Rzeczpospolita”.

Takie sformułowanie padło w uzasadnieniu utrzymania wyroku skazującego sądu niższej instancji dla sikha, który nosił 20-centymetrowy nóż o nazwie kirpan uważany za święty zgodnie z zasadami jego religii.

„Niedopuszczalne jest to, aby przywiązanie do własnych wartości, choć są one legalne zgodnie z przepisami obowiązującymi w kraju pochodzenia, prowadziło do świadomego naruszania prawa w kraju udzielającym gościny” – czytamy w cytowanym przez „Rz” orzeczeniu WSN, który podkreślił, że w społeczeństwie multietnicznym konieczne jest identyfikowanie się z systemem wspólnym dla migrantów i mieszkańców.

Zdaniem Włoskiego Sądu Najwyższego „integracja nie narzuca porzucenia kultury kraju swego pochodzenia”, ale „niezbędne jest jednak poszanowanie praw człowieka i zasad obowiązujących w kraju przyjmującym”.

Oby ten wyrok i jego uzasadnienie stały się wzorem dla organów wymiaru sprawiedliwości w wielu europejskich krajach, do których masowo napływają imigranci i uchodźcy usiłujący narzucić ich społeczeństwom własne normy i zasady moralne, religijne, obyczajowe, a nawet prawne.

SLD w okowach komuny

Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci – to stare powiedzenie przyszło mi na myśl, kiedy przeczytałem w depeszy Polskiej Agencji Prasowej, że czwórka radnych z klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej nie wzięła udziału w głosowaniu Rady Miejskiej Kalisza nad projektem uchwały w sprawie zmiany nazwy patronów 6 kojarzących się z minionym ustrojem ulic. Szef klubu Dariusz Witoń stwierdził, że nie podoba im się ustawa o zakazie propagowania komunizmu „ze wszystkimi konsekwencjami”.

Przewodniczący klubu radnych Platformy Obywatelskiej Dariusz Grodziński powiedział PAP, że odstępując od głosowania radni SLD potwierdzili swoją nieprzydatność dla kaliskiego samorządu „co ma miejsce od początku tej kadencji”.

„Zgodnie z ustawą o zakazie propagowania komunizmu przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej nowe nazwy nadawane przez jednostki samorządu terytorialnego nie mogą upamiętniać osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm lub inny ustrój totalitarny” – przypomniała PAP.

W Kaliszu do zmiany patronów wytypowano 6 ulic: Marii Koszutskiej, Józefa Koszutkiego, Hanki Sawickiej, Bolesława Rumińskiego, Lucjana Szen-

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

walda i Stefana Dybowskiego. Noszą one teraz imiona: Benedykta Dybowskiego (przyrodnika i lekarza), Gustawa Arnolda Fibigera (przedwojennego właściciela kaliskiej Fabryki Fortepianów i Pianin „Calisia”), Władysława Reymonta, Prymasa Stefana Wyszyńskiego, Cypriana Kamila Norwida oraz Zacisze.

Za zmianą głosowało 19 z 23 radnych obecnych na sali radnych.

– Zmiana nazwy ulicy nie ma wpływu na ważność dokumentów, w których jest uwzględniona dotychczasowa nazwa ulicy, wydane więc dowody rejestracyjne, dowody osobiste i prawa jazdy zachowują swoją ważność – powiedziała Polskiej Agencji Prasowej rzecznik prasowy kaliskiego urzędu Elżbieta Zmarzła.

I niech ktoś jeszcze powie, że SLD to nowoczesne, czerpiące z najlepszych tradycji polskiej lewicy ugrupowanie, które stanowczo odcina się od peerelowskiej przeszłości.



Zdjęcie Mirosław Lewandowski

POLSKA WSPÓŁCZESNA



POMASZERUJEMY W NIEMIECKICH BUTACH – EURO SZANSĄ CZY PUŁAPKĄ DLA POLSKI?

Europejczycy z coraz większym niepokojem myślą o własnej przyszłości i przyszłości kontynentu. Szukając przyczyn niepokoju jedni wskazują na kwestie ideowe, tożsamościowe, kulturowe akcentując brak bezpieczeństwa, zagrożenie dla instytucji takich jak państwo. Inni zwracają uwagę na szybkość zmian ekonomicznych i technologicznych – wynikający stąd brak poczucia pewności, stabilności, niemożność „odnalezienia się w pędzącym świecie”. Są też tacy, którzy podkreślają, że Europa nie nadąza za tempem przemian w świecie, zaś porażka w wyścigu z Azją i Ameryką przyniesie groźne konsekwencje polityczne, ekonomiczne i społeczne.

Głównymi podmiotami w Europie są państwa oraz instytucje ponadnarodowe, w tym pełniąca rolę przewodnią Unia Europejska. Stąd pytanie wielu Europejczyków – czy Unia Europejska przetrwa kryzys, w jakim się znalazła, a jeśli tak, to w jakim kierunku będzie ewoluować, jeśli nie – to co powstanie na jej gruzach? Pada wtedy wypowiedziane niemal jednym tchem pytanie dodatkowe – czy wspólna waluta – euro jako czynnik scalający i dynamizujący gospodarkę Wspólnoty spełni oczekiwania teoretyków i ideologów, czy przeciwnie – euro skonfliktuje a następnie rozsądzi istniejący układ, by na koniec przestać istnieć?

Podzielał pogląd ekonomistów i polityków uważających, że odpowiedź na pytanie co do przyszłości wspólnej waluty w sposób znaczący, a może nawet dominujący wpłynie na rozwój wypadków w Unii Europejskiej w nadchodzących dziesięcioleciach.

Sądzę, że w sporze co do perspektyw i przyszłości euro należy cofnąć się

i rozpocząć analizę od momentu, gdy euro kielkowało jako koncepcja teoretyczna, a następnie gdy było wprowadzane w życie. Uważam, że pouczająca będzie powtórka z historii, gdyż unaoczeni ona od czego zależały, kto podejmował rozstrzygające decyzje dotyczące wprowadzenia euro i jakimi przesłankami i kalkulacjami się kierował.

W moim artykule posłużę się metodą sięgania w przeszłość do „czasu przeszłego dokonanego”, bo fakty i prawda historyczna wiele wyjaśniają. W drugiej części artykułu posłużę się metodą „czasu przyszłego dokonanego”, bo jak będę starał się wykazać – o przyszłości, o faktach w przyszłości możemy mówić jako o wydarzeniach i procesach z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, że nastąpią. Jeśli tak, to po ich analizie będziemy mogli wyciągnąć wnioski.

CZAS PRZESZŁY DOKONANY

Wspólnota Europejska i jej następczyni – Unia Europejska powstawały w imię szczytnych haseł pokoju i zapobiegania konfliktom, współpracy gospodarczej, zapewnienia dobrobytu mieszkańcom kontynentu i jednoczenia wysiłków w walce konkurencyjnej ze Stanami Zjednoczonymi. Nie należy zapominać, że jednocząca się stara Europa miała być też zaporą i przeciwwagą dla ekspansji ze Wschodu radzieckiego totalitaryzmu. Większość tych zadań została wykonana skutecznie. Najlepszym dowodem jest rozpad systemu komunistycznego, zjednoczenie Niemiec, odbudowa potencjału gospodarczego, zapewnienie dobrobytu i komfortu socjalnego mieszkańcom starej Europy i zmniejszenie dystansu ekonomicznego do Stanów Zjednoczonych.

Nowym etapem w jednoczeniu Europy a jednocześnie polem do konfrontacji w skali globalnej ze Stanami Zjednoczonymi była idea własnej, wspólnej waluty europejskiej. Ustanowiono ją jednak nie w momencie i nie według scenariusza sugerowanego przez teoretyków ekonomii, a w chwili brzemiennych w skutki faktów politycznych. Niemcy i osobiście kanclerz Helmut Kohl przez wiele lat byli przeciwnikami szybkiego utworzenia wspólnej waluty. Orędownikiem tej idei stała się Francja w momencie zjednoczenia Niemiec, a myślą przewodnią było pozbawienie potężniejących Niemiec ich własnej waluty – marki, uzyskanie (jak to mniemali Francuzi) kontroli nad gospodarką niemieck-

ką po wprowadzeniu euro i utworzeniu Europejskiego Banku Centralnego, gdzie władza wykonawcza w znacznym stopniu spoczywać miała w rękach Francuzów. Dokonajmy krótkiej analizy historycznej, następstw i konsekwencji wprowadzenia euro. Cele, które sobie stawiano to:

1. Uzyskanie większej dynamiki gospodarczej całej Unii, szczególnie państw strefy euro
2. Zmniejszenie różnic między bogatą północą a biednym południem Unii Europejskiej

Czas poprzedzający wprowadzenie euro można podzielić na dwa okresy – lata 1979-1992 oraz 1992-1999. W roku 1979 wprowadzono w krajach aspirujących do wspólnej waluty system ERM – Exchange Rate Mechanism, tj. mechanizm zobowiązujący kraje uczestniczące do ograniczenia wahań kursu własnej waluty w stosunku do jednostki rozliczeniowej ECU – European Currency Unit o plus, minus dwa i pół procenta. Mechanizm ten nazwano węzem walutowym. System ten działał sprawnie do końca lat osiemdziesiątych. W roku 1989 po zjednoczeniu, Niemcy przystąpiły z właściwą sobie determinacją i sprawnością do scalania dwu państw w jedno państwo niemieckie. Fakt ten – zjednoczenie, powiększenie Niemiec i umocnienie ich w stosunku do wszystkich państw europejskich okazał się być brzemienny w skutki. W tym miejscu warto zaznaczyć coś, co jest pomijane przez większość polityków i historyków – fakt, że po roku 1989 w Europie nastąpił rozpad kilku państw i powstanie w ich miejsce wielu małych państw narodowych. Wymieńmy tylko niektóre. W efekcie rozpadu ZSRR powstały: Litwa, Łotwa, Estonia, Białoruś, Ukraina i państwa na Zakaukaziu. Czechosłowacja rozpadła się na Czechy i Słowację. Na Bałkanach powstały: Słowenia, Chorwacja, Serbia i inne. Polska po roku 1991 graniczy wyłącznie z państwami, które przed 1989 rokiem nie istniały.

Zjednoczenie Niemiec od 1990 roku pozwoliło im na lepsze wykorzystanie zasobów kapitału i zdolności produkcyjnych przemysłu RFN do zaspokojenia popytu w dawnym NRD. Umożliwiło podjęcie szerokiego frontu inwestycji infrastrukturalnych, a także uruchomiło mnożnik konsumpcji. Żaden z pozostałych krajów starej Unii nie miał wtedy takiej szansy i przywileju jak Niemcy. Przyznać trzeba, że Niemcy go wykorzystali nie oglądając się na żadne unijne

umowy i ograniczenia, chociażby dotyczące deficytu budżetowego. Przekraczał on wtedy 3% PKB. O skali wydatków Niemiec na przyłączenie i scalenie NRD niech świadczy fakt, że według szacunków łączne nakłady poniesione na ten cel w ciągu ponad dwudziestu lat wyniosły około dwa biliony euro.

Rozpad systemu komunistycznego i powstanie wielu nowych, małych państw sprzyjał realizacji starej, niemieckiej doktryny Mittle Europy. To do Polski, Węgier, Rumunii, Chorwacji, Słowenii oraz dawnych państw wchodzących w skład ZSRR nakierowano ekspansję eksportową Niemiec. Polegała ona zarówno na eksporcie gotowych wyrobów, głównie konsumpcyjnych, ale też na wykupie za bezcen przedsiębiorstw, często doprowadzaniu ich do upadku i tą drogą przejmowania całego rynku zbytu. Osobnym sposobem ekspansji było zakładanie przedsiębiorstw z kapitałem niemieckim w tych dziedzinach przemysłu, gdzie dominował wysoki udział robocizny, produkcji brudnej, ekologicznie szkodliwej. O tym, że polityka ekonomiczna Niemiec była przemysłowa i nawiązywała do strategii Mittle Europy niech świadczą fakty uznania państwowości Chorwacji i Słowenii przez Niemcy bez konsultowania tego z pozostałymi krajami Unii Europejskiej oraz, co szczególnie ważne w stosunku do Polski, umożliwienie przedsiębiorcom niemieckim zaliczenia w koszty do 10% ich przychodów bez ujawniania sposobu wydatkowania. Domyślić się należy, że pieniądze te przeznaczone były na nieewidencjonowany wykup majątku w państwach postkomunistycznych, łapówki i korupcję.

W roku 1990 do węża walutowego przystąpiła Wielka Brytania. Około roku 1992 uwidoczniła się różnica w dynamice i strukturze gospodarczej między Niemcami i krajami Południa, głównie Włochami i Hiszpanią. Konieczną okazała się korekta współczynników węża walutowego – zrewalutowano markę o 3,5% i zdevaluowano lira o 3,5%. Ponieważ działania te okazały się nieskuteczne, to już w roku 1993 Włochy i Wielka Brytania wystąpiły ze strefy ERM. Do roku 1995 lir i funt brytyjski zostały zdevaluowane w stosunku do ECU o około 30%. Hiszpania i Portugalia pozostały w węży walutowym dewaluując swoje waluty kilkakrotnie. Widelki dopuszczalnych odchyłeń kursów własnych walut od kursu ECU rozwarło do plus minus 15%.

Okres lat 1992-1999 to w efekcie dewaluacji lira czas gwałtownego przyspieszenia w eksporcie Włoch. Poprawia się też sytuacja producentów brytyj-

skich, portugalskich. Napływ tanich, konkurencyjnych włoskich produktów do południowych Niemiec, obawa o przetrwanie własnych firm wymusiła i przyspieszyła zgodę Niemiec na wprowadzenie wspólnej waluty – euro. O tym, że sprawa była poważna, niech świadczy fakt, w ostatniej dekadzie XX wieku udział Niemiec w światowym eksporcie produktów przemysłowych spadł o kilkanaście procent. Można sobie wyobrazić, co stałoby się z gospodarką niemiecką, gdyby w tym czasie nie wykorzystała ona „amortyzatora”, jakim stał się zwielokrotniony eksport do byłych państw komunistycznych. Stąd decyzje Niemiec były stanowcze, ale też dobrze skalkulowane. I tak oto obawy Francji przed rosnącą potęgą zjednoczonych Niemiec, uznanie euro za narzędzie umożliwiające skrępowanie i poddanie kontroli gospodarki niemieckiej spotkało się z przychylnością samych Niemców. Dostrzegli niekorzystne dla siebie efekty dewaluacji lira i funta i uznali, że wprowadzenie wspólnej waluty wprawdzie ograniczy im swobodę manewru, ale jeszcze bardziej utrudni życie takim krajom jak Włochy, Hiszpania czy Portugalia. Czas pokazał, że to Niemcy mieli rację. Obrazowo rzecz ujmując, Francuzi po wprowadzeniu euro chwycili rękami za lejce, a Niemcy dostały do rąk bat.

Obalenie muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec, ale przede wszystkim wprowadzenie wspólnej waluty euro uświadomiły myślącym dalekowzrocznie przedsiębiorcom i politykom niemieckim – bo Niemcy to państwo poważne, że należy dokonać manewru poprawiającego konkurencyjność gospodarki niemieckiej. Z jednej strony powinna ona szybko podnosić średnią wydajność pracy poprzez skoncentrowanie nakładów w dziedzinach o największym postępie technicznym, by wygrać batalię eksportową z państwami Azji, z drugiej strony – powinna zahamować wzrost kosztów robocizny, by nie przegrać pojedynku z tanim robotnikiem azjatyckim bądź pochodzącym z Europy postkomunistycznej. Poprawa ta powinna dotyczyć przede wszystkim ograniczenia kosztów tzw. społecznej gospodarki rynkowej, a zatem sprowadzać się do ograniczenia wydatków socjalnych i spowolnienia tempa wzrostu płac. Reforma polityki społecznej i polityki płac w Niemczech podjęta w latach 2003-2005 nazywana jest reformą Petera Hartza.

W jej efekcie nastąpiło radykalne spowolnienie wzrostu płac, ponad dwa miliony osób utraciło prawo do długoterminowych zasiłków dla bezrobotnych.

Ograniczono koszty robocizny, zwiększono stopę oszczędności w społeczeństwie niemieckim i dzięki temu wygenerowano fundusze na udzielanie pożyczek krajom Europy Południowej. Koszty robocizny w krajach Unii (Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech) w latach 1998-2011 w stosunku do kosztów robocizny w Niemczech wzrosły w tym okresie od 20 do 50%. Widać tu najwyraźniej, jak ogromną przewagę konkurencyjną uzyskały firmy niemieckie. Ograniczenie dynamiki konsumpcji w Niemczech spowodowało z drugiej strony spadek popytu na dobra i usługi dostarczane przez państwa Europy Południowej – niektóre dobra luksusowe i turystykę. I znowu, jak w latach poprzednich, Niemcy w realizacji tej polityki skorzystały z zaplecza, jakim dla własnej gospodarki uczyniły rynki i przedsiębiorstwa postkomunistycznej Europy Środkowo-Wschodniej. Ograniczenie tempa wzrostu funduszu płac w Niemczech było możliwe dzięki „wypchnięciu” do sąsiadów ze wschodu, w tym Polski, tych branż przemysłu, a także faz produkcyjnych, które wymagały dużego udziału robocizny. Ponieważ koszty robocizny w krajach takich jak Polska stanowiły często jedną dziesiątą i mniej kosztów robocizny na podobnych stanowiskach w Niemczech, to łatwo zrozumieć dlaczego reforma Petera Hartza mogła zostać przeprowadzona tak skutecznie i sprawnie. Co więcej, przedsiębiorcy niemieccy wobec własnych związków zawodowych jako straszaka użyli robotników ze Wschodu argumentując, że brak porozumienia w sprawie płac spowoduje przeniesienie produkcji do byłych państw komunistycznych.

Rozpad systemu komunistycznego i zjednoczenie Niemiec umożliwiły firmom niemieckim ekspansję gospodarczą i kapitałową na Europę Środkowo-Wschodnią. Wykorzystana została ona jako nowy, uzupełniający rynek zbytu, bufor i stabilizator dla własnych przedsiębiorstw. Euro – wprowadzone po dziesięciu latach od zjednoczenia dzięki przemysłanej i starannie przygotowanej przez Niemców strategii pozwoliło im zdominować gospodarkę europejską, wyrosnąć na największego eksportera w gospodarce światowej i kredytodawcę państw Europy wschodniej i południowej. Stopniowe wciąganie w orbitę swoich wpływów nowo powstałych po rozpadzie komunizmu państw europejskich takich jak Słowenia, Chorwacja, Łotwa, Estonia po przyjęciu przez nie euro doprowadziło do uzyskania formalnej przewagi politycznej Niemiec w głosowaniach w ramach Unii Europejskiej.

CZAS PRZYSZŁY DOKONANY

Po powtórce z historii dokonajmy wyboru horyzontu czasu w spojrzeniu w przyszłość. Jestem przeciwnikiem koncentrowania uwagi na „zegarze politycznym” – ten odlicza czas od kadencji do kadencji, od wyborów do wyborów, najczęściej są to cztery, pięć lat. To okres zbyt krótki, zbyt wiele w nim zjawisk i wydarzeń przypadkowych, trudno uchwycić trend. Czas, który powinniśmy przyjąć do naszej analizy to czas jednego, dwóch pokoleń.

Zacznijmy mówić o „czasie przyszłym dokonanym”. Już dziś mamy dane, moim zdaniem najważniejsze, które w sposób dominujący wpłyną na przyszłe procesy ekonomiczne, społeczne i polityczne. Tą informacją jest prognoza demograficzna dla Europy do roku 2050. Możemy o niej śmiało powiedzieć, że dane tam zawarte spełnią się z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością w przyszłości. Co można wyczytać z prognozy?

Do roku 2050 na świecie przybędzie około 2,5 miliarda ludzi. Ludność USA osiągnie 400 milionów dzięki przyrostowi o około 90 milionów. W tym samym okresie populacja w Europie zmniejszy się o około 30 milionów, zaś w krajach Unii Europejskiej, licząc z Wielką Brytanią, nie ulegnie ona zmianie utrzymując się na poziomie około 500 milionów. Jako ciekawostkę podam, że w tym okresie ludność Rosji spadnie o około 20 milionów do 120 milionów, a ludność Ukrainy o 13 milionów do 34 milionów. Łącznie w dziesięciu postkomunistycznych krajach Europy ubędzie około 50 milionów ludzi. Zdaniem demografów jest to zapaść, jakiej Europa nie zna od XIV wieku, to jest od epidemii dżumy. Szczególnie ważny jest spadek liczby ludności w Niemczech o 10-12 milionów. W Polsce ubędzie około 4-6 milionów. Liczba ludności Francji zwiększy się o 5 milionów, a Hiszpanii i Włoch o 5-6 milionów. Będziemy zatem świadkami (kto dożyje) zapaści demograficznej Niemiec i wzrostu liczby ludności w krajach Europy Południowej.

Zjawiskiem, które już dotknęło wszystkie kraje Unii Europejskiej, a którego siła będzie narastać jest wzrost udziału ludności w wieku poprodukcyjnym, spadek udziału dzieci do lat czternastu i spadek udziału ludności w wieku produkcyjnym. Siła tego zjawiska będzie bardzo duża. W Niemczech liczba pracujących spadnie o około 12 milionów (o ponad 20%) i osiągnie 40 milionów pracujących. W całej Unii Europejskiej udział ludności w wieku powyżej 66 lat

wzrośnie o około 10% do 28% społeczeństwa. Udział ludności w wieku produkcyjnym spadnie z obecnych 70% do około 50%. Powyższe dane nakazują zastanowić się nad ich skutkami ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi oraz działaniami, które zostaną podjęte przez rządy poszczególnych krajów, by negatywne skutki zmian demograficznych złagodzić, a niekorzystne trendy w dłuższej perspektywie odwrócić.

Przykładem działań doraźnych, próbą znalezienia rozwiązania „gotowego” jest doktryna imigracyjna Angeli Merkel. Doktryna ta mówi, że skoro Niemcy znalazły się w sytuacji bez wyjścia i potrzebują rąk do pracy to nie mogą czekać, powinny w większym stopniu niż dotychczas otworzyć się na imigrację zarobkową. Nie przewidziano jednak, że polityka ta szybko doprowadzi do radykalizowania nastrojów społecznych, konfliktów etnicznych i religijnych oraz wzrostu przestępczości. Podjęta przez Angelę Merkel bez konsultacji z innymi przywódcami Unii decyzja o otwarciu granic skonfliktowała Niemcy z wieloma państwami Unii Europejskiej, które z imigrantami mają problemy od szeregu lat.

Porażka polityki imigracyjnej Niemiec unaoczniała, że należy działać wielotorowo. Dlatego Niemcy mocno poparły otwarcie UE na napływ Ukraińców. Można spodziewać się, że politykę zachęcania do osiedlania się w Niemczech przedstawia państwom Europy Południowej, gdzie przyrost naturalny jest dodatni. Proszę nie posądzać mnie o cynizm bądź czarnowidztwo, ale nie zdziwiłbym się, gdyby za jakiś czas sformułowano odpowiednie zachęty do osiedlania się polskich rodzin... z dziećmi z programu 500+.

Niemcy z pewnością podejmą wielokierunkowe działania pronatalistyczne. Otrzymają one priorytet w wymiarze ekonomicznym, społecznym i kulturowym. Działania prokreacyjne skierowane będą na wzrost wydatków budżetowych oraz ulg i przywilejów dla rodzin z dziećmi. Z pewnością polegać będą one na wydłużeniu płatnych urlopów macierzyńskich i ojcowskich, dofinansowywaniu ruchomego czasu pracy dla rodziców i opiekunów, powiązaniu wysokości emerytur z liczbą dzieci bądź latami opieki nad nimi czy wreszcie na finansowaniu przez państwo żłobków i przedszkoli a także dóbr konsumpcyjnych oraz edukacji dzieci i młodzieży. Wydatki z budżetu państwa będą rosły – to pewne. Ale pewne jest też to, że nie zawsze i nie z tą samą efektywnością przekładają

się one na rosnącą dietność rodzin. W Niemczech wydatki z budżetu państwa na politykę prorodziną wynoszą około 1,5% PKB (są stosunkowo niskie). Współczynnik dietności od lat waha się między 1,4 a 1,5 na jedną kobietę. Dla przykładu, relacje te w innych krajach przedstawiają się następująco: we Francji 2,5% PKB przy 1,96 współczynniku dietności, w Wielkiej Brytanii 1,5% PKB przy 1,8, w Danii 4,6% PKB przy 1,7, w Szwecji 2,5% PKB przy 1,85 i w Polsce 1,4% PKB przy 1,32. Dla przykładu w Wielkiej Brytanii rodzice na pierwsze dziecko otrzymują tygodniowo 20,7 funtów, a na każde kolejne 13,7 funtów. Jeśli przyjąć, że większość krajów pójdzie śladami państw skandynawskich, co do wysokości wsparcia rodzin to należy oczekiwać, że wydatki na politykę prokreacyjną w większości krajów, w tym w Niemczech, podwoją się w najbliższych latach osiągając poziom 3-4% PKB. Dla porównania podam, że składka państw członkowskich do budżetu Unii Europejskiej wynosi średnio około 1% PKB danego kraju. Wniosek, który się nasuwa jest prosty i oczywisty – wydatki na politykę społeczną, szczególnie w Niemczech, będą szybko rosły.

Z drugiej strony, wzrost udziału w populacji ludzi w wieku poprodukcyjnym spowoduje dodatkowy wzrost kosztów polityki społecznej. Będziemy mieli do czynienia z szeregiem bardzo ważnych i głębokich zmian w relacjach ekonomicznych. Jeśli przyjąć, że średnia emerytura stanowi 30 do 70% średniej płacy to wzrost udziału ludności w wieku poprodukcyjnym przełoży się może na spadek globalnego popytu konsumpcyjnego. Z pewnością nastąpi jednocześnie zmiana struktury tego popytu, gdyż rosnąca populacja emerytów o wiele więcej wydawać będzie na zdrowie, opiekę i usługi niż na żywność, odzież i dobra konsumpcyjne trwałego użytku.

W ciągu najbliższych dziesięciu, dwudziestu lat skala spadku globalnego popytu konsumpcyjnego w Niemczech może być poważna. Jeśli odniesiemy ujemną dynamikę popytu konsumpcyjnego do wysokiego tempa wzrostu średniej wydajności pracy, to z całą mocą pojawi się problem „realizacji” czyli zbytu i skonsumowania wytworzonych produktów. Jedynym rozwiązaniem będzie powiększenie eksportu.

Problem przed którym stoją Niemcy to sposób sfinansowania rosnących wydatków socjalnych związanych z polityką prokreacyjną oraz rosnącym udziałem emerytów w populacji tak, by podtrzymać a nawet podnieść kon-

kurencyjność własnej gospodarki, szczególnie w stosunku do państw azjatyckich. Odpowiedź jest tylko jedna. Ponieważ popyt wewnętrzny na rodzimą produkcję będzie się stabilizował bądź malał, należy dokonać przeglądu branż i działów gospodarki wybierając te, w których perspektywy wzrostu eksportu są największe. Po drugie – należy skoncentrować inwestycje na badania naukowe w tych działach, które rokuje najszybszy postęp techniczny, gdyż na nim zarabia się najwięcej. Po trzecie – trzeba postawić na te działy i branże przemysłu, gdzie przyrost zatrudnienia jest stosunkowo niewielki, a nakłady na stanowisko pracy bardzo wysokie. I po czwarte – trzeba produkcję pracochłonną, ekologicznie brudną i o niższej dochodowości „wyeksportować” do sąsiadów, w tym także do Polski. Można uznać, że tym sposobem Niemcy podobnie jak to miało miejsce w latach 1990-2010 będą starały się narzucić krajom Europy Środkowo-Wschodniej, w tym także Polsce kolejny „nowy, międzynarodowy podział pracy”. Będzie on korzystny dla Niemiec, a jednocześnie wiążący i uzależniający sąsiadów od gospodarki tego kraju. By tezę tę poprzeć przykładem wskażę na rosnący eksport polskich produktów pochodzenia rolniczego do Niemiec. Szybki wzrost tego eksportu cieszy wielu polskich polityków na czele z przedstawicielami PSL-u. Nie należy jednak zapominać, że produkcja rolna i oparta na surowcach pochodzenia rolniczego odznacza się z reguły wyższą pracochłonnością, niższym tempem wzrostu wydajności pracy, a także wolniejszym postępem technicznym od większości działów przemysłu. Jest także ograniczona rozmiarami popytu, który przy spadku ludności (co będzie miało miejsce w Niemczech) może zacząć maleć.

Paradoks, na który zwracam uwagę polega na tym, że o ile w latach 2003-2010 Niemcy realizowały politykę ograniczania wydatków socjalnych jako metodę poprawy konkurencyjności całej gospodarki, o tyle od roku 2020 będą zmuszone realizować politykę wzrostu wydatków socjalnych przy spadającym zatrudnieniu, a mimo to poszukiwać rozwiązań podnoszących konkurencyjność ich przedsiębiorstw. Zadanie będzie zatem o wiele bardziej skomplikowane. O ile bowiem wzrost kosztów społecznych będzie pewny, to wzrost efektywności ekonomicznej będzie... pożądany.

ROZWAŻANE SCENARIUSZE

Wobec narastających napięć i różnic w poziomie oraz dynamice gospodarczej poszczególnych krajów Unii Europejskiej padają propozycje rozwiązania strefy euro, likwidacji wspólnej waluty jako głównej przyczyny wzrostu dysproporcji. Pojawiła się też teza, że uzasadnione byłoby wystąpienie Niemiec jako pierwszych ze strefy euro, powrót do marki przy jednoczesnym pozostaniu pozostałych państw Unii Europejskiej w obrębie wspólnej waluty. Czy teza ta może być zrealizowana?

Moim zdaniem zdecydowanie nie. Dla Niemiec wyjście ze strefy euro to utrata przywileju kontroli nad gospodarkami wielu państw Europy i groźba powrotu do stanu z lat 1992-1999, gdy po rozluźnieniu węża walutowego, dewaluacji włoskiego lira konkurencyjność firm niemieckich zaczęła się gwałtownie pogarszać. Co więcej, ponieważ z przyczyn demograficznych i omówionego powyżej wzrostu wydatków socjalnych konkurencyjność gospodarki niemieckiej może ucierpieć, to Niemcy utraty kontroli nad strefą euro nie zaakceptują. Wychodząc ze strefy euro znalazłyby się w izolacji politycznej w stosunku do szeregu państw starej Unii i przeciwstawione by zostały jako przedstawiciel bogatej Północy biednemu Południu. Dodatkowy problem to spłata zadłużenia bądź umorzenie zadłużenia państw południa Europy wobec Niemiec. Sprawa ta z punktu widzenia politycznego, a też sytuacji banków niemieckich ma szczególne znaczenie, gdyż umorzenie długów dla niektórych banków oznaczałoby po prostu bankructwo. Powrót Niemiec do marki oznaczałby jej szybką aprecjację w stosunku do euro i spotęgował międzynarodową spekulację walutową, konfliktując Niemcy z państwami, które pozostałyby w strefie euro.

Jeśli zatem Niemcy pozostaną w strefie euro, to w którą stronę ewoluować będzie wspólna waluta i cała Unia Europejska?

Niemcy potrzebując środków – pieniędzy na politykę socjalną i modernizację przemysłu muszą dokonać manewru ograniczającego ich wydatki na politykę wspólną Unii Europejskiej. Muszą „związać” mocniej ze sobą te państwa Unii, które ze względów ekonomicznych i politycznych uznają za ważne, osłabiając jednocześnie relacje z pozostałymi. Dlatego też jesteśmy w przededniu powstania trzech grup państw członków Unii Europejskiej. Do grupy pierwszej obok Niemiec zaliczać będą się Francja, Holandia, Belgia, Austria. Do gru-

py drugiej pozostałe państwa należące do strefy euro, jak Włochy, Hiszpania, Portugalia, Grecja. Zaś do grupy trzeciej zaliczyć należy państwa nie należące do strefy euro. Bez względu na to, czy dany kraj należeć będzie czy nie do strefy euro musi liczyć się z poważnym spadkiem dopłat i pomocy finansowej w ramach Unii Europejskiej po roku 2020. Podział Unii Europejskiej na trzy grupy umożliwi Niemcom aktywniejszą politykę walutową i umocnienie euro na co firmy niemieckie są przygotowane. Dla pozostałych zaś państw, szczególnie drugiej grupy, może być to powodem dodatkowych problemów. Ponieważ Niemcy jako globalny eksporter od szeregu lat dokonują przeorientowania swojego handlu zagranicznego, to sądzić należy, że polityka ta ulegnie przyspieszeniu. Zwróćmy uwagę, że w ciągu piętnastu lat od wprowadzenia wspólnej waluty udział państw strefy euro w obrotach handlowych z Niemcami spadł o około 20%. Dla przykładu – udział Polski w obrotach z Niemcami w tym czasie podwoił się i stanowi 4,5%.

Należy oczekiwać, że wobec stagnacji demograficznej w Unii Europejskiej i zapaści demograficznej w Europie Środkowo-Wschodniej Niemcy coraz bardziej będą orientować się na handel pozaeuropejski. Jeśli tak, to polityka kursu walutowego euro zostanie temu podporządkowana. Euro stanie się narzędziem wspierania własnych firm, poprawy ich konkurencyjności a jednocześnie narzędziem hamowania bądź eliminowania konkurencji ze strony pozostałych państw Unii. Euro w większej niż do tej pory skali stanie się czynnikiem alokacji inwestycji, koncentrowania ich w dziedzinach, branżach i regionach najnowocześniejszych. Nie może dziwić orientowanie się Niemiec na Rosję i Chiny jako dwa, o różnym wszakże potencjale, ale ogromne rynki zbytu.

WNIOSKI DLA POLSKI

Teza pierwsza, z którą należy się rozprawić mówi o tym, że ze względów politycznych, by „ostatecznie zakotwiczyć Polskę w UE powinniśmy przyjąć walutę euro”. Jej autorem jest Aleksander Kwaśniewski. Profesor Grzegorz Kołodko w swym artykule, w tytule zadaje pytanie „Czy Polska zbawi euro?” zaś profesor Witold Małecki mówi: „Agresywna polityka Rosji, przetaczająca się przez świat fala populizmu i nacjonalizmu oraz groźba nawrotu izolacjonizmu w Stanach Zjednoczonych i tym samym znacznego osłabienia NATO

powodują, że polską racją stanu powinno być, aby Unia Europejska była jak najsilniejsza, a Polska zajmował w niej znaczące miejsce. Może się okazać, że pozostanie w Unii pierwszej prędkości będzie wymagało przystąpienia do strefy euro”.

Postawmy sprawę jasno. Wejście Polski do strefy euro w najbliższym czasie „zakotwiczyłoby” nas u boku Niemiec jako pomocnika w realizacji ich celów społecznych, politycznych i ekonomicznych. Zadajmy sobie pytanie: na jakie to kwestie ważne dla Polski moglibyśmy wywierać wtedy większy, a co pożądanе, decydujący wpływ? Odpowiedź brzmi – na żadne od kwestii finansowo-budżetowych poczynając poprzez imigracyjne a skończywszy na polityce zagranicznej Unii Europejskiej. Podział stanowisk, sposób procedowania w Europejskim Banku Centralnym, w instytucjach rozstrzygających o losach euro został już dokonany i rozdzielony między Niemców i Francuzów. Nie mamy na co liczyć, nie mielibyśmy nic do gadania.

Na pytanie, czy Polska powinna zbawiać Europę odpowiedzi udzieliła historia poczynając od Wiktorii Wiedeńskiej przez Cud nad Wisłą i klęskę 1939 roku. Byliśmy przedmurzem, byliśmy państwem frontowym – płaciliśmy za to krwią i niewolą, gdy dzięki nam uratowana Europa „kręciła deale” z naszymi wrogami i okupantami. Czy dziś umowy dotyczące Nord Stream 1 i 2 nie nakazują zachowania ostrożności?

Na pytanie o polską rację stanu odpowiem Panu Profesorowi, że jest nią wysoka dynamika gospodarcza i szybka poprawa konkurencyjności polskich firm na rynkach zagranicznych.

Czy bycie w „Unii pierwszej prędkości” jest przywilejem i obowiązkiem? Dane za lata 1998-2015 pokazują, że średnie tempo wzrostu PKB w krajach strefy euro wynosiło 1,3% rocznie, tyle samo co w Niemczech. W nienależących do strefy euro: Szwecji – 2,5%, Rumunii – 3%, w Polsce – 3,8%. Co gorsza, kraje należące do strefy euro: Włochy osiągnęły 0,25%, a Portugalia 0,6% w tym okresie. Na lata 2016-2019 prognozowane tempo wzrostu dla Niemiec wynosi 1,5-1,8%, dla strefy euro – 1,6%, dla USA ponad 2%, dla Chin ponad 6%, dla Polski ponad 3%. Wniosek, który się nasuwa jest oczywisty. Wejście Polski do strefy euro przesądziłoby o tempie wzrostu polskiej gospodarki, które nie mogłoby w znaczący sposób różnić się – być wyższe – od pozostałych

państw strefy euro. Jest niestety wysoce prawdopodobne, że byłoby ono niższe od tempa wzrostu Niemiec i jakościowych przemian w tej gospodarce. Taka dynamika gospodarcza to, powiedzmy otwarcie – wyrok na Polskę. Po kilkunastu latach kraj o takim położeniu geograficznym jak nasze, nie potężniejący a słabnący gospodarczo skazany byłby na likwidację.

Zakotwiczenie u boku Niemiec oznacza świadomą akceptację polityki państwa, które, by strzec własnych firm nie wypełnia warunku sprawnego funkcjonowania strefy euro sformułowanego w modelu wspólnego obszaru walutowego przez Mundella. Przypomnę, że warunek ten mówi o zniesieniu barier w przepływie towarów, kapitału i siły roboczej. O utrudnieniach w wejściu na niemiecki rynek, a co dopiero o inwestowaniu i wykupie niemieckich firm najlepiej wie polski Ursus, który dopiero po interwencjach na najwyższych szczeblach politycznych otrzymał ostatnio zgodę na eksport traktorów do Niemiec.

W wymiarze ekonomicznym Polska uzależniałaby się coraz bardziej od niemieckiego przemysłu i niemieckiego systemu kredytowania i finansowania przedsiębiorstw oraz inwestycji. Już sam wybór kursu wymiany złotego na euro wydaje się być decyzją nie mogącą pogodzić punktów widzenia polskich przedsiębiorców, eksporterów i polskich konsumentów. Dla polskiego konsumenta pożądany byłby kurs zbliżony do parytetu siły nabywczej, czyli wynosić powinien około 2 złote za 1 euro. Powiedzmy jasno – taki kurs oznaczałby klęskę bez mała wszystkich polskich eksporterów. Profesor Kołodko proponuje kurs między 3,8 a 4 złote za 1 euro. Kurs ten jest mało atrakcyjny dla polskich eksporterów w dłuższym horyzoncie czasowym, gdyż liczyć się należy ze wzrostem płac – są one przecież w Polsce bardzo niskie, a to przełożyłoby się na wzrost kosztów produkcji i pogorszenie konkurencyjności przedsiębiorstw. Kurs zbliżony do 5 złotych jest trudny do zaakceptowania dla większości polskich obywateli, gdyż ich płace i dochody nie przekraczałyby wtedy 300 euro miesięcznie. Kwestią strategiczną dla Polski jest szybka poprawa konkurencyjności i opłacalności eksportu oraz przyspieszenie tempa rozwoju gospodarczego. Dokonać się to może tylko poprzez bardzo aktywną politykę wspierania przedsiębiorczości i stabilizowanie bądź hamowanie wydatków socjalnych. Wejście do strefy euro odbiera nam narzędzia i możliwość prowadzenia takiej

polityki. Wejście do strefy euro odbiera nam też wpływ na politykę finansowania i kredytowania inwestycji.

Szczególny argument w sporze o przystąpienie Polski do strefy euro przedstawił Jarosław Kaczyński. Stwierdził on, że o sprawie warto będzie rozmawiać, gdy Polska osiągnie 85% poziomu rozwoju Niemiec. Przecieram oczy i nie mogę się nadziwić. Jeśli Polska zdobyłaby się na mądrą strategię gospodarczą i własnym wysiłkiem nadrobiła ogromny dystans dzielący nas od Niemiec to pytam – po co miałyby wtedy przyjmować euro, czyli walutę kraju, który rozwija się wolniej i ma własne problemy. Po co, gdy jedzie się szybko, zwalniać, doczepiać swój pojazd do wlokącego się wehikułu, którym nawet nie będzie można kierować, którym kieruje ktoś inny?

Sumując. Niemcy już jedną batalię przy pomocy euro wygrały. Czy wygrają kolejną? Dominacja Niemiec w Unii Europejskiej i Europie jest faktem. Niemcy wchodzi w długi okres wzrostu kosztów polityki społecznej oraz wynikające stąd poważne zmiany w strukturze gospodarki. Do realizacji swych celów wykorzystają swoją uprzywilejowaną pozycję w Europie i możliwość wpływania poprzez narzędzie jakim jest wspólna waluta euro na gospodarkę kontynentu. Koszty tej polityki będą starali się przerzucić na partnerów. Ułatwi im to ten, kto jako słaby partner należy bądź wstąpi do strefy euro.

Zwolennikom członkostwa Polski w euro, nie tracąc nadziei, że moje argumenty ich przekonają dedykuję sentencję Aleksandra Fredry: „Nie pomoże i męstwo, gdy przezorność mała. Samobójcze skłonności Polska ma i miała”.

JAK „DOBRA ZMIANA” ROBI BANKOM DOBRZE A NAWET LEPIEJ

O uprzywilejowanej pozycji banków w Polsce Polacy wiedzą doskonale. Od lat doświadczają tego na własnej skórze. Gdy zaciągają kredyty, bądź gdy im się tych kredytów odmawia, gdy muszą zaakceptować niewspółmiernie wysokie oprocentowanie długu, kiedy (jak to ma miejsce z frankowiczami) są nabijani w butelkę, czy kiedy muszą ponosić opłaty za samo prowadzenie rachunku, bądź prostą czynność bankową.

Dlatego hasło wyborcze o okiełznaniu pazerności banków, szczególnie zagranicznych w Polsce, znalazło odzew i napędziło klientelę wyborczą Prawo i Spra-

wiedliwości oraz Panu Prezydentowi. Poczciwi rodacy uwierzyli, że „dobra zmiana” chce i potrafi zrealizować to, co deklaruje – w myśl zasady chcieć to móc.

Co się okazuje po półtora roku rządów Prawa i Sprawiedliwości?

Wprowadzony został tzw. podatek bankowy. Wpływy z tego tytułu do budżetu państwa szacowano na 5-6 miliardów złotych rocznie. Okazało się, że dobrze jeśli uda się uzyskać połowę, czyli około 3 miliardy złotych.

Co było do przewidzenia (ostrzegałem przed tym w jednym z felietonów) reakcja banków na nałożony podatek polegała na podniesieniu cen na bez mała wszystkie usługi bankowe. Tą drogą koszty opodatkowania przeniesiono na klientów banków, czyli polskie firmy i obywateli.

Co ciekawe, na takie dictum „dobra zmiana” powiedziała – pas. Nikt nie zareagował na posunięcia banków, co więcej, pojawiły się głosy po stronie rządzących i mediów o konieczności obrony swobody działania sektora bankowego, a co najzabawniejsze, choć jednocześnie ponure, uruchomione zostały procedury... napędzające kasę bankom w majestacie prawa, „ale już nie sprawiedliwości”. A oto kilka danych i przykładów na potwierdzenie moich tez.

Banki zareagowały podwyżką swoich usług nawet tak drobnych i przyziemnych, jak korzystanie z bankomatów. Gwałtownie wzrosły ceny prowizji, opłat, ubezpieczeń od kredytów. Oto konkret: w jednym z banków pożyczający 20 tysięcy złotych na 7 lat będzie musiał oddać w sumie ponad 37 tysięcy, a prowizja przy udzieleniu kredytu wynosi 30% jego wysokości.

Na co chcę jednak zwrócić szczególną uwagę to fakt, że banki z całą bezwzględnością przystąpiły do ukrywania przed klientami realnych kosztów kredytu, realnych stóp procentowych i wszelkich opłat. Pytam co na to: UOKiK, KNF, NBP? Te trzy potężne instytucje z hojnie opłacanym z naszych podatków personelem, do którego zadań należy dyscyplinowanie banków, zapewnienie równych reguł gry na rynku, porządku w gospodarce zgodnie... zachowują dyskretne milczenie.

Banki widząc przychylność „dobrej zmiany” robią swoje i tak oto zysk sektora wzrósł o 25% w 2016 roku – dodam – pomimo opodatkowania. Jeśli polskie PKB wzrosło o 2,8%, a zysk banków o 25% – co to znaczy? Banki po prostu nadal, może nawet bardziej, obdzierają nas ze skóry przechwytyjąc wypracowaną nadwyżkę.

Kogo mam na myśli?

Co piąty mały przedsiębiorca ma zaciągnięty kredyt na firmę, a ponad 80% spośród nich spłaca kredyt konsumpcyjny na mieszkanie, bądź dobra trwałego użytku. W tych firmach pracuje około 40% zatrudnionych w Polsce. Jak widać rzecz dotyczy ogromnej części, dodam, najciężej i najefektywniej pracujących członków naszego społeczeństwa. To oni wypracowują zysk bankom.

A teraz – dlaczego uważam, że „dobra zmiana” robi bankom lepiej. Oto przykłady.

Wprowadzenie ustawy 500+ oznacza (ponieważ pieniądze z budżetu do odbiorców są przekazywane za pośrednictwem banków) przepływ przez banki dodatkowych ponad 20 miliardów złotych rocznie. Każdy bankier wie, że taka kwota, nawet jeśli tylko na kilka dni „zapadnie” czyli zostanie zdeponowana w banku, to pozwoli wykreować dodatkowe fundusze i zysk dla tegoż banku. Pytam zatem, czy ktoś z tak chętnie deklarujących odpowiedzialność za polską gospodarkę przedstawicieli rządu, mając powyższe na względzie, negocjował z bankami korzystniejsze dla państwa warunki obsługi zadłużenia bądź kredytowania budżetu. Jestem pewien, że nikt.

Przykład drugi. Rząd wprowadził przymus – podkreślam z całą mocą – przymus dokonywania przelewów za pośrednictwem banków między firmami na kwotę powyżej 15 tysięcy złotych (poprzednio było to 15 tysięcy euro). Niby pod hasłem walki z podziemiem gospodarczym ograniczył wolny, podkreślam – wolny obrót gotówkowy. Skomplikował tym i ogromnie utrudnił pracę, obniżył rentowność małych przedsiębiorstw, głównie w branży budowlanej, w handlu i usługach. Wymuszenie na przedsiębiorcach dokonywania rozliczeń poprzez banki oczywiście napędziło kasę tym ostatnim. Pytam – czy rząd sam coś z tego powodu wytargował? Bo, że stracił rozszerzając szarą strefę o ułamek wpływów podatkowych – nie mam wątpliwości. Już dziś chcę ostrzec i przypomnieć przedsiębiorcom, że prominentny polityk PiS, senator Grzegorz Bierecki zgłosił propozycję całkowitej likwidacji obrotu gotówkowego między przedsiębiorstwami. Oto jak prezes SKOK usłużnie podchwytuje postulaty banków. A wszystko na patriotyczną nutę.

Przykład trzeci. Rząd wystąpił z programem kredytowania budownictwa mieszkaniowego i tanich mieszkań na wynajem. Powstanie do tego osobny

fundusz, który przekazywany będzie za pośrednictwem banków. Pytam, czemu nie może to być fundusz zdeponowany na subkoncie w Banku Gospodarstwa Krajowego? Wątpię, bym otrzymał na to pytanie odpowiedź.

Przykład czwarty. Nie od dziś mówi się o manipulacjach kosztami w sektorze bankowym. Zawyżanie kosztów ma na celu zarówno obniżanie zysku do opodatkowania, a w konsekwencji płacenie niższych podatków przez banki, jak i umożliwienie transferowania zagranicę tychże nadzwyczajnych, realnych zysków. Przez półtora roku nie słyszałem ani razu, by w tej kwestii zrobiony został choćby krok do przodu.

Puentę do oceny polityki „dobrej zmiany” wobec banków dopisał ostatnio, a właściwie wygłosił osobiście sam Jarosław Kaczyński. Jak rozumiem, wygłosił w imieniu własnym, czyli w imieniu rządu i Pana Prezydenta. Prezes PiS poinformował co następuje: ograbieni przez banki tzw. kredytowicze frankowi, którym obiecywano, że ich krzywda zostanie naprawiona przez „dobrą zmianę” po wygranych wyborach – powinni swej krzywdy... dochodzić w sądach, bo władza im nie pomoże. Władza musi się troszczyć o dochodowość banków. I tak oto ekipa, która w mediach i gdzie popadnie rzuca oskarżenia i epitety pod adresem banków i bankierów nazywając ich „banksterami” odsłoniła swoje prawdziwe oblicze. Reakcją rynku na deklarację Jarosława Kaczyńskiego był gwałtowny wzrost kursów akcji banków na giełdzie, co oczywiście... nabiło kasę bankierom.

Propozycja Jarosława Kaczyńskiego jest rozbijającą szczerą, ale przemilcza on pewną okoliczność. To przecież ekipa PiS dokonuje w tej chwili radykalnych zmian w sądownictwie, co skutkuje odejściem z zawodu dużej liczby sędziów. Fakt ten z pewnością doprowadzi do wydłużenia czasu oczekiwania na rozprawę (w myśl zasady „czekaj tatka latka”), a co dopiero wydanie wyroku. Ciekaw jestem, co na to frankowicze? A do wszystkich klientów banków w Polsce mam apel: dość wiary w język reklamy i obietnice powabnych polityków, pora na zbiorową mądrość i działanie.

IMIGRACJA ZAROBKOWA UKRAIŃCÓW – CIESZYĆ SIĘ CZY BAĆ?

Czy masowa imigracja do Polski Ukraińców szukających i znajdujących tu pracę to rozwiązanie mądre i dobre czy głupie i złe z punktu widzenia naszego państwa i narodu, tak w krótszej, jak i długiej perspektywie? Odpowiedź polskiego dewelopera, rolnika, sadownika, rodziny potrzebującej opiekuna do osoby starej i niedołążnej będzie jednoznaczna. Tak, to konieczność, to wybawienie z kłopotów. Przedsiębiorca potwierdzi, że dzięki taniemu ukraińskiemu robotnikowi ma szansę prowadzić firmę, uzyskiwać dochód, a nawet zysk. Jeśli ktoś podda w wątpliwość jego twierdzenie argumentując, że to zbyt mało z punktu widzenia ogółu, to przedsiębiorca doda, że dzięki taniemu robotnikowi będzie mógł obniżyć cenę zbudowanego mieszkania bądź domu, co przecież ucieszy potencjalnego polskiego nabywcę. To, co powie przedsiębiorca jest zrozumiałe, a nawet oczywiste. Do chóru zadowolonych dołączy sadownik. Spyta, kto z Polaków podejmie dziś pracę w sadzie czy na plantacji – sezonową i niskopłatną? Sadownik zna odpowiedź – tylko Ukraińcy. Podobno jest już nawet współczynnik mówiący, że na jeden hektar sadu potrzebny jest do pracy 1,2 Ukraińca.

Ale jest też drugi punkt widzenia oceniający korzyści bądź problemy wynikające z zatrudnienia Ukraińców w Polsce. Jest on, o dziwo, o wiele rzadziej publicznie wypowiedzany. Ten drugi punkt widzenia wyraża stanowisko polskiego robotnika i pracownika. Tani, często pracujący na szaro bądź czarno robotnik z Ukrainy powoduje, że płace w branży budowlanej i innych są utrzymywane na niskim poziomie. Konkurencja ze strony Ukraińców powoduje zaniżenie płac większości działów gospodarki ze wszystkimi tego konsekwencjami dla poziomu życia polskiego robotnika i pracownika. Jest to tym gorsze, że opodatkowanie niskich płac jest u nas wysokie, co dodatkowo zubaża tę część polskiego społeczeństwa. Jednocześnie ogranicza to popyt wewnętrzny, co jest niemiłą wiadomością dla polskiego producenta. Najgorszą jednak konsekwencją napływu taniej siły roboczej z Ukrainy do Polski jest wynikający stąd proces „wypychania” Polaków na emigrację zarobkową, gdyż tylko tą drogą stwarzają sobie szansę na godziwe życie, założenie rodziny, posiadanie dzieci. Warto zwrócić uwagę i wypada okazać zdziwienie, że tak potężne i wpływowe

władze licznych związków zawodowych w Polsce w sprawie napływu imigrantów z Ukrainy milczą udając, że problemu nie ma, że ich to nie obchodzi i nie dotyczy członków związków.

Do dwóch powyżej przytoczonych głosów pora, byśmy dołączyli wypowiedź ekonomisty patrzącego na problem zarówno oczami przedsiębiorcy, czyli w skali mikro, jak też w skali całej gospodarki, w tym budżetu państwa.

Pierwsza uwaga, która nasuwa się ekonomiście brzmi: praca na szaro i czarno, która dominuje wśród Ukraińców dezorganizuje polski rynek pracy. Czyżby reguły gry na tym rynku nieuczciwymi i nierównymi dla przedsiębiorców i większości pracowników. Co więcej, Ukraińcy zatrudnieni nielegalnie nie płacą w Polsce podatków dochodowych, czym uszczuplają dochody budżetu. Sądzić należy, że skala problemu idzie nie w kilka, a co najmniej kilkanaście miliardów złotych.

Kolejny argument, który podniesie ekonomista dotyczy wywozu zarobionych pieniędzy z Polski. Ukraińcy starają się jak największą część zarobionych i zaoszczędzonych złotych zamienić na dewizy i wywieźć z Polski, czym z jednej strony przyczyniają się do ograniczenia popytu konsumpcyjnego na naszym rynku, czyli działają na szkodę polskich producentów, a jednocześnie poprzez wywóz dewiz zmniejszają zasób i podaż pieniądza, który mógłby służyć jako środek do finansowania inwestycji. Skala tego wywozu jest na tyle duża, że moim zdaniem, powinna zostać tu dokonana wnikliwa analiza przez NBP czy Ministerstwo Finansów. Według moich szacunków można przyjąć, że jeśli jeden zatrudniony nielegalnie w Polsce Ukrainiec co miesiąc transferuje od 1 do 2 tysięcy złotych, czyli od 250 do 500 dolarów, to w skali rocznej wywiezionych zostaje z Polski od 3 do 6 miliardów dolarów. Ciekawostką jest tu milczenie NBP, który z mocy prawa stać powinien na straży legalności, jawności i wysokości dewiz wywożonych z Polski.

Ważnym problemem dotyczącym pracujących w Polsce Ukraińców jest fakt, że sami jako zatrudnieni bezprawnie są niejako zmuszani do zachowań rozszerzających sferę bezprawia. Co mam na myśli? Przykładowo wielu z nich mieszka bądź wynajmuje mieszkania bez umów, porusza się samochodami niepełniającymi norm bezpieczeństwa i ekologii, nabywa nawet nieruchomości na osoby podstawione.

Należy też podnieść argument makroekonomiczny i działający w długim horyzoncie czasowym, a dotyczący charakterystyki polskiej gospodarki. Utrzymywanie płac na niskim poziomie w Polsce w efekcie napływu Ukraińców i brak klarownej polityki kolejnych rządów wobec narastającej fali imigracji doprowadziło do wykształcenia się swoistej „specyfiki” polskiej gospodarki. Otóż w Polsce opłaca się inwestować przede wszystkim w takich branżach, gdzie zarabia się na taniej sile roboczej, a nie na wysokich kwalifikacjach i dobrze opłaconym robotniku. Te gałęzie przemysłu, które wymagają wiedzy, wynalazków i innowacji nie są atrakcyjne dla producentów, ani nie motywują ich do ponoszenia nakładów na kształcenie, stypendia, badania naukowe. Z tego też powodu wielu wysoko wykształconych Polaków nie mogąc znaleźć dobrej i godziwie opłacanej pracy w wyuczonym zawodzie zmuszonych zostało do emigracji. Koszty ich wykształcenia ponieśliśmy my, w Polsce, ale korzyści z ich wykształcenia w postaci podatków płacone są zagranicą. I tak oto utrzymywanie płac na niskim poziomie za sprawą błędnej polityki imigracyjnej kolejnych rządów jest korzystne dla nielicznego grona przedsiębiorców. Dla większości jednak skutkuje tym, że bez mała cała polska gospodarka „jest odwrócona tyłem” do wynalazczości, inwestowania w ludzi i w naukę.

Problem ma też pewien aspekt społeczno-obyczajowy. Coraz częściej widać, że Polacy odmawiają podjęcia pracy w zawodach, które uznają za uchybiające ich godności. Zjawisko to miało i ma miejsce w krajach wysokorozwiniętych, gdzie część zawodów jest zdominowana właśnie przez imigrantów, niestety także Polaków. Taka postawa została ostatnio wzmocniona działaniem ustawy 500+. To z jej powodu część kobiet została pośrednio zmuszona do rezygnacji z pracy, by nie stracić dodatku na dziecko. I tak oto jednocześnie wymuszono odejście z pracy i rozbudzono a następnie wzmocniono postawy roszczeniowe u części polskiego społeczeństwa. „Mnie się należy” – oto hasło, które już się zakodowało i będzie miało coraz silniejsze następstwa, niestety głównie negatywne dla gospodarki, budżetu państwa i świadomości społecznej. Chcę być dobrze zrozumiany. Jestem całym sercem za stwarzaniem dla Polek warunków do swobodnego wyboru. Jestem przeciwny przymusowi wyboru – albo praca, albo dodatek na dziecko. Zło sytuacji po wprowadzeniu ustawy 500+ polega na tym, że państwo które doprowadziło do napływu imigrantów, by nie powie-

dzieć, że go wspierało – tym sposobem umożliwiło zaniżenie płac, a dziś dając jałmużnę w postaci 500+ zmusza część Polek do porzucenia tej pracy.

Zadajmy teraz pytanie, co nas czeka w najbliższych latach? Rząd ustami jednego z wiceministrów rozwoju wzywa do działań zwiększających napływ Ukraińców do Polski, do otwarcia dla nich drzwi na oścież. Sądzę, że jest to inicjatywa zarówno spóźniona, jak i nie uwzględniająca faktu otwarcia rynku Unii Europejskiej dla poszukujących pracy Ukraińców od połowy tego roku. Należy spodziewać się szybko rosnącej emigracji Ukraińców do państw starej Unii (Niemiec, Austrii, Francji, Holandii i innych), gdzie płace są wyższe niż w Polsce, perspektywy osiedlenia lepsze. Proces ten może spowodować spadek liczby imigrantów zorientowanych na pracę w Polsce, bądź też – i to zjawisko uważam za pewne – postawienie przez nich coraz wyższych żądań płacowych. Sprzyjać temu będą tworzone w Polsce organizacje i instytucje ukraińskie ze związkami zawodowymi włącznie. Jeśli do tego dojdzie, polskich przedsiębiorców głównie w budownictwie, wielkoobszarowym i towarowym rolnictwie czekają poważne problemy.

Co moim zdaniem należy zrobić? Odpowiedź jest jasna i zdecydowana. Po pierwsze należy uprościć i uporządkować system opodatkowania dochodów polskich pracowników i przedsiębiorców. Powinna obowiązywać reguła, że niskie dochody są wolne od opodatkowania, bądź opodatkowane symbolicznie. Co więcej, dochody przedsiębiorców oszczędzane bądź inwestowane powinny być nagradzane zwolnieniami podatkowymi.

Według mnie kwota wolna od podatku powinna wynosić około 2000 złotych miesięcznie dając 24000 złote rocznie. Należy jednocześnie radykalnie ograniczyć system zasiłków dla bezrobotnych, likwidować urzędy pracy. Po drugie, trzeba uporządkować system zatrudnienia imigrantów w Polsce, zalegalizować ich zatrudnienie, a jednocześnie zaostriżyć karanie za zatrudnianie na czarno.

Paradoks dziś polega na tym, że urzędy skarbowe koncentrują swoje kontrole na polskich, najczęściej małych i średnich przedsiębiorcach u nich tropiąc i szukając nadużyć w płaceniu podatków. Jednocześnie nic nie słychać o sukcesach w walce z niepłacącymi podatków wielkimi firmami zagranicznymi, bankami, korporacjami handlowymi. Na drugim biegunie te same polskie urzędy skarbowe nie zauważają problemu pracy na czarno ogromnej rzeszy imigran-

tów z Ukrainy, którzy także podatków nie płacą. Można powiedzieć ckliwie i żałośnie, że zgodnie z polską gościnnością polskie urzędy skarbowe tropią za nieuczciwość Polaków, a pozostawiają w błogim spokoju obcokrajowców – tych z Zachodu i ze Wschodu.

NIE NADSTAWIAMY DRUGIEGO POLICZKA

Rząd polski, a konkretnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekazało władzom Ukrainy kwotę 30 milionów złotych na „współpracę rozwojową (...) wzmocnienie kapitału ludzkiego, decentralizację i przedsiębiorczość”. Wiceminister Joanna Wronecka dobitnie nazwała Ukrainę „naszym najważniejszym partnerem we współpracy rozwojowej”, nie wyjaśniając znaczenia tego terminu.

Niepokojący i co najmniej dziwny jest fakt, że tak hojnie przyznaje się publiczne pieniądze na cele, które pozostają w sferze ogólników. Warto również zapytać, jak będzie wyglądała kontrola wydatkowania tych środków. Czy Polska będzie miała coś do powiedzenia w tej sprawie, czy Ukraińcy wydadzą tę kwotę jak uznają za stosowne, nie próbując nawet uzasadniać swoich decyzji.

Polska udzieliła także kredytu Ukrainie (na jakich warunkach, jak oprocentowanego, z jakim terminem spłaty – te informacje zatajono) w wysokości 100 milionów euro. Z kwoty tej 68 milionów euro zostało uruchomione „na budowę i modernizację dróg”, za co odpowiadać będzie Sławomir Nowak (dawniej minister w rządzie PO – kolekcjoner markowych i wypasionych zegarków).

Dlaczego polska polityka zagraniczna, angażując nasze wspólne, ciężko wypracowane pieniądze w sposób szczególny traktuje Ukrainę? Na co liczymy wspierając kraj dotknięty korupcją i nie wymagając jednocześnie od „obdarowanych” czytelnich, jasnych zasad wykorzystania tej pomocy. Osobną sprawą pozostaje partnerstwo w dziedzinie współpracy rozwojowej traktowane tak priorytetowo przez polskie MSZ w stosunku do Ukrainy. Chciałbym poznać choć jeden wspólny, korzystny dla obu stron projekt, który pozwoli mi uwierzyć w dalekowzroczność i słuszność polskiej myśli dyplomatycznej, tak chętnie kierowanej w stronę Ukrainy.

Pewne jest natomiast jedno: politycy PO i PiS toczący w kraju na oczach milionów Polaków heroiczne boje o władzę, gdy przychodzi do konkretów w polityce zagranicznej, ramię w ramię działają na rzecz obecnych władz Ukrainy.

Nie tylko argumenty ekonomiczne dają powody do obaw. Trzeba nie mieć poczucia własnej godności, mieć za nic pamięć o pomordowanych przez zbrodniarzy OUN-UPA Polaków, poczucia odpowiedzialności za państwo, polską rację stanu, by gdy na Ukrainie pluje nam się w twarz, obrzuca jajami prezydenta, uchwała ustawy gloryfikujące zbrodnicze organizacje OUN-UPA, SS Galizien, wywiesza na murach ambasady polskiej w Kijowie portrety Stepana Bandery czy stawia pomniki mordercom tysięcy Polaków, Żydów, Ormian, Czechów – dawać bezrefleksyjnie pieniądze inspiratorom i odpowiedzialnym za te wydarzenia Ukraińcom.

Trzeba nie mieć wewnętrznego poczucia związku z milionami Polaków, którzy chcą szanować i obdarzać zaufaniem polityków, którzy nimi rządzą.

To prawda, że nasza wiara uczy, by „nadstawiać drugi policzek”, ale historia Polski po wielokroć dowiodła, że taka postawa zawsze prowadziła do klęski państwa i narodu. Dlatego w imię własnej godności, tej najbliższej Bogu, nadstawianie drugiego policzka w polityce międzynarodowej oznacza przyzwolenie na zbrodnię, przyzwolenie na grzech najcięższy. Nadstawianie drugiego policzka jest nawet czymś znacznie gorszym, albowiem oznacza współodpowiedzialność, współdziałanie z oprawcą, który popełni bezkarnie kolejne występki.

Czas powiedzieć – dość. Czas powiedzieć dość rządowi, dla których godność i honor nic nie znaczą, które prowadzą wykraczającą poza akceptowaną i publicznie znaną politykę wobec Ukrainy.

Wzywam wybitnych Polaków, którzy tak okrutnie zostali doświadczeni przez Ukraińców: Mirosława Hermaszewskiego, Pawła Bożyka, Krzesimira Dębskiego i innych – czas zabrać głos, czas na Wasze świadectwo. Wasz głos powinien dotrzeć do wszystkich Polaków.

ZAGRANICZE ZAGROŻENIA DLA BUDŻETU PAŃSTWA I POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Kontakty rządzących z przedsiębiorcami przybrały formę szczególną. Najczęściej jest to monolog przedstawiciela władzy, dobrze jeśli prowadzony bezpośrednio z mównicy do zgromadzonych na sali. Częściej jednak monolog ten odbywa się za pośrednictwem telewizyjnego ekranu czyli poprzez media

elektroniczne. Samo wystąpienie przedstawiciela władzy ma wiele wspólnego z klasycznym zaśpiewem „Posłuchajcie ludzie mojej opowieści, co wam tu opowiem w głowie się nie mieści”. Z ust przedstawiciela władzy padają liczby, dane, dowody i argumenty, że władza robi wszystko, a nawet więcej dla przedsiębiorców, a oni powinni to docenić i bić brawo.

Styl narracji bardzo przypomina „propagandę sukcesu” uprawianą przez partyjnych ideologów poprzedniego, przodującego, a mimo to upadłego systemu. Dlatego słuchacze (wzorem tamtych czasów) coraz częściej, bądź to przestają słuchać w ogóle, bądź też na odbierane sygnały nakładają swoisty filtr, który pozwala im zrozumieć i wychwycić gdzie, kiedy i jakie niekorzystne posunięcie władzy może ich zaskoczyć. Dotyczy to przepisów administracyjnych, podatkowych, wszelkiego rodzaju obowiązków biurokratycznych i sprawozdawczych.

Mamy do czynienia z klasyczną terapią „szczepionkową”. Im więcej władza wysyła sygnałów o dobrej zmianie tym bardziej organizm przedsiębiorcy i obywatela uodparnia się na tę informację przyjmując postawę – a ja swoje wiem.

Podział: my – władza, oni – przedsiębiorcy coraz bardziej wyznacza zachowania jednych i drugich. Uważam ten stan rzeczy za naganny, a w dłuższej perspektywie zgubny dla rządzących, bardzo szkodliwy dla przedsiębiorców. Tracimy bowiem z pola widzenia co dzieje się wokół nas. A dzieje się wiele i co ważniejsze będzie to miało dominujący wpływ na naszą gospodarkę. Co mam na myśli? Wydarzenia w skali globalnej a także u naszych bliższych i dalszych sąsiadów. Wymienię kilka, moim zdaniem, najważniejszych.

Wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA zdynamizuje gospodarkę amerykańską. Już dziś kapitał portfelowy wzmocnionym strumieniem odpływa z krajów takich jak Polska do USA (w grudniu szacuje się, że wytransferowano z Polski ponad 10 miliardów złotych w efekcie sprzedaży polskich papierów skarbowych przez kapitał zagraniczny). Gdyby proces ten utrzymywał się w dłuższym czasie – co niestety jest prawdopodobne – pojawią się problemy z finansowaniem tzw. zapadających papierów skarbowych czy kursem walutowym.

Drugim zjawiskiem., które będzie miało negatywny wpływ na polską gospodarkę są rosnące ceny surowców energetycznych w wyniku umowy między

Rosją a państwami zrzeszonymi w OPEC. Wzrost cen ropy, gazu i innych surowców przełoży się na wzrost kosztów produkcji polskich przedsiębiorstw i wzrost cen towarów konsumpcyjnych pogarszając opłacalność i konkurencyjność produkcji. Dla bilansu handlowego może to oznaczać nadwyżkę importu nad eksportem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dodatkowym negatywnym czynnikiem może stać się zniesienie sankcji wobec Rosji przez wysokorozwinięte gospodarki. Następstwem tej decyzji będzie napływ kapitału do Rosji, zmarginalizowanie polskich eksporterów. Splot tych niekorzystnych trendów pogarszając rentowność polskich przedsiębiorstw spowodować może zmniejszone wpływy podatkowe do budżetu – tak przecież napiętego i obciążonego zobowiązaniami socjalnymi.

Na trzecim miejscu stawiam działania naszych bliższych i dalszych sąsiadów: Słowaków, Węgrów, Rumunów. Z nowym rokiem 2017 dokonali oni obniżki stawek podatkowych zarówno od dochodu (PIT i CIT), jak i od obrotu (VAT). Przykładowo – stawkę CIT obniżono na Węgrzech do 9%, stawkę ubezpieczenia społecznego obniżono z 27 do 22%, zaś w Rumunii stawkę VAT obniżono do 19% znosząc jednocześnie wiele restrykcyjnych przepisów administracyjnych. Te celowe działania z pewnością doprowadzą do poprawy opłacalności działalności gospodarczej w wyżej wymienionych krajach pogarszając jednocześnie konkurencyjność polskich przedsiębiorstw.

Należy też wskazać na wnioski płynące z faktu, że w pojedynku z niepłacącymi podatków od gier kombinatorami i mafią po przyjęciu przepisów o zagranicznych spółkach kontrolowanych władze liczyły na około 3 miliardy złotych dodatkowych wpływów podatkowych w roku 2015. Dziś okazało się, że uzyskano jedynie 11,5 miliona złotych dodatkowych wpływów – czyli około 0,003 planowanej kwoty. To znakomity dowód, jak sprawni są... urzędnicy Ministerstwa Finansów w „pomaganiu” lobbystom od gier hazardowych. W tym miejscu wypada zadać pytanie, czy podobnie nie stanie się z tak szeroko reklamowanym uszczelnieniem ściągalności podatku VAT? Oznaczałoby to, że budżet na rok 2017 nie zostałby wykonany ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Powyższe uwagi kieruję do rządzących mając nadzieję, że wyciągną z nich właściwe wnioski.

O KWOCIE WOLNEJ OD PODATKU

Kochani,

Dyskusję o podatkach najczęściej zaczynamy z niewłaściwego punktu, a mianowicie od stawek, zwolnień, ulg itp. Wybaczcie moją mentorską uwagę, ale dyskusję o podatkach w czasie pokoju trzeba, należy zacząć od wymiany poglądów o dochodach. Jeśli przyjmiemy, że możliwe są dochody z pracy, bądź emerytury, z własności kapitału i z talentów, bądź pomysłów to w naszej, polskiej sytuacji problem sprowadza się do analizy dochodów z pracy.

Fakty są następujące: ponad 8 milionów pracujących zarabia mniej niż 2300 złotych miesięcznie, czyli mniej niż 28 000 rocznie. Dochody poniżej minimum socjalnego, tj. kwoty 13 tysięcy złotych rocznie uzyskuje ponad 5 milionów Polaków. Tylko 2% naszych rodaków ma dochody powyżej 7 tysięcy złotych miesięcznie. Wniosek nasuwa się jeden i prosty. Nasze oficjalne, deklarowane, podlegające opodatkowaniu dochody są skrajnie niskie.

Czy to znaczy, że pracujemy źle? Odpowiedź brzmi zdecydowanie – „nie”. Większość z nas pracuje ciężko, często wiele godzin ponad ustawowe 8 w ciągu dnia. Czemu zatem zarabiamy tak mało? Wybaczcie, ale odpowiedź na to pytanie to temat na osobną rozmowę – długą i pryncypialną.

Wróćmy zatem do pytania – co oznacza opodatkowanie ludzi o niskich dochodach? To przede wszystkim wypychanie ich w nędzę, czyli tzw. „wykluczenie społeczne”. Z ich strony skutkuje to pogardą dla państwa, poczuciem wyobcowania, często apatią, brakiem inicjatywy, bądź przeciwnie – agresją i podatnością na łamanie prawa. W skali społecznej wpędzanie w nędzę, bądź utrzymywanie bez nadziei poprawy własnej sytuacji rozsadza więzi międzyludzkie, prowadzi do konfliktów.

W wymiarze ekonomicznym skutkuje rosnącym udziałem szarej i czarnej strefy w działalności gospodarczej, a to z kolei po stronie władzy prowadzi do reakcji polegającej na wzroście wydatków na bezpieczeństwo wewnętrzne, służby skarbowe, ograniczenie swobód obywatelskich.

Należy dodać, że w Polsce łączne opodatkowanie dochodów i wydatków ludzi o najniższych dochodach jest znacznie wyższe niż innych grup społecznych. Wynosi ono ponad 33%, gdyż najubożsi wydają wszystkie swoje dochody, nie

oszczędzają, często zadłużają się, zaś w konsumpcji nabywają dobra podstawowe obłożone wysoką stawką podatku VAT bądź akcyzą.

Dlatego dyskusję o naprawie systemu podatkowego należy zacząć od porządkowania sfery dochodów, a ponieważ u nas dochody z kapitału stanowią margines, to należy skoncentrować się na kwestii najważniejszej – dochodach z pracy, co wiąże się z kreowaniem zatrudnienia.

Realny koszt utrzymania rodziny to podstawowy wskaźnik społeczny, a realny poziom dochodów robotnika to podstawowy parametr polityki ekonomicznej i społecznej. Jeśli chcemy porządku społecznego i zdrowej rodziny to dochód z pracy – podkreślam – dochód z pracy rodziców – musi zabezpieczać wypełnienie funkcji społecznych i ekonomicznych.

A teraz postawmy pytanie. Która droga podniesienia poziomu dochodów pracowniczych jest lepsza? Czy pierwsza polegająca na zadekretowanym administracyjnie podniesieniu płacy minimalnej, podniesieniu stawki godzinowej do 12 złotych za godzinę, wypłacie dodatków w postaci 500 złotych na dziecko, czy też droga druga, zdejmująca z najuboższych ciężar podatkowy, przykładowo poprzez podniesienie kwoty wolnej od podatku.

Zwróćmy uwagę, że rozwiązanie pierwsze podnosi koszty produkcji, pogarsza konkurencyjność przedsiębiorstwa, popycha pracodawcę i pracownika w stronę szarej strefy, a w konsekwencji obniża dochody budżetu państwa.

Jednocześnie zauważmy, że rozwiązanie drugie podniesienie kwoty wolnej od podatku nie skutkuje wzrostem kosztów produkcji. Skutkuje natomiast wzrostem dochodów pracownika, co przekłada się na dodatkowy popyt i dochody producentów i handlowców, a w konsekwencji budżetu państwa.

Zadajmy sobie pytanie, co dobrego może wynikać z podniesienia kwoty wolnej od podatku.

Po pierwsze: porządkuje relacje pracownik – pracodawca. Pracownik jest zainteresowany ujawnieniem dochodu, bo nikt nie zakwestionuje źródła jego wydatków. Pracodawca także jest zainteresowany, bo ma urealnione koszty, mniejszy dochód, zapłaci niższy podatek dochodowy.

Po drugie: u pracowników wraca szacunek dla państwa, gdyż nie są przez nie łupieni, ograniczany jest rozmiar biedy. Jednocześnie poprawia się dys-

cyplina i szacunek dla pracy, bo praca staje się jedynym źródłem dochodów i utrzymania. Żyje się z pracy, a nie z „socjału”, który „się należy”.

Po trzecie: radykalnie maleją koszty opieki społecznej, biur pośrednictwa pracy, służb skarbowych, a to są dla budżetu państwa oszczędności ogromne. Oszczędności te należy powiększyć o zmniejszenie wydatków na zdrowie, edukację, walkę z przestępczością wśród ubogich i ich dzieci.

Kwota wolna od podatku wynosi dziś w Polsce 3091 złotych i nie była zmieniana od wielu lat. Stanowi to dwukrotność płacy minimalnej. Mój komentarz do tej kwoty jest krótki i jednoznaczny – tych, którzy ją ustanowili i utrzymywali przez lata należy skazać na przeżycie bez mała roku za tak śmieszne pieniądze. Dla przykładu podam, że kwota wolna od opodatkowania na Słowacji, gdzie poziom życia jest zbliżony do Polski jest pięć razy wyższa, w Niemczech – 12 razy, a w Wielkiej Brytanii – 20 razy wyższa.

Wypada zapytać, jak to możliwe, że tak „odstajemy” od Europy. Odpowiedź jest prosta. Politycy, urzędnicy pod hasłem rozbudowy opieki socjalnej, pomocy upośledzonym wykreowali liczne grupy społeczne skazane na korzystanie z zasiłków czyniąc z postawy roszczeniowej sposób na życie. Z drugiej strony uprzywilejowana biurokracja przebrała się w szaty filantropów rozdając między sobą posady i stanowiska, dzieląc fundusze na szkolenia.

Jak ja widzę strategię dochodzenia do kwoty wolnej od podatku? Jaki powinien być poziom tej kwoty?

Powiecie, że marzę i żądam zbyt wiele, ale będę się upierał, że cel, który wskażę jest realny, a dla przyszłości społecznej i ekonomicznej Polaków i Polski – konieczny do zrealizowania. **Uważam, że docelowo, w ciągu kilku lat kwota wolna od podatku powinna być podniesiona do poziomu dwunastokrotności minimum socjalnego, a w perspektywie do dwunastokrotności płacy minimalnej.** To jest poziom po osiągnięciu którego możemy mówić, że pracujący o najniższych dochodach nie są wypychani do grona wykluczonych. A jednocześnie możemy od nich wymagać odpowiedzialności za siebie i rodzinę. O jakich pieniądzach mówimy? Minimum socjalne to dziś około 1100 złotych miesięcznie. Rocznie oznacza to około 13 tysięcy złotych. Płaca minimalna dziś to około 1500 złotych miesięcznie netto, co stanowi rocznie

18 tysięcy złotych. W tych widelkach powinna być wyznaczona kwota wolna od opodatkowania.

Krytycy mojego stanowiska mogą podnieść kwestię spadku dochodów budżetu państwa z tytułu wpłat podatku PIT oraz spadku wpływów podatkowych w samorządach. Odpowiadam – nawet jeśli nastąpi spadek wpływów z podatku dochodowego, to można go ograniczyć radykalnie redukując wydatki na tzw. opiekę społeczną. Z drugiej strony uważam, że ograniczenie szarej strefy znacznie złagodzi problem, zaś do ostatecznego celu należy dochodzić etapami rozkładając działania na kilka lat.

Jeśli chodzi o samorządy uważam, że system ich finansowania wymaga radykalnej zmiany. Podniesiony musi być udział we wpływach z podatku CIT i innych – to jednak temat na osobną dyskusję.

Co jednak może skomplikować, a kto wie czy nie uniemożliwić reformy kwoty wolnej od podatku to decyzja o dopłacie 500 złotych na dziecko. Rozszerza ona obowiązki socjalne państwa podczas gdy, moim zdaniem, należy dążyć do ograniczenia wypłat socjalnych i zwiększenia zakresu wolności gospodarczej najuboższych uzyskujących dochody z pracy. **Moim zdaniem należało zacząć od radykalnego podniesienia kwoty wolnej od podatku, gdyż to przywraca podmiotowość obywatelom, poczucie godności, nadzieję na poprawę bytu w efekcie własnej pracy. Kwota 500 złotych na dziecko i obciążenia budżetu państwa z tym związane nie uruchamiając żadnego silnego mechanizmu wzrostu dochodów może uniemożliwić przebudowę systemu i wysokości podatku dochodowego.**

Należy już teraz zastanowić się, jak rozwiązać ten dylemat.

W ODPOWIEDZI BOHDANOWI URBANKOWSKIEMU

Nie od dzisiaj dziwią mnie ci Konfederaci, którzy niechętnie widzą, a niekiedy zaciekle zwalczają ruch społeczny jakim jest Komitet Obrony Demokracji. Ale do napisania tego tekstu skłonił mnie ostatecznie artykuł naszego szacownego kolegi – poety i biografa Marszałka, dr Bohdana Urbankowkiego zamieszczony w Opinii nr 13. Tytuł artykułu – *„Karnawał i Komintern czyli Żydło z worka”*. Autor zaczyna od opisu grudniowych protestów w Sejmie i pod Sejmem, które zgodnie z porą roku kojarzą mu się z karnawalem – ale oczywiście bardzo kiepskiej jakości. Rozwodzi się nad tymi zdarzeniami w barwny, zgodnie ze swym literackim talentem sposób. Szczegółowo opisuje wygląd przywódcy ruchu, który jak rozumiem jest śmieszny (jakby to było najważniejsze). Ponadto oczywiście Komitet Obrony Demokracji jak i cała opozycja kojarzy mu się (zgodnie z oficjalną linią partii rządzącej) z komunizmem i ubekami. Oczywiście najlepszą postacią do takich skojarzeń jest pan pułkownik Mazguła, który jak pamiętamy niedawno pochwalił stan wojenny.

Brawo Bohdanie! Zobacz jak łatwo przejmujesz metody znanego autora słów „Ciemny lud to kupi”! Tego, który niegdyś zrealizował zakłamaną, bolszewicki film „Nocna zmiana” fałszujący najnowszą historię, a pośrednio szkalujący Konfederację (do której Ty należałeś chyba od początku, ba – należałeś do nurtu niepodległościowego!). Teraz ten sam człowiek przekształcił publiczną Telewizję w tubę propagandową jednej partii. A najlepszym przykładem propagandowej, nieczystej zagrywki jest posługiwanie się nazwiskiem pułkownika Mazguły. Nieważne, że od słów pułkownika odcięli się działacze o solidarnościowym rodowodzie (Frasyniuk, Schetyna, Wałęsa). Nieważne, że sam pułkownik częściowo wycofał się ze swoich słów, a w stanie wojennym nie ode-

grał żadnej roli – ale już można nim przykryć sprawę towarzysza Piotrowicza, prokuratora uczestniczącego w oskarżaniu i przesłuchaniach opozycjonistów (w tym Konfederatów – słyszałeś o tym Bohdanie?).

Problem w tym, że pewnych kręgach przyjęło się, że jak ktoś jest przeciwko Nam, to zaraz trzeba mu wypomnieć, że w pewnym okresie był w PZPR lub miał tatę komunistę czy ubeka (ewentualnie dziadka w Wehrmachcie). Jak jest z Nami – to można mu wybaczyć nawet jak przesłuchiwał lub wsadzał do więzienia opozycjonistów. Takimi zasadami kierowali się autorzy książek z cyklu „Resortowe dzieci”. (W ostatniej z nich opluli Leszka Moczulskiego. Czy wiesz o tym Bohdanie? To chyba Twój koleczy!!). Otóż takich ludzi jak Piotrowicz, a niegdyś pan Kryże, a także towarzysz Jasiński – jakoś nie widzę w pierwszym szeregu KOD-u, a także Platformy czy Nowoczesnej. Są natomiast w najbardziej (werbalnie?) antykomunistycznej partii. Czy myślę się Bohdanie? Pisziesz jeszcze, że KOD kradnie hasła patriotyczne, podszywa się pod tradycje Solidarności i KOR-u. Rzeczywiście? Chyba dla uwiarygodnienia tej tezy pomijasz całkowicie inicjatora ruchu Krzysztofa Łozińskiego. Pewnie Twój koleczy nie znaleźli jeszcze żadnej skazy w jego życiorysie czy ubeka w rodzinie. Wspominasz byłego działacza Władysława Frasyniuka. Pomijasz innych „kradnących tradycje Solidarności” jak Jan Rulewski, Bogdan Borusewicz, Henryk Wujec, Henryka Krzywonos (która ostatnio okazała się łamistrajkim). Po tej samej stronie barykady jest – jak zauważyłem – także Jan Lityński, Karol Modzelewski Zbigniew Janas, Zbigniew Borowczak, Maciej Jankowski, Janusz Onyszkiewicz... Jak dużo ich przeszło na stronę ZOMO??!!

Po drugiej stronie – to znaczy tych wiernych i niezłomnych pozostało chyba znacznie mniej, ale oczywiście są. Przede wszystkim inicjator KOR-u, który w 1992 roku skompromitował ideę lustracji (czego fatalne skutki odczuwamy do dzisiaj), a w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat dał się poznać jako największy szkodnik Rzeczypospolitej. Widzi to ponad połowa Polaków

(ale niestety 1/4 nie dostrzega – w tym chyba Ty Bohdanie). Jest także inny, ciągle niezłomny bohater Solidarności (a także) – Andrzej Gwiazda. Choć w Trzeciej Rzeczypospolitej najbardziej dał się poznać jako plujący jadem frustrat – niedawno uznał, że ludzie o podobnych jemu poglądach to potomkowie Wyklętych – a inni to oczywiście potomkowie ubeków. Nie można też odmó-

wić zasług w opozycji antykomunistycznej panu Krzysztofowi Wyszkowskiemu. Działacz ten jeszcze w 1990 roku popierał Wałęsę – stąd jego późniejszy, wieloletni, zajadły antywałesizm przypomina nie tyle dążenie do prawdy, co obsesję i zawiedzioną miłość. Przez grzeczność nie wspomnę o niektórych już nieżyjących.

Przy opisie „Karnawału” w Sejmie i pod Sejmem pomijasz Bohdanie bezpośrednią przyczynę tych wydarzeń, jaką była próba odebrania głosu posłowi z błahego powodu (a także plany ograniczenia poruszania się dziennikarzy w sejmie czy projekty ograniczenia prawa do manifestacji) – ale to są dla Ciebie mało istotne drobiazgi. Wspominasz o protestach kobiet, podkreślając wątpliwą Twoim zdaniem urodę demonstrantek. A przecież protesty te być może zapobiegły naruszeniu tak rozsądnego, istniejącego od dwudziestu paru lat kompromisu aborcyjnego. Nie jest też najważniejsze czy dla Ciebie ładna jest pani Krystyna Janda. Istotne natomiast, że w tej samej części Narodu jest cała plejada wybitnych aktorów polskich, jak Daniel Olbrychski, Jerzy Radziwiłłowicz, Marian Opania, Wojciech Pszoniak, Anna Nehrebecka... Środowisko, które kiedyś podtrzymywało nas na duchu w stanie wojennym bojkotując reżimową telewizję i tworząc podziemną i emigracyjną kulturę. Po tej samej stronie są znani od lat wybitni satyrycy (Jacek Fedorowicz, Krzysztof Daukszewicz św. p. Wojciech Młynarski – czy młodsi, jak Robert Górski), są najlepsi polscy reżyserzy. Czy to ten „margines”, o którym piszesz Bohdanie?

Po tamtej stronie ze znanych aktorów widzę tylko Jerzego Zelnika i p. Łaniewską. Z satyryków rzeczywiście wybitnych (powiedziałbym – kiedyś, bo teraz to raczej propagandyści)) Jana Pietrzaka i Marcina Wolskiego. Może Ty jako człowiek kultury sprostujesz te informacje?

Przechodzisz następnie do genezy tych wydarzeń to znaczy wydarzeń sprzed roku. Drobiazgi jak brak zaprzysiężenia przez Prezydenta legalnie wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego czy niepublikowanie przez Panią Premier wyroków Trybunału Konstytucyjnego stały się – Twoim zdaniem – pretekstem do ataków na rząd polski i narodowej zdrady. Bohdanie! Może trzeba było w tym miejscu wymienić nazwiska prof. Andrzeja Zolla, prof. Jacka Safiana, prof. Adama Strzembosza, sędziego Jerzego Stępnia... Czy to są wszystko komuniści i targowiczanie? A może nie znają się na prawie? A jeśli do tego dodać

nazwy organizacji prawniczych, wydziały prawa rozmaitych uczelni, które wypowiadały się w tej sprawie, a następnie organizacje międzynarodowe i nawet promotor pracy doktorskiej p. Prezydenta....

Jeżeli dziesiątki tysięcy ludzi wychodzi na ulice to może nie są to tylko „oderwani od koryta” „komuniści i złodzieje”. Może nie jest dla wielu Polaków obojętne, że władza łamie konstytucję (notabene – w referendum głosowałem przeciwko niej) i narusza zasady demokracji. Demokracji, o której przez dziesięciolecia marzyliśmy, której zazdrościliśmy innym krajom i o którą walczyliśmy. Jeżeli ktoś mówi o sytuacji w kraju na forach organizacji międzynarodowych, do których dobrowolnie wstąpiliśmy – to nie ma to nic wspólnego z wzywaniem na pomoc carowej Katarzyny! Ci co teraz zachłystują się słowami „targowica”, „zdrada”, „zaprzaństwo” – odnośnie dzisiejszej opozycji – milczeli gdy przed laty pseudo-Ksiądz z Torunia zapewniał w Brukseli, że w Polsce jest totalitaryzm, obecny minister obrony skarżył się, że źle prowadzone jest śledztwo smoleńskie, jego koledzy mówili, że w Polsce są fałszowane wybory...

Czy to nie jest tak, że niektórzy z Konfederatów uwierzyli, że jedna partia w Polsce ma monopol na patriotyzm i antykomunizm, tradycję akowską i tradycję solidarnościową? Ja natomiast nie uwierzę, że środowisko które kiedyś storpedowało „Ustawę o Restytucji Niepodległości”, a następnie kompromitowało przez lata ideę lustracji zaczynając od czerwca 1992, rozbijało ugrupowania patriotyczne – chce uczciwie przeprowadzić rozliczenie z komunizmem. Takie rozliczenie w niewielkim stopniu zresztą się dokonało, obecnie jest już raczej za późno, bo można przy okazji skrzywdzić także porządných ludzi. Zwłaszcza, że masa nowego draństwa, podłości i zakłamania nagromadziło się już w III RP – i to głównie na tak zwanej prawicy. Obecnie żadne środowisko czy ugrupowanie nie ma wyłączności na tradycję Solidarności czy opozycji antykomunistycznej. A już szczególnie budzi mój sprzeciw, gdy taki monopol przypisują sobie ludzie o moralności Macierewicza. Posługiwanie się obecnie retoryką antykomunistyczną jest głównie propagandową zagrywką.

Wielki Prezes przez lata budował autorytarną partię, w której liczy się tylko on. Może z dnia na dzień wyrzucić ludzi z najwyższego szczebla partii (nazwiska można mnożyć; niektórzy odeszli – i wrócili na kolanach, jak obecny szef Telewizji). Wyjątkiem są tylko politycy, którzy mają poparcie toruńskie-

go oligarchy, zwłaszcza jeden – kapłan „religii smoleńskiej”. Prezes niegdyś – i słusznie – był bardzo krytyczny wobec mediów ks. Rydzyka – potem uznał, że lepiej je mieć za sobą. Podobnie zachował się wobec mocno kontrowersyjnej partii Andrzeja Leppera. Kiedy mu to pasuje potrafi nazwać Gierka patriotą. Obecnie Prezes próbuje przenieść stosunki panujące w swojej partii – na całe państwo.

„Solidarność” lat osiemdziesiątych była wielkim ruchem społecznym przeciwko narzuconej totalitarnej władzy. Nie da się przecenić tego ruchu, nie da się go powtórzyć w zupełnie innych nie porównywalnych warunkach – i bardzo dobrze. Komitet Obrony Demokracji jest natomiast ruchem znacznie skromniejszym – przeciwko autorytarnym zapędom i nadużyciom władzy. Większość jego uczestników była kiedyś członkami i sympatykami Solidarności. Ma prawo nawiązywać do jej tradycji. Ani Ty Bohdanie, ani nikt inny tego nie zmieni.

Piotr Plebanek (Polak gorszego sortu)

ODPOWIEDŹ MŁODEMU POLEMIŚCIE

Gdy czytałem tekst Piotra przypominała mi się młodość: poziomem przypomina on wiec studencki – umysłowy bałagan ale szlachetne intencje poparte polityczną niewiedzą. Trudno jednak dyskutować z całym wiecem – zwłaszcza, że z połową haseł się zgadzam. Ograniczę się więc do spraw, które były w moim artykule a które zostały niezrozumiane albo przekręcone. Poza tym; *repetitio est mater studiorum*.

Jak autor zauważył w moim szkicu była mowa m. in. o tzw. Komitecie Obrony Demokracji. Ale nie tylko. KOD zainteresował mnie jako zaskakująca anomalia: taki baobab nie zakorzeniony – a rosnący. Marsze protestacyjne bez powodów, manifesty porażające banałami i oczywiście bez jakiegokolwiek programu na przyszłość. Przepraszam, coś jednak było: histeryczna nienawiść do demokratycznie wybranych władz Rzeczypospolitej. Czy to może być programem politycznym – okazuje się, że w pewnych warunkach jednym.

Kultura jest dziełem ludzkiej pracy, jedną z dziedzin sztucznego środowiska człowieka. Stanowi ona zarówno efekt poetyckich fantazji, jak owoc pracy murarza i chłoporobotnika. Kultury tworzone są przez zbiorowości nazywane narodami, na obszarach zwanych ojczyznami – pojęcia narodu i ojczyzny

oznaczają więc dla jednostki rzeczywistość zastaną, niemal wieczną, na pewno transcendentną to znaczy wyposażoną w wartości przekraczające czas i mogące nadawać sens życiu – pod warunkiem, że jednostka go akceptuje.

Kultura – jak każda praca – ma jakiś cel, spajana jest jakimiś wartościami. Celem (czy mówiąc po Norwidowemu: misją) Polski jest od wieków humanizacja obszaru od Karpat do Bałtyku i obrona tego obszaru. Ci którzy celu swej kultury nie akceptują pozostają na marginesie, a raczej na wielu marginesach – z różnych racji przyjmują postawę neutralną, czasem wrogą. Jedna i druga nie wykluczają postawy konsumpcyjnej, tzn. korzystania z owoców kultury zarówno tych bardziej konkretnych jak i tych bardziej abstrakcyjnych. Warunkiem utrzymania tożsamości jest przewaga pracy nad destrukcją, sił dośrodkowych nad odśrodkowymi. Oprócz ataków marginesu zagrażają kulturze ataki innych kultur czy całych cywilizacji. Na ogół kultury (tj. ich obrońcy) dają sobie radę z marginesem – jeśli nie – mamy Rewolucję Francuską czy Październikową. Czasem siły odśrodkowe są zbyt słabe, wyczerpują się w działaniach ulicznych, werbalnych, mogą jednak otrzymać wsparcie zewnętrzne. Przykładowo: Konfederacja Barska czy Reformy Sejmu Wielkiego (poparte zrywem Kościuszki) mogły uratować polską tożsamość – gdyby nie wsparcie sąsiadów dla marginesu buntu, który okazał się marginesem zdrady. Istotę tej operacji najlapidarniej ujmuje określenie szefa partii bliskiej już zdradzie, niejakiego pana Schetyny: *ulica i zagranica*.

Wróćmy do KODu. Pomijam okres życia na prawach poczwarki – takich pokątnych „komitetów” jest na każdym marginesie mnóstwo. Jednak w pewnym momencie z poczwarki wylazła... jeszcze większa poczwarka. KOD objawił się publicznie jako karnawał idący ulicami, więc łączący żywioły sprzeczne, zabawowe. Przywódca, niejaki Kijowski był mimo wieku (na karku 50 – tka!) kreowany na młodzieżowego lidera, wzorowany przez stylistów na Owsiaku, różowe okulary, kubraczki bezgustowne ale barwne, liczne kolczyki w różnych częściach ciała. Typowy „z chłopą król”. (Kijowski jest zresztą synem prominentnego działacza ZSL i uchwalacza stanu wojennego). Karnawał z punktu widzenia socjologii jest nie społecznością a zbiegowiskiem: pohałasować, pogwajdolić, pokierdasić i rozejść się spać. Tymczasem zbiegowisko KODu zaczęło się raz jeszcze przepoczwarzać. Pojawiły się samozwańcze (?) struktury

utrwalające istnienie, wylazły jakieś nowe odnóża i odwłoki, nieliczny i zmęczony żywioł lokalny został wzmocniony działaczami przeważnie z przegranych partii a nawet z tajnych służb. To wymagało przecież dużych pieniędzy, opłacenia organizatorów, dekoracji, kostiumów, śpiewających i gadających głów. I tu zapala się czerwone – jak znany sztandar – światło.

Spod zbiegowiska zaczęła się wyłaniać zdyscyplinowana, doświadczona politycznie struktura. Zaskakująca była różnorodność – od młodych naiwnych poetów po starych najemnych agentów. Margines polityczny reprezentowali zarówno wykopaliskowi pezetperowcy, jak zdziecinniali „korowcy” Michnika, którzy wyczuli swą ostatnią szansę; margines obyczajowy reprezentowali pederaci i brzydkie (innych tam chyba nie ma) feministki; margines ekonomiczny – ogryzający Polskę jak padlinę banksterzy. Pojawili się także rozhisteryzowani antynacjonałisci Sorosa, ateści z drużyny Hartmana, na koniec zwolennicy genderyzmu a nawet Wielkiej Bindy czy Wielkiego Bindu (są chyba dwa odłamy). Takie sojusze zaskakiwały egzotyką, inna rzecz, czy były groźne dla kultury? Ze względu na różnorodność – na dłuższą metę nie, na krótszą – tak. Mogły być i były połączone jedynie nienawiścią, jedynie siłą destrukcji – wszystko zależało od jej zjednoczenia i ukierunkowania. Osobiście – i po to był mój artykuł – wróżyłem im rozpad, lecz jednocześnie traktowałem jako ważny sygnał.

I rzeczywiście: jako pierwsze odeszły feministki. Zraziły się stosunkiem lidera ruchu do płacenia a raczej niepłacenia alimentów, wycofali się tyłem pederaci – zbrzydzili się zbyt dużą ilością feministek a zbyt małą kulturystów z polskiej prowincji. Do ruchu podłączały się za to coraz śmielej plutony esbeków zagrożonych redukcją emerytur do średnich krajowych i tajni współpracownicy – zagrożeni ujawnieniem zastrzeżonych akt. Spod karnawałowych masek zaczęły wystawać mordy swojskich i obcych sowieciarzy. W mediach społecznościowych – więc zapewne i w prywatnych komórkach zaczęły się pojawiać wezwania byłych funkcjonariuszy do demonstracji, nawet zbrojnej. Spotkania KODu były może mniej liczne, za to coraz bardziej pyskate. Do rangi symbolu urasta fakt, że próbujący urozmaicić demonstrację starzy działacze śpiewali swoje teksty na melodie rosyjskich piosenek. Jedną z nich, przeróbkę „Katuszy” pozwalałam sobie jeszcze bardziej przerobić, by wyrazić o co naprawdę chodzi:

*Zakwitaty jabłonie i śliwki
Alimenciarz na fujarce gra
Na Warszawę maszerują dziwki
wielu płci, lecz idą w jeden takt.*

Ten „jeden takt” powinien zaniepokoić. Pod karnałowymi piosenkami słychać werble Kominternu.

Ostatni akt rozegrał się w roku 2016. W czerwcu KOD otrzymał błogosławieństwo biurokracji europejskiej w postaci Nagrody Obywatelskiej Parlamentu Europejskiego. Coraz częstsze pielgrzymki do Brukseli nie mogły nie kojarzyć się z umizgami targowiczian w Petersburgu. Przepoczwarzony KOD wszedł też w układy z partiami opozycji, którzy zaczęli się pojawiać na manifestacjach. Próbowano zacierać różnice bagatelizując np. stan wojenny. Pluciem w twarz (taki test!) było przemówienie ppłk Mazguły, według którego podbój własnego narodu był to zabieg przeprowadzony kulturalnie. Jaka kultura pozwala zamordować stu opozycjonistów – Mazguła nie precyzował. Znów przypomina się Komintern.

Nie można zapominać, że około 40 tys. osobników z byłych „organów” pracowało i w większości nadal pracuje w organach administracji państwowej i terenowej. Na swe usługi mają system sądowniczy i banki, spółdzielnie mieszkaniowe i kluby sportowe. Sojusze na pozór marginalne mogły się okazać zabójcze dla demokracji w Polsce i dla samej kultury polskiej.

Włączył się też przyspieszacz: zaczął się odpływ z KOD, sympatie społeczne (trochę „kupione” programem 500 +) zaczęły się skłaniać w stronę rządu, paliwo jakie stanowiła irracjonalna nienawiść zaczęło się wyczerpywać. To był dla marginesu ostatni sygnał do ataku. W paroksyzmie politycznej hysterii, nocą 16 na 17 grudnia próbowano dokonać puczu. Jako elementy można wskazać: po pierwsze okupację Sejmu, przez partie opozycyjne – na wszelki wypadek nieco karnawałowe, żeby w razie klęski się wycofać, po drugie manifestacje dowiedzionego „narodu” pod Sejmem i po trzecie przyjazd lidera dawnej opozycji D. Tuśka do Polski, a konkretniej asekurancko do Wrocławia. To nie był zbieg okoliczności, to zbyt przypominało „nocną zmianę”. Jako zapalnik miała posłużyć informacja o mordowaniu opozycji, odegrano i sfilmowano odpowiednią scenę

pod Sejmem ale... Rzekomy nieboszczyk (nazwiskiem Diduszko – prywatnie mąż znanej antyklerykałki Agaty D., która prywatnie jest zauszniczką Hanny Walc, prywatnie jest dyktatorką Warszawy i patronką niezliczonych afer), otóż wspomniany Diduszko wstał zbyt wcześnie, pewno się spieszył do kasy a różni niepowołani sfilmowali jego zmartwychwstanie i puścili w internet. Sprawa się ryła. Zjednoczenie marginesu i nocna podmiana kultury na margines – też.

KOD rozsypuje się znowu na grupy, niebezpieczne wydają się dwie: działający półjawnie, powiązani kodowskim epizodem oficerowie i współpracownicy dawnych służb oraz działający jawnie tzw. Obywatele RP. Ci ostatni tworzą bojówki przechodzące od protestów słownych do prób i przepychanek. Atakują jednocześnie rząd RP, ale też próby reform zakłócają religijne manifestacje i profanują polskie sacrum. Próby przejścia do działań siłowych świadczą o dużej sile motywacji. Być może jest nią fanatyczna nienawiść, być może duży jurgielt, zapewne jedno i drugie. Na pewno są to Polacy gorszego sortu. Starzy padlinożercy z PO czy PZPR wiedzą co robią, żal mi tylko tych młodych idealistów, którzy ockną się w charakterze figowych listków i staną twarzą w twarz z przeznaczeniem...

Tyle o moim artykule. Jest on o nieudanej próbie zjednoczenia marginesu w ataku na naszą kulturę. Nie znaczy to, że próbie ostatniej.

Jest jeszcze parę kwestii szczegółowych.

1. W tekście Piotra Plebanka padają nazwiska głośnych niegdyś aktorów (D. Olbrychski), pięknych niegdyś kobiet (A. Nehrebecka) inteligentnych niegdyś aktorek (K. Janda) – to tylko potwierdza moje wywody. Natomiast nazwiska Frasyniuka, Schetyny, Waleśy mniej mnie przekonują. Rozumiem, że autorytet moralny nie musi być autorytetem intelektualnym – ale jakieś minimum chyba obowiązuje! Waleśie można byłoby wybaczyć „bolkowanie”, gdyby bezpowrotnie przeszedł był na stronę uczciwości – kombinowanie z okupantami by zachować ich bazy i wykradanie dokumentów – przekreślają go jako Polaka i jako polityka. Służalcze umizgi do Jaruzelskiego z czasów puczu Janajewa i późniejszych – jako człowieka. Frasyniuk, który na zadymie „Obywateli RP” zjawia się z pisaną po rosyjsku plakieta „Ебать П и С” to nowy problem. Jeśli traktuje swoje hasło dosłownie – winien wylądować w psychiatriku, jeśli przenośnie – winien to być psychiatrik moskiewski.

2. Nie dzielam sympatii Piotra do Trybunału Konstytucyjnego. To śmierdzące jajo podrzucił do systemu sądownictwa Jaruzelski, przez lata było nadziane tewulcami i obibokami, sędzia Rzepliński – prowincjonalny karierowicz, były partyjniak dorobił się na swym przesowaniu dużego szmalu. Osobiście bym tych trybunalców rozgonił – ich robotę mogłaby wykonywać grupka studentów filozofii. (z prawnikami bym nie ryzykował, za dużo resortowych dzieci) – pracowali by szybciej i taniej. TK w dotychczasowej formie stanowi, dodatkową i również sądowniczą czwartą władzę, co zmienia nasz kraj w sądkrację rządzoną przez niezlustrowanych komuchów.

3. Muszę też dodać sprostowanie: Młynarski nie miał kodowsko – esbeckich ciągotek, wiem coś o tym, bo znaliśmy się od czasów „Hybryd” a w czasach nowszych gościliśmy go w Płocku, przygotowując widowisko „Róbmy swoje”. I jego i Janka Pietrzaka i mnie łączył podobny światopogląd „zbuntowanych >Hybryd<” – to była forma opozycji.

4. Do Safiana nie będę miał zaufania – póki się nie odetnie od ojca – donosiiciela i nie zwróci wszystkiego, co układowi PRLowskiemu zawdzięcza. Też uważam, że ani Kryże, ani Piotrowicz nie powinni być ikonami żadnej władzy, lecz kapuś Boni jako autorytet moralny opozycji też mnie nie przekonuje. Prywatnie dodam, że popieram czyn Korwina, mam jednak wątpliwości, czy Boni jako donosiciel miał zdolność honorową, czy zatem należało mu się w pysk dłońią zdolną do czynności honorowych, czy raczej obicie kijami przez służbę.

Autor wywołał kilkadziesiąt nazwisk – gdy ustosunkuję się do wszystkich, zrobi się książka telefoniczna. Więc by zakończyć i to czymś pozytywnym – dwa zdania. Po pierwsze nie dziwię się sympatii autora do Henryki Krzywonos. Życiorys może ma podfałszowany, lecz ciało autentyczne i dużo tego autentyku. Też za młodu chciałem być taternikiem! Po drugie – alternatywnie wielką i atrakcyjną osobowością wydaje się Grodzka / Grodzki / Grodzkie. Będąc za muszę zwrócić uwagę, że ewentualne zabiegi należy poprzedzić rozpoznaniem płci obiektu a tym samym kierunków działania, żeby nie popełnić faux -pas.

Bohdan Urbankowski

GENDER, BINDU I LEJLA DAWIDOWICZ

Postmodernizm to raczej zsymp idea niż filozofia. Tak jest w całej cywilizacji Zachodu, nie inaczej w polskiej kulturze. Po wygaśnięciu zainteresowania osobą i nauką Jana Pawła II w Polsce jest to, co na każdym wysypisku: resztki i szczury. Margines atakujący tradycyjny model kultury nie ma innego programu poza destrukcją. Pamiętać trzeba, że znów tworzą go aparaczkowcy partii, która straciła władzę – wcześniej była to PZPR, po 2015 roku doszła jeszcze i Platforma Obywatelska. Dostarczył także KOD, w którym oprócz byłych aparaczkowców są „resortowe dzieci” a nawet wnukowie (lider Mateusz Kijowski – to wnuk działacza ZSL, który wprowadzał stan wojenny), oficerowie służb (płk Adam Mazguła – prymus i obrońca stanu wojennego) i trochę pożytecznych idiotów. (W Targowicy też byli nawet konfederaci barscy). Łączy ich program negatywny: nienawiść do nurtu niepodległościowego i tradycji, łączy wrogość wobec Kościoła – brak im programu pozytywnego. Jednak i na tym marginesie pojawiło się kilka grupek lansujących ideologie warte przynajmniej skrótkowego odnotowania.

Najbardziej nagłaśniane są dwie: genderyzm i kult Bindu.

Obydwa to przykłady filozofii w Polsce.

1. Genderyzm (ostatnio używa się także określenia *queer theory*, czyli teoria odmienności) to właściwie ideologia już w wieku balzakowskim. Wywodzi się z neomarksizmu i strukturalizmu, za patronkę uchodzi **Margaret Mead** (1901 – 1978). Jako antropolożka kultury wyróżniała się brakiem urody, co nadrabiała biseksualizmem. Miała – co ważne dla jej filozofii – co najmniej trzech mężów i tyleż kochanek. Zostawiła po sobie wiele tekstów opartych na badaniach ludów pierwotnych, które np. w porównaniu z dziełami Malinowskiego

rażą swą banalnością. Za zasługę poczytuje się jej podzielenie kultury na trzy typy: *postfiguracywna* (mocno złączona z tradycją, wzorce przekazywane przez starców), *kofiguracywna* – nastawiona na teraźniejszość, wzorcami są mężczyźni dojrzały, *prefiguracywna* – w której starzy nie nadążają za młodymi i ci zaczynają dominować. To dość banalne stwierdzenia pozbawione głębszych wniosków. Rozgłos przyniosło autorce co innego: fanatyczne lansowanie tezy, że płeć może być rzeczą wyboru i wybór ten trwa przez całe życie. Teza jak łatwo się domyśleć jest właśnie plonem życia badaczki i pochodzi z erotycznej autopsji.

W Polsce pierwsze plotki na temat genderyzmu pojawiły się już pod koniec lat 70 w środowisku warszawskich marksistów (Maria Janion i inni). Klimat społeczny jednak nie za bardzo im sprzyjał. W roku 1982 ukazała się książeczka — *Nikt nie rodzi się kobietą Sherry Ortner*. Klimat polityczny już marksistom sprzyjał – nie sprzyjał jednak filozofii, książka nijak nie wpłynęła na stłamszoną kulturę stanu wojennego. Bez echa przeszło także sztandarowe dzieło **Judith Butler** *Gender Trouble: Feminism and the Subversion of Identity*, które ukazało się w USA w roku 1990. Autorka była słynną wojującą lesbijką – w Polsce jednak nikt nie chciał ani z nią wojować, ani lansować jej poglądów. Moda na „genderowe” rewelacje zaczęła się w 2008 roku, gdy książka Butlerowej ukazała się nakładem „Krytyki Politycznej” pt. „Uwikłani w płeć. Feminizm i polityka tożsamości” i zaczęła być biblią lewicowej młodzieży. Z tej pracy przejęto przede wszystkim rozróżnienie *płci* i *seksu*. Więc: płeć kulturowa (gender) jest ważniejsza niż płeć biologiczna (sex) ergo: człowiek nie jest skazany na płeć.

Judit Butler wylansowała określenie *performatywność płci*. Oznacza ono kreowanie płci poprzez wmawianie – przy użyciu zdań analogicznych do: „Ogłaszam was mężem i żoną.”, „Ja ciebie chrzczę.”, „Mianuję cię generałem.” Przyznanie płci zaczyna się od stwierdzenia położnej: „To chłopiec”. Ale człowiek – wbrew biologii nie jest skazany na płeć, może ją sobie wybrać, ważne jest nie to, czym jesteśmy, ale to, co robimy.

W tle tej wyalienowanej do absurdu teorii wolności przewija się sensacyjna wręcz teoria ewolucji, popularna w środowiskach feministycznych. Otóż: w początkowym stadium swego rozwoju człowiek był jednopłciowy, był hermafrodytą. Nastąpiła jakaś zła mutacja, nastąpiło rozdzielenie płci, potem zaczęła się dominacja płci męskiej i to jest przyczyną zła wszelkiego.

Ta filozofia przełożyła się w III RP na spektakularny sukces polityczny w roku 2011. Był to zarazem rok ośmieszenia demokracji w Polsce. Były aparatczyk, któremu nie udało się zrobić kariery w PZPR i SLD¹ **Krzysztof Bęgowski** (1954) – uszmiłkował się, przebrał w kciekę, wylał na łono oszczędzone z dawnych delegacji perfumy „Podmoskownyje wieczera” i jako Anna Grodzka – po krótkim a intensywnym lansie w terenie został posłem parlamentu RP VII kadencji.

Osobnik ten stał się najpiękniejszą twarzą, bo raczej nie mózgiem wojującego marginesu.

Za mózg uchodzi(brzydszy jednak od Grodzkiej) reprezentant radykalnej lewicy, **Jan Hartman** (1967), pozuający na Łyszczyńskiego – ale jakie czasy taki i Łyszczyński. Hartman jest raczej celebrytą, politykującym filozofem podobnie jak Janusz Palikot z którego Ruchem był czas jakiś związany. Hartman wręcz budzi podziw elastycznością polityczną: absolwent KUL, były działacz Unii Wolności, w 2011 kandydat do Sejmu z listy SLD następnie współorganizator partii Twój Ruch, nawet przewodniczący jej rady politycznej. W latach 2007–2013 Hartman był aktywistą (w tym od 2010 – wiceprezesem) B’nai B’rith Polska. Usunięty z Twojego Ruchu za artykuł, w którym dopatrzoneo się propagandy kazirodztwa – co jak się zdaje było nadinterpretacją. Mógł to być także przejaw antysemityzmu – tradycje moczarysty na postkomunistycznej lewicy wciąż są silne.

Hartman zabiera głos w sprawach fundamentalnych atakując Kościół, domagając się małżeństw dla homoseksualistów, a przeciwnicy przypisują mu nawet lobbowanie na rzecz małżeństw międzygatunkowych.

Żeby nie dać zmylić się plotkom najlepiej przekazać poglądy Hartmana cytatai z jego wypowiedzi zamieszczanych w prasie i na blogu.

¹ Pewne sukcesy Bęgowski jednak osiągnął. Wzrost 187 cm (wg. „Wprost” 6/2013). Wikipedia podaje, iż uzyskał stopień starszego sierż. podchorążego, był instruktorem politycznym „młodych kadr” w ZSP, w stanie wojennym zasiadał w egzekutywie PZPR na UW. Przejściowo piastował stanowisko dyrektorskie. Startował jako Krzysztof Bęgowski do Sejiku Wojewódzkiego Mazowsza w 1998 roku z ramienia SLD – bez powodzenia. W ulotce wyborczej nie wspomina o transseksualizmie, to chyba późniejszy pomysł.

Reasumując: ożenił się, spłodził syna i zasiadł w egzekutywie. I żeby było jasne: nie mam pretensji do cwane go polityka, mam do głupich wyborców. Strach pomyśleć jakie „orientacje” wybiorą w następnych wyborach, aby tylko być poprawni i cool.

Najpierw coś z tzw. „pedagogiki wstydu” prowadzanej przez antyniepodległościową opozycję – w rytm jednak rewizjonistycznej propagandy niemieckiej. Subtelne rozważania połączone zostały z atakami na Kościół:

Oczywiście, nie wszyscy Polacy byli skorzy do wydawania Żydów. Wystarczyła jednak ta niewielka mniejszość, która taką skłonność miała. A skąd ją wzięła? Ano, nabrała jej od rydzyków II Rzeczypospolitej, a była ich wówczas wielka obfitość.

(zapis na blogu 3 X 2013, List do Rydzyka).

Ocena tradycji judeo chrześcijańskiej przez Hartmana w ogóle jest dosyć niska:

Czy długo jeszcze mamy być zakładnikami na wpół dzikich pasterzy Lewantu, z trudem odróżniających posiadanie kobiety od posiadania owcy, ważących każdą kroplę bezcennej spermy wagą złota i żadnych całkowitej kontroli nad prokreacją swoich domowników i sług? Ponure semickie przesady z odmętów pradziejów jak morowe powietrze rozwiały się po świecie wichrem dziejów. Quousque tandem?

(*Moda na bi!* zapis internetowy 5 VIII 2012, liberté.pl).

Na koniec pozytywny program edukacyjny Jana Hartmana:

Ty chamie, polski chamie!

Miliony was, chamy, miliony. I co my mamy z wami zrobić? Ale przyjdzie na was czas. A jak nie na was, to na wasze dzieci. Weźmiemy szturmem wasze szkoły, zwabimy was podstępem do teatrów, wyślemy wasze dzieci w świat. I pewnego dnia zniknie ta zabobonna, prostacka i kruchciana Polska, dławiąca się pychą, jakąż to ona jest „prawdziwą” i „wierną” jest. I narodzi się Polska ludzi przyzwoitych, kulturalnych, wiedzących coś o świecie i zdolnych do myślenia społecznego i obywatelskiego. Brzydzących się okrucieństwem i przemocą. I ja o taką Polskę będę walczył, jak potrafię. Tak pomszczę swojego psa.²

(Jana Hartmana Zapiski Nieodpowiedzialne, zapis z 26.02.2015).

Jest to pomysł na Polskę europejską i laicką. Nazywając rzecz po imieniu: noneomarksistowską.

² Konieczne jest wyjaśnienie: ktoś zastrzelił psa J. Hartmana, co być może tłumaczy rozdrażnienie a nawet utratę kontroli nad wypowiedzią.

2. Program równie antychrześcijański, jednak nie całkiem laicki, a lansujący pewien rodzaj mistycyzmu wysuwa Stowarzyszenie Polska Laicka, konkretnie zaś jego lider.

Krzysztof Pieczyński (1957) – trochę aktor, trochę literat, na pewno antychrześcijański fanatyk. W latach 1985–1995 przebywał w Stanach Zjednoczonych. Sukcesy teatralne i filmowe skończyły się na drugorzędnych rolach, prawdopodobnie zetknął się również z drugorzędnymi mistykami z peryferii New age'u, może tyknął trochę scientologii. Po powrocie zaczął reklamować światopogląd równie eklektyczny i równie ambitny, pragnący być jednocześnie syntezą nauki i religii. Aby uniknąć zarzutów przeinaczeń pozwólmy Pieczyńskiemu zaprezentować poglądy własnymi słowami – tak jak to zrobił w wywiadzie, który prowadziła z nim Anna Sobańda³:

Krzysztof Pieczyński: *Tak długo, jak Polacy będą się powoływać na chrześcijańskie wartości, tak długo będzie trwała hipokryzja, utrzymując naród w duchowym infantylizmie. Droga do dojrzałości społecznej prowadzi przez samodzielność. Bez tej samodzielności nie zbudujemy silnego państwa /.../ ludzie nie potrzebują religii.*

Dlaczego?

Ponieważ są bardzo blisko istoty duchowej, którą ja nazywam geniuszem, oraz wewnętrznej rzeczywistości, istoty, esencji, która pozwala nawiązać kontakt z tym Wyższym Ja, czy też Umysłem Kosmicznym. To jest przyszłość ludzkości, w której każdy człowiek zbuduje pomost pomiędzy duszą a Duchem. Zacząłem rozumieć rzeczy, których Polacy się boją.

Co pan ma na myśli?

Przypatrywałem się przez wiele lat symbolom, przed którymi ostrzega Kościół katolicki. Jednym z nich jest Drzewo Życia, które jest jakby mapą stworzenia. To jest proces, którego początkiem jest pojedynczy punkt, będący niewyobrażalnym geniuszem i kryjący potencjał wszystkiego co istnieje – tak zwany punkt Bindu. Jest on przejściem ze świata niestworzonego do świata stworzonego. Kiedy nieskończone światło, absolut, chce tworzyć, czyli materializować ten wszechświat, skupia się w jednym centrum i zamienia się ze światła duchowego w światło substancjalne.

³ Krzysztof Pieczyński: Dopóki nie rozwiążemy konkordatu, Polska będzie chlewem Kościoła. Rozmawia Anna Sobańda 03.09.2016, 09:00 | Aktualizacja: 03.09.2016, 09:18.

Światło substancjalne przez punkt Bindu przechodzi i tworzy świat stworzony, rozszerza się i tworzy nieskończone wariacje istnienia.

Ten punkt Bindu znajdujący się na szczycie Drzewa Życia to jest też to, co naukowcy nazywali Wielkim Wybuchem. Mysliciele zajęci nauką o Bogu, którzy stworzyli pojęcie religijnego punktu Bindu oraz stricte naukowcy badający teorię Wielkiego Wybuchu, mówią o tym samym. Ludzie, którzy nie poświęcili odpowiedniej ilości czasu na zgłębienie tych zagadnień twierdzą, że nie da się pogodzić czegoś takiego, jak ewolucja i akt kreacji. Tymczasem nauka coraz więcej odkrywa z tego, jak powstaje materia. A to jest tajemnica stworzenia. /.../

Ostatnia teoria, jaka mnie pobudziła, mówi o tym, że nasz mózg odbiera informacje w postaci cyfrowej. To jest niezwykła teoria, ponieważ nawiązuje do matematyki transcendentualnej i mówi o tym, że wszechświat i egzystencja mają swój matematyczny ekwiwalent. To znaczy, że egzystencję można zapisać cyfrowo. To jest właśnie wiedza o Bogu i w tę stronę człowiek pójdzie, uwalniając się od religii. To jest bardzo ważne, bo jeśli nie uwolnimy się od indoktrynacji religii i korporacji, zniszczymy cywilizację.

Do teorii dołączony jest program działań praktycznych, swoista *Philosophie der Praxis*:

Jeżeli będzie nas kilka milionów, rozpoczniemy strajk i nie zakończymy go aż do rozwiązania konkordatu. Bez żadnej partii politycznej. Polacy mają prawo do tego, żeby decydować o własnym kraju, a nie żeby decydował o nas Watykan przez swoich polskich pacholków w ornatach. Przyjmując chrześcijaństwo, Polacy zapomnieli o swojej słowiańskiej dumie i człowieczej godności

Antyreligijne deklaracje Pieczyńskiego a jeszcze bardziej wcześniejsze wypowiedzi Hartmana, Będogrodzkiego i innych guru najświeższej lewicy porbrzmiewają tonem dziwnym, lecz znanym już z historii ludzkiej pomyślności. Wspominałem, iż amerykańskie genderystki czerpały natchnienie z marksizmu – czas by poprzeć tę uwagę cytataми. Z czyjego dzieła? – z głośnego niegdyś a dziś zapomnianego artykułu programowego Lwa Trockiego „Człowiek i rewolucja”.⁴ Na ogół wyobrażenia czerwonych idealistów nie sięgała

⁴ Tłumaczenia artykułu różnią się nieistotnymi niuansami. Przytaczam za budzącą zaufanie wersją Jörga Baberowskiego z książki „Stalin. Terror absolutny”, 2014, s. 149. Przekł. Urszula Popławska.

poza „odkradanie ukradzionego” i mordowanie wrogów klasowych (co do ich żon zdania były podzielone) – do wyjątków należał właśnie główny przywódca puczu z 1917 roku (tzw. Rewolucji Październikowej) – Lejba Dawidowicz Bronstein znany jako Lew Trocki – entuzjasta rewolucji permanentnej. Miał on odwagę sięgnąć ponad lewicowoanarchistyczne marzenia młodych komunistów i naszkicować wizję człowieka przyszłości. Dotyczy ona sfery fizycznej i duchowej, miejscami jest na tyle zaskakująca, że najlepiej przekazać ją własnymi Lwa Dawidowicza słowami:

Człowiek ten będzie dbał o harmonię z samym sobą. Swoim zadaniem uczyni staranie, by ruchom swoich członków – czy to podczas chodzenia czy zabawy – nadać najwyższą jasność, celowość, ekonomię, a przez to piękno. Będzie on czuł wolę, by panować nad podświadomymi, a później również świadomymi procesami własnego organizmu: oddychaniem, krążeniem krwi, trawieniem i czynnościami seksualnymi, a także, jeżeli to konieczne, podporządkować je rozumowi i woli. Życie, nawet to czysto fizjologiczne, stanie się życiem kolektywno – eksperymentalnym. Płeć ludzka, na trwałe zakodowana w homo sapiens, zostanie radykalnie przepracowana i stanie się – w rękach człowieka – obiektem najbardziej skomplikowanych metod sztucznego doboru i treningu psychofizycznego. Mieści się to jak najbardziej w realnym wyobrażeniu o naszej przyszłości. Człowiek usunął najpierw ciemne akty przemocy z produkcji i ideologii, pozbywając się barbarzyńskiej rutyny dzięki technice a religii dzięki nauce. Potem usunął to, co podświadome, z polityki, zastępując monarchię i stany społeczne demokracją i racjonalnym parlamentaryzmem, a w końcu przejrzystością sowieckiej dyktatury. Najgorzej odbijają się w sferze relacji gospodarczych ślepe siły natury, ale i ich działanie minimalizuje człowiek socjalistyczną organizacją gospodarki. Dzięki temu staje się możliwa przebudowa tradycyjnego modelu rodzinnego...

Na tym można by zakończyć przegląd propozycji ideologicznych pojawiających się na marginesie polskiej kultury z początkiem XXI wieku. Rzetelność naukowa nie pozwalała ich pomijać, przecucie jednak podpowiada, że za czas jakiś będą tylko ciekawostkami – podczas gdy myśl Cieszkowskich, Libeltów czy Norwidów nadal będzie miała moc inspirującą. Nie wolno jednak nie zwrócić uwagi na wspólny kierunek tych ideologii marginesu: wszystkie skierowane są przeciwko wartościom narodowej kultury, wszystkie wymierzone

są w tradycję i religię Polaków i wszystkie atakują też podstawy, na których ta kultura się wspiera: rodzinę i wspólnotę.

HUMANIZACJA. DIAGNOZA I PROGNOZA.

Sytuacja, którą już nie raz przeżywalismy: jednoczesna budowa kultury i konieczność walki w jej obronie. Zmieniła się jednak przestrzeń walki i jej metody, sama zaś rzeczywistość poszerzyła się o dodatkowe wymiary kultury wirtualnej. Kiedyś matriks tworzyło kilka opowieści i książek, dziś – mnożące się światy wirtualne, przestrzenie generowane przez film, internet, portale społecznościowe i gry.

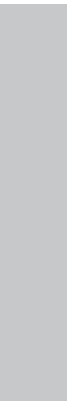
Człowiek nadal prowadzi bój z materią, choć słowo to straciło swoją oczywistość, świat jest pełen przenikających się struktur, zbudowanych głównie z informacji, ukształtowanych dziwnie i nieprawdopodobnie, ciągłych i nieciągłych, łączących się i przenikających – niczym kolumny duchów o których mówił Słowacki. Walczy także a czasem współpracuje z innymi ludźmi, którzy te nowe obszary rzeczywistości chcą zhumanizować po swojemu. Żyjemy w świecie nie tylko przestrzennym, ale wieloprzestrzennym, bo dobudowywana do kultury cyberprzestrzeń wnosi dodatkowe czasy i przestrzenie; każde medium, każdy nadajnik generuje nową rzeczywistość. Każdy film tworzy kilkugodzinny, za to powtarzalny świat, każdy program telewizyjny kreuje na bieżąco wizję zdarzeń – różniącą się od innych i od samej rzeczywistości, przeważnie efemeryczną.

Stwierdzenie dehumanizacji rzeczywistości polskiej, stwierdzenie faktu przeniesienia zbiorowego wysiłku z tworzenia coraz doskonalszej i coraz bardziej doskonalącej człowieka kultury na to, co poza kulturę go wytrąca, co łączy ze światem zwierząt, nie może być efektowną diagnozą dla diagnozy – skróconą do paru zdań opowieścią z gatunku *Untergang des Abendlandes*. Filozofia polska, zwłaszcza filozofia romantyczna ma moc obligującą. Nie będzie pełna jeśli nie wyciągniemy z niej praktycznych konsekwencji, jeśli nie zamienimy jej twierdzeń w plan działań wybiegających w przyszłość.

Czeka nas ogromna, zbiorowa, prowadzona na wielu frontach praca nad powtórnią humanizacją polskiej rzeczywistości. Żeby projekt się powiódł – w naszej sytuacji trzeba dbać o system jego ochrony – pracować nad budową

politycznej, militarnej, ekonomicznej i aksjologicznej struktury Międzymorza. Pewien rzymski polityk kończył swe przemówienia słowami *Ceterum censeo Carthaginem delendam esse* – Wyrażały one imperialne aspiracje Republiki. My nie chcemy podbijać, co nie znaczy, że nie grozi nam podbój. Dlatego nasi politycy powinni kończyć przemówienia zwrotem *Poza tym sądzę, że Międzymorze winno być odbudowane*. I brać się do roboty.

HISTORIA



RYSZARD CZARNECKI I KRZYSZTOF TURKOWSKI
ROZMAWIAJĄ
Z GENERAŁEM KLEMENSEM RUDNICKIM¹

Urodziłem się w Żydaczowie, gdzie mój ojciec był w służbie państwowej austriackiej. Urodziłem się 3 marca 1897, a więc w XIX wieku, dorastałem w XIX wieku. Dlatego, że dwudziesty wiek zaczął się dla nas po I wojnie światowej. Wszystko co się działo do I wojny światowej to był XIX wiek.

Moje pokolenie młodziży czuło, że przychodzi na niego pora podjąć tę pałeczkę, którą wszystkie pokolenia polskie od rozbiorów dokonywały.

Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej, bardzo majątnej. Mieliśmy szereg majątków na Podolu.

W tamtym okresie wystąpiła u nas w Galicji i Lodomerii tendencja, żeby przejąć od cesarza zarządzanie tymi prowincjami w ręce polskie. Zainicjował to Agenor Gołuchowski, Potem Andrzej Potocki i zaapelował do szlachty polskiej, by przeszła do pracy w Galicji.

Polonizujemy Galicję.

Mój ojciec był z tych, którzy poszli do służby w namiestnictwie, u Andrzeja Potockiego, i został w końcu starostą powiatu Trembowla, gdzie ja chodziłem do gimnazjum. Był to 1902/3 rok.

Atmosfera w naszym domu była taka, jak w starych rodzinach polskich na Kresach. Moja babka była z domu Mrozowicka, była siostrą tego Mrozowickiego, który z Jeżem konspirował. Był w 1848 roku w węgierskim powstaniu.

¹ Klemens Stanisław Rudnicki ps. „Klimek” (ur. 28 marca 1897 w Żydaczowie, zm. 12 czerwca 1992 w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na uchodźstwie generałem dywizji.

Ta tradycja tkwiła u nas. Moja babka Zosia Rudnicka chowała powstańców w kominie w 1863 roku.

Polski nie było na mapie, ale Polska żyła po dworach, ale już zaczął się ruch chłopski. Wyrósł Witos.

Wówczas powstało harcerstwo. Do mnie przyszło, do naszego gimnazjum w 1909/10 roku. Ono porwało nas. Myśmy w harcerstwie przygotowywali się do jakiegoś czynu dla Polski. Przyszło „Zarzewie” oparte na „Sokole”.

Zaczęliśmy nie tylko biegać po lasach z kijami, zaczęły się tajne zebrania.

Zaczęły się przygotowania do wojska, na razie z pomocą austriacką.

Pyt.: Czy Pan generał jako gimnazjalista przewidywał, że będzie miał tak wspinałą karierę wojskową?

Odp.: Byliśmy przekonani, że przyjdzie na nas kolej, że musimy stworzyć polskie wojsko. Czuliśmy wtedy, że nadeszła pora.

Pyt.: Za nim przyszło wojsko uczestniczył Pan w wielkim Jamboree w Birmingham w 1913 roku.

Odp.: To, że przybyłem na ten zjazd to był jeden z wyczynów „Sokoła”. Z Trembowi trzech z nas pojechało na ten zjazd. – Tadeusz Dobrowolski, który tworzył skauting w Trembowi, Adam Karpiński – mój kolega z klasy, wspinały taternik, Sulimirski, późniejszy profesor Uniwersytetu, także Władysław Zaleski. Jestem ostatnim z żyjących polskich uczestników tego zjazdu. Polski skauting nie mógł być zaproszony, więc my mieliśmy napisane Poland, a także Trembowla, Lwów. Baden-Powell nas przyjmował po przybyciu do parku w Birmingham. Ulokowano nas obok Irlandczyków, dwa narody uciśnione. Irlandczycy przyszli do nas i mówili, żebyśmy uważali z Anglikami, bo to są zbrodniarze, którzy nas gnębią, jak gnębią zaborcy. Odwiedził nas książę Walii.

Dało to nam asumpt, że gdy się tworzył w 1914 roku Legion Wschodni we Lwowie pod Hallerem to wówczas moja grupa wstąpiła do tego Legionu. Pożegnanie było romantyczne, ksiądz przed kościołem Karmelitów żegnał tych kilkunastu idących do wojska.

Koncentracja Legionu Wschodniego odbyła się we Lwowie w koszarach przy ulicy Jabłonowskiej i stamtąd, gdzie dostaliśmy „manlichery” ruszyliśmy na zachód aż do Mszany Dolnej. Tam nastąpiło rozwiązanie Legionu Hallera.

Pyt.: Jak się potoczyły dalsze losy Pana w I wojnie światowej?

Odp.: Jak się rozwiązał Legion Wschodni zostałem odcięty od domu, gdyż moja cała rodzina znalazła się pod okupacją rosyjską – poszedłem do Nowego Targu robić maturę. Nie podobało mi się w Nowym Targu więc poszedłem do Zakopanego i tam spotkałem na ulicy mojego księdza prefekta z Trembowli. Spytał mnie co tutaj robię. Kazał mi natychmiast zapisać się do gimnazjum Jarosza, to takie prywatne gimnazjum. Skończyłem tam 8 klasę i w styczniu zdałem przyspieszoną maturę.

I przyszła kolejka na mój rocznik do wojska austriackiego. Wstąpiłem do 15 pułku piechoty. Jako maturzysta i jednoroczny ochotnik poszedłem do szkoły oficerskiej w Wigersdorfie na Morawach. Stamtąd jako kapral, a potem plutonowy zostałem wysłany na front włoski.

Było to w 1916 roku. Szliśmy z Innsbrucku piechotą przez Brenner aż nad jezioro Garda. Tam przebiegał front. Właśnie tam zostałem ciężko ranny, aż do dziś dnia mam bezwładną lewą rękę. Wtedy zostałem podporucznikiem, przeszedłem przez szereg szpitali.

1 listopada 1918 roku byłem w szpitalu w Krakowie, wiedzieliśmy co się przygotowuje. Z drugim moim kolegą, także podporucznikiem austriackim zapukaliśmy do drzwi komendanta, sztabskapitana Merunowicza, to był Ukraińiec. Stanęliśmy na baczności i zameldowaliśmy, że monarchia się rozpada i spytaliśmy się czy wobec tego pozwoli nam zdjąć portret cesarza Karola ze ściany. On stanął na baczność i portret zdjęliśmy i postaviliśmy twarzą do ściany. I tak opanowaliśmy szpital. Stamtąd poszedłem na krakowski rynek, gdzie była kordegarda i tam był oddział polski, którym dowodził kapitan Zając. Późniejszy generał. I tak objęliśmy Kraków.

Równocześnie 2 listopada przeczytałem w gazecie, że na ulicy Garncarskiej nr 2 organizuje się 2 Pułk Ułanów Legionowych. Poszedłem tam, okazało się, że organizatorem jest mój dobry znajomy, rotmistrz Brzezicki z Osieczka, mój krajan.

Zaraz z początkiem listopada szedłem ze świeżo uformowanym półszwadronem pułku, który szybko nazwał się 2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich na front lwowski. Koleją nas przewieźli do Przemyśla i stamtąd, gdzie spotkałem Tokarzewskiego, i z nim razem biliśmy się pod Bartatowem, chroniąc linię kolejową Przemyśl-Lwów. Po walkach o Lwów zostaję z tym szwadronem,

w którym dowódcą był porucznik Kunachowicz, mój wielki przyjaciel a ja jego zastępcą. Zostaliśmy przydzieleni jako kawaleria do 3 dywizji piechoty dowodzonej przez generała Zielińskiego, nazywanego przez nas „dziadkiem”. Był wtedy stary miał chyba czterdzieści parę lat. Dla nas to był wtedy dziadek.

Z tą dywizją biliśmy się całą ofensywę ukraińską. W czasie odwrotu spod Brzeżan „dziadek” Zieliński nie chciał odchodzić. Wsiadł do powozu, otoczyliśmy go i tak odjechaliśmy. On był taki smutny i po drodze, gdy zatrzymaliśmy powóz, on wysiadł i powiada: „Wiecie co ułani, że Zieliński pierwszy raz się cofa.”

Do lipca 1919 roku biłem się w tej dywizji i doszliśmy tak do Zbrucza. Wojna się zakończyła i mój szwadron wrócił do pułku, który tymczasem był na Śląsku. Tam jeszcze braliśmy udział w ostatnich walkach z Czechami.

Pyt.: Panie generale wojna polsko-ukraińska o Małopolskę Wschodnią była specyficzna, toczona na ziemiach rodzimych żołnierzy obu armii. Tam było wiele elementów wojny domowej. Wtedy pogłębiły się pęknięcia między Polakami i Ukraińcami.

Odp.: Dla nas była to normalna rzecz. Lwów był dla nas polski, Galicja Wschodnia była polska, bo rzeczywiście było to tak przemieszane. Myśmy nigdy z Ukraińcami nie wojowali. Sam miałem kolegów Ukraińców, z którymi byłem bardzo związany.

Myśmy wtedy rozumieli, że kość niezgody między naszymi narodami rzuciła Austria. Ale oczywiście Lwów był polski i o to się biliśmy. Ale nie było jakiejś nienawiści między nami.

Pyt.: Panie generale 26 kwietnia 1920 roku Józef Piłsudski i Semen Petlura wydają wspólny rozkaz i rozpoczynają walkę, której celem jest odebranie Ukrainy bolszewikom. Zaczęła się wspólna walka Polaków i Ukraińców przeciw bolszewikom. Gdzie Pan wtedy był?

Odp.: Byłem wtedy z pułkiem nad Morzem Bałtyckim. Nasza brygada kawalerii brała udział w zajmowaniu Pomorza. Braliśmy udział w zaślubinach w Pucku. I tam nas zastał rozkaz koncentracji całej kawalerii nad Słuczą.

Kiedy tam wchodziliśmy na Kaszuby to było wspaniałe. Witali nas chlebem i solą. Wszędzie, w każdej wiosce.

W czasie zaślubin uczestniczył cały 1 Pułk Ułanów i delegacje z innych pułków, po szwadronie ze sztandarem. Dla nas to było wielkie przeżycie.

Pyt.: Ale wróćmy do kwietnia 1920 roku.

Odp.: Przywieźli nas transporterami do Słucz, pod Szepietówkę. Tam nas wyładowano, organizowała się tam 1 dywizja kawalerii pod generałem Rómmlem, którego zadaniem był rajd na Koziatyn, ok. 130 kilometrów.

Musieliśmy przebić się i nadruszyć cały front. Piłsudski miał genialny pomysł, chciał po prostu wstrząsnąć całym frontem. I tak się stało.

Nasza dywizja ruszyła – Winnica, Białocerkiew, do majątków Branickich. Wtedy przysły pierwsze wiadomości, że zbliża się armia konna Budionnego i pod Czerkasami będzie przechodzić Dniepr, i ruszy na nas. „Trylogia” nam się przypomniała, Dzikie Pola.

Szedłem wtedy pamiętam z podjazdem na Roś i tam było moje pierwsze spotkanie z tym Budionnym, pod Taraszcą.

Pyt.: Jaki to był żołnierz z drugiej strony?

Odp.: Kozacy. Typowi Kozacy. Tacy sami jakśmy o nich czytali u Sienkiewicza. Identycznie. Dobrzy żołnierze na swój sposób. Tak samo nie wytrzymali impetu jak za dawnych czasów. Myśmy szarżami przechodzili przez nich tam i z powrotem. Oni się rozsypywali i otaczali nas na powrót.

I to była wspaniała wojna. Siedemnastowieczna wojna. Dobra szabla, dobry koń, który decydował o bezpieczeństwie, o wszystkim. To było wspaniałe.

Pyt.: Potem zaczął się odwrót. Okazało się, że przewaga bolszewików jest duża.

Odp.: Ja myślę, że przyczyną był marsz Tuchaczewskiego na północy na Warszawę. Piłsudski musiał wycofać z południa armię.

Myśmy byli cały czas w walce z Budionnym, który następował na tyły. I tak wojowaliśmy aż do Komarowa i tam ta wielka kompania konna, o której tak ślicznie opisuje płk Krzeczunowicz, się zakończyła. A potem był pościg za Budionnym. To był romantyczny pościg, bośmy aż do Horynia go ścigali.

Kiedy on przeszedł przez Horyń i myśmy zatrzymali się.

Tam się nawiązała między nami a Kozakami całkiem przyjemna atmosfera.

Pyt.: Na czym to polegało?

Odp.: Do 9 pułku ułanów, który miał odcinek nad Horyniem przyjechała podwoda i woźnica oddał kartkę od Kozaków z drugiej strony. Kozacki dowódca zaprosił jednego z oficerów, żeby sobie pogadać z nim. Dają czestne słowo

kozackie, że go puszcza z powrotem. Porucznik Wiktor z 9 pułku ułanów nie namyślając się wiele wsiadł na konia, wziął trębacza i pojechał na drugą stronę.

Dojeżdża i pokazuje tę kartkę. Nie bardzo wiedzieli co z nim zrobić, przekazywali go od jednego do drugiego, aż dostał się do samego Budionnego do Korca.

I Wiktor pojechał już bryczką do Korca. Przyjeżdża. Prowadzą go do kwatery Budionnego. Za stołem siedzi Budionny, obok niego siedzi Szapozhnikow i pytają go:

„Za czo! Wy tu przyjechali?”

Wiktor odpowiada: „Dostałem kartkę, że chcecie porozmawiać.”

Porozmawiali dwie godziny z Budionnym, bardzo ładnie o naszych wszystkich przejściach i wreszcie Budionny mówi, teraz wracaj z powrotem. Czyste słowo kozackie to czyste słowo. Dla pewności dam ci mojego oficera sztabu, który cię poprowadzi. I na koniec dał mu kindżał swój w prezencie i pismo, które ja widziałem.

Było tam: „Porucznik 9 pułku ułanów był u mnie dwie godziny i niczym tajemnic wojennych nie zdradził. Budionny.”

Wiktor z tym przyjechał.

Od razu poszedł do raportu i dowódca dywizji Rómmel skazał go na 21 dni aresztu domowego, którego nigdy nie odsiedział za samowolne opuszczenie odcinka.

Zanim przyszło zawieszenie broni powstał cały korpus. 2 dywizja kawalerii, która skończyła z Gaj-Chanem robotę, powróciła tutaj i tak powstał cały korpus.

Pod koniec września 1920 roku Rómmel zaproponował, że zrobi zagon na Iskoroż, żeby ostatecznie przełamać front. To zostało przyjęte i nasz korpus, 15000 szabel rusza 150 kilometrów w głąb. Po drodze musieliśmy sowieckie pancerniki wysadzić. Rozkręcać tory. Zdobiliśmy Korosteń. Kolosalna zdobycz, zdobyty węzeł kolejowy. Wróciliśmy i zastał nas rozkaz, że jest zawieszenie broni.

Straty nie były wielkie, najbardziej zmniejszył się stan szabel z powodu braku koni. Szarże nasze nie przynosiły wielkich strat.

Pyt.: To był koniec wojny polsko-bolszewickiej.

Odp.: Koniec wojny zastał mnie jako rotmistrza. Miałem *Virtuti Militari*.

Pyt.: Jak się toczy pańska dalsza kariera?

Odp.: Jestem ciągle w 2 Pułku Szwoleżerów i wracam do garnizonu pułkowego, który wtedy był w Bielsku-Białej. Miałem właściwie zamiar wystąpić z wojska. Zrobiłem swoje i trzeba by po gospodarować. Taką prośbę wniosłem do dowódcy pułku, którym był major Róg. A on do mnie, że jeszcze nie koniec na tym, zastanów się mówi mi. Zastanowiłem się i zostałem, zawodowym oficerem.

Posłali mnie na kurs do Grudziądza, 9-cio miesięczny kurs do szkoły kawalerii w 1923 roku. Wróciłem do pułku, który został w międzyczasie przeniesiony do Starogardu. Ożeniłem się, miałem dwie córki, zawodowa służba była marnie płatna a pojawiły się perspektywy, by pójść do Korpusu Ochrony Pogranicza. Złożyłem prośbę o przeniesienie mnie do KOP-u. Było to w 1926 roku.

Pyt.: A gdzie Pana zastał zamach majowy?

Odp.: Zamach zastał mnie w Starogardzie. Mieliśmy bardzo proste wyjście. Mieliśmy depesze od Piłsudskiego i z Zamku, od prezydenta Wojciechowskiego, że mamy pilnować granicy. Dla nas sprawa była rozwiązana.

Potem byłem już w Korpusie Ochrony Pogranicza. Chciałem koniecznie pójść na Podole, gdzie szwadron stał w majątku mojej ciotki, bo wróciłbym na moje Podole, charty, polowania to co ja lubię.

Tymczasem odwrotnie, i zostałem wyznaczony na dowódcę 7 Szwadronu KOP-u w Podświlu w powiecie Głębockim. Poszedłem tam i byłem do 1928 roku.

Ach ta cudowna Wileńszczyzna, co za cudowni ludzie tam, ach te zaścianki, znowu Sienkiewicz.

Cóż to za cudowne polowania. Mój szef to był taki wielki myśliwy. Mieliśmy wtedy 5 psów gończych. Taki „Hałas” – najstarszy pies, który nigdy w piętkę nie gonił, jak on gonił za zającem czy lisem. Drugi pies to był „Lotka” i mieliśmy takiego młodego szczeniaka „Waldhorn” się nazywa. On wyszukiwał, gdzie są tropy zająca. Kiedy on zaczął szczekać to przychodził „Hałas” skontrolować i poszedł, a cała sfora za nim. I wiadomo było, że gonią tego zająca czy lisa. I stało się w dobrym miejscu i za dwie godziny z daleka słysząc

zbliżający się gon i zjawia się zając. I wilka wtedy strzeliłem, lisów nie mało, głuszce, cietrzewie, słonki.

A tu w 1928 roku to wspaniałe życie przerwał mi rozkaz z ministerstwa, żebym przybył na kurs do Wyższej Szkoły Wojennej do Warszawy. Szkoły ja nie idę, jest mi bardzo dobrze tutaj, że wolę być w Kopie. Wolę ganiać niż iść na gryzipiórka do Wyższej Szkoły, czy jakiegoś adiutanta. Ale musiałem pójść.

Poszedłem na kurs próbny do Warszawy z zamiarem, aby ten kurs próbny tak zrobić, żeby mnie wylali. Był tam już wtedy generał Kutrzeba. Komentantem kursu był Tomaszewski, w obronie Warszawy we wrześniu 39, szef sztabu Czumy. On był także z Trembowli i przekonał mnie, że muszę zostać. I rzeczywiście skończyłem ten kurs próbny. Zdaje się, że skończyłem dobrze, ponieważ zatrzymali mnie przy katedrze taktyki. Byłem tam asystentem. Potem przyszła na mnie kolejka i odbyłem służbę jako zastępca dowódcy pułku. Poszedłem do Poznania. To był rok 1931, gdzie dowódcą pułku był także mój dobry znajomy i nawet kuzyn – Kownacki, z kirasjerów rosyjskich. Wspaniały człowiek. Takiej postury, że z trudnością na konia siadał jak Sobieski, ale był znanym zagończykiem.

Spędziłem tam dwa lata.

Potem przyszedł do mnie rozkaz, bym wrócił do szkoły wojennej tym razem na Katedrę Taktyki Ogólnej. Byłem tam aż do 1938 roku.

Pyt.: To tam Pan kolegował z pułkownikiem Irankiem-Osmeckim, Rzepeckim. Z całą elitą naszego wojska. Czy mógłby Pan opowiedzieć o Wyższej Szkole Wojennej?

Odp.: Osiągnięcia Szkoły to zasługa przede wszystkim wybitnego sztabowca i dowódcy, generała Kutrzeby. To był austriacki oficer. Saper. Światowej klasy oficer, jako sztabowiec.

Prowadziliśmy wtedy gry wojenne.

Były to z polecenia Naczelnego Wodza ćwiczenia dla dowódców. Bardzo je lubiłem.

Pyt.: Czy byli wówczas dowódcy wyraźnie się wybijający?

Odp.: Wszyscy generałowie przeszli przez moje ręce. Wybijał się Anders, generał Wład, Bołtuć, Szylling. To byli wybitni taktycy. Dowódcy w takiej

grze stawiani byli w trudnej sytuacji wojennej i egzamin polegał na podjęciu optymalnych decyzji.

Ale Pan mnie pytał o Kutrzebę i mnie się przypomniła taka historia którą mi opowiedział.

Kiedyś, kiedy dyżurowałem przychodzi do mnie Kutrzeba i mówi wiem, że to ciężka służba. Opowiem panu coś z moich doświadczeń.

„Pan wie, że ja byłem u Mackensena, dowódcy 8 Armii niemieckiej w Rumuni przed listopadem 1918 roku. I raptem dowiaduję się tam, że wybuchła Polska. Jestem z Krakowa to postanowiłem, że muszę wracać do mojego miasta. Byłem wtedy majorem austriackiego sztabu generalnego. Przyjeżdżam do Krakowa, a tam mi powiadają, że muszę natychmiast jechać do Warszawy, bo tam jest brak oficerów sztabowych. Tam jest pułkownik Teliczko, także austriacki a szefem sztabu jest generał Szeptycki, więc pojechałem. Melduję się i tej samej nocy dostaję rozkaz, że mam być dyżurnym w Naczelnym Dowództwie. Dopiero dowiedziałem się, że Polska wybuchła. Ja od Mackensena, nic nie wiem bliżej i oto mam dyżur w Naczelnym Dowództwie.

W nocy przychodzi depesza od generała Latinika ze Śląska, która brzmi tak: „Czy mam zawrzeć rozejm z Czechami i na jakich warunkach.” I taka depesza przychodzi do nas.

Ja ledwo od tego Mackensena przyjechałem, nic jeszcze nie wiem co się w Polsce dzieje, więc nie wiem co robić.

Idę do pułkownika Teliczki, budzę go w nocy, a on mi powiada: „Idź Pan do szefa sztabu, bo sprawa jest poważna, polityczna.”. A gdzie on jest. Dowiaduję się, że mieszka w Hotelu Europejskim. Idę do hotelu. Dzwonię do Szeptyckiego a on już śpi. W końcu go budzą. Nakłada na nos okulary, mówię o depeszy generała Latinika. On czyta depeszę i mówi, że to poważna sprawa polityczna i trzeba iść do premiera, który właśnie jest tutaj na 2 piętrze. I jest tam także Wódz Naczelny – Piłsudski.

Ja prosto od Mackensena, nie wiem kto ważniejszy, nie wiem co się tu dzieje. Poprawiłem się i pukam do drzwi.

Otwiera mi pani Paderewska i zaprasza mnie na herbatę.

Wchodzę do pokoju. Atu Piłsudski chodzi po pokoju, a Paderewski siedzi przy biurku. Melduję się – major Kutrzeba z depeszą. Piłsudski bierze i czyta.

Po chwili mówi. To dla Was premierze. Paderewski czyta i zaczyna odpisywać. Napisał jeden arkusz, zmiął, wyrzucił. Drugi napisał i też wyrzucił. Potem napisał coś i daje Piłsudskiemu.

A na to Piłsudski: „O nie. Majorze przeczytajcie to.”

Ja czytam, a to mniej więcej jest tak: „My, którzy nigdy nie chcieliśmy przelewać krwi bratniego narodu itd.”

Piłsudski wtedy pyta się mnie czy pan to rozumie. Ja teraz nie wiem co mam robić.

Ja prosto od tego Mackensena, nie wiem, co i kto tu ważny. Powiem, że rozumiem to źle, powiem, że nie to jeszcze gorzej. Tak czy inaczej się narażę.

W końcu zebrałem się i mówię: „Panie komendancie melduję, że nie rozumiem.”

A na to Piłsudski: „Widzicie premierze, to jest żołnierz, to nie rozumie tego. Do żołnierza trzeba mówić jasno.”

Sam wziął i napisał: „Rozejm zawrzeć z wypowiedzeniem 24-godzinnym”. Rano idę do Szeptyckiego i daję mu to. Szeptycki czyta i woła: „A co to za duren to napisał?”

I ja znowu nie wiem co robić? Na kogo powiedzieć – Piłsudski czy Paderewski?

I to są trudności oficera, który przyjechał od Mackensena, bo Polska wybuchła a on nic o tej Polsce nie wie.” Kończył opowiadanie generał Kutrzeba.

Ale wracając do szkoły to chowała on rzemieślników sztabu a nie dowódców. Francuzi chowali dowódców, my sztabowców.

Piłsudski a potem Rydz chcieli właśnie szkolić dobrych sztabowców. Takiego, który potrafił zrobić analizę dla dowódcy, napisać rozkaz, dopilnować wykonania rozkazu. Takich fachowców nam potrzeba. To była zadanie Kutrzeby i nasze.

Sam miałem okazję siedząc w Wyższej Szkole sporo się nauczyć. Zbieraliśmy prasę z całego świata, dużo czytaliśmy prac naukowych. Opracowań sztabowych niemieckich, włoskich, francuskich.

Pyt.: Panie generale, jak Pan ocenia z perspektywy lat, jakość wojska Polski Niepodległej, jego przygotowanie do wojny – fachowe, sprzętowe, kadrowe?

Odp.: Nie można stworzyć wojska i sztabu w ciągu kilku lat. Tego się nie da

zrobić. Wspaniałe wojsko niemieckie potrzebowało dwustu lat. Jak tu żądać, żeby stworzyć w ciągu 2-3 lat wojsko. Nie.

Myśmy mieli doskonałych dowódców na szczepku roku 1920-go, z których wyrosli generałowie, którzy potem osiągnęli dzięki temu, że byli dobrymi dowódcami batalionów albo pułków, stopnie wysokie a że byli jeszcze młodzi, to nie bardzo chciało się im pracować. Zaczynali korzystać z przyjemności.

Generalicja nasza nie cała była na poziomie. Zawsze znakomity był Anders, Szylling, Wład. Był cały szereg wybitnych, rozwijających się dowódców.

Mieliśmy znakomicie przygotowanych oficerów sztabowych dzięki Kutrzebie, żołnierz był u nas bardzo dobry, wręcz doskonały.

Natomiast według mnie niedobre były plany wojenne. Plan strategiczny Naczelnego Wodza w trzecim dniu wojny okazuje się nierealny.

Pyt.: Wróćmy do Pana losów. Przychodzi sierpień 1939 roku.

Odp.: W 1938 objąłem dowództwo 9 Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli, po pułkowniku Tadeuszu Komorowskim, późniejszym „Borze”, moim przyjacielu.

Przychodzi mobilizacja i zastaje mój pułk na ćwiczeniach w Miodoborach na Podolu. Podjąłem decyzję, że trzeba szukać Matki Boskiej. Pojechaliśmy z pułkiem do Jazłowca. Zapukałem do furty klasztornej i poprosiłem przełożoną, żeby pozwoliła złożyć nam votum.

Pyt.: I tak zaczyna się opisywany przez Pana Generała szlak bojowy w książce, która miała tyle wydań na emigracji i w podziemiu. Ale przypomnijmy po krotce losy Pana Generała w czasie wojny.

Odp.: Wojnę zacząłem z pułkiem w Brygadzie podolskiej, która była częścią armii Kutrzeby. Przechodzimy Poznań, idziemy aż na Zbąszyń. Stamtąd się wycofujemy gdyż nie ma żadnej styczności z przeciwnikiem. Dopiero 12 września armia Kutrzeby weszła do walki. O tym, że brałem udział w bitwie nad Bzurą to dowiedziałem się dopiero z historii. Dla mnie to była zwykła walka z Niemcami. Razem z grupą kawalerii już wówczas pod dowództwem generała Abrahama, który był dowódcą Poznańskiej Brygady Kawalerii, dołączyła Brygada Podolska i część oddziałów Grzmot-Skotnickiego, ta która się uratowała. Z tą grupą przebijaliśmy się przez Puszcę Kampinoską na odsiecz do Warszawy. Przeżyliśmy ciężkie walki pod Sierakowem, pod Laskami przebiliśmy

się przez Młociny do stolicy. Weszliśmy w skład obrony Warszawy. Obroną dowodził wtedy Rómmel. W związku z tym, że nie było zajęcia w oblężonej Warszawie dla kawalerii powstały plany, żeby się przebić na Wilanów. To się okazało nierealne i wobec tego byliśmy do końca obrony. Bronilem Fortu Dąbrowskiego, to był mój sektor obrony. Tam zastała mnie kapitulacja. Ponieważ znałem Rómmela i jego szefa sztabu – Pragłowskiego, bardzo dobrze, to był mój przyjaciel, więc byłem na ostatniej odprawie. Byli tam Rómmel, Kutrzeba, Tokarzewski, Czuma i ja. Rómmel oświadczył, że nie ma sensu walczyć dalej, ludność nie ma wody, żywności. Nie ma żadnych szans. Wtedy Tokarzewski wystąpił tam, że pozostanie i będzie tworzył armię podziemną.

Ja wtedy konno z pułkiem w trzysta szabel szedłem do niewoli. Takośmy doszli pod Grodzisk czy Błonie. Dałem wtedy następujący rozkaz, że jak długo ułani są z nami to my, oficerowie nie uciekamy. Z chwilą, gdy oddaliśmy konie i ułani zostali puszczeni do domów dałem rozkaz ucieczki. I sam uciekłem. Pyt.: Jak Pan uciekł?

Odp.: Bardzo prosto. Jako ciężko chory, symulując, zostałem na noszach wywieziony do polowego szpitala przez mego oficera lekarza, Paczkowskiego, to był sławny „Wania”. On mnie wyniósł na noszach z obozu do szpitala, jako umierającego człowieka. Szpital był polski. Jacobson, komendant, już wtedy był w porozumieniu z Tokarzewskim.

To wszystko była „jedna mafia”. Pozostałem przez kilka dni w tym szpitalu. Posłałem do Warszawy cyklistę, który pojechał po ubranie cywilne, zawiadomił moją siostrzenicę, Ewę Szarkowską-Gelejewską, i panią Łubieńską, że jestem w szpitalu. Pewnego dnia przyjechał samochód z flagą Czerwonego Krzyża. W samochodzie siedział Ludwik Plater i moja siostrzenica. I powiedzieli, że przyjechali po mnie. Przebrałem się w ubranie cywilne, poszedłem w kierunku niemieckiego posterunku, kiwnąłem mu ręką, wsiadłem do samochodu i pojechałem. I tak znalazłem się w Warszawie u pani Łubieńskiej. Tam spotkałem pułkownika Godenoskiego, już ukrywającego się pod nazwiskiem Suchodolski i cały szereg innych żołnierzy. Nie było ani chwili załamania. Rozumieliśmy doskonale, że jedną bitwę w wojnie przegraliśmy, ale to nie znaczy, że przegraliśmy wojnę. Wygramy. Zastanawialiśmy się, gdzie wziąć udział w walce. Jedni uważali, że trzeba walczyć w podziemiu, inni że trzeba walczyć we Francji. Ja

chciałem do Francji, z tym zamiarem uciekałem. Nie nadaję się na podziemie. Ale kiedy zobaczyłem „Loursa” i w innych kawiarniach tyle naszych poprzebie-ranych za cywili oficerów i rwących się do jakiejś roboty – postanowiłem, że muszę ich skierować do Tokarzewskiego, który właśnie organizuje podziemie.

Dostałem się do niego przez Albrechta, pułkownika. Powiązałem ich z Tokarzewskim, a sam do Krakowa, żeby stamtąd iść przez Karpaty na Węgry.

Gdy pod koniec października przyjechałem do Krakowa to spotkałem tam mojego znajomego pułkownika Epplera, który mówił mi, że jest dowódcą różnych tworzących oddziałów zbrojnych w konspiracji. Powiedział mi, że musi wyjechać i poprosił mnie czy nie zechciałbym przejąć od niego konspiracji. Powiedziałem mu, że nie nadaję się do konspiracji i powiedziałem, że tu jest mój przyjaciel płk Tadeusz Komorowski w szpitalu Bonfratrów schowany. Poszedłem do niego i Komorowski się zgodził pod warunkiem, że zostanę z nim. I tak zostałem z Komorowskim w Krakowie. Nie wiedzieliśmy kto ma prawo organizować to podziemie. Endecy i stronnictwo Ludowe w Krakowie nie chciało słyszeć o Tokarzewskim, żeby legioniści z powrotem. Poszli do Komorowskiego, żeby to robił bo nie był legionistą. Rudnicki także nie był senatorem.

Postanowiliśmy, że ja najpierw pójde do Lwowa, żeby się dowiedzieć jaka jest sytuacja pod okupacją sowiecką, wrócę z powrotem i napiszemy wtedy raport przyzwoity do Sikorskiego i z tym raportem pójde.

Pojechałem do Lwowa, a właściwie poszedłem przez San koło Przemyśla, bez przewodnika. Takim utartym szlakiem.

Tamta okupacja kolosalnie się różniła od niemieckiej. Tym się różniło, że tam był zupełny bałagan. Po Lwowie kręcący się żołnierze z karabinami na sznurkach. Idiotyzm zupełny. Moje wrażenie było takie, że to nie może trwać. Kompletna głupota. Spotykam mojego przyjaciela, profesora Halbana z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Mówię mu: „W „Czerwonym Sztandarze” jest informacja, że ty podpisałeś taki hołdowniczy list do Stalina”. On na to, że wie, ale z gazety się dowiedział, że coś podpisał.

Uznałem, że groźniejsi są Niemcy, bo tu się musi rozlecieć. Z takim wrażeniem przyjechałem do Krakowa i Warszawy. Ale sam z raportem nie poszedłem, bo znalazł się kurier, który zabrał materiał. Kurierem był Władysław

Techóchowski. Przywiózł nam w krótkim czasie odpowiedź, że prawo organizowania podziemia ma Rowecki, a Tokarzewski ma organizować konspirację w zaborze sowieckim.

Albrecht przywiózł mi sugestię od Roweckiego czy nie zgodziłbym się pójść do Lwowa, jako zastępcą Tokarzewskiego, gdyż znam miasto. Pojechałem do Warszawy, gdzie Rowecki poinformował o sytuacji. Pojechałem do Tokarzewskiego, który mieszkał na Filtrowej. Powiedziałem, że zwalczałem pana generała z powodów politycznych, ale jestem z Lwowa i chętnie pójdę z panem. On się zgodził.

Dostałem 20 dolarów w złocie na drogę, które wręczyła mi pani Karasiówna i poszedłem do Krakowa i stamtąd na Jarosław przez San. Była zima, śnieg, psy po śladach mnie znalazły.

Pyt.: Czy bolszewicy rozpoznali z kim mają do czynienia?

Odp.: Nigdy. Siedziałem półtora roku w więzieniu w Dniepropietrowsku w śledztwie. Wiedzieli, że coś jest nie tak, ale dostałem bardzo łagodny wyrok. 5 lat wolnej zsyłki do Kirowa.

Sam im powiedziałem kim jestem, ale później.

Pyt.: Przychodzi porozumienie Sikorski-Majski. Pan gdzie jest wtedy?

Odp.: Znajduję się w Kirowie i pracuję jako robotnik przy wyciąganiu drzewa z Wiatki. Występuję jako Józef Rumiński.

Pyt.: W momencie, gdy Pan się dowiaduje o amnestii co się dzieje dalej?

Odp.: Najpierw nie uwierzyłem. Słyszałem przemówienie generała Januszajtisa, który wygłasza je gdzieś w Rosji. Mówił wtedy coś o panslawizmie. Żeby z bratnim narodem wspólnie bić Niemców. Brzmiało to bardzo niedobrze. Potem dowiedziałem się z radia, że jest już ambasador, że przyjeżdża generał Szyszko-Bohusz i, że generał Anders został mianowany wodzem. A to już co innego. Wtedy poszedłem do mojego dyrektora fabryki i powiedziałem, żeby mnie puścił. Oni mi powiedzieli, że jestem starik a takich nie potrzeba w wojsku. Nie miałem innego wyjścia i postanowiłem opowiedzieć dokładnie kto ja jestem. Najpierw z Kirowa posłałem list polecony do ambasadora i do Szyszko-Bohusza. Po 5 dniach poszedłem do szefa NKWD i powiedziałem kto ja jestem i poprosiłem o odesłanie mnie do armii. On zbłądł, potem się zastanowił, podał mi rękę i poprosił żebym siadł. Powiedział, że to trzeba przesłać

do Moskwy, przejrzeć i zapytać. Zakazał mi, żebym cokolwiek komuś powiedział i kazał i wrócić z powrotem.

Po dwóch tygodniach zostałem wezwany do NKWD. Przyjął mnie tow. Gawarik, szef kirowskiego NKWD, który ucieszył się bardzo. Świetnie po polsku mówił i powiedział, że szukają pana wszyscy z Andersem na czele. Spytał mnie czy jestem za naszym porozumieniem i czy wszyscy Polacy też popierają porozumienie. Odpowiedziałem, że wszyscy. A on stwierdził, że nie wszyscy bo Zaleski, Sosnkowski

nie są.

Powiedziałem, że nic o tym nie wiem.

Zaproponował mi podpisanie cyrografu, że będę wtyczką NKWD w wojsku polskim. Oczywiście odmówiłem. Ale powiedziałem, że podpiszę z tym, że natychmiast zamelduję o tym w Moskwie.

I posłali mnie pod konwojem do Moskwy. Konwój by bardzo elegancki. Strażnik był z rewolwerem i kielbasą.

W Moskwie czekał na mnie samochód i zawieziono mnie do Narkomdiełu, gdzie przywitał mnie pułkownik Fedyczkin w wspaniałym polskim języku. Cieszył się, że mnie znaleźli, bo wszyscy się o mnie rozbijają. Kazał mi zaczekać, bo szef chce ze mną rozmawiać. Tym szefem okazał się Beria. Czekałem do 2 w nocy i zaprowadzili mnie do Berii. On siedział za stołem, nie wstał jak ja wszedłem tylko zaczął krzyczeć: „Wy nie czestnyj człowiek, wy obmauli. SowietSKUju włast. Pan ukrył kim pan był, pan wie jak się z takim postępuje?” Zdziwiłem się skąd taka zmiana. Więc ja powiadam: „Panie, byliśmy w wojnie ze sobą, wszystko mogłem zrobić, ponieważ prowadziliśmy walkę. Ale kiedy nasze władze zawarły układ, pierwszy powiedziałem kim jestem. Co pan ode mnie chce?” On na to, żebym się nie denerwował i poprosił żebym usiadł. Siadłem i zadał mi takie pytanie: „Czy wszyscy Polacy chcą tego co władze?” I znowu mi wyjechał z Zaleskim i innymi. Powiedziałem, że nic nie wiem, bo siedziałem w więzieniu. „Ja jestem za porozumieniem.” Potem mnie spytał, jakie jest znaczenie operacyjne Skały, to takie miasteczko nad Zbruczem. Powiedziałem, że żadne. Powiedziałem to takoj jewrejskij gorodok. Spytał mnie wtedy, że jeśli miałby tam stać jakiś niemiecki sztab, to gdzie on miałby miejsce. Powiedziałem, że w pałacu Gołuchowskiego, gdzie nieraz polowałem.

Wtedy on mnie poprosił, żebym narysował szkic. Pomyślałem, że jeśli narysuję szkic, każe mi się podpisać, to wyjdę na to jak szpieg. I odmówiłem. Wtedy on powstał i powiedział, że dziękuje bardzo i poprosił żebym zapomniał wszystko, co mnie u nich spotkało.

Ma zapominamy, że pan oszukał nas.

Wtedy ja powiedziałem, że jego podwładny tow. Gawarik w Kirowie zażądał ode mnie podpisania zobowiązania o współpracy z wami, ja to zrobiłem i proszę być pewnym, że natychmiast jak mnie puścicie zamelduję o tym generałowi Andersowi i ambasadorowi polskiemu. Tak się nie robi wśród przyjaciół. On na to się uśmiechnął, otworzył szufladę i wyjął mój cyrograf, podał mi i ja to podarłem.

Odesłali mnie od razu na nasz punkt zborny, gdzie wypłacili mi 3 tysiące rubli odszkodowania. To były wielkie pieniądze - ja tygodniowo zarabiałem 6-7 rubli.

Zgłosiłem się do ambasady. Właśnie był Anders, który się bardzo ucieszył. Powiedział mi, że wyjeżdża do Buzułuku z powrotem i polecił mi wziąć samochód, który tu dostał i kazał mi tym autem pojechać do Buzułuka.

Dostałem wszystkie potrzebne papiery i dojechałem tylko do Kazania, gdzie aresztowali mnie z powrotem, na promie. Wyjaśniło się, że to wszystko w porządku i dalej jechałem samochodem. Oczywiście nie było sposobu, żeby przejechać, więc zawróciłem do Kazania. NKWD wsadziło mnie na statek na Wołdze i tak płynąłem chyba dwa tygodnie do Kujbyszewa. Naszą ambasadę spotkałem tam, gdzie wynieśli się z Moskwy. Kot przyjął mnie bardzo ładnie. Złożyłem mu raport o wszystkich moich przejściach, a także o podpisaniu cyrografu.

Potem pojechałem do Buzułuku i tam Anders mianował mnie zastępcą Okulickiego, który był szefem sztabu.

Pyt.: Jak długo był Pan zastępcą Okulickiego?

Odp.: Jak zapadła decyzja przeniesienia wojska do Uzbekistanu to zostałem wyznaczony na szefa ekipy, aby zorganizować sztab w Jangijul. Już zaczynała się wojna.

Pyt.: Panie generale, jak oceniał Pan w zimie 1941 roku sytuację na froncie?

Odp.: Uważałem, że Rosja wytrzyma uderzenie niemieckie. Dlatego, że

w Moskwie, kiedy byli pod miastem to tam był absolutny spokój. Żadnej paniki, porządek, żadnego zdenerwowania, nic. Z tego co wiedziałem na tyłach nie wyglądało to na rozbite państwo.

Potem, już w Jangi-Jul miałem swoje kłopoty z aparatami podsłuchowymi, zresztą pisałem o tym w moich wspomnieniach.

Miałem także załatwić sprawę rekrutacji Polaków do naszej armii. Tu natknąłem na pierwsze kłopoty. Na pierwszym zebraniu pytam się ich, kto ma prawo wstępować do naszego wojska. A oni na to, że tylko obywatele polscy narodowości polskiej.

Połączyłem się z Andersem i spytałem co mam robić. A on mi odpowiedział, żeby się zgodził na wszystko, bo ludzie i tak będą się pchali i do naszego wojska dojdą.

Z Jangi-Jul zostałem przeniesiony na zastępcę dowódcy 6 dywizji, to się łączy ze sprawą podsłuchów. W Buzułuku wszystko było na podsłuchu, wszędzie Sowietci je pozakładali, ale nasi „dwójkarze” od razu je znaleźli, wyjęli te aparaty z nad biurka Andersa. Anders w mojej obecności poprosił Okulickiego i sowieckiego oficera łączności przy sztabie armii. Anders wyciąga z szuflady mikrofon i mówi – „Toznaleźli nasi ludzie. Po co wy to robicie?”

Przyjechała komisja z Moskwy, prowadziła badania i zameldowała, że to są stare rzeczy, że założono to kiedyś i nie ma to nic wspólnego z polską sprawą.

Obejmując Jangi-Jul wiedziałem, że tam trzeba uważać. I rzeczywiście w kilka dni po przyjeździe wiedzieliśmy, że jest to samo. Specjalnie to założono. Wobec tego Okulicki wezwał Wołkowickiego, tego oficera NKWD, łącznikowego i powiedział, że on sobie wyprasza takie rzeczy. I ten enkawudysta znikł. Ale i trzeba było wycofać Okulickiego. Poszedł na dowódcę 7 dywizji. Okulicki bardzo się zdenerwował i zagroził Wołkowickiemu wielką awanturą. On stawiał sprawę ostrzej niż generał Anders. A szefem sztabu został Szyszko-Bohusz. Ja poszedłem do Tokarzewskiego. I tam byłem aż do ostatecznej ewakuacji. Wyjeżdżałem z Rosji prawie ostatnim transportem.

Pyt.: Na końcu był jeszcze ppłk Zygmunt Berling.

Odp.: Tak. On był szefem ewakuacji. Po raporcie, który miał on u Andersa, a byłem przy tym, kiedy Anders skazał go na 21 dni aresztu.

A było to tak. Generał Boruta-Spiechowicz zawiesił w czynnościach swe-

go szefa sztabu – Berlinga. Anders wezwał ich obu do raportu. Boruta-Spiechowicz powiada: „Musiałem go zawiesić, ponieważ on nie wykonał mojego rozkazu.” Za to Anders skazał Berlinga na areszt. Po raporcie Anders powiada do mnie: „Wiesz jak Berling taki przyjaciel Stalina, to niech pilnuje w Krasnowodzku, żeby wszystkich nas ewakuowali.”

Pyt.: Panie generale, czy panowie podejrzewali prosowieckie sympatie Berlinga?

Odp.: Nie tylko podejrzewaliśmy. Wiedzieliśmy. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Wiedzieliśmy, że był w willi „Małachowka” z kilkoma innymi, że przeszkolono ich tam. Wiedzieliśmy, że oni go trzymają w rezerwie. Myśmy wiedzieli absolutnie kto to jest Berling. Ja go dobrze znałem jeszcze sprzed wojny. To był bardzo inteligentny człowiek, z 5 pułku Legionów tych „zuchowatych”. Miał jakieś trudności moralne, został zdjęty -w dowództwa i posłany do Komendy Uzupelnień. To było zupełne dno. On się obraził o to. To jego koledzy od „zuchowatych” są generałami, wojewodami a on niczym.

I Sowietci to wykorzystali. On nigdy nie wierzył w żaden komunizm. Miał za to kolosalne ambicje. I postanowił się odkuć. Chciał wkroczyć z Sowietami do Warszawy i odegrać rolę Piłsudskiego.

Pyt.: Jak Pan Generał ocenia z perspektywy lat decyzję o ewakuacji?

Odp.: To była konieczność. Nie było innej rady. Próba współpracy z Sowietami rozpoczęta przez Sikorskiego okazała się zupełnie nierealna. Gdyby Anders dał się kupić to zatracono by polską armię. A trzeba pamiętać, że Stalin robił wszystko co mógł, aby kupić Andersa. Wręcz przeciwnie, Andersowi udało się stworzyć bardzo mocną moralnie armię, której nie dałoby się rozbić bez rozlewu krwi.

Ewakuacji chciał Anders, chciał Sikorski, chciał Stalin. Innego wyjścia nie było.

Pyt.: Jak dalsza Pana kariera?

Odp.: Jako zastępca Tokarzewskiego poszedłem do Persji i Iraku, gdzie nastąpiło przeorganizowanie. Z 5 i 6 dywizji stworzona jedną, Kresową pod Sulikiem. Ja dostałem 6 Brygadę Lwowska. Mieliśmy tam Batalion „Dzieci Lwowskich”, z których powstał Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich”, to wszystko Lwowiacy. Był cudowny lwowski nastrój. Tokarzewski świetnie takie rzeczy

prowadził. W Rosji przed każdym namiotem była mapa Polski z kamieni ułożona, ze Lwowem. Sowietcy pułkownicy straszne awantury o to robili.

Pyt.: Stacjonował Pan w Palestynie czy były u Pana wypadki dezercji żołnierzy narodowości żydowskiej?

Odp.: Tak. Myśmy traktowali to tak, że szereg Żydów wbrew woli sowieckiej wyjechało z nami np. Begin był u nas kapralem. To byli zwolennicy Żabotyńskiego. Tam się toczyła walka między okupantem, czyli Brytyjczykami a „Haganą”. Są dwie wersje, jeśli chodzi o dezercję tych 800 Żydów: jedna, że Begin poszedł do Andersa i powiedział, że teraz jego ludzie idą do walki jako „Hagana” z Brytyjczykami. A na to Anders miał powiedzieć, że ich rozumie i nie będzie ich ścigał. Faktem jest, że Anders zakazał żandarmerii ścigania uciekinierów żydowskich.

Pyt.: Potem przychodzą Włochy i Monte Cassino.

Odp.: Do Włoch zostałem posłany już w listopadzie 1943 roku, żeby zrobić rekonesans. Byłem wtedy w 78 dywizji brytyjskiej na stażu. Ale potem, na przełomie 43/44 wylądowaliśmy w Taranto i byłem tam, jako zastępca generała Sulika w 5 dywizji. I tak zacząłem tę wojnę. Mieliśmy układ z Brytyjczykami, że nasz Korpus musi przejść wcześniej rodzaj przeszkolenia wojennego, takie otrząskanie z ogniem. Do marca 1944 roku byliśmy na takim drugorzędnym froncie. Dopiero po klęsce Nowozelandczyków pod Monte Cassino przyszła decyzja o majowej nowej ofensywie. I w tej ofensywie wezmą udział korpus brytyjski i polski.

Nie mieliśmy wyboru, czy się bić – zostawiono tylko Andersowi wybór w dolinie czy w górach?

Kto kiedy słyszał o dolinie rzeki Lizy, a o klasztorze Monte Cassino – wszyscy. Idziemy na klasztor.

Pierwsze natarcie prowadziła 5 brygada pod dowództwem płk. Kurka, bardzo dzielnego żołnierza. W czasie pierwszego natarcia byłem razem z Sulikiem. Powstaje pytanie czy można było obejść Monte Cassino, czy bitwa była potrzebna? Była. Z takimi wojskami, jakie mieli Brytyjczycy czy Amerykanie, Wszystko było na trakcie motorowym. Oni musieli mieć drogę. Piechotą można jak Marokańczycy we Francuskim Korpusie, ale nie nowoczesne wojsko.

Dlatego Monte Cassino musiało być zdobyte.

Nie wolno nam było zdradzić, że my tam jesteśmy, to była tajemnica. Wobec tego nie można było rozpoznać pozycji, aby nie utracić jakiegoś jeńca. Trzeba było iść na ślepo. O ile w 3 dywizji było 70 metrów od przeciwnika na Głowie Węża, to u nas było 3 kilometry. Myśmy nie znali nawet źródeł ognia.

Drugie natarcie, które ja prowadziłem, kiedy złamała się 5 dywizja, to zostałem wysłany 12 maja rano pod klasztor. Miałem zrobić porządek i objąć dowództwo. Odwołano planowane natarcie na popołudnie 12 maja i przesunięto je na 16-go. Miałem więc trochę czasu na przygotowanie natarcia. Przygotowaliśmy się do ataku bardzo porządnie. Ruszyliśmy w nocy. Pierwszy uderzył 16 batalion na Widmo i kiedy oni to zdobędą to 17 batalion pójdzie dalej, na San Angelo. Mój plan się udał, 16 batalion dowodzony przez Stańczyka zdobył po dużych kłopotach jedną część tego Widma. Kiedy mi zameldowali, że Widmo jest nasze to skierowałem 17 batalion o świcie. Powiedziałem mu, że ma przejść dolinę i pójść na San Angela. Nie wolno wam się cofać. Macie pchać się do góry, wtedy unikniecie ognia niemieckiego.

Batalion poszedł. Pod wieczór sytuacja stała się bardzo kryzysowa. Żołnierze byli już pod samą górą, pod szczytem. Doszło ich tam niewiele. Zabrakło wody i amunicji. Kompania Leskiewiczza zaległa pod samym szczytem i kiedy zabrakło amunicji, to zaczęli kamieniami rzucać w Niemców. Zaczęli wtedy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”. Tak było.

Już 17 maja Niemcy podjęli decyzję o odwrocie.

To była bardzo ciężka bitwa i bardzo drogo nas kosztowała. 900 zabitych. Walczące bataliony miały po 25% strat.

Po tej bitwie dowódca zaproponował rozwiązanie Korpusu i stworzenie tylko jednej dywizji, to samo, co zrobili z Nowozelandczykami.

Anders odmówił i powiedział: „Ja będę miał uzupełnienie. Moje uzupełnienia są z przodu.” Poszedł z tym do Alexandra, który to zrozumiał, że mamy masy w obozach jenieckich, w Afryce, Polaków siłą wciągniętych do wojska niemieckiego, i myśmy ściągnęli ich do naszego wojska.

W walce o Bolonię dowodziłem dywizją, gdzie dwie brygady były tylko z Polaków z armii niemieckiej. Łącznie z biskupem Szczepanem Wesołym.

Zostałem generałem i dowódcą dywizji specjalnie stworzonej do wali o Bolonię.

Pyt.: Jest początek 1945 roku. Sytuacja Polski na arenie międzynarodowej jest coraz trudniejsza. Coraz bardziej niekorzystna. Wracając z Jałty Churchill rozmawia z generałem Andersem.

Odp.: To było dla nas – „bić się czy nie bić”. Anders zorganizował odprawę, powiadomił nas o Jałcie, o popełnionej tam zbrodni. I wobec tego dla nas jest jeden problem – „bić się czy nie bić”.

Postawił problem, czy mamy prawo żądać od żołnierza oddania życia, czy nie? Zwłaszcza wobec oddania Stalinowi połowy Polski.

Anders pytał nas o zdanie. Powiedziałem, że Niemcy nie są jeszcze pobite i musimy wojnę z nimi kończyć. Pozostaje nam nadzieja, że powstanie konflikt Wschód-Zachód i nasze sprawy załatwimy później. Najpierw obowiązek a potem przyjemność, czyli wojna z Sowietami. I tak zdecydował Anders. Takich rad oczekiwał, zresztą wcale rad nie potrzebował, gdyż doskonale wiedział co robić.

I biliśmy się, aż do końca. Po zajęciu Bolonii, zostałem przeniesiony nagle do Niemiec, aby objąć I Dywizję Pancerną, która właśnie wchodziła do Niemiec. Pojechałem tam z listem do Montgomeryego od mego dowódcy 6 armii McLeary’ego, z którym bardzo się przyjaźniłem. To był pierwszorzędnny człowiek.

W Holandii zameldowałem się u Montgomeryego jako nowy dowódca dywizji. Montgomery przyjął mnie bardzo dobrze, ale zażądał, żeby Maczek dowodził do zakończenia kampanii.

Po kapitulacji Niemiec Maczek odleciał do Szkocji, żeby objąć korpus. Ten korpus miał przyjść do Niemiec, gdzie miał przyjąć II Korpus i miała być stworzona wielka armia polska. To był plan Andersa, i plan ten został zaakceptowany przez generała Alexandra. Ale obalił to Churchill. Na to Stalin nigdy by się nie mógł zgodzić.

W okresie, kiedy zapadła decyzja o zaprzestaniu uznawania rządu polskiego wezwał mnie do siebie Montgomery na rozmowę. Rozmowa odbyła się w obecności dowódcy mojego korpusu – gen. sir Ivory Thomasa. Rozmowa była bardzo prosta. Zapytano V mnie jak traktuje obecne decyzje polityczne.

Montgomery spytał: „Czy mogę liczyć na Pańską dywizję?” Byliśmy jedyną jednostką w pełni gotową, gdyż Brytyjczycy byli już w trakcie demobilizacji, a nie było wiadomo co zrobią Niemcy.

Powiedziałem: „Panie Marszałku, mamy swój legalny rząd z siedzibą w Londynie. Jeżeli mi każą tu pozostać, to może pan na mnie liczyć. Ja was nie zdradzę.” Montgomery był najmniej sympatyczny ze wszystkich generałów z którymi walczyliśmy. Montgomery zupełnie nie rozumiał naszej sytuacji. To był czysty żołnierz, który wykonywał rozkazy swego premiera. Nie miał do nas żadnych sympatii.

Pyt.: Panie generale, kończy się wojna. Co dalej z panami, z armią, z resztą ludzi?

Odp.: Sytuacja Andersa jest dla mnie zupełnie jasna. On wierzył, że musi dojść do wojny Wschód-Zachód, do tej „przyjemności”. Wobec tego trzeba jak najwięcej ludzi utrzymać i nie dać się rozproszyć. Kazał mi robić to samo w Niemczech.

Ja miałem inną sytuację. Inny żołnierz. Było tam 1,5 miliona Polaków, obozy jenieckie. Ale moje stanowisko było takie samo jak Andersa. Nie wierzyłem, że Anglicy i amerykańanie zachowają się jak dzieci.

Pyt.: Ogromne obowiązki w Niemczech spadają na Pana, ma Pan kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi pod sobą, 1,5 miliona Polaków patrzących na Pana.

Odp.: Wezwałem mego szefa sztabu, płk Stankiewicza i powiadam: „Skończyła się wojna. Teraz obowiązkiem naszej dywizji to ratowanie naszej ludności tutaj. Czym tylko można.”

Stworzyłem specjalny sztab ze Stankiewiczem na czele, potem Niedzielskiego, kwatermistrza z 10 brygady. Udało się nam fantastycznie zorganizować pomoc. Mieliśmy pocztę polową, opiekę społeczną, mniej więcej robiliśmy to samo co kilka lat wcześniej w Rosji.

Aby to wszystko funkcjonowało potrzebne mi było jakieś polskie miasto. Przyjechał do mnie generał Horroks, dowódca 30 Korpusu, któremu ja podlegałem, wielki przyjaciel Polaków i spytał co może zrobić dla mnie. Poprosiłem go o jedno miasto. Generał powiedział: „Good idea”, pojechaliśmy i wybraliśmy to miasto. Było to na samej granicy holenderskiej – miasto, które miało

4 000 mieszkańców. W ciągu 25 godzin Niemcy mieli się stamtąd wynieść i zostawić wszystko na miejscu. Wszystko zostało wykonane i miasto zostało mnie oddane. Jak je nazwać, oczywiście nazwano je Maczków.

I w ten sposób powstał Maczków i stał się ośrodkiem, przede wszystkim centrum szkolnictwa. Centrala była w Maczkowie, ale organizacja objęła całe Niemcy. Później utworzono harcerstwo. Opiekę społeczną. Masy ludzi przyjeżdżało, uciekinierów z Polski. Zrobiłem burmistrzem Maczkowa, mego przyjaciela Zygmunta Gałęckiego, z 2 Pułku Ułanów Legionowych. Wszystkie ulice pozmienialiśmy dając im lwowskie nazwy. To trwała do 1947 roku. Okazało się to straszną przeszkodą dla Brytyjskiej Komisji Kontroli i UNRRA, a ta ostatnio, która miała pomagać, w rzeczywistości przymuszała Polaków, żeby wracali do Polski. W końcu w 1947 przyszedł do mnie pułkownik z Komisji Kontroli i powiedział mi w zaufaniu, że zapadła decyzja, że Maczków musi być oddany Niemcom. Zapytałem go, kto to ma wykonać. I w odpowiedzi usłyszałem, że ja, jako gubernator. Zgodziłem się, że wykonam polecenie, ale pod warunkiem, że dostanę rozkaz na piśmie, i ten rozkaz pošlę natychmiast do Londynu i tam będę interpelacje w parlamencie.

Nigdy na piśmie rozkazu nie dostałem. I Maczków trwał do jesieni 1947 jako miasto polskie.

Pyt.: Ilu tam było ludzi?

Odp.: Naszych, Polaków było 9, może 10 tysięcy.

Było to jedyne wolne polskie miasto w świecie.

W końcu przyszedł rozkaz oddania broni i przeniesienia całej dywizji do W. Brytanii. Byłem wtedy zastępcą generała Kopańskiego, który był szefem Korpusu Rozmieszczenia i Przystosowania. Miałem przez dwa lata etat generalski i potem musiałem pójść do pracy jak wszyscy.

Pyt.: To był przeskok – generał przechodzi do cywila.

Odp.: Powiedzieli mi, że pieniędzy nie dostanę, gdyż polskie emerytury przekazano do Polski. Zaproponowano mi, żebym pojechał, jako prywatna osoba do Polski. A mnie pozbawiono obywatelstwa w międzyczasie. Wobec tego uznałem, że mam prawo być w Anglii i traktowany jak każdy obywatel brytyjski.

Poszedłem do pośrednictwa pracy, a tam pytają mnie kim jestem z zawodu.

Odpowiadam, że służyłem w kawalerii. A oni na to, że świetnie. Bardzo potrzeba nam groomów do koni. Cóż, musiałem im podziękować. Dali mi jednak 1000 funtów ex gratia i 2000 funtów pożyczki na 10 lat, bez procentu.

Kupiłem sklep na Fulham Road z antykami, z meblami. Rzeczywiście zarabiałem bardzo dużo, miałem ze dwunastu ludzi zatrudnionych. Wtedy nasi Polacy pozbawieni wszystkiego kupowali domy biorąc pożyczki, które łatwo było dostać. Tak właśnie powstały polskie majątki na Wyspie.

Sklep prowadziłem do początku lat 50-tych. Moją prawą ręką był mój dowódca brygady, generał Nowina-Sawicki. Ale z czasem zbyt silnie zaczęliśmy inwestować i ponosiliśmy straty.

Tymczasem ja chodząc po licytacjach, gdzie zdobywałem meble widziałem tam masę obrazów. Malarstwo zaś zawsze było moim hobby i zacząłem je skupować. W związku z tym, że były bardzo zniszczone zacząłem prowadzić renowację. Spotkałem pułkownika Szylinga, sapera, mojego kolegę jeszcze ze Szkoły wojennej i okazało się, że on jest specjalistą od renowacji obrazów. Od niego nauczyłem się zasad konserwacji. Jak umiałem tak obrazy konserwowałem i sprzedawałem. Zobaczył to pewien właściciel galerii obrazów z New Bond Street i zaproponował mi, żebym rzucił sklep i przyszedł do niego. Okazało się, że chodzi o rzucenie dużej ilości olejnych obrazów na rynek skandynawski, a w Anglii minęła na to już moda. I tak poszedłem do niego. Pracowałem tam przez dwa lata. On nam dostarczał obrazy a myśmy je restaurowali. Co miesiąc jechał z obrazami do Sztokholmu i sprzedawał je tam z dużym zyskiem. Przez dwa lata wypełnił rynek skandynawski.

A ja przy okazji nabrałem wprawy przy konserwacji, która nie była konserwacją muzealną, tylko handlową.

Kiedy był jakiś ładny portret kobiety, to domalowywało się różę na dole, a kiedy był portret człowieka z wąsami to trzeba było te wąsy zgolić.

Ponieważ byłem już dość znany, zwrócił się do mnie ministerstwo opiekuńcze się dziełami sztuki, że jest do odnowienia sufit malowany w 1729 roku w Moore Park i zaproponowano mi renowację.

I w końcu, jako generał pracowałem na rusztowaniu. Bardzo dobrze na tym zarabiałem. Później pracowałem także w Ameryce przez kilka lat. Dużo się przy tym nauczyłem.

Pyt.: Panie Generale, a jaka jest recepta na taką jak Pana Generała aktywność?

Odp.: To jak Pan Bóg da zdrowie. Ale mnie wydaje się, że podstawą jest miłość. Trzeba coś kochać, i to nie tylko jak dawniej za młodych lat kochało się kobiety, trzeba kochać życie, trzeba mieć pasję. Człowiek nie tylko żyje chlebem, ale i duchem. Jeżeli znajdzie się pokarm dla ducha, to sił fizycznych starczy. To jest moja recepta na życie.

Pyt.: A jakby Pan Generał scharakteryzował dorobek polskiej emigracji niepodległościowej?

Odp.: Dorobek jest wielki, kolosalny. A to dlatego, że oparliśmy się na tym, że jesteśmy ciągle suwerennymi wojskami. I dalej zostaliśmy żołnierzami Wolnej Polski. To nam pomogło.

Wielką rolę odegrał u nas prezydent Raczyński. On pierwszy powiedział, że naszą rolą jest teraz służebność Polsce.

Pyt.: Panie Generale, stykał się Pan w życiu z wieloma ludźmi, lecz dzisiaj w rozmowie padło najczęściej nazwisko tu na emigracji i w kraju legendarne – Władysława Andersa. Czy mógłby Pan przybliżyć Generała jako człowieka i dowódcę?

Odp.: Pochodził gdzieś z Bałtów, chodził w Rydze na uniwersytet, był w „Arkonii” – był wybitnym Polakiem. Był świetnym żołnierzem, jeszcze za rosyjskich czasów w tamtej armii skończył jako podpułkownik z wszystkimi najwyższymi odznaczeniami. Posiadał bardzo silną wolę. Miał zdolność dawania rozkazów, zadań i pozostawiał swobodę wykonania tych zadań. Swoje zdolności polityczne pokazał w Rosji, nikt by tak dobrze nie mógł rozwiązać problemu współpracy z Sowietami jak on.

Był na miarę hetmanów dawnej Polski. Zawsze służył tylko Polsce. A miał przy tym ogromną charyzmę. Przecież ci żołnierze, jak wariaci pchali się na to Monte Cassino, to można tylko raz zrobić. Ale to tylko dzięki niemu.

Naszą emigrację stworzył Generał Anders. Był on twórcą „polskiego Londynu”.

Londyn, 1988 rok

POLITYKA TO JEST BARDZO RACJONALNE ZAJĘCIE

Zamieszczony poniżej zapis rozmowy Macieja Szumowskiego z Leszkiem Moczulskim to niemal wierna kopia tekstu, który został opublikowany przez krakowską KPN w 1985 roku.

Rozmowę w lutym 1985 roku (a więc na miesiąc przed wyborem Gorbaczowa na genseka w Związku Sowieckim) przeprowadził znany wówczas dziennikarz, były redaktor naczelny wydawanej przez KW PZPR w Krakowie „Gazety Krakowskiej”. Gazeta ta w okresie Karnawału Solidarności była uważana za jeden z nielicznych rzetelnych dzienników ukazujących się oficjalnie (choć prezentujących – oczywiście – lewicowy punkt widzenia, tożsamy z tzw. nurtem reformatorskim w PZPR). Po 13 grudnia redakcję „Gazety” zwolniono i Szumowski znalazł się poza prasą oficjalną. Związał się wówczas z drugim obiegiem kultury i – m.in. – w ośrodku ks. Kazimierza Jancarza w Mistrzejowicach w Nowej Hucie przeprowadzał długie rozmowy, rodzaj notacji, z działaczami opozycji. Zapisy filmowe tych rozmów były następnie kolportowane niezależnymi kanałami i emitowane, np. w salkach katechetycznych.

Po drugiej stronie mikrofonu mamy Leszka Moczulskiego. Kilka miesięcy wcześniej wyszedł z więzienia, w którym spędził niemal 4 lata (z krótkimi przerwami – od 23 września 1980 r. do sierpnia 1984 r.). Niemal natychmiast po znalezieniu się na wolności Moczulski zwołał w swoim mieszkaniu konferencję prasową i zapowiedział kontynuowanie działalności Konfederacji Polski Niepodległej. W grudniu 1984 roku odbył się II Kongres tej partii. Doszło do rozłamu – odeszła grupa Romualda Szeremietiewa oraz Tadeusza Stańskiego (która wkrótce utworzyła ugrupowanie – Polską Partię Niepodległościową,

PPN). W uchwale politycznej II Kongresu KPN czytamy: „Weszliśmy w decydujący okres polskiej rewolucji niepodległościowej. Społeczeństwo w obecnym stanie świadomości coraz pełniej rozumie nasz generalny cel, jakim jest Niepodległa i Demokratyczna Rzeczypospolita”.

Stwierdzenie, że społeczeństwo rozumie przedstawiony wyżej cel było nieco na wyrost. Spora część społeczeństwa (zdecydowana większość) nadal uważała ten cel za nierealny. Rzecznikiem tej grupy w przytoczonej tu rozmowie był Maciej Szumowski.

Pamiętam, że gdy w połowie lat 80. widziałem po raz pierwszy to nagranie, większość widzów, którzy oglądali film razem ze mną, uważała Szumowskiego za realistę a Moczulskiego – za (niebezpiecznego) marzyciela. Nie będę także przekonywał, że sam miałem wtedy pewność realizacji tego celu. Słowa Mirosława Hermaszewskiego, który po powrocie z lotu w kosmos miał powiedzieć, że łatwiej jest człowiekowi oderwać się do Ziemi niż Polsce od ZSRR, wyrażały powszechne w latach 80. przekonanie. Przekonanie to wkrótce uległo wzmocnieniu – w marcu 1985 r. Moczulski i inni przywódcy KPN zostali aresztowani a na początku 1986 r. w drugim procesie KPN skazani na kary więzienia. Wydawało się, że Opatrzność w krótkim czasie napisała pointę do tej rozmowy przyznając rację argumentom Szumowskiego. Wiemy co było dalej...

To zabawne, jak dziś, po 32 latach od tej rozmowy, role się odwróciły. Dzisiaj to Moczulski zdaje się nam realistą a Szumowskiego postrzegamy jako człowieka małej wiary, oderwanego od rzeczywistości.

Dziś, gdy większość osób zaangażowanych w latach 80. w działalność niezależną, twierdzi, że walczyła o niepodległość (i być może nawet sama w to dzisiaj wierzy) – a przecież była to znikoma część społeczeństwa, która w ogóle angażowała się w działania antysystemowe – warto przypomnieć, jaki był rzeczywisty stan ducha aktywnej części społeczeństwa na 4 lata przed pamiętnym rokiem 1989. Dlatego zachęcam do uważnej lektury nie tylko słów Moczulskiego, ale także (niekiedy bardzo obszernych) pytań i wywodów Szumowskiego. Pamiętajmy o kontekście historycznym tej rozmowy.

A poza wszystkim innym jest to przykład fascynującej intelektualnej szermierki na argumenty na bardzo wysokim poziomie merytorycznym

i erystycznym (z obu stron). A także przykład wielkiej kultury politycznej rozmówców, którzy mimo dzielących ich głębokich różnic, potrafili przeprowadzić długą i ciekawą dyskusję, okazując sobie wzajemnie szacunek.

Można zapytać, gdzie się to zgubiliśmy?

Mirosław Lewandowski

Maciej Szumowski: Przyznam, że jestem bardzo poruszony, a nawet wzruszony, że mam okazję po raz pierwszy w życiu z Panem rozmawiać. Wszak jest Pan człowiekiem o charakterze niezłomnym, człowiekiem, który bardzo wiele wycierpiał w obronie nie tylko swojej przecież sprawy, swoich idei. To nie jest stwierdzenie kurtuazyjne. Ono wyznacza podstawową płaszczyznę naszej rozmowy. Mam głęboki szacunek dla Pana, dla Pańskich osobistych przeżyć, dla Pańskiej woli walki. Byłbym fałszywy, gdybym w dalszym ciągu rozmowy starał się uprawiać jakąś fałszywą kurtuazję. To moje wzruszenie powinno być tak wykorzystane, byśmy mogli szczerze porozmawiać, nie kryjąc nawet ewentualnych różnic poglądów. Sądzę, że na tym polega kultura polityczna. Chciałbym z tej rozmowy coś wynieść, chciałbym zadać pytania, które mnie nieraz nurtowały w sprawie Pańskich poglądów czy poglądów KPN. Sądzę, że w tej atmosferze zaufania, przyjaźni, pewnego nawet mojego wzruszenia, szczerze i normalnie będą brzmiały pytania, które w innej sytuacji może wydałyby się drastyczne.

Czy nastąpiła jakaś ewolucja poglądów Pańskich, założmy od stanu wojennego, pobytu w więzieniu, amnestii? [...].

Leszek Moczulski: Nie, zupełnie nie. Może jakieś drobne zmiany w poglądach na jakichś ludzi... Przyznam, że w pewnym, niewielkim wprawdzie stopniu, zmieniłem pogląd na Dobraczyńskiego, bo nigdy go specjalnie nie ceniłem (jakkolwiek to niezły pisarz). Natomiast w sprawach zasadniczych to stan wojenny był tylko potwierdzeniem tego co my mówiliśmy cały czas i nic dla nas nie zmienił. To był tylko dowód naszej racji.

Maciej Szumowski: Rozumiem, że to nawet łatwo tak przyjąć w kategoriach ogólnej ideologii. Ale czy w sferze pewnej strategii, którą Pan proponuje, strategii ruchu oporu, czy nawet walki, czy w tej politycznej płaszczyźnie nic się nie zmieniło?

Leszek Moczulski: Ja przewidywałem wcześniej, jeszcze do lata 1980 roku, że w momencie kiedy się w Polsce rozpocznie rewolucja – bo te zjawiska trwające od roku 1980 to dla mnie rewolucja – przewidywałem, że ta rewolucja, tak jak każda, będzie miała kilka kolejnych wierzchołków, kilka kolejnych apogeów i że po każdym takim silnym uderzeniu społeczeństwa będzie następowała jakaś reakcja władzy. Pewnym zaskoczeniem dla mnie było to, że siła tego społecznego wybuchu latem 1980 roku i jego bezpośrednie następstwa były większe niż przypuszczałem. W pewnym momencie latem 1980 roku zacząłem się zastanawiać, że może ta cała historia ograniczy się tylko do jednej eksplozji. Ale w zasadzie moje wcześniejsze przekonania polegały na tym, że sądziłem, iż nastąpi wybuch społeczny – reakcja władz – uspokojenie, przyduszenie tego – następny wybuch. I tak dalej. Jestem zresztą przekonany, że w jakimś względnie nieodległym czasie, nie później chyba niż w ciągu kilkunastu miesięcy dojdzie w kraju do kolejnej eksplozji społecznej. I wcale nie twierdzę, że będzie ona ostatnią.

Maciej Szumowski: Czyli przewiduje Pan niejako permanentne wybuchy?

Leszek Moczulski: Każda rewolucja idzie przez swoje etapy. Rewolucja – cóż to jest? Pewien układ stracił równowagę i ten układ się wali. Inaczej w przypadku ewolucji. Gdy dochodzi do ewolucji, to układ tracąc równowagę przekształca się i jakąś równowagę jednak cały czas zachowuje. Natomiast jeśli równowaga w układzie jest utrzymywana dość sztucznie, to po pewnym czasie brak ewolucji powoduje katastrofę, bo rewolucja to katastrofa, to jest stan chorobowy. Z tego stanu chorobowego wyrasta zawsze nowa równowaga. Pytanie tylko – jak to przebiega? W historii, także w tej, w której my uczestniczymy i w jakiejś mierze ją przecież tworzymy, przebiega tak, że jest z reguły więcej niż jeden wstrząs, zwłaszcza w takiej sytuacji jak w Polsce, kiedy to wzbierało od tak długiego czasu. Jest wiele czynników, które trzeba wziąć pod uwagę: charakter społeczeństwa, jego strukturę demograficzną, zmiany świadomości i masę, masę innych. Powodują one, że jest to wielka rewolucja, czy jak ktoś inny by wołał – ciąg, zespół po sobie kolejno następujących rewolucji, który musi mieć swoje punkty kulminacyjne.

W Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tej najbardziej znanej, mieliśmy po kolei: wybuch lipca, następnie drugi wielki wybuch sierpnia kiedy obalono

monarchię. Potem właściwie trzeci wybuch, który postępował w okresie pełnego już terroru robespierrowskiego. Ale w istocie mieliśmy następnie jeszcze jeden wybuch, inaczej wyrażony, który rewolucję przekształcił w dyktaturę wojskową. Cały ten czas zamykał się w kilku takich eksplozjach.

Ponieważ nasza rewolucja w której uczestniczymy należy do gatunku tych wielkich z racji energii, która w niej działa, tej energii społecznej która występuje w ogromnym rozmiarze, to zakładam, że będzie pewna ilość kolejnych eksplozji, przy czym po pierwszej władza opanuje sytuację. Tak wielki był rozmiar ruchu sierpniowego, tak potężna i wspaniała była i jest, tak wspaniała okazała się „Solidarność”, że w pewnej chwili zacząłem, siedząc w więzieniu, myśleć sobie, że może to pójdzie troszeczkę inaczej, że w jednym ciągu ta cała sytuacja zostanie opanowana. Niestety tak się nie stało. Odbędzie się więc to w kilku wybuchach. To wybuchy stworzą nową równowagę. Jestem przekonany, że wiem jaka to będzie równowaga. Będzie to równowaga Polski Niepodległej.

Maciej Szumowski: Oczywiście jest to dość teoretyczny wywód i bardzo potrzebny. Natomiast my rozmawiamy między innymi dla potrzeb ludzi, którzy niekoniecznie interesują się aż tak głęboko historią. Aby przybliżyć im Pańskie poglądy chciałbym zadać Panu kilka być może prostych pytań, ale według mnie ważnych dla każdego z nas. Jaki jest Pana stosunek do strategii Wałęsy?

Leszek Moczulski: Bardzo trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, bo musielibyśmy zdefiniować strategię Wałęsy. Każdy z nas prowadząc jakieś działania opiera je częściowo na świadomym wyborze, ale bardzo często występują elementy, które nie zawsze wynikają ze świadomego wyboru. Ja nie chciałbym określać jak to jest u Wałęsy. Rozmawiałem z nim ostatnio dwukrotnie czy trzykrotnie. Jego strategia jest ostrożna, pełna wątpliwości. Sądzę, że on sobie zdaje sprawę z trudności sytuacji i ciężaru odpowiedzialności, która na nim spoczywa. Przypuszczam, że Wałęsa sądzi, że błędny krok może być bardzo kosztowny. Myślę, że nie ma on wyraźnej, skonkretyzowanej wizji przyszłości i to mu przeszkadza. Jest i jeszcze długo będzie atakowany ze wszystkich stron.

Ale sądzę, że Wałęsa chce osiągnąć cel, który widzi i który w pełni popieram.

Celem tym jest odbudowa „Solidarności” jako jawnej, w pełni uznanej legalnej struktury. Moim zdaniem „Solidarność” – zakazana czy nie – jest strukturą legalną, ponieważ tak stanowi prawo. Chodzi o przepisy wynikające z Konwencji Wiedeńskiej (która stwierdza, że konwencje międzynarodowe mają pierwszeństwo przed aktami krajowymi) oraz z konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy (NSZZ „Solidarność” jest jej członkiem), która mówi, że związki zawodowe nie wymagają rejestracji. Biorąc więc pod uwagę PRL-owskie ustawodawstwo należy stwierdzić, że zgoda „Solidarności” na rejestrację była gestem politycznym, który wychodził poza obowiązki prawne. „Solidarność” jest obecnie dla mnie strukturą legalną. Legalność ta nie jest obecnie uznawana przez władze i dlatego nie jest ona jeszcze w stanie działać jawnie. Sądzę, że Wałęsa dąży do tego żeby z powrotem została uznana legalność „Solidarności”. Jest to obecnie bardzo ważny cel.

Maciej Szumowski: Ale czy cel ten jest obecnie realny?

Leszek Moczulski: Na pewno. Z mojego punktu widzenia ten cel, to jest jedna trzecia drogi którą mamy do przebycia. Ten cel, który dla Wałęsy być może jest celem zasadniczym, dla mnie jest także celem, ale jest to cel pośredni, który prowadzi nas do celów naprawdę zasadniczych.

Maciej Szumowski: Zadam bardzo proste pytanie; czy KPN istnieje?

Leszek Moczulski: Tak. Konfederacja Polski Niepodległej istnieje. Jest wielotysięczną strukturą obejmującą cały kraj. W grudniu (1984 rok) mieliśmy II Kongres KPN, zostały na nowo wybrane władze naczelne, zostały dokonane rozmaite zmiany statutowe i inne. Trwa przebudowa organizacyjna struktur. Jesteśmy gdzieś na półmetku pracy. W najbliższych dniach będą ogłoszone przynajmniej najważniejsze dokumenty Kongresu, a przede wszystkim nasza uchwała polityczna, programowa, dość obszerna bo zajmuje 10-15 stron gęstego maszynopisu¹.

Maciej Szumowski: Czy w związku z tym dałoby się wydzielić jakieś różnice w ideologii, taktyce, strategii walki między KPN a linią, którą z grubsza możemy nazwać „linią Wałęsy”?

¹ Zob. http://www.earchiwumkpn.pl/dokumenty_kpn/uchwala_polityczna_II_kongresu.pdf

Leszek Moczulski: Wałęsa jest przywódcą „Solidarności”. „Solidarność” jest przede wszystkim związkiem zawodowym, choć możemy powiedzieć, że ten związek przekształcił się w ruch społeczny. Sądzę, że byłoby nieszczęściem gdyby był on partią polityczną. Zresztą „Solidarność” jako związek, czyli najbardziej masowa forma organizacji społecznej, obejmująca teoretycznie całość pracujących musi być wewnętrznie i politycznie zróżnicowana. Z góry możemy przyjąć, że w każdym związku zawodowym większość członków nie musi być w ogóle ani politycznie zaangażowana, ani nawet mieć wybranych jakichś wyraźnych opcji politycznych (w znaczeniu, że opowiadają się za tą czy za inną linią polityczną). Ponieważ „Solidarność” jest związkiem zawodowym a my partią polityczną o bardzo zaostrzonym charakterze politycznym, to jesteśmy zupełnie inną strukturą, zwartą, zdyscyplinowaną i kadrową. Zadaniem Konfederacji jest skupiać tych ludzi, którzy w sensie politycznym mogą być przywódcami innych, którzy w okresie burzy i naporu będą w stanie zorganizować i poprowadzić innych. To są zupełnie inne materie społeczne. Wiadomo o co walczą związki zawodowe. Bronią one interesu pracujących i to jest ich podstawowe zadanie. Chodzi o każdy interes pracowniczy, przede wszystkim moralny (sądzę bowiem, że jest to ważne bardziej niż obrona interesów ekonomicznych). W sytuacji, gdy ogromna większość dorosłych Polaków pracuje to można powiedzieć, że „Solidarność” i „Solidarność” Wiejska bronią interesów większości społeczeństwa. Konfederacja natomiast jest radykalną partią polityczną która dąży do Polski niepodległej, to znaczy do stworzenia na tych ziemiach nad Wisłą, Bugiem, Odrą – Niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej.

Maciej Szumowski: Czy uważa Pan, że jest to realny cel w okresie jednego pokolenia? W okresie naszego życia?

Leszek Moczulski: Jest to cel realny w granicach tego dziesięciolecia.

Maciej Szumowski: Ale czy uwzględnia Pan w tym rozumowaniu to, co często jest określane jako straszak psychologiczny, jako szantaż polityczny a mianowicie układ geopolityczny?

Leszek Moczulski: Każdy kraj znajduje się zawsze w jakimś układzie geopolitycznym. Układ geopolityczny jest taką samą wartością zmienną jak wszystkie inne. Jak ja bym Panu powiedział dzisiaj, że Polska znajduje się w tragicznym układzie geopolitycznym ponieważ znajduje się między ekspansją

z północy i z południa; z południa grożą nam Turcy a z północy Szwedzi, to dzisiaj Pan by mnie wyśmiał. Otóż jeżeli u nas tak się mówi – a czyni to wielu ludzi którzy tak się lubią posługiwać geopolityką – że Polska jest w tragicznym położeniu ponieważ z jednej strony Rosjanie a z drugiej Niemcy, to jest to prośbę Pana taka sama prawda historyczna jak z Turcją i Szwecją. Tak kiedyś było! Na pewno tak było w okresie II wojny światowej. Przed wybuchem II wojny Polska znalazła się w niesłychanie niekorzystnym układzie geopolitycznym. Parcie dwustronne zniszczyło II Rzeczpospolitą. Ale jest to historia. Natomiast stereotyp rzekomo tragicznego naszego układu geopolitycznego wiąże ludziom ręce. Ja nie chcę wdawać się w długi i teoretyczny wywód, ale nie ma już tego układu geopolitycznego, który był w okresie II wojny światowej.

Maciej Szumowski: No wie Pan, ale Związek Radziecki istnieje cały czas jako ogromna potęga...

Leszek Moczulski: Tak. Związek Radziecki istnieje cały czas, ale spójrzmy na to, jak na pewne siły działające w przestrzeni. Czym się zajmuje geopolityka? Pokazuje przestrzenne rozmieszczenie sił. W tym przestrzennym rozmieszczeniu sił jest wskazany ruch, w którym te siły działają. I jeżeli weźmiemy ten przykład z XVII wieku to widzimy, że w tym układzie przestrzennym jest parcie na Polskę z północy i z południa. Ale jeżeli weźmiemy okres od połowy XV wieku do połowy wieku XVI to zobaczymy, że nie ma parcia zewnętrznego na Polskę, natomiast jest parcie Polski w różnych kierunkach, na przykład w kierunku rozchodzenia się domu Jagiellonów na Czechy i Węgry, parcie Polski na wschód czy południowy wschód. Jest to zupełnie inny układ geopolityczny. W obecnym układzie geopolitycznym, choć może historycy zobaczą to dopiero za 50 lat, mamy od dawna ruch takiej wartości geopolitycznej: Niemcy – ruch na zachód a Rosja – na wschód. Mówiąc inaczej – są to ruchy odśrodkowe, od Polski. Jesteśmy właśnie w takiej sytuacji. Parcie z zachodu, przynajmniej w kontekście parcia niemieckiego, w kategoriach geopolitycznych nie istnieje. Natomiast parcie wschodnie zostało zahamowane.

Maciej Szumowski: Być może, że strywalizuję ten cały Pański efektowny wywód, ale nie sądzi Pan chyba, że 13 grudnia 1981 roku w Polsce, to był wynik złej woli tylko polskiej ekipy? Czy to nie był dowód na istnienie pewnego układu geopolitycznego?

Leszek Moczulski: Jeżeli już mówimy o geopolityce to sprowadźmy to z teorii do praktyki. Jestem głęboko przekonany, iż interwencja radziecka w Polsce w bieżącym dziesięcioleciu (a także w dziesięcioleciu które minęło) jest (i była) mało prawdopodobna. Nigdy nic w polityce wykluczyć nie można, dlatego nie powiem, że jest całkowicie nieprawdopodobna. 13 Grudnia wszyscy doskonale pamiętamy. Ja się zgadzam, że stan wojenny był co najmniej zaakceptowany w Moskwie, a więc możemy w tym sensie powiedzieć, że to była też decyzja radziecka. Tylko, że pamiętamy 13 Grudnia a nie pamiętamy o drugiej decyzji, którą w tym samym czasie podjęto w Moskwie. Została ona ogłoszona i pisała o tym nawet „Trybuna Ludu”. Postanowiono, aby biegnące przez Polskę radzieckie trasy tranzytowe wschód – zachód usunąć z Polski i przenieść na Bałtyk. Przed sierpniem 1981 roku w ciągu lat infrastruktura obozu socjalistycznego (linie przesyłowe wysokiego napięcia, rurociągi i gazociągi itp.) konsekwentnie przenoszone były do Czechosłowacji. Czechosłowacja jest korytarzem, który łączy Związek Radziecki z Europą Zachodnią ale także z NRD. Jedyna część infrastruktury obozowej, która pozostała w Polsce i była łącznikiem pomiędzy Wschodem a Zachodem, to były linie kolejowe. Otóż w tym samym czasie, kiedy podjęto decyzję o stanie wojennym w Polsce, podjęto decyzję, żeby ten cały transport kolejowy przerzucić na Bałtyk. W tej chwili, w 1985 roku, kończy się pierwsza faza budowy wielkiej linii promowej między Kłajpedą a jakimś nowo wybudowanym portem na Rugii. Będą tam pływały ciężkie promy, z których każdy bierze 30 pociągów w tempie prom co 8 godzin. W pierwszym etapie budowy, który właśnie się kończy, promy w ciągu doby będą przerzucały 120 pociągów. 120 pociągów żeby przejechało przez Polskę potrzebnych jest 5 kolejowych linii tranzytowych. Czy Pan sądzi, że Rosjanie są szaleńcami, którzy wyrzucają pieniądze w błoto a raczej w Bałtyk?

Maciej Szumowski: Pan sądzi, że Rosjanie przygotowują się do tego, aby Polskę oddać jako Polskę niepodległą? Oddać ją Zachodowi czy oddać ją samej sobie?

Leszek Moczulski: Rosjanie nic nie lubią oddawać ale co muszą, to oddają. Oni nie mają ochoty Polski oddać i zrobią wszystko żeby nie oddawać. Twierdzą natomiast, że Rosjanie przygotowują się do tego, że jeśli Polskę stracą (bo tego nie mogą wykluczyć), to żeby skutki utraty zminimalizować. Nie od Rosjan

zależy czy oni Polskę oddadzą. To zależy od Polaków. Natomiast Rosjanie przygotowują się w tej chwili do sytuacji, w której być może Polskę utracą.

Maciej Szumowski: Pan tak to optymistycznie powiedział, że z tego wynika, iż Rosjanie już się nas boją i przerzucają swoje linie strategiczne poza Polskę.

Leszek Moczulski: Rozumiem, że Pan chce powiedzieć, że utrata Polski dla Rosjan byłaby wielką szkodą...

Maciej Szumowski: Ja nie sądzę żeby była aż tak wielką szkodą w skali tak ogromnego kraju. Natomiast nie sądzę, żeby oni byli skłonni cokolwiek oddawać a szczególnie nam niepodległość.

Leszek Moczulski: Proszę Pana wyobraźmy sobie taką teoretyczną historię. To jest całkowita abstrakcja. Przyjmijmy, że możemy narzucić całemu światu wolę. Gdyby Pan zaproponował Rosjanom żeby oddali wszystkie europejskie kraje obozu socjalistycznego a w zamian za to dostaną jako satelitę Chiny. Jak Pan myśli zgodziliby się? Dobry to byłby dla nich interes?

Maciej Szumowski: W teoretycznej zupełnie grze jaką Pan tutaj zaproponował można przyjąć, że na pewno byłby to dla nich jakiś handel.

Leszek Moczulski: Otóż o to właśnie chodzi. Niech Pan zwróci uwagę, że przecież Rosjanie mieli Chiny i je stracili. A jeżeli stracili taką wartość jak Chiny i pogodzili się z tym – bo się pogodzili – to może mogą też stracić wielokrotnie mniejszą wartość – Polskę. Ja wprawdzie nie twierdzę, że stosunek wartości Polski do Chin to jest 37 milionów do miliarda, bo ja sądzę, że wartość Polski dla Rosji jest znacznie wyższa. Ale co do jednego musimy się zgodzić – Chiny są znacznie ważniejsze dla Rosji niż Polska.

Maciej Szumowski: Tylko jakim sposobem ma się to według Pana odbyć? Bo na przykład ideolog uważany przez nasze władze za największego ideologa antykomunizmu, czyli Zbigniew Brzeziński, wygłosił tuż po amnestii bardzo charakterystyczne przemówienie, czy też wywiad dziennikarski, w którym powiedział, że Polska powinna zabiegać wszelkimi sposobami o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim na takich zasadach, że Związek Radziecki będzie szanował specyfikę polską. W drugiej swojej wypowiedzi na temat Jałty Brzeziński twierdzi, że nie jest możliwe prawne zanegowanie Jałty, natomiast twierdzi, że cała nadzieja w jakiejś ewolucji Europy niezależnej. W jakiejś

delikatnej długofalowej grze Europy Zachodniej, która zechciałaby po prostu wesprzeć Europę Wschodnią. Brzeziński wręcz twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny się wycofać z pierwszoplanowej roli obrońcy Europy Wschodniej, bo jest to sytuacja niewygodna, niezręczna i drażniąca Związek Radziecki. Natomiast tę funkcję, którą pełnią obecnie Stany Zjednoczone, powinny przejąć kraje Europy Zachodniej. Czyli – widzi daleki i odległy niuansowy plan. Z tym, że jest to jego teoretyczny pomysł, bo nie wiadomo jak by się to miało politycznie realizować. W każdym razie jednoznacznie stwierdził, że w interesie Polski jest docenianie siły Związku Radzieckiego. Wręcz użył on słów – „zabieganie o tę przyjaźń na warunkach szacunku dla specyfiki polskiej”. I to mówi ten pierwszy antykomunista! Natomiast Pan twierdzi, że przewaga Związku Radzieckiego – tego ogromnego przecież mocarstwa w stosunku do nas – jest abstrakcyjna, znikoma, no i taka, która daje szansę sama z siebie, że uzyskamy niepodległość i niezależność. Jakim sposobem ma to się stać?

Leszek Moczulski: Ja wcale nie twierdzę, że Związek Radziecki jest słaby. Jest potężnym mocarstwem, tylko ma swoje uwarunkowania – przede wszystkim swoje uwarunkowania wewnętrzne, które powodują, że gros radzieckiej energii w najbliższych co najmniej 20 latach zostanie skierowane na sprawy wewnętrzne. Po drugie – Związek Radziecki ma własną logikę rozwojową i ta logika, która go kiedyś pchała na zachód, teraz pcha go na wschód. Ja nie mówię, że Związek Radziecki jest słaby, że jest mały, że jest zniszczony, że jest to coś z czym się nie trzeba liczyć – bo jest to potężne państwo. Tylko, że to potężne państwo ma swoją przyszłość w Azji i ma ono tak wielkie problemy wewnętrzne, że na nich będzie musiało się skupić w najbliższych co najmniej 20 latach. To powoduje, że parcie rosyjskie, które w historii szło w różnych kierunkach, obecnie zwraca się w innym kierunku, nie na nas.

Maciej Szumowski: To znaczy, że Pan liczy na wewnętrzną ewolucję Związku Radzieckiego?

Leszek Moczulski: Ewolucja następuje wszędzie. Ja nie liczę na ewolucję. Ja po prostu wiem. A to jest coś innego – liczyć a wiedzieć. Ja wiem, że Związek Radziecki musi skupić się na problemach wewnętrznych i zabraknie mu sił i energii, żeby przeć w kierunku zachodnim. Będzie parł w innym kierunku.

Maciej Szumowski: Ja uważam, że Związek Radziecki potrzebuje coraz

mniej energii, żeby nas trzymać w posłuszeństwie. Najlepszym tego dowodem było to, że stan wojenny został dokonany polskimi rękami. Coraz mniej wysiłku trzeba żeby nas opanowywać.

Leszek Moczulski: Przez całe lata 70-te, kiedy inni mówili, że nastąpi interwencja radziecka, mówiłem – po co interwencja radziecka? Po co czołgi? Wystarczy jeden telefon. Tylko, że ten telefon został już wykorzystany. To już historia. Może jeszcze będzie drugi, może trzeci, ale to się kończy. Natomiast wróćmy jeszcze do dwóch rzeczy. Związek Radziecki a właściwie Rosja, bo jest to państwo w dalszym ciągu głównie rosyjskie (może się to zmienić w przyszłości) jest potężnym mocarstwem. Kluczowym zagadnieniem dla Polaków jest ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli byśmy mogli sprowadzić do jednego zdania całą koncepcję Konfederacji Polski Niepodległej, czy moją, to jest to koncepcja ułożenia stosunków z ZSRR tak, jak kiedyś ułożył je Józef Piłsudski. To znaczy nie z pozycji radzieckiego funkcjonariusza, nie z pozycji bicia czołem o ziemię, nie z pozycji czołgania się w błocie – tylko z takiej pozycji, jak układał to w historii Piłsudski. Z pozycji, która będzie naszą polską pozycją. My te stosunki ułożymy prędzej czy później.

Maciej Szumowski: Taka szansa była przecież w okresie „Solidarności”. Na tą szansę strasznie liczono. Gdyby Związek Radziecki był skłonny w ogóle do takiego rozmówienia, jak Pan, to by to mogło nastąpić w okresie „Solidarności” w sposób bardzo prosty...

Leszek Moczulski: Jeszcze tej szansy nie było. Polityka to jest relacja zwalczających się sił a polska w okresie „Solidarności” nie potrafiła wytworzyć tego rodzaju siły, także materialnej, która by pozwoliła na rozmowy ze Związkiem Radzieckiego. A poza tym – nie były załatwione polskie sprawy wewnętrzne.

Powiedział Pan o Brzezińskim. Wracam do Brzezińskiego, bo to jest interesujące. O Ludwiku Mierosławskim mówiono, że to jest generał przegranych kampanii. Profesor Brzeziński jest bardzo inteligentnym człowiekiem, tak jak Mierosławski był bardzo dzielnym generałem. Ale Brzeziński jest człowiekiem przegranych koncepcji. Jego wszystkie koncepcje po kolei się nie sprawdziły. W czasie, kiedy Brzeziński był szefem doradców politycznych prezydenta Cartera, był faktycznym kierownikiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa USA. Pod jego skrzydłami wychodziło pismo (wychodzi zresztą

do dziś) wydawane przez Departament Stanu (on się nim zawsze interesował, bo to było w zakresie jego tematyki badawczej), a mianowicie „Problemy Komunizmu”. To bardzo interesujący dwumiesięcznik. Chyba w drugim numerze tego pisma (z 1980 roku) ukazał się obszerny, udokumentowany artykuł o sytuacji w Polsce, który odzwierciedlał poglądy, które akceptował Brzeziński. W tym obszernym studium pisanym przez jakiegoś utytułowanego profesora, w którym omówiona była kwestia opozycji w Polsce, doszli nawet do koncepcji Moczulskiego i KPN. I tam napisano, że wprawdzie są w Polsce tacy ludzie, którzy stworzyli KPN i uważają, że – po pierwsze – Polska jest u progu eksplozji społecznej, po drugie – ta eksplozja przybierze postać masowych strajków czy też strajku powszechnego i – po trzecie – efektem tych strajków będzie utworzenie szerokich struktur związkowych. Komentarz był następujący – „Jest to fantazja, jest to oderwana od życia spekulacja”. Brzeziński tak właśnie uważał. Uważał, że masowe strajki w Polsce to oderwana od życia spekulacja. Niech sobie tak uważa a rzeczywistość zadaje mu kłam.

Maciej Szumowski: Czy Pan rzeczywiście przewidział powstanie „Solidarności”?

Leszek Moczulski: Organizacji o nazwie „Solidarność” na pewno nie. Natomiast wystarczy przeczytać „Rewolucję bez rewolucji” żeby zauważyć zapowiedź eksplozji, odczytać tam wskazanie drogi (strajki, strajki i jeszcze raz strajki) i znaleźć tam wskazanie, jaki powinien być efekt tych strajków – szeroka organizacja społeczeństwa, w tym związkowa. Chodziło o to, żeby strajkujący, którzy muszą tworzyć struktury zorganizowane, zbudowali struktury obejmujące cały kraj. I to trzeba teraz przede wszystkim ocalić.

Maciej Szumowski: Być może Pan to przewidział, ale to była zasługa „Solidarności” a nie linii KPN. A działalność „Solidarności” była zupełnie inna niż KPN. Pana dywagacja ma znamiona bardzo teoretyczne a my obracamy się jednak w realiach politycznych. Mimo wszystko nawet „Solidarność” jest osadzona w realiach...

Leszek Moczulski: Powiem może inaczej. Nie było zasługą „Solidarności” to, co wydarzyło się w roku 1980, było to zasługą społeczeństwa polskiego. To społeczeństwo polskie wytworzyło „Solidarność”.

Maciej Szumowski: Tak, ale to główne uderzenie poszło nie po linii

programu politycznego KPN, ale bardziej umiarkowanego.

Leszek Moczulski: Trzymajmy się konkretnie tematu – mówimy o Brzezińskim. Powołuje się Pan na niego w sprawach radzieckich. Brzeziński ma własną koncepcję. Przywołałem „Solidarność” i możemy wejść w dyskusję na temat „Solidarności”, bo to temat bardzo interesujący. Natomiast przywołałem tę sprawę tylko jako dowód, że Brzeziński, czy też jego ludzie, na parę miesięcy przed wybuchem społecznym w Polsce traktowali jego możliwość jako fantasmagorię.

Maciej Szumowski: Był Pan wyjątkiem dlatego, że Polacy sami w to nie wierzyli.

Leszek Moczulski: Oczywiście, że Polacy sami w to nie wierzyli! Ukazał się numer „Kultury” paryskiej (a ona doskonale zna się na sytuacji w Polsce) z datą lipiec-sierpień 1980 roku, gdzie w trzech kolejnych artykułach było wyśmiewanie się z niejakiego Leszka Moczulskiego i KPN, ponieważ ci wariaci uważają, że Polska jest w przededniu wybuchu społecznego i głoszą, że trzeba robić strajki. Było to według nich oczywistą bzdurą. Tak to napisali. Strajki wybuchły nim obeschła farba drukarska.

Ja nie chcę mówić, że KPN to przewidziała czy coś podobnego. My się tak samo mylimy jak inni. Rzecz nie na tym polega. Chodzi mi o to, żebyśmy mieli odwagę myśleć. Miejsmy odwagę uruchomić wyobraźnię. Jeżeli ktoś tak uważa, niech ma odwagę powiedzieć: „Związek Radziecki się nie cofnie, nie mamy żadnej szansy ani w tym ani w następnym pokoleniu”. Tak, jak my mamy odwagę wyobraźni i wyobrażamy sobie sytuację, w której jest możliwe, że się cofnie. A jeżeli sobie tę sytuację wyobrażamy, to róbmy tak, jak robi rzeźbiarz – stwórzmy z tej bezkształtnej masy kształt, który sobie wyobrażamy. My w Konfederacji próbujemy z tej bryły wykuć to, co sobie wyobrażaliśmy. Może to się nam nie uda (choć ja wierzę, że nam się uda), ale próbujemy.

Maciej Szumowski: Takie wykuwanie z wyobraźni jest bardziej charakterystyczne dla twórczości artystycznej niż politycznej. A przecież wy jesteście partią polityczną.

Leszek Moczulski: Sądzę, że działalność polityczna może być o wiele bardziej twórcza niż tak zwana działalność artystyczna.

Maciej Szumowski: Oby. Natomiast mam takie pytanie. W tej naszej

rozmowie, z Pana strony zresztą efektownej, widzę pewną sprzeczność. Z jednej strony gwałtowny polityczny styl antyradziecki a z drugiej strony w pewnym momencie tej rozmowy padła taka wypowiedź – „My musimy się ugodzić z Rosją czy ze Związkiem Radzieckim (obojętnie jak to się będzie nazywało) musimy znaleźć wspólne porozumienie”. Tutaj widzę tę wąską ścieżkę, która łączy program KPN z programem obozu narodowego i Romana Dmowskiego. Czy tak jest czy też Pan temu zaprzeczy?

Leszek Moczulski: Zaprzeczę temu ponieważ ja zaprzeczam schematom geopolitycznym, które tworzył Dmowski. Sądzę, że one w znacznej mierze polegały na złych informacjach i podstawowym nieporozumieniu. Zaprzeczam przede wszystkim podstawowej koncepcji politycznej Dmowskiego, że należy oprzeć Polskę o Rosję. Taka koncepcja to jest śmierć dla Polski. Ja wreszcie zaprzeczam metodzie Dmowskiego, ponieważ on dążąc do swoich celów chciał stosować metody umiarkowane. My jesteśmy grupą radykalną. Ja jestem człowiekiem o radykalnych przekonaniach. Sądzę, że – tak jak na początku obecnego wieku – w tej części życia politycznego Polski, która chciała zmian, było skrzydło radykalne i skrzydło umiarkowane. Skrzydło radykalne to był ruch piłsudczykowski a skrzydło umiarkowane to był Dmowski. W tej chwili, w szczególności w okresie ostatniego dziesięciolecia, w życiu politycznym naszego kraju wśród tych ugrupowań politycznych, które chcą zmian, też mamy skrzydło radykalne. Tym skrzydłem jest KPN i Moczulski. Oraz jest skrzydło, które też chce zasadniczych zmian i jest umiarkowane – to jest Jacek Kuroń. Tak to widzę.

Natomiast mówi Pan, że chcę ułożenia stosunków z ZSRR. Oczywiście, że chcę. Widząc absolutną konieczność wyrwania Polski spod hegemonii radzieckiej chcę ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Kto ułożył stosunki ze Związkiem Radzieckim po odzyskaniu niepodległości? Przecież nie Dmowski, tylko Piłsudski.

Maciej Szumowski: Tak ale w zupełnie innej sytuacji politycznej Europy...

Leszek Moczulski: Tak, oczywiście! Co roku mamy inną sytuację polityczną Europy. Naszym celem jest doprowadzenie do ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Maciej Szumowski: Na jakiej zasadzie?

Leszek Moczulski: Na takiej zasadzie, że my decydujemy co u nas a oni się do tego nie mieszają.

Maciej Szumowski: Jak to osiągnąć? Bo tu dochodzimy do tego pytania, które trapi każdego Polaka dzisiaj – co robić dalej? Musimy zejść z ogromnej płaszczyzny historiozoficznej na płaszczyznę realiów politycznych.

Leszek Moczulski: Najprostsza odpowiedź, która z pewnością Pana nie zadowoli a którą mam dla wszystkich szukających odpowiedzi na pytanie – „Co robić dalej?” brzmi – zorganizować się w szeregach Konfederacji Polski Niepodległej! W momencie, gdy już będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi, to już obalimy tamto. Jest to bardzo łatwa odpowiedź a Pan oczywiście chce odpowiedzi trudniejszej. Nasz marsz do Polski niepodległej widzimy przez osiągnięcie trzech kolejnych horyzontów.

Horyzont pierwszy i cel pośredni, to odbudowanie w Polsce pluralizmu związkowego. Z grubsza – to przywrócenie sytuacji sprzed grudnia 1980 roku. Oznacza to pełne i całkowite poparcie wysiłków „Solidarności” i uznanie, że w zakresie odbudowy życia związkowego. „Solidarność” jest w tym nie tylko najważniejsza, ale i sprawuje kierownictwo. My nie chcemy w tym przewodzić.

Po osiągnięciu tego pierwszego horyzontu czyli pluralizmu związkowego, przechodzimy do horyzontu drugiego – pluralizmu politycznego i zdemokratyzowania PRL-u. To jest ten etap, kiedy na pierwszy plan wysuną się wszystkie grupy polityczne. Sądzę, że jeśli zbudujemy dobre sojusznicze stosunki między tymi środowiskami, które nieprecyzyjnie nazywa się KOR-em i KPN to sądzą, że ten etap przebedziemy z powodzeniem.

Trzeci horyzont jest dopiero horyzontem dojścia do niepodległości. I wtedy dopiero Konfederacja będzie musiała wziąć na siebie najwięcej obowiązków. To będzie nasz czas.

Maciej Szumowski: Czy pluralizm polityczny chce Pan osiągnąć w konspiracji czy też legalnie?

Leszek Moczulski: Zgódźmy się z jedną rzeczą – w konspiracji można trwać. Fakt, że jesteśmy w konspiracji oznacza, że jesteśmy w obronie, że nas atakują. Nie da się wygrać tej wielkiej batalii politycznej będąc w konspiracji. Musimy wychodzić z konspiracji i budować jawne struktury, nie likwidując jednak konspiracji. Jestem przekonany, że olbrzymim błędem byłaby likwidacja

tajnych struktur „Solidarności”. One mogą przestać istnieć dopiero w momencie przywrócenia pełnego pluralizmu związkowego. Natomiast płacić za amnestię likwidacją podziemia – to nonsens. Podziemie wynika z potrzeb obronnych i potrzeby przetrwania. Działanie do przodu – to jest budowa jawnych struktur i organizowanie społeczeństwa na powierzchni życia a nie w podziemiu.

Maciej Szumowski: W tym momencie podniosę najmocniejszą wątpliwość. Czy budowanie jawnych struktur na powierzchni życia osiągnąć można najprostszą drogą poprzez zakładanie partii politycznych? Sądzi Pan, że jakakolwiek władza – póki ona jest jaką jest (tzn. ze Związkiem Radzieckim na czele) – zgodzi się na budowanie jawnych struktur politycznych?

Leszek Moczulski: Budowanie na powierzchni życia struktur politycznych to nie tylko zakładanie partii politycznych. Przede wszystkim oznacza wychodzenie nawet nie od struktur politycznych, ale od związkowych. Zgodnie z zasadą, że im łatwiej tym wcześniej. Posłużę się takim przykładem. W końcu października [1984 r.] po porwaniu i zamordowaniu księdza Jerzego [Popiełuszki] zrodziła się koncepcja powołania Komitetów Przeciw Przemocy, której byłem i jestem gorącym rzecznikiem. Konfederacja uczestniczy w ich formowaniu. Doszło wtedy do jakiegoś dżentelmeńskiego porozumienia pomiędzy nami a Jackiem Kuroniem i ludźmi KOR-u na zasadzie: my to robimy i oni to robią. Jest to dobry prognostyk na przyszłość. Wtedy w październiku i listopadzie [1984 r.] spotkaliśmy się z tysiącem zastrzeżeń, że za wcześniej, że to wywoła represje, że Bóg wie co będzie. Były to zastrzeżenia bardzo do tych, które Pan wysuwa odnośnie tworzenia innych struktur. Mimo zastrzeżeń okazało się, że koncepcja była słuszna². Okazało się, że przez tę pierwszą załączkową formę nastąpiło przekroczenie pewnej bariery i ominięcie pewnego zasadniczego progu politycznego. Jest tych Komitetów bardzo mało, one za mało jeszcze robią, ale to już jest coś. Mamy już załączkowe jawne struktury.

² 7 listopada 1984 r. powstała w Krakowie jawna Inicjatywa Obywatelska w Obronie Praw Człowieka „Przeciw Przemocy”, w której skład weszło aż 12 konfederatów lub osób, które w przeszłości należały do Konfederacji (na 22 uczestników ogółem). Rzecznikiem Inicjatywy był Zygmunt Łenik z KPN. Była to pierwsza, po 13 Grudnia, jawna forma działalności o charakterze opozycyjnym – uczestnicy Inicjatywy sygnowali swoje dokumenty nazwiskami, podając także swoje adresy.

Urban może sobie mówić, że one są nielegalne – to jest bzdura. Mogą straszyć, ale nie mogą jednak tego ugryźć. I teraz takie struktury powinny powstawać i to wcale nie znaczy, że pierwsze trzeba wyciągać na powierzchnię partii polityczne. Nie. Najpierw na powierzchnię życia społecznego trzeba wyciągnąć tego rodzaju struktury, które mają zadania humanitarne³. Następnie będzie można bez czekania na zgodę władz, bo w polityce czekanie to śmierć, wyciągać i ujawniać struktury związkowe „Solidarności” w zakładach pracy. Ten czas jest już bardzo nieodległy, kiedy będzie to możliwe. Będą na pewno jakieś ofiary ale bez ofiar nic nie ma. Dopiero w następnej fazie będziemy ujawniali struktury partii politycznych.

Maciej Szumowski: Aż do następnego stanu wojennego?

Leszek Moczulski: Może będzie następny stan wojenny, może nie. Ja Panu coś powiem. Może będzie to ważne w naszym kraju rozkładanym intelektualnie od 40 lat przez rozmaite staroświeckie XIX wieczne koncepcje w rodzaju marksizmu [...]. Może więc odwołanie się do jej twórcy Marksa będzie tutaj na miejscu. Marks powiedział zdanie, które możemy sparafrazować: stan wojenny za pierwszym razem – to jest tragedia, ale za drugim – to komedia. Proszę przeczytać przemówienie Jaruzelskiego. Jaruzelski wskazał cele, które chce osiągnąć poprzez stan wojenny. Po 4 latach obowiązywania stanu wojennego widać, że wszystkie te cele, jeśli nawet przejściowo wydawało mu się, że je osiągnął, to jednak wszystkie stracił.

Maciej Szumowski: Jaruzelski nie osiągnął swoich celów ale czy my jako społeczeństwo osiągnęliśmy swoje cele?

Leszek Moczulski: Stan wojenny nie był naszym celem. Stan wojenny był wielkim nieszczęściem. Ale jak każde nieszczęście ma swoje dobre strony. Z punktu widzenia rozwoju świadomości społecznej i narodowej przyniósł olbrzymie korzyści. Prawdą jest, że stan wojenny przedłużył okres dochodzenia do niepodległości i zwiększył koszty. Ważne jest to, że wzrosły koszty zarówno w życiu ludzkim – zginęło wielu ludzi, wiele osób straciło zdrowie, wielu ludzi

³ Przykładowo 14 kwietnia 1985 r. ogłoszono w Krakowie powstanie Ruchu „Wolność i Pokój”. Jego inicjatorem była Radosław Huget, wcześniej związany z KPN. Do WiP-u – oprócz Hugeta – przeszło też kilku innych krakowskich konfederatów (w sumie 4 osoby). WiP prowadził jawną działalność.

opuściło kraj i to często na zawsze, ale również „rozpirzono” naszą gospodarkę. Będziemy przecież musieli ją kiedyś wyciągać na odpowiedni poziom i będzie nam tym trudniej, im z gorszego poziomu będziemy to zaczynali. Najprawdopodobniej będziemy to czynili w sytuacji niedobrego otoczenia, bo będziemy mieli obóz radziecki ze wszystkich stron. Będzie bardzo ciężko. Tutaj stan wojenny bardzo pogorszył nasze położenie.

Maciej Szumowski: Czy więc według Pana następne takie silne zwarcie nie będzie jeszcze dalej oddalać celu, o którym Pan tak pięknie mówi?

Leszek Moczulski: Po pierwsze ja nie wiem i nie chcę, żeby Pan odniósł takie wrażenie, że sugeruję, iż będzie następny stan wyjątkowy. Nie, nie musi być. Historia się nie powtarza. To są sprawy pragmatyczne. My możemy z dużą dozą pewności mówić o przebiegu pewnych procesów, ale nie możemy z taką samą dozą pewności mówić, o układaniu scenariuszy wydarzeń. Nauczyłem się tego od dawna, że należy mieć przygotowaną pewną ilość scenariuszy, które – jako narzędzie prognozy – są bardzo pomocne. Opracowałem je ze świadomością, że żaden z nich może się nie spełnić. Na tym polega ciekawość życia. Jeżeli Pan mnie pyta jaki będzie scenariusz wydarzeń, to nie jestem w stanie na to odpowiedzieć, bo nie wróżę z fusów.

Maciej Szumowski: Ja nie spytałem w tym kontekście. Pytałem w kontekście następującym. Określił się Pan jako zwolennik radykalnego działania. Zarówno jeśli idzie o Pańską partię, jak też i innym radzi Pan radykalizm. Ja pytam, czy ta zbyt radykalna metoda nie powoduje ostrych wybuchów terroru (bo chyba tak trzeba nazwać stan wojenny). Zastanawiam się, czy tutaj nie występuje sprzężenie zwrotne, że im bardziej radykalny antyradziecki i antysocjalistyczny program, tym silniejsze zastosowanie terroru i cofnięcie nas w tył, jeśli idzie o cel, który Pan nazwał – Niepodległość. Pytam, czy radykalizm jest najlepszą metodą budowania polskiego oporu społecznego? To jest największa moja wątpliwość. I tutaj – mimo Pańskiej niewątpliwej błyskotliwości – jest moim zdaniem najsłabszy punkt Pańskiego programu.

Leszek Moczulski: Nieporozumienie polega na tym, że my jesteśmy radykalni w celach. To znaczy, chcemy w Polsce dokonać maksymalnie radykalnych zmian. Chcemy stworzyć zupełnie inne państwo. Natomiast jesteśmy pragmatyczni w środkach. Zwracam Panu uwagę, że ani KPN, ani ja

nigdy nie nawoływaliśmy do powstania zbrojnego. My jesteśmy radykalni, bo my chcemy radykalnych zmian w naszym kraju. Na miejsce PRL-u chcemy zbudować III Rzeczpospolitą. Chcemy przebudować wszystko, chcemy więcej niż inni. Jesteśmy natomiast pragmatyczni w środkach, bo polityka to jest pragmatyzm. Byli ludzie, którzy wzywali do powstania zbrojnego ale to nie byłem ja ani Konfederacja. My uważamy, że należy toczyć walkę na tych polach, na których mamy przewagę a nie na tych, na których przeważa przeciwnik. Oni mają środki techniczne a my nie i dlatego nie będziemy nawoływali do konfliktu, w którym o przewadze będą decydowały środki techniczne. Nie jest też prawdą, że nasze działania będą wywoływały coraz silniejszą reakcję władz. To błędne założenie. Gdyby przyjąć Pańską zasadę, to okaże się, że każde działanie rozpoczynane z pozycji słabszego nie ma sensu. Bo my rozpoczynamy działanie z pozycji słabszego. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat taką dyskusję jak dziś toczyłem wielokrotnie. Jak 10 lat temu mówiłem, że nadejdzie taki dzień, kiedy ludzie masowo zaczną upominać się o swoje prawa, to mi mówiono – wasza taktyka pobudzania ludzi w Polsce nic nie da. Was zamkną, innych też aresztują, powyrzucają z pracy i wszystko się uspokoi.

Maciej Szumowski: 10 milionów Polaków poszło do „Solidarności” nie do KPN...

Leszek Moczulski: My nigdy nie chcemy mieć 10 milionów Polaków w Konfederacji. Mój Boże, a po co? Wcześniej mówiliśmy o programie trzech horyzontów. Czy Pan myśli, że my w tym pierwszym horyzoncie, czyli walki o związki zawodowe chcemy odegrać zasadniczą rolę? Nie chcemy! Czy Pan myśli, że my chcemy kiedykolwiek zdominować „Solidarność”? Nie chcemy! Natomiast na odcinku politycznym który dla mnie jest kluczowy i najważniejszy KPN chce odegrać zasadniczą rolę. Nas nie interesuje 10 milionów Polaków jako członków Konfederacji. Interesuje natomiast bardzo aktywizacja takiej ilości Polaków, obojętnie przez kogo, byle w słusznym kierunku.

Maciej Szumowski: Wybacz mi Pan pewną trywializację dziennikarską (taki to już zawód). Czy to znaczy, że Pan by chciał żeby „Solidarność” zrobiła to, co zrobiła, jeszcze raz, żeby zrobiła to jeszcze lepiej, a wy wówczas powiecie, że to jest program KPN?

Leszek Moczulski: Powiedzmy brutalnie, nie chcemy żeby „Solidarność” zrobiła to co zrobiła. „Solidarność” miała 16 miesięcy i wiemy, czym się one skończyły. Nie chcemy też, żeby zrobiła to drugi raz lepiej. Powtórzę to raz jeszcze – nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Polska jest dzisiaj inna niż w 1981 roku i wydarzenia, które nadchodzą, też będą inne. My chcemy, żeby społeczeństwo polskie przebyło pewną drogę, uporządkowaną choćby w te nasze trzy horyzonty czasowe, niekoniecznie będąc w KPN-nie czy popierając Konfederację. Taką drogę, na której społeczeństwo najpierw odbuduje pluralizm związkowy, potem polityczny i wreszcie dojdzie do niepodległości. Jeżeli w tej drodze ktokolwiek inny będzie siłą, która doprowadzi Polaków do niepodległości, to będziemy mu dziękowali. Jeżeli my będziemy musieli być w pewnym momencie tą siłą, która prowadzi innych, to będziemy starali się udźwignąć ten ciężar. To nie jest program dla KPN. To Konfederacja głosi pewien program dla Polaków.

Maciej Szumowski: To jest teoretycznie bardzo zwarte. Pytanie praktyczne brzmi tak – dysponujecie dość radykalnym programem politycznym, mówicie o wspólnym celu, natomiast nie wiem, czy ten radykalny program jest również do zastosowania dla „Solidarności”?

Leszek Moczulski: Nie. KPN powinna działać metodami partii politycznej, które są inne niż działalność związku zawodowego. „Solidarność” natomiast nie powinna nigdy stawać się partią polityczną.

Maciej Szumowski: Ale pytam czy powinna być radykalna?

Leszek Moczulski: Związek zawodowy nie będzie nigdy tak radykalny, jak partia polityczna. Jest to po prostu niemożliwe dlatego, że jeżeli jest taka struktura, która obejmuje 10 milionów ludzi, to nie może być tak radykalna, jak KPN, która w szczytowym okresie rozwoju liczyła 60 czy 80 tysięcy. Zresztą ja sędzę, że KPN liczy za dużo członków, bo w niektórych regionach niepotrzebnie przyjęto za dużo. W Konfederacji bardziej liczy się jakość niż ilość. Wiadomo, że partia polityczna będzie zawsze bardziej strukturalnie skryształizowana niż tak masowy ruch jak „Solidarność”.

Maciej Szumowski: Zdaje Pan sprawę ze swojej sugestywności. Zdaje Pan sobie sprawę z sugestywności hasła, które bardzo często ma w swoim programie antyradzieckość, która u was jest bardzo eksponowana a przynajmniej była.

Zdaje Pan sobie sprawę, że ma Pan wpływ na działaczy „Solidarności”, to się nie dzieje mechanicznie. Działacze KPN mieli również wpływ na cele, sposób działania i na taktykę „Solidarności”, mieli przewagę w niektórych zakładach. Ja rozumiem co mi tutaj Pan tak bardzo niuansowo wyłożył, że radykalizm to jest ewentualnie dla was, a może nawet później w trzeciej fazie, że program i cel jest radykalny, nie środki... Natomiast sugestywność, antyradyzieckość tego programu musi być elementem takim, że wśród 10 milionów, wśród tych bardzo sfrustrowanych nastrojów w czasie kryzysu, zwykli członkowie bez predyspozycji działaczy politycznych mogą nie rozróżniać tych niuansów, że to jest radykalizm celów a pragmatyzm w działaniu. Istnieje coś takiego, jak pewne zapatrzenie w wasze radykalne hasła, jak chociażby ten bardzo eksponowany antyradyziecki sposób formułowania programu. A tu się okazuje, że wy byście sobie nie życzyli, ażeby zwykły szeregowy członek „Solidarności” te radykalne cele przyjmował i żeby nasiąkał tym programem. Ja to rozumiem, bo Pan to jasno przedstawił. Nie jestem natomiast pewien, czy w działalności KPN zwykły człowiek umie to tak wszystko niuansowo odróżnić. Pytanie dotyczy Waszej odpowiedzialności moralnej, wynikającej ze świadomości tego, że jesteście słuchani i możecie mieć wpływ na zwykłych działaczy „Solidarności”, na ludzi, którzy nie mają predyspozycji członków przyszłej partii niepodległościowej.

Leszek Moczulski: Mówi Pan, że nasz program i to co przedstawiam jest sugestywne. Tak to jest sugestywne...

Maciej Szumowski: Zarówno dzięki Wam, ale jeszcze bardziej dzięki nieudolności władzy, dzięki zastosowaniu terroru, dzięki stanowi wojennemu – te nastroje społeczne radykalizują się. Pytanie brzmi tak – czy należy podbijać bębenek radykalizmu czy nie?

Leszek Moczulski: Dlaczego to jest sugestywne? Przecież nie dlatego, że my wymyśliliśmy sugestywne historie, albo, że my jesteśmy sugestywni, albo dlatego, że ja to przekonująco przedstawiam. To nie są wymyślane przez nas hasła. My tego programu nie wymyśliliśmy. To jest sugestywne, bo to jest ściągnięte z samych trzewi i serca narodu! To jest to co drzemie w Polakach. My to ujawniamy i dlatego to tak trafia do ludzi. Oczywiście możemy sobie postawić szereg barier. Od 1945 roku olbrzymia ilość Polaków stawia sobie wiele barier mówiąc – „Wystarczy, że będę przyzwoitym człowiekiem

i zapomnijmy o Polsce”. Oczywiście, można stawiać bariery, ale KPN mówi – „Dość tych barier! Dość tego samoograniczania! Wyciągnijmy z serca to, co nasz Naród myśli i to co nasz Naród czuje!”. To jest właśnie nasz program. To, że ten program będzie przekonywujący dla coraz szerszych rzesz społeczeństwa – to oczywiste. Musi tak być, bo Polacy jeszcze są Polakami.

Maciej Szumowski: Ja bym powiedział, że nie program, ale ta wizja przyszłości, jest przekonywująca. A w pytaniu chodzi o program działania na dzisiaj.

Leszek Moczulski: Program działania na dzisiaj jest dla Konfederacji bardzo prosty – przygotowujemy się do nadchodzącej ekspansji społecznej. Program działania dla „Solidarności” powinien polegać na tym, ażeby przygotowywać budowę legalnych i jawnych struktur związku za zgodą lub bez zgody władz PRL-u. Nie chodzi o utworzenie tych struktur w ciągu jednego dnia, ale rozpatrywanie tego, jako procesu ciągłego. „Solidarność” musi stać się „Solidarnością”. „Solidarność” jest realną rzeczywistością i przyjmijmy to do wiadomości. Nie ograniczajmy się do mitu i legendy „Solidarności”, tylko stwórzmy ją na nowo jako wartość materialną.

Maciej Szumowski: Jesteśmy obecnie po stanie wojennym jak gdyby w punkcie zero. Jakie wnioski zostały wyciągnięte z wprowadzenia stanu wojennego?

Leszek Moczulski: Jest taka różnica, że przed 13 grudnia 1981 roku wierzone (tzn. ogromna część Polaków wierzyła), że Wałęsa z Rakowskim mogą rozmawiać jak Polak z Polakiem. Wałęsa z Rakowskim mógł rozmawiać tylko tak, jak przywódca związku zawodowego, który powstał wbrew i przeciwko władzy z funkcjonariuszem władzy komunistycznej, która szykowała likwidację tego ruchu. I to jest istota widzenia tych spraw. Jeżeli znowu X z Y usiądą przy wspólnym stole, to czy to będzie rozmowa jak Polak z Polakiem? To była taka rozmowa, jak ta między Maurycym Mochnackim a ks. Druckim-Lubeckim, kiedy to książę był szambelanem Jego Carskiej i Królewskiej Mości Mikołaja I i nie wyobrażał sobie innej Polski niż pod berłem tegoż cara a Mochnacki chciał Polski wolnej i niepodległej. Czy była to rozmowa między Polakiem a Polakiem? Nie. Była to rozmowa wysokiego funkcjonariusza carskiego, wysokiego funkcjonariusza zaborcy z człowiekiem, który miał spojrzenie

rewolucjonisty. Nauka 13 grudnia pokazuje, że nie należy wierzyć w mity i stereotypy.

Maciej Szumowski: Czyli Pan jakby nawołuje do realizmu.

Leszek Moczulski: Ja nie nawołuję do realizmu. Uważam natomiast, że poza realizm wyjść nie możemy. Tylko ja chcę mówić o prawdziwym realizmie. W Polsce mówi się o realizmie arealistycznie traktując stereotypy i biorąc fikcje jako rzeczywistość. Podstawowym elementem realizmu jest stan realny, w którym znajdują się Polacy i Polska i z tego należy wyciągać wnioski. Ten stan realny wygląda tak, że Polska jeśli chce istnieć, to musi odzyskać niepodległość. Powstała realna szansa, żeby ją odzyskać i mamy dość siły w narodzie, żeby to zrobić. Sprzyjają nam polityczne układy zewnętrzne. To jest właśnie realność. Jeżeli natomiast pójdziemy na wszelkiego rodzaju konstrukcje myślowe opierające się na mitach, stereotypach i staroświeckich przekonaniach, które niewarte są funta kłaków, to nie jest realizm, ale przepraszam za słowo, onanizowanie się słowem realizm.

Maciej Szumowski: A czy nie uważa Pan, że wizja Polski niepodległej w realiach stanu wojennego i przewagi w sensie materialnym (nie duchowym) państwa nad społeczeństwem, w tym kryzysie i w tym układzie sił na świecie, że Pańska wizja jest nierealna?

Leszek Moczulski: Przewaga tego państwa, przewaga tej władzy nad społeczeństwem polega tylko na micie. Ponieważ ludzie wierzą jeszcze, że ta władza jest czymś co jest zdolne utrzymać ich w ryzach...

Maciej Szumowski: Władza ma przewagę materialną, ma siłę!

Leszek Moczulski: Nieprawda! Te 37 milionów Polaków ma znacznie więcej siły, także fizycznej. Wystarczy 5 milionów na ulicach i zobaczy Pan, kto ma przewagę. No a do tego dojdzie.

Maciej Szumowski: Czyli Pan na to liczy?

Leszek Moczulski: Ja nie liczę. Ja to wiem!

Maciej Szumowski: Czyli Pan uważa, że ile milionów na ulicach zwycięży te czołgi? Nie dosłyszałem cyfry...

Leszek Moczulski: Jak wychodzą na ulice miliony ludzi, to nie ma czołgów. Pan wcześniej wspominał, że mieliśmy wpływ na „Solidarność”. My takiego wpływu nie mieliśmy, no może w niektórych zakładach. Nie chcieliśmy się

chronić pod skrzydła „Solidarności”. Natomiast nasze spojrzenie tuż przed 13 Grudnia było proste – Konfederacja wystąpiła z wezwaniem (nie ma powodu ukrywać, że ja to robiłem), żeby nie później niż 8 grudnia rozpocząć strajk powszechny. Był to jedyny ratunek i obrona przed stanem wojennym. Polityka to jest gra i walka...

Maciej Szumowski: Mogę podać Panu, jaka byłaby odpowiedź na strajk powszechny przed stanem wojennym – otoczenie zakładów pracy, odcięcie strajkującym wody, żywności, ciepła i czekanie...

Leszek Moczulski: Proszę Pana, to ładnie brzmi. Trzeba jeszcze mieć do tego siłę.

Maciej Szumowski: Ależ ta siła została zademonstrowana 13 Grudnia!

Leszek Moczulski: Nie. 13 Grudnia zostało zademonstrowane przede wszystkim zaskoczenie. Jeżeli „Solidarność” pozbawiono kierownictw od góry do samego dołu, jeżeli w tej „Solidarności”, jako strukturze zabrało – nazwijmy to tak – kilka tysięcy oficerów (w każdym zakładzie zabrano przywódców zostawiając masę pracowniczą nieprzygotowaną do niczego, która nie wie co robić), to większość zakładów nie zaczęła nawet strajkować. Jedna brygada ZOMO wystarczyła, żeby w ciągu kilku dni załatwić kolejno, jeden po drugim, wszystkie zakłady w Warszawie. Tych zakładów naprawdę strajkowało tylko kilka. Jeżeli strajki rozpoczęłyby się wcześniej, to ta brygada ZOMO nie byłaby w stanie otoczyć ich, odciąć wodę itd., bo musiałyby wtedy liczyć ze 100 tysięcy ludzi. I ta brygada nie wystarczyłaby nawet, żeby zapewnić łączników, którzy informowaliby centralę o tym, co się dzieje w poszczególnych zakładach. Nie zdaje Pan sobie sprawy z siły ruchów masowych.

Maciej Szumowski: W tym momencie rozmowy widzę dopiero Pańskie wizjonerstwo i jednak brak realizmu. A ile armia polska i wojsko liczy ludzi?

Leszek Moczulski: Pan sądzi, że to armia polska robiła stan wojenny? Ona oczywiście uczestniczyła w działaniach 13 Grudnia. Ona stwarzała wrażenie, że jest gotowa wystąpić jako druga linia ZOMO. Ja przypuszczam, że Jaruzelski bał się – przynajmniej większość jednostek – dopuścić, aby się bezpośrednio stykali z robotnikami. Wiemy przecież z historii doskonale, co się dzieje, jak pierwszy żołnierz przechodzi na drugą stronę.

Maciej Szumowski: Cały czas zachowywałem się jak dziennikarz, który

prowokuje pytaniami. Poproszę obecnie o chwilę dla mojej wypowiedzi. Jesteśmy po prostu w tak ważnym momencie tej rozmowy, że muszę kilka zdań powiedzieć więcej.

Otóż Pan troszkę jakby się odsłonił. Wydaje mi się, że Pan chce zasugerować, że było możliwe fizyczne zwycięstwo ludzi pracy nad armią polską i oddziałami milicji. Jeżeli Pan takie coś zakłada, to zakłada Pan także ofiary w ludziach. Również przed chwilą powiedział Pan, że jak 5 milionów wyjdzie na ulice, to te 5 milionów wygra ze wszystkimi czołgami. Czyli zakłada Pan ofiary w ludziach. Liczy Pan jednak na starcie fizyczne ludzi z tym systemem.

Jesteśmy w bardzo ważnym punkcie tej rozmowy. Dobrze, że ten punkt nadszedł w tej rozmowie. W tym momencie nie ma żartów. Jest to kwestia jasnego powiedzenia, że Pan zdaje sobie z tego sprawę, że liczy na zwarcie, że liczy na ofiary i uważa Pan, że poprzez te ofiary i poprzez krew zbliżymy się (a według mnie – cofniemy) do tego celu jakim jest niepodległość.

I trzecia uwaga – jaki jest Pana stosunek, w tym kontekście, do dyplomacji Kościół?

Leszek Moczulski: To co Pan powiedział, to uproszczenia, uproszczenia i jeszcze raz uproszczenia. Pan zakłada, że rozwój ruchów społecznych musi koniecznie prowadzić do rozlewu krwi. To nieprawda! Musimy działać poprzez rozwój ruchów masowych. Musimy też ludzi wyprowadzać na ulice nie po to, żeby się łała krew, ale żeby się nie łała. W momencie, kiedy Pan wyprowadzi 5 milionów, to na ulice nie wyjedzie żadne ZOMO, aby tych ludzi pacyfikować! Pochowają się do mysich dziur! Nie wyjedzie żaden czołg. Ale jak Pan wyprowadzi 350 wyrostków, to się natychmiast pojawi 500 zomowców.

Maciej Szumowski: Ale mnie niepokoi Pana wizja zwarcia Polaków z siłami wojska i milicji.

Leszek Moczulski: Wróćmy do 13 Grudnia, ale tylko w kontekście politycznym. Polityka jest grą, polityka jest walką. W sytuacjach, kiedy mamy do czynienia z naprawdę masowymi zjawiskami a równocześnie konfrontacja jest bardzo silna (to jest prawie tak jak z bokserami wagi ciężkiej na ringu), otóż w takich sytuacjach ten, kto zada pierwszy cios, ten wygra. Stan wojenny został przez władzę wygrany nie dlatego, że władza była silna a „Solidarność” była słaba. Został on wygrany, bo władza pierwsza zadała skuteczny cios,

który rzucił „Solidarność” na deski i ją sparaliżował. Od ZOMO i od czołgów skuteczniejszy był szok uderzenia. Gdyby ten cios wcześniej wykonała druga strona, to – być może – wynik byłby odwrotny. Nie sądzę, żeby efekt szokowy po stronie władzy był aż tak silny, jak ten, który uderzył „Solidarność” i żeby nasze zwycięstwo było tak kompletne. Niemniej, gdyby związek wykonał cios strajkowy, to strona rządowa znalazłaby się na deskach. Może na krócej, może w lepszej formie, ale by się znalazła. To po pierwsze.

Druga sprawa, i ona jest zasadnicza, polega na tym, że jeżeli będziemy stawiali sprawę tak, że mamy wstrzymać się przed działaniem, to żadnej działalności podjąć nie można. Jeżeli boimy się ryzyka, jeżeli boimy się ofiar, to oczywiście nie róbmy nic!

Proszę Pana, ja byłem pierwszym człowiekiem Konfederacji, który poszedł na długo do więzienia. Ja chciałem pójść pierwszy do więzienia między innymi dlatego, żebym mógł z czystym sumieniem wymagać od innych, ażeby też ryzykowali. Bo gdybym ja się schował z tyłu, to bym się głupio czuł domagając się od innych, żeby podejmowali ryzyko walki, za którą grozi więzienie. Mam ten moralny luksus, że mi nikt nie może powiedzieć, że wysyłam innych a sam się chowam. Być może ofiary mogą być większe, jesteśmy na to gotowi. Rozmawiałem z księdzem Jerzym Popiełuszką tuż przed jego męczeńską śmiercią. Był to człowiek, który naprawdę bał się męczeństwa, bo był tylko człowiekiem. Ale On miał świadomość, że męczennikiem będzie. On się bał, miał chwilami nadzieję, że może nie, ale w zasadzie, to On to robił świadomie. Straszna ofiara... Będą ofiary! I musimy ludziom mówić – „Bądźcie przygotowani, że będą ofiary! Może będzie krew”. Ktoś kiedyś powiedział, że koła Historii krwią są smarowane. Zadaniem przywódców politycznych jest dążyć do tego, ażeby tych ofiar było jak najmniej. Działalność Konfederacji, nasz program, to jest program, który szuka najbardziej optymalnej drogi. Gdybyśmy chcieli szukać drogi nie oszczędzającej ludzkich ofiar, to byśmy wezwali 13 Grudnia do strzelania, do krwi. My wiedzieliśmy, że będzie stan wojenny. Jeżeli parę dni przed 13 Grudnia nawoływaliśmy do strajku powszechnego, to tylko po to, żeby uniknąć większych ofiar a sprawę pchnąć do przodu. Cóż mi szkodziło napisać i we właściwym czasie ogłosić wezwanie KPN- „Polacy do broni!”

Maciej Szumowski: Myśli Pan, że posłuchaliby Pana?

Leszek Moczulski: Nie wiem czy by mnie posłuchali. Wiem, że Konfederacja tę drogę odrzuciła. Wiem, że nie poszliśmy tą drogą. Wiem, że taka droga sprowadziłaby nas na manowce.

Maciej Szumowski: No ale mówi Pan o zawarciu 5 milionów z czołgami?

Leszek Moczulski: Nie, nie! Ja mówiłem – powtórzę – jak będzie 5 milionów ludzi na ulicy, to nie będzie czołgów. Siłą społeczeństwa w tym okresie i naszym mocnym narzędziem jest jego organizacja. Organizacja w różnych kształtach, przy pomocy różnych sposobów oraz różnych najbliższych celach. Taka organizacja polskiego społeczeństwa, gdzie są i wielkie związki zawodowe i partie polityczne, i to wszystko co da się zorganizować. Cały problem Polski polega na tym, żeby w miarę organizowania społeczeństwa dezorganizować tę władzę. Początek naszej „rewolucji” w 1980 roku polegał na tym, że naprzeciwko zorganizowanej władzy było zatomizowane społeczeństwo. Od tego czasu procesy organizacji społeczeństwa posuwały się i cofały, ale w sumie poszły do przodu a procesy dezorganizacji władzy też. Kiedy nastąpi nasze zwycięstwo? Wtedy, kiedy zorganizujemy jednocześnie cały wysiłek społeczny, na który stać Polaków a z drugiej strony zdezorganizujemy ich władzę. To jest droga do zwycięstwa.

Powie Pan, że to teoria. To jest teoria, ponieważ my rozmawiamy przy mikrofonie i wszystko, co mówimy, jest teorią. Najważniejsza rzecz jest taka, że my te nasze teorie sprawdzimy w życiu. Ja czuję się w tym sprawdzaniu mocny, ponieważ my wszyscy wiemy co było i co jest. Ja na pewno jestem jednym z głównych przeciwników tego ustroju i tego reżimu. Jestem jednym z tej grupy ludzi, z którymi oni walczą najmocniej. I jeżeli po iluś tam latach prześladowań możemy sobie tutaj takie rzeczy mówić i opowiadać, to kto tu jest zwycięzcą – ja czy Jaruzelski?

Gierek mnie zamknął. Gierka już nie ma. Potem był Kania, ale też już go nie ma. Jaruzelski jeszcze jest – nic mu złego nie życzę, bo jestem człowiekiem humanitarnym i chrześcijaninem. Jeżeli ja te wszystkie rzeczy mogę mówić powołując się na masowe ruchy społeczne, które już wystąpiły, to kto w tej grze wygrywa?

Maciej Szumowski: Jeżeli chodzi o pewną niezależność myślenia i o pewien

margines swobody, to jest to zasługa nie tylko KPN czy opozycji, ale jest to zasługa pewnego umiarkowanego kursu władzy.

Leszek Moczulski: Człowiek o ogromnej niezależności myślenia, jakim był Traugutt, podjął walkę, która po dwóch latach skończyła się tak, jak się skończyła. I Traugutt mógł tylko powiedzieć – „Wierzę, że jeżeli zostanie choć jeden Polak, to Polska się odrodzi”. Była to wypowiedź optymistyczna, ale był to optymizm z samego dna tragedii. Ja natomiast mogę powiedzieć – „Cóż z tego, że nas zamykali, że nas zamykali tysiącami, że nas rozbijali? No i co z tego? My jesteśmy! My idziemy do przodu!” Jakież skok zrobiła Polska i każdy z nas w ciągu ostatnich kilku lat! Cóż oni są nam w stanie zrobić? Najwyżej nas znowu zamkną do więzień. Mój Boże, za nami przyjdą inni, zresztą my też z tych więzień wyjdziemy... Może zginiemy, a może wyjdziemy. Raczej nas wypuszczą.

Maciej Szumowski: To wszystko, co Pan mówi, jest prawdą. Ale moje pytanie brzmi tak – czy ten cały margines swobody, który mamy, to, że jest niezależna kultura, że jest niezależne myślenie, czy to wszystko osiągnęliśmy za pomocą radykalnych środków działania, czy też środków bardziej umiarkowanych?

Leszek Moczulski: Uzyskaliśmy to wskutek ciągłej presji społecznej i ciągłego procesu rozpadu władzy. Natomiast, jeśli idzie o pytanie, czy uzyskaliśmy to dzięki radykalnej polityce, czy też dzięki środkom bardziej umiarkowanym, to moim zdaniem polityka ugodowa oddaliła nas od celów, ku którym idziemy. Ustawiła nas w gorszej sytuacji. Polityka radykalna, aczkolwiek nigdy na początku nie osiąga swoich celów, to przynosi efekty. Może stanowią one 30 czy 10 procent tego, czego chcemy, ale to jest! I jest tego coraz więcej!

Maciej Szumowski: Skalą porównawczą dla mnie jest radykalizm „Solidarności” i radykalizm KPN.

Leszek Moczulski: Partia polityczna zawsze musi być bardziej radykalna niż ruch związkowy. Ludzie z KOR-u którzy weszli do „Solidarności” należeli do radykalnego skrzydła związku przez to, że byli działaczami politycznymi.

Maciej Szumowski: Oni twierdzą, że stopowali.

Leszek Moczulski: W pewnych sprawach mogli oczywiście stopować,

dlatego, że niektóre rzeczy były stawiane radykalniej, bo my byliśmy jeszcze bardziej radykalni. Na przykład my uważaliśmy, że porozumienie zawarte na początku kwietnia 1981 roku było porozumieniem co najmniej niedoskonałym. Zresztą sądzę, że już w sierpniu 1980 roku można było uzyskać więcej. Polityka to też sztuka wykorzystywania możliwości. Jeżeli uda się wykorzystać coś blisko 100%, to jest bardzo dobrze. Jak się natomiast uda zdobyć 10%, to jest bardzo źle. Uważam, że w sierpniu 1980 udało się osiągnąć 75% możliwości, ale w kwietniu 1981 roku, to już w najlepszym wypadku tylko 45%. Była to po prostu polityka niedostatecznie skuteczna i dlatego musiał nastąpić potem 13 Grudnia.

Pytał Pan o postawę Kościoła. Chcę powiedzieć jedną rzecz. Kościół nie jest partią polityczną. Nie domagamy się od niego by zachowywał się jak partia. On ma inne cele. Cele Kościoła, to są cele nie z tego świata i sprawy doczesne w obliczu spraw wiecznych są znikomymi.

Maciej Szumowski: Przepraszam nigdy nie zadaję takich pytań, ale spytam. Pan jest wierzący?

Leszek Moczulski: Tak! Jestem wierzący. Jestem praktykującym katolikiem.

Maciej Szumowski: Czy była to kwestia nawrócenia, jakiegoś powrotu?

Leszek Moczulski: Nie, nie była to kwestia nawrócenia. Całe życie byłem wierzącym katolikiem, natomiast obecnie jestem w praktykach religijnych o wiele bardziej gorliwy, niż jak miałem lat dwadzieścia kilka. To jest naturalne, choć jak miałem lat 8 czy 10, to być może byłem o wiele bardziej gorliwy, niż w tej chwili. Katolicyzm, Bóg, Opatrzność... wierzę w to.

Mówimy tu cały czas w kategoriach rozumowych i teoretycznych. W tych kategoriach, to co teraz powiem zabrzmi być może dziwacznie. Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie. W polityce trzeba myśleć, myśleć i myśleć. Polityka to jest myśl, wola, decyzja i wykonanie. Chcę jednak powiedzieć, że mój optymizm, moja pewność, biorą się z takich rzeczy, które może nie dla każdego będą zrozumiałe. Żydzi w Starym Testamencie czekali znaków przyjsia Mojżesza. Tomasz był niewierny i czekał znaku, że Chrystus zmartwychwstał. My też jesteśmy niewierni i też czekamy znaków. W każdym razie mogę to powiedzieć o sobie. Myślę, że Polska miała parę takich znaków. Znak wyboru Ojca Świętego. Wielki znak! Znak Jego prawie śmierci. Wielki znak! Dla mnie

sierpień 1980 roku, który znam tylko z opowieści, bo spędziłem go w więzieniu – strajk i msza święta – to wielki znak. A 13 Grudnia? Czyż to nie jest jakieś ostrzeżenie Opatrzności? Czy my w tym wszystkim co robiliśmy przed stanem wojennym, czy my nie zasłużyliśmy na to, żeby Opatrzność zwróciła nam uwagę? Ja z tego czerpię główną siłę. Sądzę, że Opatrzność nie szczędzi nam znaków. A jeżeli tak – to nas prowadzi.

To nie znaczy, że zwalnia nas z odpowiedzialności. Mamy wielką odpowiedzialność za nasze decyzje i za nasze czyny. Ponosimy straszną odpowiedzialność. Nasz błąd może przerodzić w ogromne tragedie. Nasze niewykorzystane sposobności mogą skutkować, że na przykład Polacy nie ocaleją. Wstrzymanie się od działania jest bardzo często jeszcze większą odpowiedzialnością niż działalność. Wstrzymanie się od działalności może przynieść jeszcze większe straty. Ja czuję taką odpowiedzialność. Czuję się odpowiedzialny za ofiary ostatnich lat. Jeśli tutaj, w Nowej Hucie, zginął chłopak, jeśli zginęli górnicy w kopalni „Wujek”, jeżeli zamordowano księdza Jerzego, to ja się czuję odpowiedzialny za te śmierci. My, którzy zabieramy publicznie głos, którzy mamy pewien autorytet, my, którzy oddziaływaliśmy na tych ludzi tak czy inaczej, to my za to wszystko ponosimy odpowiedzialność. To co mówię jest dramatyczne bo jesteśmy w bardzo dramatycznym momencie historii. Czuję się współodpowiedzialny, bo wszedłem w tę koleinę i uzyskałem jakiś tam autorytet polityczny i są ludzie, którzy mnie słuchają. Mówię do społeczeństwa i do czegoś nawołuję, jak choćby w tym wywiadzie. Jeżeli żądam konsekwencji i odwagi od ludzi, to ja nie wiem, czy takie żądanie nie skończy się dla nich tragedią. Ja biorę na siebie odpowiedzialność i to ryzyko moralne. Ale równocześnie mogę być silniejszy i jest mi łatwiej – może to co powiem okaże się staroświeckie – ponieważ czuję, że Opatrzność, nie zwalniając nas z odpowiedzialności, daje nam znaki i gdzieś prowadzi, i jakiś kierunek wskazuje...

Oczywiście wszyscy mamy wolny wybór.

Maciej Szumowski: Myślę, że coś dramatycznego i pięknego stało się w tej rozmowie poprzez Pańskie wyznanie, poprzez podjęcie wątku odpowiedzialności z całą świadomością dramatyzmu tego wątku. Myślę, że jest to bardzo dobry akcent na zakończenie tej rozmowy – właśnie ta refleksja

o odpowiedzialności. Tej rozmowy nie można traktować jako recepty do działania bez zastanowienia. Myślę, że z Pańskich poglądów każdy własnym rozumem, z własną odpowiedzialnością, własnym wyborem będzie czerpał to, co będzie chciał wziąć. Nie jest to recepta. Jest wiele punktów kontrowersyjnych czego nie ukrywaliśmy. Szczególnie ten moment bardzo dramatyczny, w którym Pan mówi, że mogą być ofiary, że może być starcie. Ma Pan jednak nadzieję, że w takim starciu nie będzie ofiar, że nie będzie czołgów.

Leszek Moczulski: Musimy zrobić wszystko i to jest nasza odpowiedzialność, żeby było jak najmniej ofiar.

Maciej Szumowski: Ujawnił Pan również odpowiedzialność za radykalizm. Wybór programu działania pozostaje każdemu z nas. Najlepsza droga działania politycznego też pozostaje otwarta. Sądzę, że najwyższą wartością moralną obecnego społeczeństwa jest to, że istnieje autentyczny pluralizm poglądów i dróg. Sądzę, że nie jest tak, że jeden program może zbawić Polskę, że tych dróg dla Polski jest bardzo wiele – radykalnych i bardziej umiarkowanych. Sądzę, że jest wartością to, że możemy tak rozmawiać, to, że możemy Pańskie poglądy uczciwie i dogłębnie zaprezentować pod rozagę i osąd naszych widzów. Myślę, że to, że możemy tak rozmawiać, że możemy prezentować różne poglądy w naszej małej, ale niezależnej telewizji – jest w tym jakiś głęboki optymizm

Dziękuję Panu serdecznie.

Leszek Moczulski: Dziękuję.

DR ANDRZEJ ANUSZ

NIEZALEŻNE ZRZESZENIE STUDENTÓW 1980–1989: NAJWIĘKSZA ORGANIZACJA ŚRODOWISKOWA DRUGIEGO OBIEGU POLITYCZNEGO

DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI

Powstanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów było wynikiem zarówno ówczesnej ogólnej sytuacji wewnętrznej – posierpniowej euforii i entuzjazmu społeczeństwa, wynikających z powstania „Solidarności” – jak i procesów zachodzących wśród młodzieży akademickiej. Stymulowały je warunki, panujące na wyższych uczelniach – ich nie najlepsza kondycja finansowa, pogarszające się materialne położenie studentów, ograniczenie autonomii uniwersyteckiej, inwigilowanie kadry naukowej i studentów przez Służbę Bezpieczeństwa, łamanie zasady wolności badań, ograniczenie dostępu studiującej młodzieży do niektórych publikacji zagranicznych, indoktrynacja polityczna oraz częściowo przestarzałe programy studiów, nieprzystające do potrzeb przyszłego życia zawodowego. Należy również zwrócić uwagę na żywą, przynajmniej wśród części młodzieży akademickiej, tradycję niezależnego ruchu i opozycyjnych wystąpień studenckich w powojennej Polsce – poczynając od „wydarzeń krakowskich” 1946 r, przez krótką historię „Po prostu” w okresie postalinowskiej „odwilży”, Marzec 1968 r, aż po działalność Studenckich Komitetów Solidarności, czy Ruchu Młodej Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych¹.

Trudno ustalić, gdzie po raz pierwszy zapadła decyzja o powołaniu niezależnej organizacji studenckiej. Wiadomo, że rozmawiała o tym grupa studentów wspomagających strajk w Stoczni Gdańskiej. Rozmowa ta odbyła

¹ P Waingertner, *Dekada buntu czyli o NZS-ie lat osiemdziesiątych* [w:] „Zeszyty Historyczne”. Zeszyt Sto Trzydziesty Trzeci. Instytut Literacki. Paryż 2000, s 3–4

się przed bramą nr 2². Na wieść o strajku wielu studentów wracało z wakacji na uczelnie, gdzie tworzyli punkty informacyjne przekazujące wiadomości o aktualnej sytuacji w kraju³. 27 VIII 1980 r. studenci Gdańska ogłosili apel zawierający listę postulatów, wśród których jednym z podstawowych było żądanie utworzenia niezależnej, samorządowej organizacji studenckiej⁴. 1 IX 1980 r. na Uniwersytecie Gdańskim odbyło się spotkanie pracowników naukowych, którzy powołali koło „Solidarności”. Na zebraniu tym byli też studenci, żeby zaprezentować swoje postulaty. Okazało się, że studenci nie mogą należeć do Związku. Powstał pomysł założenia organizacji studenckiej o charakterze zawodowym, która jako sekcja branżowa skonfederowałaby się z „Solidarnością”⁵. I to okazało się niemożliwe. W związku z powyższym 2 IX 1980 r. powołano Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu Gdańskiego⁶, który ogłosił *Projekt Programu Działania*. 10 IX 1980 r. powstał w Warszawie Komitet Założycielski Niezależnego Związku Studentów, który również przedstawił swoje postulaty. Podobne struktury powstały w innych ośrodkach akademickich kraju.

W dniach 18–19 X 1980 r. w Warszawie odbył się Zjazd Delegatów Komitetów Założycielskich Niezależnych Organizacji Studenckich. Wybrana została Komisja Statutowa, która miała zredagować ostateczną wersję statutu⁷. Zgłoszono propozycje nazwy nowej organizacji: „Niezależne Zrzeszenie Studentów”, „Solidarność Zrzeszenia Studentów Polskich” (którą wycofano ze względu na skrót – taki sam jak studenckiej organizacji związanej z PZPR – „Socjalistyczny Związek Studentów Polskich”), „Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich”, „Ogólnopolskie Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich”, „Niezależny Związek Studentów”. Wcześniej prawie jednogłośnie wypowiedziano się przeciwko nazwie: Konfederacja Studentów Polskich przyjętej na spotkaniu

² S. Podorzecki, *Niezależne Zrzeszenie Studentów (1980–88)*. „Kontakt” miesięcznik redagowany przez członków i sympatyków „Solidarności”, nr 5 (maj), 1988, s. 36

³ „Kurier Akademicki” nr 16, 1–15 X 1988

⁴ M. Drozdek, *jak powstał NZS KUL*, „Yolta” – pismo NZS KUL nr 1, VI 1988

⁵ „LUK” tygodnik wydawany przez KKK NZS, numer specjalny marzec 1991 s. 18

⁶ „Refleksy” – pismo studentów UW nr 12, X 1988

⁷ *Żądamy rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów*. „Biuletyn Informacyjny Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Warszawskiej”, nr 3/4 Warszawa 28 X 1980

we Wrocławiu. Na siedzibę organizacji zaproponowano: Warszawę, Gdańsk, Kraków, Łódź, Poznań, Wrocław⁸. W wyniku głosowania, w którym starli się zwolennicy głównie dwóch nazw., tzn. „Niezależne Zrzeszenie Studentów” i „Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich” wybrano tę pierwszą. Argumentowano, że nazwa ta da szansę studiującym w Polsce obcokrajowcom, głównie z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, na działanie w jednej organizacji⁹. Na siedzibę NZS wybrano Warszawę. 19 X 1980 r. przyjęto Statut „Niezależnego Zrzeszenia Studentów”. Wybrany został Ogólnopolski Komitet Założycielski (OKZ), któremu na mocy podjętej uchwały udzielono pełnomocnictwa w czynnościach związanych z zarejestrowaniem NZS-u¹⁰.

W początkowym okresie toczył się spór o charakter przyszłej organizacji. Część środowiska studenckiego chciała powołać organizację, która byłaby w istocie samorządem studenckim (np. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim). Jednak zwyciężyła koncepcja rozdzielności samorządu i organizacji studenckiej. Chodziło o to, aby samorząd był płaszczyzną porozumienia między poszczególnymi organizacjami studenckimi, oraz reprezentacją wszystkich studentów, także tych niezrzeszonych. Część działaczy uważała, że NZS powinien domagać się statusu związku zawodowego studentów i rejestracji przez sąd. Nie precyzowano dokładnie, kto w przypadku studentów jest pracodawcą, a kto pracobiorcą i wobec kogo mają studenci antagonistyczne interesy (chyba nie wobec profesorów). W rezultacie zwyciężyła koncepcja realistyczna, aby zachować specyfikę organizacji studenckiej i po zmianie rozporządzenia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki o organizacjach studenckich złożyć statut w ministerstwie¹¹.

Spór toczył się również o formy organizacyjne Zrzeszenia. Czy ma być ono ogólnopolską, silnie scentralizowaną organizacją, czy też może zdecentralizowaną strukturą opartą na zasadzie federacji poszczególnych ośrodków. Dylemat ten był obecny i w późniejszej historii Zrzeszenia, kiedy co jakiś czas

⁸ *ibid.*

⁹ „LUK” ..., op. cit.

¹⁰ „Biuletyn Informacyjny” ..., op. cit.

¹¹ Wywiad z A. Romaszewską-Guzy, b. członkiem Krajowej Komisji Rewizyjnej NZS i J. Guzy, b. przewodniczącym Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS. „Kurier Akademicki” nr 6/7, X 1987

powracał powodując kryzysy w organizacji. Dążenie do decentralizacji wynikało z dwóch powodów. Pierwszym była obawa przed infiltracją, autonomia organizacji uczelnianych miała uratować ich niezależność w wypadku „opaniowania” krajowej centrali przez władze. Drugi powód to panująca wśród członków NZS awersja do SZSP. Powodowała ona, iż Zrzeszenie było konstruowane na zasadzie przeciwieństwa do SZSP będącego „pasem transmisyjnym” PZPR w środowisku studenckim; SZSP było scentralizowane i zhierarchizowane. W tej atmosferze za duże osiągnięcie należy uznać utworzenie organizacji ogólnopolskiej. Istniała bowiem koncepcja tworzenia odrębnych organizacji na szczeblu uczelnianym (hołdował jej w szczególności Kraków, który poza WSP nie przystąpił do krajowego NZS, aż do czasu strajku łódzkiego). Jednak struktura organizacyjna, jaką zaproponowano w statucie, nadal charakteryzowała się daleko posuniętą decentralizacją. Podstawową komórkę stanowiła organizacja uczelniana, mająca prawo nie podporządkowania się decyzjom władz krajowych. Sprzeciw 1/3 organizacji uczelnianych mógł unieważnić nawet decyzję Zjazdu, który był najwyższą władzą Zrzeszenia. Ogólnopolski Komitet Założycielski, a po I Zjeździe Krajowa Komisja Koordynacyjna, nie mogąc wydawać poleceń, jedynie „wzywała” organizacje uczelniane do podjęcia określonych działań. Powszechna była zasada kolegiałności przy podejmowaniu decyzji. Tak daleko posunięta decentralizacja przyczyniła się do zmniejszenia operatywności i przyniosła fatalne skutki w dramatycznych dniach poprzedzających stan wojenny.

Do organizacji NZS nie zaangażowali się w znaczącym stopniu członkowie SKS-ów, natomiast dużą grupę stanowili współpracownicy „dorosłej” opozycji przedsiernpniowej, zarówno Komitetu Samoobrony Społecznej – KOR, jak i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz organizacji, które się z niego wywodziły. Na szczeblu uczelnianym część kadry NZS wywodziła się z duszpasterstw akademickich, będących przed sierpniem ważną płaszczyzną aktywności publicznej dostępną dla szerszych rzesz studentów, poza SZSP. Również i z tej ostatniej organizacji pochodziła pewna część aktywu NZS. Jednak zdecydowanie przeważali studenci, którzy dotąd w żadnej zorganizowanej formie nie brali udziału w życiu publicznym. NZS była dla nich pierwszą formą organizacji.

Najważniejszym zadaniem przed jakim stanęło Zrzeszenie było uzyskanie prawnej rejestracji. OKZ 20 X 1980 r. złożył do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie wniosek „O zarejestrowanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Studentów o nazwie: Niezależne Zrzeszenie Studentów”¹². 13 XI 1980 r. Sąd Wojewódzki oddalił wniosek o rejestrację opierając swe orzeczenie na 87 i 98 Konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy, twierdząc, że tylko pracownicy lub pracodawcy mają prawo zakładać związki zawodowe. W związku z tym OKZ NZS zwrócił się do Rady Państwa domagając się opracowania takiej wykładni Uchwały Rady Państwa z 13 IX 1980 r, która wyjaśni niejasności prawne powstałe na tle określenia podmiotów uprawnionych do tworzenia związków zawodowych. Jednocześnie rozpoczęto rozmowy z Ministrem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki na temat zmiany rozporządzenia w sprawie organizacji studenckich z 1960 r., uznając, iż powyższe rozporządzenie ogranicza prawo studentów do zrzeszania się¹³. Wynikało to m.in. z faktu, że Minister Janusz Górski zasygnalizował gotowość dokonania rejestracji NZS¹⁴, oraz ze zwycięstwa koncepcji Zrzeszenia jako organizacji środowiskowej.

Jednak zmiana rozporządzenia przedłużała się, w związku z tym doszło do pierwszego strajku studenckiego na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy odbyły się rozmowy z ministrem, który 28 XI 1980 r. podpisał tekst nowego rozporządzenia *W sprawie organizacji studenckich*, które miało wejść w życie po 20 XII 1980 roku¹⁵. Podczas negocjacji OKZ otrzymał pomoc ze strony mec. Wiesława Chrzanowskiego i prof. Andrzeja Stelmachowskiego¹⁶. Równocześnie z zakończeniem strajku OKZ wniósł odwołanie od decyzji Sądu Wojewódzkiego do Sądu Najwyższego w Warszawie¹⁷. Postanowiono, że z chwilą ukazania się w „Dzienniku Ustaw” wynegocjowanego rozporządzenia, OKZ złoży również wniosek o rejestrację u ministra.

30 XII 1980 r. odbyła się w Sądzie Najwyższym w Warszawie rozprawa

¹² Serwis Informacyjny NZS przy SGGW-AR, XI 1980

¹³ Komunikat nr 5 OKZ NZS, Warszawa, 14 XI 1980 (maszynopis powielony)

¹⁴ „Kontakt” ..., op. cit., s. 38

¹⁵ Komunikat Komitetu Strajkowego Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Warszawskiego (maszynopis powielony)

¹⁶ „Kontakt” ..., op. cit., s. 38

¹⁷ „Biuletyn NZS Kraków”, nr 5, XI 1980, s. 39

rewizyjna, która jak stwierdził Sąd, ze względu na niedopełnienie przez studentów wymogów formalnych została przełożona¹⁸. Był to w istocie wybieg prawny mający na celu przedłużenie sprawy, zwłaszcza, że 411981 r. ukazało się w Dzienniku Ustaw nr 1 poz. 3 długo oczekiwane rozporządzenie.

16 I 1981 r. OKZ NZS złożył w Ministerstwie Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki wniosek o rejestrację. Do wniosku załączony został Statut Zrzeszenia, który powstał w wyniku żmudnych prac.

W czasie gdy zaczęło kształtować się Niezależne Zrzeszenie Studentów, jednocześnie w różnych ośrodkach akademickich kraju, żywiołowo powstawały projekty statutów i regulaminów nowej organizacji studenckiej. W tym czasie powstały m.in. projekty statutów: Zrzeszenia Młodzieży Akademickiej¹⁹, Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich na Uniwersytecie Gdańskim²⁰, Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich Solidarność²¹, Niezależnego Zrzeszenia Studentów²² oraz drugi, lecz inny projekt statutu Niezależnego Zrzeszenia Studentów²³ i Niezależnego Związku Studentów²⁴. Wszystkie te działania były prowadzone w różnych ośrodkach akademickich niezależnie od siebie, jednak w dniach 18–19 X 1980 r. w Warszawie odbył się zjazd delegatów komitetów założycielskich niezależnych organizacji studenckich. Wybrano Komisję Statutową, mającą zredagować ostateczną wersję statutu, który obowiązywałby w całym kraju. Wysłuchano opinii na temat statutu prawnika, dr Jarosława Kaczyńskiego, doradcy „Solidarności”²⁵. 19 X 1980 r. przyjęto statut Niezależnego Zrzeszenia Studentów²⁶, który 20 X 1980 r. złożono do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie²⁷ 13 XI 1980 r. Sąd Wojewódzki oddalił wniosek o rejestrację opierając swe orzeczenie na 87 i 98 Konwencji Międzynarodowej

¹⁸ „Informator NZS PW”, nr 1, 14 I 1981

¹⁹ maszynopis powielony

²⁰ maszynopis powielony

²¹ maszynopis powielony

²² maszynopis powielony

²³ maszynopis powielony

²⁴ maszynopis powielony

²⁵ „Biuletyn Informacyjny Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Warszawskiej”, nr 3/4, Warszawa 28X1980, s. 5

²⁶ maszynopis powielony

²⁷ „Biuletyn Informacyjny” ..., op. cit., s. 5

Organizacji Pracy, twierdząc, że tylko pracownicy lub pracodawcy mają prawo zakładać związki zawodowe²⁸.

Ogólnopolski Komitet Założycielski zmienił koncepcję i postanowiono zarejestrować się na podstawie nowego rozporządzenia ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki o organizacjach studenckich i złożono statut w ministerstwie²⁹. Rozpoczęła się walka o kształt statutu. Podczas strajku na Uniwersytecie Warszawskim 28 XI 1980 r. doszło do rozmów Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Janusza Górskiego z przedstawicielami OKZ na temat statutu. Sprawą sporną było wprowadzenie do statutu tzw. kierownicy, czyli zapisu o przewodniej roli PZPR. Punkt ten wzbudził duże emocje, studenci nie chcieli się na to zgodzić³⁰. W rozmowach brali również udział eksperci NZS-u prawnicy W. Chrzanowski, B. Banaszkiewicz, którzy odegrali w nich bardzo ważną rolę. „Kierownicy” nie wprowadzono.

22 I 1981 r. odbyły się w ministerstwie, z udziałem ekspertów prawnych, rozmowy robocze na temat zgodności statutu NZS z nowym rozporządzeniem. Ministerstwo zakwestionowało punkt statutu dotyczący strajku, proponując taką jego formę, która nie zakłócałaby zajęć dydaktycznych. Zgłoszono również zastrzeżenia co do zgodności statutu z ustawami obowiązującymi w PRL³¹.

29 I 1981 r. odbyło się kolejne spotkanie, na którym OKZ złożył oświadczenie iż nie zamierza prowadzić dalszych rozmów na temat rejestracji, w tym na temat ewentualnych zmian w statucie NZS. Do oświadczenia dołączony został list eksperta prawnego B. Banaszkiewicza, który stwierdzał: że statut jest zgodny z rozporządzeniem, z czego wynika, że nie może być niezgodny z ustawami, gdyż implikowałoby to niezgodność rozporządzenia z ustawami³².

Sprawa rejestracji NZS-u przeciągała się, w związku z tym doszło do studenckich strajków w Łodzi, które przybrały ogólnopolski charakter. Napięta sytuacja na Uniwersytecie Łódzkim trwała od października 1980, kiedy rozpoczęto zbieranie postulatów studenckich. Na Wydziale Filologicznym zostały

²⁸ Komunikat nr 5 OKZ NZS, Warszawa 14 XI 1980

²⁹ „Kurier Akademicki” – pismo NZS, nr 6/7, październik 1987, s. 4

³⁰ *ibid.*, s. 4

³¹ „Informator” NZS PW nr 2, 29 I 1981

³² *ibid.*

one zatwierdzone przez Radę Wydziału już pod koniec listopada. Chodziło m.in. o przedłużenie do 5 lat czasu trwania studiów. Główną przeszkodą wprowadzenia postulatów w życie była postawa rektora ponieważ, unikał on wyrażnego ustosunkowania się do tej sprawy.

NZS Wydziału Prawa i Administracji zapoznał swoje władze dziekańskie z postulatami studentów 10 XII 1980 roku. Dziekani uchylali się od rozpatrzenia i załatwienia palących problemów młodzieży, mimo iż wymienione postulaty były im przekazywane trzykrotnie. Przed świętami NZS powiadomił dziekana o planowanej akcji protestacyjnej. 6 I 1981 r. studenci WPiA podjęli akcję solidarnego czekania. Zajęcia dydaktyczne odbywały się, a po zajęciach okupowano gmach wydziałowy. 7 I 1981 r. odbyły się rozmowy z władzami wydziału. Wzięli w nich udział również rektorzy Uniwersytetu – prof. dr hab. R. Skowroński i doc. dr hab. M. Krzeмиński. Udało się załatwić sprawy wewnętrzne wydziału i kilka postulatów dotyczących uczelni, m.in. zniesienie egzaminów z podstaw nauki o polityce oraz uznanie NZS za pełnoprawną organizację studencką. W trakcie rozmów odbyło się spotkanie innych wydziałów z rektorem Skowrońskim. Ustalono, że zostanie powołana Ogólnouczelniana Komisja Studencka, która sformułuje postulaty całej uczelni i przygotuje rozmowy z rektorem. Wyniki przeprowadzonych rozmów nie zadowolili studentów zgromadzonych w auli gmachu Prawa i Administracji. Zdecydowano kontynuować akcję do czasu kolejnych rozmów z rektorem. 8 I 1981 r. rozpoczęto akcję „solidarnego czekania” na wydziale ekonomiczno-socjologicznym. W skład Międzywydziałowej Komisji Studenckiej weszło 28 osób reprezentujących wszystkie wydziały UŁ. Postulaty podzielono na trzy grupy: 1/ problemy ogólnospołeczne i polityczne; 2/ reforma modelu uczelni; 3/ szczegółowe sprawy poszczególnych kierunków. W 28 osobowym składzie MKS UŁ znalazło się 20 członków NZS, 4 członków SZSP, 4 niezrzeszonych. 9 I 1981 r. MKS przekształcił się w Studencki Komitet Jedności, na którego czele stanął Wojciech Walczak (Przewodniczący Zarządu Uczelnianego NZS). 10 I 1981 r. toczono kolejne rozmowy z władzami uczelni. W zakresie postulatów dotyczących uczelni uzyskano efekt pozytywny. Co do pozostałych postulatów rektor Skowroński nie czuł się kompetentny, chociaż do niektórych z nich wyraził swój pozytywny stosunek. Zdecydowano się kontynuować

„solidarne czekanie”. 12 I 1981 r. w Warszawie odbyło się spotkanie delegacji SKJ z przedstawicielami MNSZWiT. Ustalono, że: 1/ delegacja studentów UŁ przedstawi SKJ UŁ stanowisko Ministerstwa, które jest w stanie podjąć rozmowy, ale po otrzymaniu postulatów minimum na 3 dni przed terminem rozpoczęcia pertraktacji; 2/ w przypadku pozytywnej decyzji SKJ postulaty będą dostarczone Ministerstwu najpóźniej do dnia 15 I 1981 r. do godz. 11.00; 3/ po spełnieniu tych warunków Ministerstwo zaproponowało termin rozmów na 16 I 1981 r, a przedstawiciele UŁ na 20 I 1981 roku. 13 I 1981 r. na spotkaniu SKJ UŁ w wyniku głosowania podjęto decyzję o ustaleniu listy postulatów do przedstawienia MNSZWiT 15 I 1981 roku. Ministerstwu przekazano postulaty. 19 I 1981 r. obradował Senat UŁ, który uchwalił, że w jego skład wejdzie 13 studentów z prawem głosu, na 41 członków. W obradach uczestniczyło 10 przedstawicieli SKJ. 21 I 1981 r. podjęto rozmowy z Komisją Rządową (szczebla resortowego). Ze strony Rządu udział wzięli Wiceminister NSZWiT W. Czajka, Dyrektor Departamentu d/s Młodzieży i Wychowania E. Pietrasik i Dyrektor W. Madej, Prezydent Miasta Łodzi Z. Polit oraz Szef Wyszkożenia Kadr przy MON. Strajkujących studentów reprezentował Studencki Komitet Jedności. Z głosem doradczym udział w rozmowach wzięli członkowie OKZ NZS Piotr Bikont i Jacek Czaputowicz oraz Małgorzata Drzewiczewska z NZS UW. Komisji Rządowej przedstawiono listę ponad 40 postulatów. Osiągnięto porozumienie co do pierwszych dwóch: niezależności i samorządności uczelni oraz jej samodzielności programowej. Rozmowy załamały się już na trzecim i czwartym postulacie tj. na sprawie uznania przedmiotów ideologicznych oraz lektoratów za nieobowiązkowe (fakultatywne). Od tego dnia strajk zmienił formę z „solidarnego czekania” na okupacyjny. Strajk objął swym zasięgiem całą uczelnię.

23 I 1981 r. na posiedzeniu SKJ UŁ, podjęto decyzję o utworzeniu Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej. Solidaryzując się z Uniwersytetem akcję strajkową podjęła Akademia Medyczna. Trwała gotowość strajkowa na Politechnice Łódzkiej. W posiedzeniu SKJ brała udział w charakterze obserwatora 6-osobowa delegacja OKZ. W trakcie spotkania padały sugestie *iż zasadniczym celem strajku mają być postulaty dotyczące uczelni i wydziałów, natomiast postulaty ogólnospołeczne (jednym z nich było żądanie natychmiastowej rejestracji*

NZS) miały być wyrazem stanowiska studentów Łodzi wobec problemów społecznych. OKZ stał na stanowisku, iż NZS nie może współdziałać z SZSP gdyż jest to organizacja skompromitowana. Wywołało to kontrowersję, bowiem w skład SKJ wchodziło 4 członków SZSP

25 I 1981 r. rozpoczęła działalność oraz wstępne opracowywanie postulatów Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza. W jej skład weszli przedstawiciele Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Medycznej w Łodzi. W swym komunikacie MKP stwierdziła, iż *rozpocznie rokowania z Komisją Rządową w chwili, gdy zostanie uznana przez władze jako równoprawny partner pertraktacji*.

Na prośbę biskupa łódzkiego Józefa Rozwadowskiego kapłani w czasie Mszy św (25 I 1981 r.) włączyli do Modlitwy powszechnej następujące intencje:

– *Módlmy się za całą młodzież akademicką w Łodzi, ażeby Duch Święty umocnił ją w dążeniach do prawdy, do realizacji podstawowych praw ludzkich i wypełnianiu obowiązku wobec Ojczyzny;*

– *Módlmy się za nauczycieli akademickich, ażeby mieli świadomość ponoszonej odpowiedzialności za wychowanie polskiej inteligencji, kształtowali ją w duchu wolności, dialogu, prawdy oraz uczyli odważnego przeciwstawiania się złu³³.*

27 I 1981 r. do Łodzi przybyła kilkunastoosobowa delegacja uczelnianych kół NZS Warszawy (Warszawska Komisja Koordynacyjna NZS) i wydała oświadczenie popierające postulaty oraz akcję strajkową. W oświadczeniu wyraziła przypuszczenie:... *że postulaty ogólnospołeczne, uwolnienie więzionych za przekonania, ograniczenie cenzury, zapewnienie jawności sądownictwa i przestrzegania samorządności, których realizacja jest warunkiem procesu odnowy, zajmą w rozmowach należne ich randze miejsce³⁴.*

Strajkujący studenci od początku mieli zapewnioną opiekę duszpasterską. Odbывały się pogadanki, dyskusje i rozmowy z udziałem księży. W Instytutach Biologii i Matematyki UŁ istniały pokoje medytacyjno-modlitewne zaopatrzone w odpowiednią literaturę. Wielu studentów chętnie kontaktowało się z księżmi. W atmosferze licznych napięć i obaw, jak ujął jeden z uczest-

³³ R. Kowalczyk, *Studenci*, 81. Oficyna Wydawnicza Rytm. Warszawa 2000, s. 268

³⁴ „Informator” NZS PW nr 2, 29 I 1981

ników strajku, *potrzebny był kapłan jako doradca sumienia w sensie pewnego uspokojenia, wydobywania wartościowych wątków, ludzie autentycznie tego pragnęli.*

Religijną sferą życia strajkowego zajmowały się na ogół osoby z duszpa-sterstw akademickich. W AM zawiązała się specjalna sekcja, której zadaniem było dbanie o zaspakajanie potrzeb religijnych strajkujących studentów. W nie-dziale były celebrowane w budynkach objętych akcją strajkową Msze św. Na Uniwersytecie Łódzkim SKJ (24 I 1981 r.) uznał, że decyzje o odbywaniu się Mszy św. należą do studentów poszczególnych wydziałów. Ostatecznie tylko strajkujący w budynku Pedagogiki i Psychologii (głównie dziewczęta, wiele osób z SZSP) wyrazili sprzeciw i Msza św. w tym gmachu nie została odprawiona. W AM niektórzy strajkujący protestowali przeciw celebrowaniu mszy św, twier-dząc, że narusza to prawa niewierzących, msza św jest niepotrzebna, nie może się odbywać w państwowym budynku, władze uczelni mogą mieć z tego tytułu nieprzyjemności. Spór rozstrzygnął dopiero przewodniczący UKS S. Nowak, który stwierdził, że gospodarzem gmachu farmacji są w trakcie strajku studenci, niewierzący mogą się zająć w czasie Mszy św. czymś innym. Msza jest potrzebna wielu osobom, ponadto skoro na strajku mogą być filmy, to może być i msza. Studentów odwiedzali i wspomagali duchowo księża katolicy: Ks. Stefan Miecznikowski z kościoła oo. jezuitów, Ks. Mirosław Stróżka z katedry, Ks. Pie-trusik z kościoła św. Teresy. Do strajkujących w AM przychodził Marcin Undas, ksiądz z kościoła augsbursko-ewangelickiego pod wezwaniem św. Mateusza³⁵.

Protest łódzki został podjęty bez wcześniejszych uzgodnień z OKZ. Ter-min jego podjęcia był szczególnie niekorzystny, trwała sesja zimowa, później zaś ferie. Dodatkowym problemem, o którym już wspomniałem, było to, że NZS UŁ zgodził się na prowadzenie akcji strajkowej wspólnie z SZSP, tworząc Studencki Komitet Jedności. W kraju zrodziło to poważne obawy przed fuzją NZS i SZSP. Sytuację w tym względzie pogorszyły plany rozszerzenia formuły SKJ na skalę krajową. Na tym tle doszło do konfliktu między przywódcami strajku, a przybyłem do Łodzi OKZ. Ostatecznie SZSP zostało usunięte z kie-rownictwa strajku.

Msze św. odprawiane w gmachach uczelni były elektryzującym wydarzeniem, głębokim przeżyciem, dla wielu studentów. Współredaktor strajkowego pisma

³⁵ R. Kowalczyk, *Studenci*, 81 ..., op. cit., s. 265–266

„Akces”, Eugeniusz Cieparda, pisał na jego łamach: *Już w sobotę wieczorem wszyscy wiedzieli, że w auli Wydziału filologicznego odbędzie się Eucharystyczna Ofiara. Zawiadamiaty o tym plakaty. Informacji dopełniały ogłoszenia podawane w lokalnym radiowęźle w niedzielę, już od rana. A potem przygotowania. Każdy troszczył się o porządek, spiwory i koce elegancko złożone. Podłoga dokładnie zamieciona. Ktoś przynosi zielone sukno na przydzielony stół – mszalny ołtarz. Inny – kwiaty. Przygotowane są mikrofony. I wzruszający moment: pod białym orłem, górującym nad uniwersytecką aulą, zawieszamy biały Krzyż. Na nim twarz konającego Jezusa. I staje się dla wszystkich oczywiste, że ten znak jest symbolem jedności dla wszystkich, którzy tu przebywają. Dla wszystkich Polaków. Wszak to właśnie Krzyż stał u źródeł naszej kultury(...). I dokonywało się to uroczyste wyniesienie. Tego znaku, z którym 35 lat walczone, tego znaku, który wyrzucano ze szpitali, szkół, uniwersytetów. Tego znaku, który wyrrywano z ludzkich serc (...). Już kilkanaście minut przed czternastą aulę wypełniły tłumy strajkujących. Teksty pieśni przeznaczonych na mszalną liturgię rozeszły się błyskawicznie. Ćwiczymy śpiewy, a w rogu sali kolejka do spowiadającego kapłana. Wreszcie pierwsze modlitewne wezwania, a potem elektryzujący wszystkich tekst listu świętego Pawła: „Upominam was, bracia, aby nie było wśród was rozłamu”. Lektorem jest Wojtek Walczak – przewodniczący SKJ. Dokonuje się Ofiara Chrystusa. Tego, który przyszedł do człowieka, aby wyzwolić go ku wszelkiej wolności. Tego, który jest Odkupieniem człowieka, jeśli nawiązać do pierwszej encykliki Jana Pawła II. Wielu z nas łączy się z nim w Komunii Świętej. I modlimy się śpiewem: „Zjednoczeni w Duchu, zjednoczeni w Nim. Módlmy się, aby jedność była odnowiona w nas”. I następuje: „Chcemy razem pracować, chcemy złączyć swój trud. By nie stracić godności, którą Pan obdarzył nas. Aby strzec ludzką duszę, aby strzec duszę swą. Żeby człowiek zachował duszę swą”.*

A potem ostatnie słowa kapłańskiego błogosławieństwa i narodowy śpiew, „Boże, coś Polskę”. Nie wszyscy znają dokładnie tekst, 35 lat sowietyzacji dało efekty, więc zerkają ukradkiem, jednocząc się we wspólnym wołaniu. Ofiara spełniona. Wszystko wraca do normalnego porządku. Znowu gwar, śpieszące kroki, nowe komunikaty. Tylko krzyż w uniwersyteckiej auli trwa milcząco solidaryzując się ze sprawą strajkujących studentów³⁶.

Strajkujący studenci prosili o wsparcie i opiekę duchową nie tylko łódzkich

³⁶ *ibid.*, s. 267–268

księży. Komitet Strajkowy Politechniki Łódzkiej (2 II 1981 r.) zwrócił się z listem do Papieża Jana Pawła II, w którym napisali: *My strajkujący studenci Politechniki Łódzkiej – uwikłani w naszą rzeczywistość, chcemy przywrócić polskiej uczelni należną jej godność i powagę, chcemy przywrócić prawdę nauce.*

Pamiętając o Twoim Ojczyźnie Święty przestaniu do nas sprzed Kościoła Św. Anny, ze wzgórz, Lecha, z Krakowskiej Skatki i Błoni Krakowskich chcemy je spełnić: „z tego trudnego doświadczenia dziejów, które nosi nazwę «Polska» chcemy wydobyc lepszą przyszłość”. Lękamy się lekkomyślności i małoduszności, brakuje nam pełnej wolności ducha, a czasem właściwej siły przekonań.

Dlatego prosimy Cię Ojczyźnie Święty – wspomagaj nas w naszych działaniach Swoją modlitwą: pobłogosław nam³⁷.

Pierwszym ośrodkiem akademickim, który przyłączył się do strajku łódzkiego był Poznań. Wynikało to stąd, że w Poznaniu w związku z rocznymi targami rozpoczynającymi się w czerwcu, zajęcia w szkołach wyższych zaczynały się wcześniej. Minister korzystając z przerwy zimowej przeciągał negocjacje. Jednak w końcu przedstawił swoje warunki rejestracji NZS: 1. OKZ NZS zobowiąże się wprowadzić w preambule statutu zapis: że organizacja ta działa w oparciu o Konstytucję PRL, 2. OKZ NZS zobowiąże się w terminie 20 dni od zarejestrowania, opracować i uzgodnić z ministrem NSzWiT „regulamin strajku”, który oparty będzie na zapisie dotyczącym strajku ze statutu NSZZ „Solidarność” i dopasowany do specyfiki wyższej uczelni, 3. Regulamin ten zostanie wpisany do księgi rejestrów organizacji studenckich jako załącznik do statutu, 4. Minister NSzWiT po przyjęciu przez NZS wyżej wymienionych ustaleń rejestruje Niezależne Zrzeszenie Studentów³⁸.

Zdecydowano się przecignąć strajk aż do zakończenia ferii, i gdy po przerwie zimowej zaczął obejmować całą akademicką Polskę, przedstawiciele władz zgłosili gotowość do ustępstw.

W ściśle tajnej *Informacji o planach i działaniach kontrrewolucyjnych sił w PRL oraz o komplikującej się sytuacji w PZPR i w kraju z 13 II 1981 r.* przygotowanej przez STASI dla najwyższych postawionych dostojników NRD odno-

³⁷ *ibid.*, s. 269

³⁸ maszynopis powielony, Łódź 16 II 1981

towano: *W sympatyzujących z „Solidarnością”, reakcyjnych, otwarcie antykomunistycznych szeregach podkreśla się, że zjednoczony w „Solidarności” front robotników, chłopów oraz studentów przypieczętuje los partii i rządu i zada ostatni cios komunistom (...). Wraz z utworzeniem kolejnego silnego centrum kontrrewolucyjnych sił i działań w Łodzi, w które szczególnie włączyły się szerokie rzesze studentów (w strajkach okupacyjnych w łódzkich wyższych uczelniach – Uniwersytecie, Politechnice, Akademii Medycznej – wzięło udział ok. 10 tys. studentów), powstanie zapewne ogólnokrajowy ruch (zmierzający) do przeprowadzenia antysocjalistycznych żądań – reformy szkolnictwa wyższego, czy uwolnienia więźniów politycznych. Łódź utrzymuje sieć różnorodnych kontaktów z antysocjalistycznymi elementami w prawie wszystkich szkołach wyższych i uniwersytetach Polski, w celu stworzenia warunków dla przeprowadzenia ogólnopolskiej studenckiej akcji. W kilku uniwersytetach i szkołach wyższych zostały już utworzone komitety strajkowe³⁹.*

15 II 1981 r., po konsultacjach z doradcami OKZ NZS oraz KKP NSZZ „Solidarność”, OKZ NZS przekazał za pośrednictwem MKP następujące oświadczenie: *W związku ze stanowiskiem Ministra Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki wyrażonym w piśmie z dnia 14 II 1981 r. Niezależne Zrzeszenie Studentów oświadcza, że rozwija swą działalność w zgodności z Konstytucją PRL a ponadto w zgodności z Międzynarodowymi Paktami Praw Człowieka i Obywatela.*

Oświadczenie niniejsze traktujemy jako załącznik do Statutu Niezależnego Zrzeszenia Studentów” oraz projekt wspólnego oświadczenia: „Ministerstwo NSz-WiT i OKZ NZS uzgadniają, że ministerstwo przygotowuje projekt uzupełnienia rozporządzenia w sprawie organizacji studenckich regulacją dotyczącą strajków studenckich. Regulacja ta będzie wzorowana na postanowieniach statutu NSZZ „Solidarność” dotyczących strajków. Nowelizacja rozporządzenia nastąpi po uzgodnieniu projektu z NZS⁴⁰.

Minister po zapoznaniu się z tymi dokumentami wyjechał do Warszawy nie ustosunkowując się do propozycji OKZ. Jednak następnego dnia, tzn.

³⁹ R. Kowalczyk, *Studenci*, 81 ..., op. cit., s. 182–183

⁴⁰ *ibid.*

17 II 1981 r. nadeszła informacja o gotowości zarejestrowania NZS. Przedstawiciele OKZ natychmiast udali się do MNSzWiT i tam nastąpiła rejestracja. W dzień później podpisano porozumienie łódzkie, z dużym protokołem rozbieżności. Treść tego porozumienia była wówczas, poza Łodzią, silnie krytykowana. Jednak strajki na uczelniach zakończyły się.

W rozmowach z władzami podczas trwania strajku łódzkiego brał udział przedstawiciel Prymasa Romuald Kukołowicz, który malując w czarnych barwach sytuację w kraju i powołując się na zdanie Lecha Wałęsy, nalegał na kompromis oraz szybkie podpisanie porozumienia⁴¹.

Po rejestracji Zrzeszenia Ogólnopolski Komitet Założycielski wystosował okolicznościowe telegramy do Papieża Jana Pawła II, kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”⁴².

19 II 1981 r. Prymas Wyszyński przesłał do Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS pismo, w którym wyraził radość z powołania i zarejestrowania Zrzeszenia i nadzieję, że *rozszerzany wymiar wolności akademickich przyczyni się do wyrównania humanistycznych układów obywatelskiego życia*⁴³.

Zainteresowanie Episkopatu problemami młodzieży akademickiej, która stworzyła jeden z kierunków niezależnego ruchu społecznego po sierpniu 1980 r., nie słabło w następnych miesiącach.

9 III 1981 r. Prymas Wyszyński, podczas przemówienia do Senatu Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, opowiedział się za prawem uczelni wyższych do samodzielnego decydowania o wewnętrznych sprawach środowiska. Kardynał powiedział: (...) *współcześnie zapomina się o jednej wielkiej właściwości uczelni akademickiej, że jest to „Alma Mater”, Akademia, „Universitas studiorum et magistrorum”, że już wskutek tego zyskuje ona swój autorytet i swoje miejsce w społeczeństwie. Etatyzacja i podporządkowanie administracji państwowej wyższych uczelni w wielu wypadkach miało dla nich doniosłe znaczenie, zwłaszcza gdy idzie o problemy ekonomiczne, ale często było szkodliwe.*

Rozpoczęła się więc walka między Kościołem a instytucją państwową o wolność i niezależność tych właśnie „universitas studiorum et magistrorum”. Pozostanie

⁴¹ R. Kowalczyk, *Łódzki strajk studencki*. Warszawa 1992, s. 188

⁴² A. Anusz, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w latach 1980–1989*. Warszawa 1991, s. 15

⁴³ „Słowo Powszechne”, 1981, nr 45, s. 2

dziedzictwem historycznym dla wszystkich uczelni akademickich to dziejowe prawo do zachowania wolności istnienia i pracy.

*Tym bardziej, że nie można właściwie ocenić naukowego dorobku uczelni sposobem administracyjnym i urzędniczym. (...) Uczelnie akademickie nie mogą się wpłatywać, bez widocznej potrzeby, w jakieś administracyjne i polityczne zależności (...)*⁴⁴.

22 III 1981 r. w rektoracie Kościoła Św. Anny w Warszawie Ks. Józef Maj reaktywował wydawanie pisma studenckiego „Młodzież Katolicka”. Redaktorem pierwszych numerów był Tomasz Wołek. Ks. Prymas Kardynał Stefan Wyszyński na kilka tygodni przed śmiercią napisał na pierwszym egzemplarzu: *Witam z radością pierwszy kwiat wiosny 1981 i błogosławie*⁴⁵.

2 IV 1981 r. ks. kardynał Franciszek Macharski przyjął na specjalnej audiencji w Kurii Krakowskiej delegację zarządów uczelnianych NZS. Spotkanie trwało ponad 2,5 godziny. Kardynał Macharski był zainteresowany historią organizowania się NZS; przyznał, że jego mała wiedza na ten temat wynika ze skromności publikacji. Pytał o stosunki między NZS a władzami uczelni i innymi organizacjami akademickimi. Zaproponował koordynację niektórych działań pomiędzy NZS a duszpasterstwem akademickim, przy czym zaznaczył, że nie jest to próba zdominowania Zrzeszenia przez Kościół, gdyż niezależność organizacji jest sprawą naczelną⁴⁶.

Kardynał Macharski skierował do odbywającego się wtedy w Krakowie Zjazdu NZS list, który został odczytany w pierwszym dniu obrad. Po zjeździe nowo wybrane władze Zrzeszenia wyszły z inicjatywą spotkania z Prymasem Polski Kardynałem Wyszyńskim. Na przeszkodzie tego stanął ciężki stan zdrowia Prymasa. Do spotkania nie doszło⁴⁷.

Również w okresie późniejszym, zwłaszcza jesienią 1981 r. podczas kolejnej fali strajków studenckich Kościół wspierał młodzież akademicką, a duszpaste-

⁴⁴ Kardynał Stefan Wyszyński, *Kościół w służbie ...*, op. cit., s. 208–209

⁴⁵ Ks. T. Uszyński, Duszpasterstwo Akademickie. Rys historyczny [w:] [*Świadectwo Drogi ...*, op. cit], s. 67

⁴⁶ „Słowo Powszechne” 1981, nr 73, s. 6

⁴⁷ G. Baciński, *Niezależne Zrzeszenie Studentów* [w:] [*Świadectwo Drogi. Księga pamiątkowa dwudziestopięciolecia kapłaństwa Ks. pralata Józefa Romana Maja*. Towarzystwo im. Stanisława ze Skarbimierza. Wydawnictwo DIG. Warszawa 1998 r.], s. 111

rze byli razem z nią. Ksiądz Jerzy Popiełuszko obecny podczas strajku w Akademii Medycznej tak to wspominał: *Młodość walczyła o swoje prawa. Na Akademii byłem wówczas na prośbę młodzieży – nieomal dniami i nocami. Odprawiałem codziennie Mszę Św., spowiadałem (...). Moim zdaniem, największym sukcesem strajku w Akademii Medycznej były nie tylko postulaty, ich realizacja, ale również „zgranie się”, integracja środowiska. Sprawdzenie siebie w trudnej sytuacji. Niemal namacalnie przekonali się, że jedni drugim są potrzebni*⁴⁸.

Z perspektywy czasu widać, że wywalczenie porozumienia było dużym sukcesem. Nadało ono kierunek nowej ustawie o szkolnictwie wyższym, która funkcjonowała do lata 1985 roku. Stosunki panujące na uczelniach od tamtego czasu były w znacznym stopniu owocem wspomnianego strajku. Można powiedzieć, że NZS obronił główne zasady swej organizacji, wynikające z zatwierdzonego statutu, który można nazwać „statutem walki”, albowiem kształtował się w wyniku paromiesięcznych zmagania między rządem a studentami. Przybierały one często dramatyczny przebieg, jak choćby podczas strajków w lutym 1981 r. na wielu polskich uczelniach.

Podczas obrad plenarnych I Krajowego Zjazdu Delegatów Niezależnego Zrzeszenia Studentów w Krakowie w dniach 3–6 IV 1981 r. pracowała Komisja Statutowa, która zaproponowała poprawki do Statutu z 17 II 1981 roku. Jednak do zatwierdzenia ich nie doszło, ponieważ delegat Wrocławia stwierdził, że I KZD nie może wносить żadnych zmian w Statucie NZS, gdyż nie ma wymaganego *quorum*. Nie było jasności czy za osobę uprawnioną do głosowania należy uznać tę, która posiada mandat Biura Zjazdu, czy też dodać do nich przypuszczalną liczbę delegatów z uczelni, które nie zgłosiły przyjazdów (według komunikatu Biura Zjazdu ok. 12 organizacji uczelnianych). W związku z tym Zjazd zdecydował nie wprowadzać żadnych poprawek do Statutu⁴⁹.

Rozpoczęto formalizowanie struktur, które już faktycznie działały, powoływano statutowe organy Zrzeszenia.

Już 20 II 1981 r. spotkali się w Poznaniu przedstawiciele komisji uczelnianych NZS z blisko 40 uczelni kraju. Na konferencji tej podsumowano dotych-

⁴⁸ Ks. J. Popiełuszko, *Dotknięcie Boga*. Warszawa 2000, s. 80

⁴⁹ „NZS INFORMACJE” – Politechnika Śląska (Gliwice), nr 16, 2 III 1981

czasowe działania Zrzeszenia oraz starano się wypracować zadania na najbliższy okres. Wypracowano i zaakceptowano uzupełnienie i poszerzenie „programu łódzkiego”. Były to tzw. postulaty poznańskie. Kolejną, podobną konferencję zwołano na Politechnice Warszawskiej w dniach 28 II – 1 III 1981 roku. Postanowiono zwołać Krajowy Zjazd Zrzeszenia, powołano komisję do jego organizacji. Miał się on odbyć 3 IV – 5 IV 1981 r. w Krakowie. Rozszerzono skład OKZ o 5 osób. Poinformowano o powstaniu Studenckiego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania z siedzibą na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie⁵⁰.

W tym czasie prace nad programem Zrzeszenia były już zaawansowane. Kształtował się on w sposób żywiołowy i zdecentralizowany. Początkowo wysuwano żądania z reguły przejęte od „Solidarności”: niezależność i samorządność z jednej strony, zaistnienie organizacyjne, lokal, telefon – z drugiej. Merytoryczny program zaczął się tworzyć. Rozpoczęto od reformowania studiów. Był to naturalny trend, bo programy były bardzo sztywne, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych. Wysuwano postulaty odmarksizowania przedmiotów kierunkowych, wyrzucenia bądź całkowitej zmiany charakteru tzw. zajęć indoktrynacyjnych: ekonomii politycznej, nauk politycznych⁵¹. Pojawił się problem studium wojskowego, przede wszystkim pod postacią konfliktu o szkolenie wojskowe studentów uczelni artystycznych, którzy między innymi walczyli o zwolnienie z rocznej służby wojskowej po studiach⁵². Sprawy tej nie udało się wówczas rozwiązać. Po tym żywiołowym okresie postulaty studenckie zaczęły przybierać bardziej pełny i dopracowany charakter.

Taką formę miały już: „Postulaty wstępne Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu”⁵³, „Postulaty wstępne Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich, przy Politechnice Poznańskiej”⁵⁴, „Projekt Programu Działania Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich na

⁵⁰ *ibid.*

⁵¹ „Kurier Akademicki”, nr 6/7, X 1987, s. 4

⁵² *ibid.*

⁵³ maszynopis powielony

⁵⁴ maszynopis powielony

Uniwersytecie Gdańskim”⁵⁵, „Zespół postulatów dotyczących sytuacji społeczno-politycznej wysuniętych przez łódzkie środowisko studenckie oraz Uczelniany Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Łódzkiej”⁵⁶.

Pierwszy raz o ogólnopolskim programie NZS możemy mówić podczas strajków w lutym 1981 r., kiedy to program Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej (MKP) Uczelni Łódzkich został uznany przez pozostałe uczelnie w kraju.

Programy te, w zakresie proponowanych rozwiązań oraz ich szczegółowości, różniły się między sobą. Jednak były to różnice drugorzędne i dotyczyły postulatów zmian w strukturze i programie nauczania uczelni, oraz postulatów ogólnospołecznych. Te pierwsze z reguły domagały się pełnej autonomii i niezależności szkół wyższych, a w związku z tym uchwalenia nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, zwiększenia reprezentacji studentów w organach kolegialnych uczelni, pełnej samodzielności programowej, zniesienia przedmiotów indoktrynacyjnych, w tym obowiązkowego lektoratu z języka rosyjskiego oraz reformy studium wojskowego.

Program ogólnospołeczny podkreślał związki ideowe NZS z NSZZ „Solidarność”, domagano się zaprzestania represji wobec działaczy opozycji demokratycznej, uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności wszystkich winnych poprzednich kryzysów politycznych w PRL, zniesienia cenzury, zniesienia ograniczeń w podróżowaniu, przestrzegania niezawisłości sądów, opracowania nowych podręczników historii oraz wprowadzenia do rozpowszechniania dzieł stworzonych na emigracji. Były to w większości postulaty przejęte od NSZZ „Solidarność” i innych ugrupowań opozycji politycznej jeszcze z lat 70.

Ostateczny i pełny program Niezależnego Zrzeszenia Studentów w skali kraju miał wypracować I Krajowy Zjazd Delegatów obradujący w dniach 3–6 IV 1981 r. w Krakowie. Wzięło w nim udział 240 delegatów reprezentujących (w tym czasie) 66 z 89 uczelni, na których działał NZS.

⁵⁵ maszynopis powielony

⁵⁶ maszynopis powielony

W początkowej fazie obrad Teodor Klincewicz odczytał list i błogosławieństwo od. Prymasa Stefana Wyszyńskiego⁵⁷.

Wiele dokumentów i uchwał, które zostały tam wypracowane, odnosi się do ówczesnych wydarzeń politycznych i trudno uznać je za programowe. Są to m.in.: „List I KZD do Rady Państwa w sprawie amnestii dla braci Kowalczyków”, „Uchwała I KZD w sprawie wniosku o odwołanie Ministra Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego”, „Uchwała I KZD w sprawie Lenki Čvrkovej (Lindy Winsh)”, „Uchwała I KZD w sprawie rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”, „Uchwała I KZD w sprawie osób więzionych za przekonania”.

Charakter programowy mają projekty dokumentów wypracowanych przez Komisję do spraw społecznych Zjazdu: „Deklaracja ideowa NZS” i „Projekt też do programu Niezależnego Zrzeszenia Studentów” zgłoszony przez mniejszość tej komisji. Zdecydowano opublikować dwa te teksty jako dokumenty Zjazdu, nie używając określenia „deklaracja ideowa”⁵⁸.

Pierwszy projekt kładł duży nacisk na tradycję narodową, drugi zaś odwoływał się do wydarzeń marca 1968 roku. W tym momencie po raz kolejny ujawnił się konflikt, który pokrywał się w większości z podziałem politycznym zwolenników części środowiska KOR-u z jednej strony, z drugiej zaś ludzi orientujących się na Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Ruch Młodej Polski, Konfederację Polski Niepodległej, czy tzw. Grupę Głosu z KOR-u. Układ sił między tymi orientacjami był równy⁵⁹.

Inne dokumenty programowe Zjazdu to: „Deklaracja I Krajowego Zjazdu Delegatów o kontaktach międzynarodowych Niezależnego Zrzeszenia Studentów” oraz „Uchwała I Krajowego Zjazdu Delegatów w sprawie współpracy Niezależnego Zrzeszenia Studentów z innymi organizacjami”.

Zjazd wykazał pewną słabość programową Zrzeszenia, m.in. brak szczegółowego programu w sprawie zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym. Posta-

⁵⁷ W Polak, *Najtrudniejsze egzaminy. Niezależne Zrzeszenie Studentów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na tle wydarzeń w kraju i regionie (1980–1982)*. Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Toruń 2001, s. 90

⁵⁸ „API” – Biuletyn Agencji Przekazu Informacji nr 4-5, HV-30 IV 1981

⁵⁹ S. Podorzecki, *Niezależne Zrzeszenie Studentów (1980–1988)*. „Kontakt”, nr 5, maj 1988

nowiono popierać projekt Ogólnopolskiej Komisji Porozumiewawczej Nauki (OKPN) NSZZ „Solidarność”. Spowodowane to było dużym zaangażowaniem organizacji w bieżące wydarzenia polityczne, co często powodowało brak głębszej refleksji programowej.

Sprawami programowymi miał się zająć w większym zakresie II Zjazd NZS, który miał się odbyć w grudniu 1981 r. we Wrocławiu. Jednak do tego Zjazdu nie doszło, przeszkodził temu wprowadzony 13 XII 1981 r. stan wojenny.

Zjazd w Krakowie ma podstawowe znaczenie dla kształtowania się programu i organizacji NZS-u. To na Zjeździe przyjęto ostatecznie statut i uchwały programowe, które stały się obowiązujące dla całego Zrzeszenia. Ujednolicono strukturę i program organizacji, które do tej pory kształtowały się bardzo różnie w zależności od specyfiki poszczególnych ośrodków akademickich.

Podczas Zjazdu wybrano Krajową Komisję Koordynacyjną w skład której weszli: Stefan Adamkiewicz, Włodzimierz Biały, Wojciech Bogaczyk, Zenon Fajger, Andrzej Gęsiarz, Jerzy Górny, Jarosław Guzy, Zenon Halaba, Marek Jurek, Teodor Klincewicz, Andrzej Kotula, Barbara Kozłowska, Janusz Krajnik, Wiesław Kupiński, Maciej Kuroń, Jan Markowski, Konstanty Radziwiłł, Jacek Rakowiecki, Krzysztof Rudnicki, Marcin Sobieszczański, Wojciech Szarama, Wiesław Ukleja, Wojciech Walczak, Wojciech Wojnarowicz, Jerzy Broszkiewicz, Jacek Czaputowicz, Marcin Gugulski, Bogdan Klich i Leszek Przysiężny. Wybrano również Krajową Komisję Rewizyjną w składzie: Agnieszka Romaszewska, Lech Lipiński, Andrzej Duda-Ogiński, Tomasz Bedyński i Grzegorz Gołębiewski⁶⁰.

6 IV 1981 r, zaraz po zakończeniu obrad odbyło się pierwsze zebranie KKK. Wybrano przewodniczącego, zastępców i prezydium. W przeciwieństwie do „Solidarności” i „Solidarności Rolników Indywidualnych”, przewodniczącym nie został przywódca „podstawowego” strajku łódzkiego Wojciech Walczak (odmówił kandydowania na to stanowisko). Przewodniczącym KKK wybrany został Jarosław Guzy z UJ, zastępcami: Teodor Klincewicz, Leszek Przysiężny i Wojciech Walczak. Rzecznikiem prasowym został Jacek Rakowiecki. Przewodniczącym Krajowej Komisji Rewizyjnej wybrano Lecha Lipińskiego.

⁶⁰ „API” ..., op. cit.

Jedna z uchwał Zjazdu obligowała KKK do podjęcia działań w obronie więźniów politycznych – wówczas przywódców KPN i braci Kowalczyków.

Już na spotkaniu w Warszawie 22–23 XI 1980 r. NZS wypowiedziało się jednoznacznie w sprawie więźniów politycznych. Następnie jako pierwsze rozpoczęło akcję zbierania podpisów pod petycją do Rady Państwa. Postulat uwolnienia więzionych za przekonania, jak i amnestii dla braci Kowalczyków był także stawiany w rokowaniach łódzkich podczas strajków studenckich w styczniu i lutym 1981 roku.

24 IV 1981 r. odbyły się rozmowy pomiędzy delegacją KKK NZS a komisją rządową, która odmówiła podjęcia jakichkolwiek starań w celu uwolnienia przetrzymywanych w areszcie. W związku z tym 2 V 1981 r. podjęto uchwałę w sprawie akcji protestacyjnych.

13 V 1981 r. dokonano zamachu na Papieża Jana Pawła II. Już godzinę po strzałach na placu Świętego Piotra, krakowscy studenci oświadczyli: *Na wieść o zbrodniczym zamachu postanawiamy odwołać Juwenalia ,81, gdyż nie stać nas na beztroskę i wesołą zabawę w obliczu tego wydarzenia.* Decyzje podjęły organizacje studenckie, które od 15 do 17 V 1981 r. planowały juwenalia: NZS, SZSP i Duszpasterstwo Akademickie.

Wieczorem 13 V 1981 r. w Akademii Górniczo-Hutniczej obradowali przedstawiciele organizacji studenckich. Zdecydowali, że najwłaściwszą formą protestu przeciwko temu, co stało się w Rzymie będzie Biały Marsz zakończony Mszą świętą na Rynku Głównym.

Jurek Jaracz, wówczas student III roku AGH: – *Skąd nazwa marszu? Były różne propozycje. Ale ktoś rzucił: Papież ma białe szaty. Białe to przeciwieństwo czarnego, czyli złe.*

Kardynał Franciszek Macharski, metropolita krakowski: *Gdy wróciłem z bierzmowania spod Żywca, zastałem tłumy ludzi w mojej kaplicy i na korytarzach domu arcybiskupów krakowskich. Nocą przyszli studenci. Powiedziałem im: Zgoda, róbcie Biały Marsz, a ja odprawię Mszę świętą.*

Andrzej Bac, wówczas student V roku Politechniki: *Studencki Społeczny Komitet Juwenaliowy zamienił się w komitet organizacji Białego Marszu.*

Sprzed Kościoła Mariackiego (17 V 1981 r.), gdzie postawiono polowy, wysoki ołtarz, kardynał Franciszek Macharski wołał w swej homilii: *Bracia i Sio-*

stry! To jest na pewno dla nas za ciężkie. To jest dla nas za wielkie. To nas przerasta. Przerasta nas to wydarzenie i to, co ono znaczy. Między Rzymem i tym szpitalem, w każdym jest Ten, którego witają nasze serca, a Warszawą, gdzie nam głośno Prymas (...) To jest, Bracia i Siostry, zwyczajnie za wielkie. I za trudne. Za maliśmy.

*Ale na przekór temu co mówię, chcę powiedzieć: Wielki jesteś Krakowie! Wielka jesteś Polsko! Wielka, z wszystkimi swoimi słabościami, z całą polską niedolą i poszukiwaniem*⁶¹.

25 V 1981 r. w Warszawie, Krakowie, Toruniu, Bydgoszczy, Lublinie, Wrocławiu, Gliwicach, Białymstoku, Gdańsku, Katowicach i Łodzi odbyły się manifestacje zorganizowane przez NZS oraz uczelniane i regionalne Komitety Obrony Więzionych za Przekonania. Tego dnia w gmachu Sejmu odbyło się spotkanie przedstawicieli komisji uczelnianych NZS, SGGW, PW i UW oraz KKK NZS z wicemarszałkiem Sejmu PRL prof. Haliną Skibniewską i przewodniczącym Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej do Spraw Przestrzegania Porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, członkiem Rady Państwa prof. Janem Szczepańskim, w obecności przedstawicieli Zarządu Regionu „Mazowsze” Zbigniewa Bujaka, Seweryna Jaworskiego i Jana Olszewskiego. Prof. Jan Szczepański oświadczył, że na najbliższym posiedzeniu Rady Państwa przedstawi wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy ułaskawienia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków oraz stwierdził, że na posiedzeniu Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej do Spraw Kontroli Przestrzegania Porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, które odbędzie się przed 1 VI 1981 r. w obecności przedstawicieli KKK NZS, NZS SGGW oraz NSZZ „Solidarność”, przedstawi Komisji sprawę pozostających w aresztach Krzysztofa Bzdyla, Tadeusza Jandziszaka, Roberta Leszka Moczulskiego, Romualda Szeremietiewa i Tadeusza Stańskiego. Uzgodniono także, że na posiedzeniu Komisji zostanie w szczególności przedstawiona sprawa powołania zespołu lekarskiego z osób wskazanych przez NZS i NSZZ „Solidarność”, która przygotowuje raport o stanie zdrowia przebywających w areszcie osób. Raport zespołu przekazany zostanie władzom sądowym do uwzględnienia przy roz-

⁶¹ J. Sądecki, *Przeciw fali ciemności*. „Rzeczpospolita”, nr 110, 12–13 V 2001

patrywaniu wniosku o uchylenie aresztu wobec tych osób⁶². Niedługo potem zwolniono przywódców KPN, jednak trzech spośród nich zostało aresztowanych повторно w lipcu 1981 r., czyli wówczas gdy możliwości działania Zrzeszenia były bardzo ograniczone w związku z przerwą wakacyjną⁶³. W sierpniu 1981 r. rozpoczęto przygotowania do kolejnych marszów protestacyjnych, których organizatorem nie był już NZS. Jednak KKK NZS oświadczyła, że nadal stoi na stanowisku uwolnienia więźniów politycznych i w przypadku jakichkolwiek represji wobec członków naszego Zrzeszenia biorących udział w marszach, wystąpi z całą stanowczością w ich obronie, wykorzystując w tym celu statutowe środki⁶⁴.

Nietypową sprawą było uwięzienie w 20 godzin po podpisaniu porozumienia łódzkiego i wydalenie z Polski czeskiej współpracowniczki NZS Lindy Winsh (Lenka Čvrkova), która była redaktorką wychodzącego w czasie strajku łódzkiego pisma „Strajk”. W Czechosłowacji została ona aresztowana⁶⁵. Zrzeszenie rozpoczęło akcję plakatową w jej obronie. 20 IX 1981 r. została zwolniona po rozprawie rewizyjnej w Pradze, na której skazano ją na 7 miesięcy pozbawienia wolności, czyli dokładnie tyle, ile spędziła w areszcie śledczym do momentu uwolnienia.

NZS podjął starania o możliwość wydawania ogólnopolskiego tygodnika Zrzeszenia. W maju 1981 r. KKK NZS zwróciła się do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk o wydanie zezwolenia na tytuł, druk i rozpowszechnianie pisma. Również zwrócono się do wicepremiera Mieczysława Rakowskiego oraz do Ministra Kultury i Sztuki Józefa Teichmy wnioskując jednocześnie o przydział papieru na tygodnik, gdyż dysponentem papieru na prasę było Ministerstwo Kultury i Sztuki. 15 V 1981 r. sprawę tę poruszono na rozmowach z Międzyresortową Komisją do Spraw Kontaktów z Organizacjami Studenckimi. Komisja ta uznała, iż Zrzeszenie powinno posiadać pismo, sprawę nakładu objętości i miejsca druku pozostawiła do późniejszych ustaleń. 19 V 1981 r. do KKK NZS wpłynęła decyzja Głównego Urzędu Kontroli Pra-

⁶² „Informator NZS PW”, nr 20–21, 1 VI 1981

⁶³ „Kontakt”, nr 5, maj 1988 ..., op. cit.

⁶⁴ „Niezależność”, nr 107, 17 VIII 1981

⁶⁵ „Post Factum” – pismo NZS UW II 1981

sy, Publikacji i Widowisk w której stwierdzono, że nie ma *możliwości udzielenia zezwolenia ze względu na brak papieru, oraz że decyzja ta jest ostateczna*.

W odpowiedzi na to, prezydium KKK NZS nie przyjęło tej decyzji do wiadomości oraz stwierdziło, że *Zrzeszenie nasze skupia studentów z 92 uczelni polskich i w obronie prawa do działalności – również wydawniczej nie zawaha się użyć wszystkich statutowych środków nacisku*.

Pismo to miało być w gestii KKK NZS, przewidywano nakład ok. 300 000 egzemplarzy, liczyłyby 20 kolumn formatu B3⁶⁶.

W międzyczasie trwały przygotowania do stworzenia zespołu redakcyjnego. Było dwóch kandydatów na redaktora naczelnego: Marcin Gugulski i Leszek Budrewicz. Jednak w związku z odmową władz nigdy nie przegłosowano, kto ma zostać redaktorem naczelnym. Aż do wprowadzenia stanu wojennego Zrzeszenie nie posiadało ogólnopolskiego tygodnika.

Postulat zniesienia cenzury był jednym z najważniejszych haseł programowych NZS. Studenci bardzo aktywnie włączyli się w organizowanie obiegu niecenzurowanej prasy i książek, poprzez tworzenie niezależnych wydawnictw czy też prowadzenie punktów ich sprzedaży. Uwidocznieniem tych działań była zorganizowana w maju 1981 r. przez NZS na Politechnice Warszawskiej, wystawa wydawnictw niezależnych. Ekspozycja zawierała kilkaset pozycji książkowych, oraz wydawnictwa ciągłe, a także wydawnictwa „Solidarności” i NZS. Na zakończenie wystawy odbył się kiermasz wydawnictw niezależnych, który cieszył się bardzo dużym powodzeniem wśród warszawiaków⁶⁷.

Zrzeszenie w swojej działalności bardzo dużo uwagi poświęcało szerzeniu niezależnej kultury, czego przejawem były liczne imprezy o zasięgu uczelnianym i ogólnopolskim np. zorganizowany we Wrocławiu 21–24 V 1981 r. przegląd teatrów studenckich⁶⁸. W Zrzeszeniu istniało wiele grup, które zajmowały się konkretnymi problemami np. środowisko dążące do uzyskania swobody podróżowania na Zachód, czy też różne grupy dążące do zmiany sytuacji w wojsku np. komitet przeciwko represjom za odmowę służby woj-

⁶⁶ „Informator NZS PW”, nr 20–21, 1 VI 1981

⁶⁷ „Informator NZS PW”, nr 16, 13 V 1981

⁶⁸ „Informator NZS PW”, nr 17, 15 V 1981

skowej. Ta decentralizacja działań była w pewnych sytuacjach dużą słabością Zrzeszenia. O jego słabości organizacyjnej może świadczyć fakt, że tak wydawałoby się operatywne ciało, jak prezydium KKK NZS wiele razy nie obradowało z powodu braku *quorum* co nie wystawiało dobrego świadectwa członkom „krajówki”. Do stanu wojennego członkowie Zrzeszenia nie otrzymali nigdy legitymacji.

W maju 1981 r. Zrzeszenie osiągnęło 80 000 członków. Było to nie więcej niż 30% liczby studentów. Poparcie większości studentów (50–60%) zyskiwało NZS w czasie strajków. W przeciwieństwie do „Solidarności”, NZS nie skupiał więc większości środowiska, w którym działał. Zrzeszenie nie było związkiem zawodowym i przynależność do niego nie dawała żadnych konkretnych korzyści. Poza tym na wielu uczelniach korzystne dla studentów zmiany dokonywały się jakby same, dzięki ogólnej sytuacji zewnętrznej (np. działalność „Solidarności” naukowców), co znacznej liczbie studentów pozwalało pozostać biernymi. NZS oscylował więc pomiędzy modelem organizacji ogólnośrodowiskowej, reprezentującej wszystkich studentów, a modelem organizacji elitarnej, skupiającej najbardziej zaangażowaną część środowiska. Strajki, choć kierowane przez NZS, miały charakter ogólnouczelniany. Działacze NZS organizowali strajki na uczelniach, stanowili prezydium komitetów strajkowych, ale ostatecznie proklamacja strajków ogólnouczelnianych zapadała na wiecach, w których uczestniczyli nie tylko członkowie Zrzeszenia.

NZS podczas swej działalności borykało się z ciągłymi kłopotami finansowymi. Zrzeszenie – było dotowane przez państwo. Otrzymało 5 000 000 zł na rozruch działalności, następnie złożono preliminarz na 95 000 000. Potrzeby oceniano na około 500 000 000 zł z przeznaczeniem głównie na inwestycje tj. wydawnictwa, kluby pod patronatem NZS, środki transportu. Zamierzano rozpocząć prowadzenie działalności gospodarczej (np. jej namiastką były niezależne wydawnictwa, które przynosiły pewien zysk). Uchwała Zjazdu zabraniała pobierania jakichkolwiek pieniędzy za wykonywaną pracę przez członków władz krajowych. Działacze prezydium KKK NZS byli na urloпах dziekańskich i pracując całymi dniami na rzecz Zrzeszenia, czę-

sto nie mieli za co żyć. Przewidywano, że na najbliższym Zjeździe zostanie postawiony wniosek, aby otrzymywali oni zasiłki w wysokości najwyższego stypendium⁶⁹.

Maciej Kuroń, syn Jacka, wtedy działacz NZS wspomina, jak to przedstawiciele Zrzeszenia spotykali się nieoficjalnie w „Domu Chłopa” z przedstawicielami SZSP i ZSMP w tym z Aleksandrem Kwaśniewskim (ówczesnym działaczem SZSP), którego najbardziej interesowało, czy działacze NZS mają etaty. Gdy dowiedział się że nie mają – był bardzo zdziwiony⁷⁰.

Centralnym problemem stojącym przed Zrzeszeniem po jego zalegalizowaniu była ustawa o szkolnictwie wyższym. Do tego czasu obowiązywały w środowisku akademickim ustawy: O szkolnictwie wyższym z 1958 r., nowelizowana po 1968, O wyższym szkolnictwie artystycznym z 1962 r. oraz ta część „Karty praw i obowiązków nauczyciela”, która odnosiła się do nauczycieli akademickich. Po sierpniu 1980 r. w nowej sytuacji były one tworam i anachronicznymi, nie zapewniającymi samorządności szkołom wyższym i wolnego rozwoju nauki. Już od jesieni 1980 r. prawie wszystkie dyskusje w kołach i ośrodkach akademickich ogniskowały się wokół postulatu o zmianie starych ustaw. Opracowano kilkadziesiąt uczelnianych projektów i tez do ustawy. W ślad za nimi senaty akademickie wydawały uchwały domagające się zmian. Autonomii i samorządności szkół wyższych żądano również w czasie strajków studenckich.

W związku z tą sytuacją Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Techniki powołało Komisję Kodyfikacyjną do spraw Ustawy o szkolnictwie wyższym. Zostali do niej zaproszeni przedstawiciele wszystkich zainteresowanych ośrodków i sił społecznych (w tym również NZS). Komisja ta zebrała wszystkie propozycje środowiskowe. Z około 30 projektów kilkuosobowy zespół pod przewodnictwem prof. Zygmunta Resicha stworzył pierwszą, jednolitą wersję. Została ona rozesłana do szkół wyższych, a potem przedstawiona na kolejnych posiedzeniach komisji. W wyniku prac uzgodniono kompromisową wersję, tzw. czerwcową projektu ustawy⁷¹.

⁶⁹ NZS – w *interesie studentów* – rozmowa z Adamem Pietraszkiewiczem. „Słowo Powszechne”, nr 196, 30 I X 1981

⁷⁰ A. Anusz, *Scenariusze polityczne. Antykomunizm skuteczny*. Warszawa 1999, s. 106

⁷¹ Projekt powielony

W podstawowych kwestiach projekt zapewniał: wieloświatopoglądowość uczelni, jej samorządność wyrażającą się m.in. poprzez wybór organów władzy (rektorów, prorektorów, dziekanów, prodziekanów) i sprawowanie kontroli nad jej pracą. Wyrazem samorządności całego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce miała stać się instytucja Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego (wybieralna). Miała być ona organem stanowiącym oraz opiniodawczym w sprawach dotyczących szkół wyższych; kierunków, organizacji i finansowania badań oraz innych spraw pokrewnych. Rada Główna miała działać niezależnie od organów władzy i administracji państwowej, spory między nią a ministrem miała rozstrzygać Rada Państwa.

Projekt ten przekazano biurowi prawnemu Ministerstwa, dla opracowania go od strony legislacyjnej. W lipcu 1981 r. Ministerstwo rozesłało do organizacji biorących udział w Komisji Kodyfikacyjnej projekt, ustawy, a w nim wariantowe propozycje niektórych artykułów. Natomiast w sierpniu zainteresowani otrzymali kolejną wersję, w której nie ma już wariantów. W miejsce pierwotnych propozycji wstawiono te ministerialne, a całość firmowana była jako Projekt Komisji Kodyfikacyjnej.

Nowy projekt nie gwarantował dopuszczalności wielu światopoglądów, kwestionował wybory rektora przez kolegia elektorskie i zapewniał ministrowi praktyczną możliwość mianowania Rektora, ograniczał kompetencje Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w szczególności w zakresie decydowania o finansowaniu badań i przekazywał premierowi prawo rozstrzygania sporów między nią a ministrem, ministrowi zaś przyznawał prawo ustalania limitów przyjęć na studia, rozszerzał zakres przyczyn rozwiązywalności organizacji studenckich. Projekt ten w praktyce przekreślał efekty pracy Komisji Kodyfikacyjnej.

Nowa wersja zaskoczyła środowiska wyższych uczelni i skłoniła do ostrych protestów.

1 IX 1981 r. KKK NZS została przyjęta przez Prymasa Józefa Glempa. W trakcie spotkania Prymas wyraził daleko idące poparcie dla Zrzeszenia⁷².

W międzyczasie coraz bardziej nabrzmiewał konflikt w Wyższej Szkole In-

⁷² G. Baciński, *Niezależne Zrzeszenie Studentów ...*, op. cit., s. 111

żynierskiej (WSI) w Radomiu. W dniu 9 IV 1981r. Senat uczelni powziął na wniosek Rektora prof. Michała Hebdy decyzję o zwolnieniu 10% pracowników uczelni. Spowodowane to było przekroczeniem funduszu płac. Protestując przeciwko obciążaniu kosztami błędów władz uczelni całej społeczności akademickiej, Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” w dniu 28 IV 1981 r. zażądała od ministra NSzWiT odwołania rektora Hebdy, jako niekompetentnego, obciążonego dodatkowo innymi zarzutami, w tym: szykanowaniem pracowników uczelni za działalność w duszpasterstwie akademickim, samowolnym dysponowaniem mieszkaniami i samochodami służbowymi. Jednocześnie narodził się drugi konflikt, związany z wyborami władz szkoły, ponieważ kadencja ówczesnego kierownictwa kończyła się 31 VIII 1981 roku. Senat WSI przyjął bez konsultacji z jakąkolwiek organizacją społeczną i polityczną nowy regulamin wyborczy w dniu 19 X 1981 r, a wybory rektora miano zakończyć 27 X 1981 roku. Nowy regulamin był jedynym tego rodzaju w całej Polsce. Był sprzeczny z ustaleniami pomiędzy Ogólnopolską Komisją Porozumiewawczą Nauki (OKPN) NSZZ „Solidarność” a ministerstwem, Porozumieniami Łódzkimi i projektem ustawy o szkolnictwie wyższym. W tej sytuacji KZ NSZZ „Solidarność” WSI uchwaliła gotowość strajkową na okres 16 X – 25 X 1981 r, a 22 X 1981 r. przeprowadzono dwugodzinny strajk ostrzegawczy.

25 X 1981 r. na WSI Radom odbył się X Zjazd OKPN NSZZ „Solidarność”. Uchwała na nim przyjęta stwierdzała: *Dokumenty przedstawione przez KZ NSZZ „Solidarność” WSI Radom wykazały jednoznacznie, że dotychczasowa działalność rektora tej szkoły, prof. dr hab. M. Hebdy dyskwalifikuje go jako Rektora i nauczyciela akademickiego, oraz że o ile ministerstwo nie zrealizuje naszych oczekiwań (skierowanie do Sejmu „czerwcowego” projektu ustawy o szkolnictwie wyższym) do dnia 28 X 1981 r. będziemy zmuszeni podjąć solidarnościową akcję protestacyjną (strajk ostrzegawczy i strajk właściwy) w wybranych uczelniach i placówkach naukowych kraju.*

Od 26 X 1981 r. w WSI Radom rozpoczął się strajk okupacyjny w jednym z budynków uczelni. Mimo tego przeprowadzono 27 X 1981 r. wybory. Uczestniczyło w nich 48% uprawnionych do głosowania, ale tylko 27% uprawnionych głosowało na prof. Hebde. Ponieważ regulamin nie określał *quorum* prof. Hebda został uznany zwycięzcą.

29 X 1981 r. odbył się 4-godzinny strajk solidarnościowy na Uniwersytecie Warszawskim, zaś został zawieszony dwudniowy, zapowiadany na 2 i 3 XI 1981 roku. Prezydium KKK NZS wystosowało pismo do ministra NSzWiT popierające postulaty strajkujących. Oświadczone jednocześnie, że *niepodjęcie negocjacji spowoduje automatycznie deklarowane już teraz akcje ze strony uczelnianych organizacji NZS wyrażające się we wstępnej formie ogłoszeniem gotowości strajkowej*.

3 XI 1981 r. poparcie dla strajkujących w Radomiu wyraziła Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”⁷³.

W międzyczasie wiceminister Nawrocki, zwrócił się do rektorów politechnik o delegowanie przedstawicieli w celu utworzenia komisji dla zbadania sytuacji w WSI Radom i przedstawienia propozycji jej rozwiązania. Stwierdził, że do czasu zakończenia prac tej komisji nie zamierza podejmować decyzji zatwierdzającej wybór rektora. Jednak w następnych dniach Hebda został zatwierdzony przez ministra⁷⁴.

6 XI 1981 r. utworzono w Radomiu Ogólnopolski Komitet Protestacyjny Środowisk Naukowych, w którego skład weszli przedstawiciele OKPN NSZZ „Solidarność”, KZ NSZZ „Solidarność” WSI Radom oraz KKK NZS⁷⁵.

6 XI 1981 r. protest wobec sytuacji w WSI Radom wystosował Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych⁷⁶.

8 XI 1981 r. obradująca we Wrocławiu KKK NZS postanowiła *przeprowadzić 12 XI br w godz 8.00-14.00 ogólnopolski strajk protestacyjny Zrzeszenia. Akcją strajkową wyrażamy solidarność z kolegami z Radomia i żądanie pilnego wprowadzenia pod obrady Sejmu społecznego projektu ustawy o szkolnictwie wyższym z dnia 11 VI br.*⁷⁷.

9 XI 1981 r. ogłoszono gotowość strajkową na Uniwersytecie Gdańskim, 10 XI 1981 r. odbyły się strajki ostrzegawcze na uczelniach Lublina⁷⁸. 10 XI

⁷³ „Informator o konflikcie i akcji strajkowej w WSI Radom” – maszynopis powielony

⁷⁴ „Niezależność”, nr 166, 25 XI 1981

⁷⁵ „Wiadomości dnia”, pismo NSZZ „S” reg. Mazowsze, nr 229, 9 XI 1981

⁷⁶ „Informator o ...”, op. cit.

⁷⁷ *ibid.*

⁷⁸ *ibid.*

1981 r. w Radomiu obradowała Komisja Konferencji Rektorów Wyższych Szkół Technicznych pod przewodnictwem prof. Władysława Findeisena.

Przeprowadzono rozmowy z prof. M. Hebdą, przedstawicielami organizacji politycznych oraz uczestnikami strajku. Komisja wyraziła opinię, że wybory rektora przeprowadzono niezgodnie z projektem nowej ustawy i obyczajami akademickimi, uznano, że minister winien uchylić zatwierdzenie wyboru⁷⁹.

12 XI 1981 r. zgodnie z zapowiedzią KKK NZS odbyły się strajki ostrzegawcze i akcje protestacyjne w Białymstoku – AM, Bielsku Białej – filia PŁ, Bydgoszczy – ATR, Cieszylinie – filia US, Częstochowie – Politechnika, Gdańsk – PG i UG, Gdyni – WSM, Gliwicach – AM i Politechnika, Gorzowie Wielkopolskim – AWF, Jeleniej Górze – AE, Katowicach – AM, Kielcach – WSI, Politechnika, Kłodzku – filia PWR, Koszalinie – WSI, Krakowie – PK, UJ, WSI AGH, Olsztynie – ART, Opolu – WSR WSI, Płocku – filia PW, Rzeszowie – AR, Toruniu – UMK, Warszawie – PW, SGGW-AR, SGPiS, UW, Wrocławiu – AR, PWR, UW⁸⁰.

12 XI 1981 r. NZS PW uchwaliło *votum* nieufności dla wiceministra NSz-WiT prof. Jerzego Nawrockiego. Tego dnia strona rządowa podtrzymała swoje dotychczasowe stanowisko.

15 XI 1981 r. przekształcono Ogólnopolski Komitet Protestacyjny Środowisk Naukowych w Akademicki Komitet Strajkowy (3 przedstawicieli OKPN, 3 z NZS, 2 z WSI), który zaapelował o wprowadzenie strajku okupacyjnego na wszystkich uczelniach do 24 XI 1981 roku⁸¹. 18 XI 1981 r. strajki trwały już na 30 uczelniach w kraju⁸², i przyłączały się do nich wciąż nowe uczelnie.

20 XI 1981 r. odbyły się rozmowy KKK NZS z przedstawicielami MNSz-WiT (bez Nawrockiego), w trakcie których stwierdzono, że do Sejmu zostanie skierowany społeczny projekt ustawy z 11 VI 1981 roku. Po spotkaniu prezydium KKK NZS wydało oświadczenie stwierdzając, że *niemożliwe jest zakończenie ogólnopolskiej akcji strajkowej do czasu gdy: 1) w pełni wiarygodny okaże się fakt, że do Sejmu wpłynął projekt ustawy o szkolnictwie wyższym w wersji komisji*

⁷⁹ „Wiadomości dnia” nr 231, 11 XI 1981

⁸⁰ „Informator o...”, op. cit.

⁸¹ *ibid.*

⁸² „Wiadomości dnia”, nr 237, 19 XI 1981

kodyfikacyjnej z dnia 11 VI 1981 r, 2) w Radomiu ustalona zostanie satysfakcjonująca strajkujących z WSI Radom ordynacja wyborcza spełniająca wszelkie warunki do przeprowadzenia demokratycznych wyborów na tej uczelni oraz zostanie wyznaczony możliwie jak najbliższy termin wyborów rektora.

22 XI 1981 r. Rektor PW prof. Władysław Findeisen potwierdził, że społeczny projekt ustawy jest w Sejmie i pierwsze czytanie w komisji sejmowej odbędzie się 27 XI 1981 roku.

23 XI 1981 r. Prymas Polski Kardynał Józef Glemp przyjął rektorów uczelni warszawskich, przedstawicieli stołecznych komitetów strajkowych, reprezentantów WSI Radom oraz KKK NZS. W czasie spotkania Ksiądz Prymas stwierdził: *mur złości i głupoty już częściowo ustąpił, ktoś chce szkody dla naszej Ojczyzny, jest tu prowadzona pewna gra, musimy być ostrożni*⁸³.

24 XI 1981 r. rozpoczęli strajk okupacyjny studenci Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa, protestując przeciw narzuceniu im ustawy o szkolnictwie wyższym wojskowym, co oznaczało przejście pod nadzór MSW Studenci i KZ NSZZ „Solidarność” szkoły żądali objęcia szkoły ustawą o szkolnictwie wyższym.

25 XI 1981 r. w Warszawie odbyło się spotkanie Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, na czele z Lechem Wałęsą, z przedstawicielami KKK NZS i uczelnianych komitetów strajkowych. Podpisano wspólny komunikat. *KK i KKK są zgodne co do tego, że dalsze odwlekane przez władze rozwiązywania konfliktu w WSI Radom spowoduje konieczność podjęcia wspólnych działań ze strony „Solidarności”, NZS oraz wyłonionych przez środowiska akademickie organów przedstawicielskich. Gwarancje udzielone przez rektorów szkół wyższych stwarzają szansę na rezygnację z bezterminowego strajku okupacyjnego na rzecz innych form protestu. Decyzja o terminie zmiany formy protestu zostanie podjęta przez NZS po analizie sytuacji w środowisku akademickim*⁸⁴.

26 XI 1981 r. w odpowiedzi na ultimatum Komendanta WOSP, grożącego wprowadzeniem sił porządkowych, na teren uczelni weszli przedstawiciele wielkich zakładów z Sewerynem Jaworskim, wiceprzewodniczącym Zarządu

⁸³ „Gazeta strajkowa”, nr 12, 24 XI 1981

⁸⁴ „Wiadomości dnia”, nr 242, 26 XI 1981

Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Rozpoczęły się rozmowy, które 28 XI 1981 r. strona rządowa zerwała. Minister Spraw Wewnętrznych Czesław Kiszczak wystąpił o rozwiązanie szkoły. 30 XI 1981 r. Rada Ministrów podjęła taką decyzję⁸⁵.

30 XI i 1 XII 1981 r. w Radomiu odbyło się wspólne posiedzenie KKK NZS i konferencji komitetów strajkowych 70 uczelni. Przedstawiciele komitetów strajkowych upoważnili Prezydium KKK NZS do reprezentowania ich w rozmowach z przedstawicielami władz⁸⁶.

28 XI 1981 r. Prymas Polski Józef Glemp, w czasie kazania w katedrze wrocławskiej, wyraził zrozumienie dla przyczyn protestu akademickiego i jego formy. Wszedł do katedry ze znaczkiem NZS. 1 XII 1981 r. odbyło się we Wrocławiu spotkanie arcybiskupa Józefa Glempa z przedstawicielami uczelni wrocławskich. Omówiono sytuację na uczelniach i skutki akcji protestacyjnych. Następnie przedstawiciele uczelni Wrocławia zwrócili się z prośbą o mediację w rozmowach z rządem. Propozycja została przyjęta. Później podczas spotkania z arcybiskupem wrocławskim Henrykiem Gulbinowiczem (który był w Episkopacie odpowiedzialny za kontakty z młodzieżą) zostało podpisane wstępne porozumienie o stałych kontaktach NZS z Episkopatem. Arcybiskup Gulbinowicz zobowiązał się też do osobistego zajęcia się sprawą załatwienia u władz zezwolenia na wydawanie ogólnopolskiego tygodnika NZS⁸⁷.

Do bezpośredniej mediacji Kościoła w konflikcie wprawdzie nie doszło, ale Prymas Glemp odegrał ogromną rolę w doprowadzeniu do zakończenia strajków⁸⁸.

2 XII 1981 r. został złamany przy użyciu sił ZOMO i oddziałów antyterrorystycznych strajk studentów WOSP⁸⁹. Usunięci z WOSP pożarnicy przeszli strajkować na inne uczelnie warszawskie, oraz mieli zostać przyjęci na pokrewne kierunki w szkołach politechnicznych, głównie w PW

Po ataku na WOSP Lech Wałęsa zarządził ostre pogotowie w biurach za-

⁸⁵ „Miś”, nr 31, 1 XII 1987

⁸⁶ „Komunikat”, nr 20 z 2 XII 1981

⁸⁷ W Polak, *Najtrudniejsze egzaminy* ..., op. cit., s. 207

⁸⁸ *ibid.*

⁸⁹ „Wiadomości dnia”, nr 247, 3 XII 1981

rządów regionów, rozpoczęto przygotowania do gotowości strajkowej⁹⁰. Przez ten cały czas trwały strajki okupacyjne na większości polskich uczelni. Czym w tym okresie zajmowali się protestujący studenci? Odbywały się spotkania, wykłady prowadzone przez ludzi związanych z opozycją polityczną oraz niezależną kulturą. Dobrze funkcjonowały biblioteki wydawnictw niezależnych. Na strajkach występowali z koncertami artyści niezależni. Na wielu uczelniach codziennie odprawiano Mszę Świętą. Wydawano strajkowe biuletyny. Studenci wychodzili „na miasto” na akcje malowania murów.

Przez cały ten czas w telewizji i prasie trwała akcja propagandowa mająca na celu zdyskredytowanie strajkujących studentów w oczach opinii publicznej. Celowała w tym zwłaszcza redakcja „Żołnierza Wolności”, a określenie redaktor Falskiej o *chłopcach z NZS-u* wszczynających różne awantury stała się przedmiotem licznych drwin i dowcipów wśród studentów. Jednak te prawdziwe ataki środków masowego przekazu miały dopiero nastąpić po 13 XII 1981 roku.

Po pacyfikacji WOSP-u sytuacja polityczna w kraju stała się dramatyczna. Wobec użytej siły „Solidarność” nie znalazła sposobu przeciwdziałania, nie odważyła się doprowadzić do zbrojnego starcia. Upadł pewien mit „Solidarności”, głoszący że w każdej sytuacji jest ona w stanie kontrolować sytuację i mieć na nią decydujący wpływ.

W tej sytuacji w dniach 5 i 6 XII 1981 r. obradowała Konferencja Rektorów Szkół Wyższych wydając oświadczenia w sprawie WSI Radom i w sprawie WOSP⁹¹.

Oświadczenie Konferencji Rektorów w sprawie WSI Radom:

Konferencja Rektorów Uczelni Polskich postanawia prowadzenie dalszych działań mediacyjnych zmierzających do przeprowadzenia demokratycznych wyborów akademickich w WSI Radom.

W przypadku nieuzyskania takiego rozwiązania do dn. 20 XII br. Konferencja Rektorów podejmie działania zmierzające do zapewnienia studentom WSI nauki w innych uczelniach polskich i ewentualnego stworzenia miejsc pracy dla pracowników naukowych WSI.

⁹⁰ Komunikaty. „Informator NSZZ Solidarność PW”, nr 15, 2 XII 1981

⁹¹ Oświadczenia za „Komunikat”, nr 26, 7/8 XII 1981

Konferencja Rektorów stwierdza, że w przypadku nierozwiązania konfliktu w Radomiu w tym terminie, podejmie działania jako organ koordynujący działalność protestacyjną polskiej społeczności akademickiej.

Rektorzy podejmą ponadto kroki w celu jak najszybszego wprowadzenia w życie postanowień projektu nowej ustawy o szkołach wyższych, a w szczególności wyborów do Rady Głównej, która z mocy ustawy rozstrzyga konflikty w uczelniach wyższych.

Do czasu powołania Rady Głównej rektorzy zgłoszą senatom swoich uczelni projekt upoważnienia konferencji do podejmowania decyzji rozstrzygających konflikty w imieniu całej społeczności akademickiej.

Oświadczenie Konferencji Rektorów w sprawie WOSP:

1. Ogólnopolska Konferencja Rektorów Wyższych Uczelni, wyraża stanowczą dezaprobatę i oburzenie z powodu sposobu, w jaki przełamany został strajk studentów i pracowników

Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie.

Ogólnopolska Konferencja Rektorów Wyższych Uczelni w oparciu o oświadczenie Ministra Spraw Wewnętrznych PRL gen. dyw. Cz Kiszczaka przyjmuje na siebie gwarancje, iż żaden ze studentów byłej WOSP w Warszawie nie będzie powołany do służby wojskowej inaczej niż w trybie wynikającym z normalnego poboru wiosennego, letniego lub zimowego w roku 1982 bądź w latach następnych.

Konferencja Rektorów przyjmuje do wiadomości i przekazuje środowiskom akademickim oświadczenie Ministra Spraw Wewnętrznych, że studenci byłej WOSP którzy zgłoszą się do nowo utworzonej Szkoły Głównej Służby Pożarniczej nie będą w żaden sposób represjonowani w tej szkole z powodu udziału w strajku WOSP

Do 15 lutego 1982 r. wyższe uczelnie techniczne przygotują studia specjalistyczne w zakresie ochrony przeciwpożarowej. Lokalizację tych studiów ustali Konferencja Rektorów Szkół Technicznych, a ich program odpowiednia uczelnia.

Celem przygotowania studentów byłej WOSP do kontynuowania studiów typu magisterskiego w wyższych uczelniach technicznych Konferencja Rektorów zaleca w możliwie szybkim terminie, nie dłuższym niż 7 dni, utworzenie kursów przygotowawczych. Konferencja Rektorów uznaje, że słuchacze tych kursów zachowują prawa studenta.

7 XII 1981 r. na Politechnice Warszawskiej obradowała KKK NZS i Ogólnopolska Konferencja Uczelnianych Komitetów Strajkowych. Wydano następujące oświadczenie:

Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS i Ogólnopolska Konferencja Komitetów Strajkowych zapoznana się ze stanowiskiem Konferencji Rektorów Uczelni Polskich wypracowanym na wspólnym posiedzeniu w Politechnice Warszawskiej w dniu 6 XII 81 r.

Uznajemy jego bezprecedensową rangę akcentującą jedność i zdecydowanie społeczności akademickiej w dążeniu do samostanowienia i odpowiedzialności za własne problemy bez ingerencji zewnętrznej.

Za niezaprzeczalne osiągnięcie obecnej akcji strajkowej uważamy spowodowanie wpłynięcia do Sejmu PRL projektu ustawy o szkolnictwie wyższym, czego od roku domagała się społeczność akademicka.

W związku z powyższym wzywamy do uznania autorytetu i gwarancji Konferencji Rektorów i apelujemy o zawieszenie strajku okupacyjnego od 8 XII br. oraz podjęcia zajęć dydaktycznych przy utrzymaniu gotowości strajkowej do czasu pozytywnego rozstrzygnięcia konfliktu w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu. Wzywamy jednocześnie do rozważenia możliwości kontynuowania protestu w formie uznanej za skuteczną przez dane środowisko akademickie.

Zgodnie z decyzją podjętą przez Konferencję UKS-ów w Warszawie apelujemy jednocześnie do uczelni warszawskich o podjęcie takiej akcji, która zapewni bezpieczeństwo studentom Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej przebywającym w Politechnice Warszawskiej aż do ostatecznego satysfakcjonującego nas załatwienia ich sprawy⁹².

Decyzja o zakończeniu strajku spotkała się ze sprzeciwem większości strajkujących studentów. W ponad 30 uczelniach postanowiono strajkować dalej⁹³. Uczelniany Komitet Strajkowy Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, w swoim oświadczeniu stwierdzał m.in. *nie możemy zgodzić się z ograniczeniem naszego protestu w chwili, gdy postulaty strajkowe nie zostały w pełni zrealizowane. (...). Uważamy że zasadniczym warunkiem normalizacji życia akademickiego jest*

⁹² *ibid.*

⁹³ *ibid.*

uznanie przez władze państwowe Konferencji Rektorów Polskich Szkół Wyższych za najwyższy organ samorządu akademickiego. (...). Realizację tego celu powinniśmy uznać za podstawowy warunek przerwania strajków okupacyjnych w naszych uczelniach. Celem przedyskutowania tej koncepcji i skoordynowania akcji strajkowej proponujemy odbycie w murach naszego Uniwersytetu Krajowej Konferencji UKS-ów w dn. 9 XII 1981 równoległe z obradującą w Poznaniu Konferencją Rektorów⁹⁴. Na licznych uczelniach odbyły się referenda, w wyniku których miało zadecydować o zakończeniu strajku. Na Uniwersytecie Warszawskim stosunkiem głosów 895:687 studenci opowiedzieli się za zawieszeniem strajku⁹⁵. Strajki zakończono lub zawieszono również m.in.: na uczelniach Lublina, Gdańska, Wrocławia, Warszawy (z wyjątkiem ATK). Jednak postanowiono strajkować dalej m.in.: w Krakowie, Rzeszowie, Poznaniu, Olsztynie.

9 XII 1981 r. w Poznaniu doszło do spotkania przedstawicieli uczelnianych komitetów strajkowych (w większości byli to nowo wybrani delegaci), z KKK NZS. „Krajówka” uzyskała wówczas poparcie ze strony Księdza Prymasa, który zwrócił się z apelem o ostateczne zakończenie strajku. W swoim apelu ksiądz Prymas napisał: *Z wielką ulgą przyjąłem wiadomość, że prezydium waszego Związku wraz z przedstawicielami uczelni podjęło uchwałę o zakończeniu strajków okupacyjnych we wszystkich uczelniach w Polsce. Strajki kończą się 8 grudnia, w którym to dniu Kościół katolicki czci w sposób szczególny Maryję Niepokalaną. Winszuję wam tej decyzji, której kraj wyczekiwał z wytęsknieniem, a która świadczy o dojrzałej ocenie osiągniętych rezultatów.*

Nikt rozumny nie może zakwestionować osiągnięć, jakie uzyskaliście waszą postawą. Osiągnięcia wasze, widziane w perspektywie historycznej, społecznej i moralnej są ogromne. Zaprotestowaliście przeciwko naruszeniu sprawiedliwości, opowiedzieliście się za wolnością nauki i badań, zyskaliście dojrzałość jednocząc się zdyscyplinowani w trudach strajkowych. Zaimponowaliście dojrzałością i karnością.

Nie możecie tych wartości zaprzepaścić: tylko jednolicie podjęta decyzja o zaprzestaniu strajku jest dopełnieniem zwycięstwa. Kontynuowanie strajku przez

⁹⁴ *ibid.*

⁹⁵ „Gazeta strajkowa”, nr 24, 8 XII 1981

niektóre uczelnie byłoby skazaniem działania na wygaśnięcie i porażkę. Patrząc z troską na całą Ojczyznę, widzę osiągnięcia studenckie w kontekście całości spraw i dlatego gorąco was proszę i wzywam, abyście wszyscy solidarnie podjęli naukę. Sprawy niezłatwione do końca będą złatwiane sukcesywnie – „nie od razu Kraków zbudowano”. Resztę dopowiemy sobie na Jasnej Górze, gdzie – jak wiem – gromadzicie się 12 i 13 grudnia. Pragnę gorąco spotkać się z wami podczas mszy św. przed wizerunkiem Matki Bożej w niedzielę 13 grudnia o godzinie 9-tej. Gorąco was w Chrystusie i Maryi pozdrawiam⁹⁶.

Trzeba stwierdzić, że Ksiądz Prymas wydał ten apel zaciągając opinii KKK NZS, czy taka rzecz będzie pomocna. Po tym apelu postanowiono zakończyć strajki na uczelniach⁹⁷.

Tego dnia w wyniku prowadzonych negocjacji przy udziale przedstawicieli Konferencji Rektorów uzgodniono projekt porozumienia w sprawie rozwiązania konfliktu w WSI Radom. Postanowiono zwrócić się do całej społeczności akademickiej, aby zadecydowała ona na drodze referendum o wyborach składu władz uczelni⁹⁸. W wielu uczelniach kraju decyzję o zakończeniu strajku przyjęto z rozczarowaniem. Kolportowana m.in. na uczelniach Białegostoku „Gazeta Strajkowa” z 10 XII 1981 r. pytała: *Dlaczego ks. Prymas mówi o sukcesie naszej akcji, podczas gdy wszyscy zdajemy sobie sprawę, że tak nie jest. A jeszcze niedawno mieliśmy od ks. Prymasa gorące poparcie dla akcji strajkowej. Skąd ta zmiana⁹⁹.*

12 XII 1981 r. odbyła się pielgrzymka NZS na Jasną Górę. 13 XII 1981 r. rano, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Mszę Świętą odprawił Ksiądz Prymas. Musiano jednak zmienić jej intencję¹⁰⁰. Tego ranka problemy Zrzeszenia zeszły na daleki plan. Powracający z Częstochowy studenci pochowali emblematy Zrzeszenia: zaczynał się nowy etap jego istnienia – konspiracja.

12 grudnia 1981 r. o północy władze wprowadziły stan wojenny. Wielu

⁹⁶ W Polak, *Najtrudniejsze egzaminy*, op. cit., s. 211

⁹⁷ „Volta”, nr 1, VI 1988

⁹⁸ „Wiadomości dnia” nr 252, 10 XII 1981

⁹⁹ K. Bondaryk, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Białymstoku w latach 1980–1981*. Warszawa 2001, s. 64

¹⁰⁰ S. Podorzecki, *Niezależne Zrzeszenie Studentów (1980–88)*. „Kontakt”, nr 5, V 1988, s. 42

działaczy Zrzeszenia zostało internowanych. Działalność wszystkich organizacji, w tym NZS została zawieszona. Jednak pozostali na wolności działacze postanowili kontynuować działalność w podziemiu. Zorganizowanie strajków w wyższych uczelniach, poza paroma wyjątkami (m.in. we Wrocławiu) nie powiodło się. Władze w środkach masowego przekazu nasiliły, trwające od jesieni 1981 roku ataki na NZS.

„Żołnierz Wolności” z 17 XII 1981 r. pisał: *W niedzielę 13 bm. w godzinach wieczornych funkcjonariusze MO zatrzymali 2 osoby, wychodzące z lokalu Zrzeszenia (Szpitalna 5 – aut.). U jednej z nich znaleziono kilkadziesiąt nowych, pachnących farbą drukarską ulotek, podpisanych przez v-ce Przewodniczącego KKK NZS Teodora Klincewicza, które wzywały do niegodzenia się z decyzjami WRON, stanem wojennym i do przystąpienia do strajku ogólnopolskiego. (...). Faktu wydania ulotek i próby ich kolportażu nie można niczym usprawiedliwić. Nie były one bowiem wytworem młodzieńczej fantazji, bezmyślności i nieświadomości. Przeciwnie – było to świadome kontynuowanie działalności rozpoczętej przez Zrzeszenie wiele miesięcy temu. Działalności skierowanej przede wszystkim przeciw socjalistycznej Polsce. Przedstawiciele telewizji i naszej gazety, mogli się o tym przekonać w czasie lustracji warszawskiego lokalu NZS. (...)*

Warszawska siedziba NZS – kilka pokoi brudnych, zastanych papierami, ulotkami, różnymi wydawnictwami. W pierwszym z pokoi – niezarejestrowany nigdzie mały zakład poligraficzny. Prawie w każdym – krzyże i... walające się butelki po wódce i winie, widoczne ślady alkoholowej libacji. Tuż przy wejściu – kurtka radzieckiego żołnierza. Skąd wzięta, w jakim celu? Czy miała być użyta do prowokacji? (...)

Czy NZS jest rzeczywiście Zrzeszeniem studentów czy też zwyczajną organizacją polityczną, mającą określone zadania? – Rodzi się jedno z pytań. Odpowiedź znajdujemy szybko. W piśmie „Post Factum” zamieszczony jest artykuł „Jak PRL zmienić w USA”. Na jednej ze stron widnieje mapa Polski z nowym podziałem administracyjnym: zamiast województw zaznaczone są ziemie m.in. Pruska, Mazowiecka, Halicka. Autor sugeruje: „Trzeba zacząć od powołania w tych regionach terytorialnych samorządów, po czym przejęcie władzy to jut drobnostka”. W piśmie „KUL-ier nr 7” nie ukrywa się, że „NZS jest organizacją społeczną, która nie opiera się w swoim działaniu na jednolitej, ściśle określonej ideologii. NZS pragnie być

organizacją społeczną, kontrolującą decyzje rządzących i współdecydującą o losach kraju”. (...) Działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów musi budzić i budzi wiele pytań. Sądzymy, że odpowiedź na nie poznamy w niedługim czasie¹⁰¹.

„Trybuna Ludu” z 16 XII 1981 r. pisała: (...) *Prawdziwość tezy o funkcjonowaniu w KKK NZS tzw. radykałów, nawołujących do konfrontacji z władzą, znalazła jeszcze jedno potwierdzenie w głoszonych przez nich wezwaniach do podjęcia ogólnopolskiego strajku powszechnego, do podporządkowania się członków NZS decyzjom regionalnych zarządów NSZZ „Solidarność”, określających stan wojenny, „jako najcięższą zbrodnię władzy wobec Narodu”. „Nie uznajemy stanu wojennego – głoszą – gdyż społeczeństwo nie prowadzi z nikim wojny” (...). NZS zapowiadał odbycie kolejnego Zjazdu. Trwały prace nad zmianą statusu istnienia organizacji. Wielu członków jej kierownictwa podejmowało starania, aby przekształcić ją z organizacji środowiskowej w organizację polityczną wychodzącą w swej działalności poza ramy uczelni, aby organizacja potwierdziła swoją dezaprobatę wobec polityki Partii, aby domagała się ona zasadniczych zmian w konstytucji, zwłaszcza wyeliminowania zapisu o kierowniczej roli Partii i wprowadzenia wolnej gry sił politycznych¹⁰².*

„Żołnierz Wolności” z 29 XII 1981 r. pisał: *Akcje protestacyjne, strajki, pikiety, wiece, nielegalna działalność wydawnicza – to cała dotychczasowa działalność tej organizacji (NZS – aut.). (...) Do takich działań była też dopasowana struktura NZS: b. spłaszczona, kierownicze gremia nieliczne, operatywne, poszczególne ogniwa uczelniane dyspozycyjne wobec Krajowej Komisji Koordynacyjnej. (...) Płaszczyzną działalności kierowniczej działaczy tej organizacji były przygotowania dywersji w międzynarodowym ruchu studenckim – założenie przeciwstawnej wobec Międzynarodowego Związku Studentów – Międzynarodówki Studenckiej, której program budowany miał być na gruncie całkowitej negacji dokonani praskiego MZS¹⁰³.*

„Trybuna Ludu” z 29 XII 1981 r. pisała: (...) *Na przygotowany na 17 grudnia*

¹⁰¹ (R.P.), *Studenckie Zrzeszenie czy organizacja polityczna – „przejęcie władzy to już drobnostka”*. „Żołnierz Wolności”, nr 288, 17 XII 1981

¹⁰² Z. Skuza, *Zrzeszenie studentów czy polityczny związek – na fałszywej drodze*. „Trybuna Ludu”, nr 295, 16 XII 1981

¹⁰³ *Prawda o NZS – z kim i przeciw komu?* „Żołnierz Wolności”, nr 295, 29 XII 1981

II Zjazd NZS organizatorzy zaprosili 60 delegacji zagranicznych, nie przedstawiając do końca żadnym władzom państwowym listy zaproszonych. Nie można wykluczyć, że był to właśnie ów kongres założycielski, czyli usankcjonowanie międzynarodowej dywersji. (...) Nie ulega kwestii, że autorami scenariusza tych niebezpiecznych juwenaliów nie byli dwudziestolatkowie na dziekańskich urlopach... dwudziestolatków żal, ale juwenalia trwać nie mogą dłużej i powtórzyć się nie mogą¹⁰⁴.

„Żołnierz Wolności” z 30 XII 1981 r. pisał: (...) *Nader wymownym faktem było i to, że Zjazd (II Zjazd NZS-u – aut.) miał zabronić wszystkim organizatorom Zrzeszenia dialogu z PZPR i organizacjami akceptującymi jej program. A skoro tak:*

Dialogu nie będzie i być nie może! Sami tego chcieliście, Panowie „niezależni studenci”¹⁰⁵.

„Trybuna Ludu” z 31 XII 1981 r. pisała: (...). *Rzeczywistym i niekwestionowanym dorobkiem NZS pozostaje głównie organizacja strajków lokalnych i ogólnopolskich, różnego typu marszów protestacyjnych, zlotów gwiazdzystych, organizacja prowokacyjnych seminariów, wystaw, dezorganizacja życia w wyższych uczelniach, potęgowanie napięć, wywoływanie konfliktów wśród studiujących, dezintegracja środowiska akademickiego, niszczenie atmosfery pracy naukowej na rzecz działań politykierskich o wyraźnie opozycyjnym charakterze. W wyniku wprowadzenia stanu wojennego działalność NZS została zawieszona. Ale najbardziej agresywni działacze tej organizacji uznali, że nie mogą przyjąć tego do wiadomości. Podjęto więc kolejne próby różnego rodzaju akcji na terenie niektórych uczelni, łamiąc obowiązujące prawo. Niektórzy z nich próbują bawić się w konspiratorów. Wzywają do „biernego oporu” wobec władzy. Na czyny – stwierdzają z zadufaniem – przyjdzie jeszcze czas. Jaki czas mają na myśli? Na co i na kogo liczą? Postawmy jeszcze jedno pytanie: Czy taka właśnie organizacja skupiać ma choćby część młodzieży w socjalistycznym państwie?¹⁰⁶*

¹⁰⁴ A. Pawłowska, *Niebezpieczne juwenalia*. „Trybuna Ludu”, nr 304, 29 XII 1981

¹⁰⁵ (M. A.), *Czy w interesie studentów? – zależna „niezależność”*. „Żołnierz Wolności”, nr 297, 30 XII 1981

¹⁰⁶ Z. Skuza, *Zaprzeczenie własnego statutu – ...bo przecież nie o sprawę studentów chodziło*. „Trybuna Ludu”, nr 306, 31 XII 1981

„Żołnierz Wolności” z 2–3 I 1982 r. pisał: (...). *Dziś bowiem wiadomo już, że rodowód NZS bierze swój początek nie z lutego ubr., ale sprzed kilku lat, gdy rozwijały swą działalność organizacje antypaństwowe i antysocjalistyczne. Że Zrzeszenie, podobnie jak i „Solidarność”, ulegało wpływom obcym, dla których najważniejszym zadaniem było obalenie obecnej władzy, ustroju. (...). Jak grzyby po deszczu zaczęły wówczas (II połowa lat 70 – aut.) powstawać w ośrodkach akademickich organizacje, których ideowymi opiekunami byli Panowie nie kryjący niechęci do ustroju, przy tym posiadających gest i portfele wypełnione obcymi dewizami (podkr. aut.). I tak w maju 1977 roku powołano w Krakowie tzw. Studencki Komitet Solidarności (SKS), utrzymujący stałą współpracę z KOR, a z czasem rozszerzający swą działalność na Warszawę, Poznań, Wrocław, Szczecin i Gdańsk. (...). Inne hasła znane są i z innych źródeł: trzeba zorganizować referendum narodowe na temat ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych, zastanowić się nad zmianami w konstytucji PRL w kierunku wyeliminowania z niej zasady kierowniczej roli partii i zmienić podręczniki historii z uwagi na ich nieprzydatność. Na pewno zadziwia zbieżność haseł głoszonych przez niektórych działaczy NZS i ekstremalnych przedstawicieli „Solidarności”. Nie może jednak zadziwiać gdy weźmie się pod uwagę fakt, że w pracach komisji Programowej Zrzeszenia udział brali również Panowie Kuroń, Romaszewski i Cywiński, czołowi ideolodzy KSS-KOR. (...) Każda inicjatywa godząca w socjalizm, we władze, mogąca pozyskać nowych sympatyków, przyczyniająca się do upowszechnienia wrogich poglądów była dobra i natychmiast akceptowana. Przede wszystkim zalecano spotkania z działaczami grup antysocjalistycznych. Nie było więc w zasadzie tygodnia, by Andrzej Czuma, Adam Michnik, Jacek Kuroń czy małżeństwo Moczulskich nie uczestniczyli w dyskusjach, spotkaniach czy prelekcjach, których tematy formułowano zawsze podobnie: Po co istnieje w Polsce opozycja, jaki jest nasz cel działania. (...). Prawdziwe oblicze tzw. Niezależnego Zrzeszenia Studentów objawiło się nam jeszcze w dniach, gdy obowiązywał już stan wojenny. Na kilku uczelniach aktywiści NZS rozpoczęli przygotowania do strajków okupacyjnych, przystąpili również do produkcji ulotek nawołujących do strajku generalnego. Nieprzypadkowo ponad 500 studentów, w większości członków Zrzeszenia, przebywało w dniach stanu wojennego wśród robotników huty im. Lenina, nieprzypadkowo również wśród studentów Uniwersytetu Warszawskiego powstała koncepcja zorganizowania „Tajnej*

podchorążówki”, której członkowie mają w przyszłości posiadać broń i brać udział w ewentualnych akcjach zbrojnych¹⁰⁷.

„Żołnierz Wolności” z 5 I 1982 r. pisał: *Utworzenie po wydarzeniach sierpniowych Niezależnego Zrzeszenia Studentów stanowiło jeden z odłamów mafijnej konstelacji animowanej przez KPN. Kryzys wartości i spuszczenia w świadomości młodzieży wykorzystywane do utworzenia w ruchu młodzieżowym przyczółków dla otwartej walki z ustrojem i partią oraz podsycania tendencji antyradzieckich (...) Realizując wytyczne swych politycznych mocodawców, NZS przez kilkanaście miesięcy zaangażował w wyższych uczelniach pod pretekstem obrony więźniów politycznych, dotacji i paszportów dla swych działaczy, powołania tygodnika NZS, itp. (...). Podjęli (NZS – aut.) awanturniczą praktykę KPN mieszania się w wewnętrzne sprawy bratnich narodów m.in. poprzez wysuwanie tworzenia w Polsce zrzeszeń studentów litewskich, białoruskich i ukraińskich, bazujących na analogicznych z „Konfederacją” antykomunistycznych i nawrotowych założeniach. (...). Przychylność Zrzeszenia dla swych kontrrewolucyjnych celów ekstremalni liderzy „Solidarności” kupowali za pieniądze. Kiedy w listopadzie 1981 r. Studencki Uczelniany Komitet Strajkowy NZS z Uniwersytetu Warszawskiego zwrócił się do Zarządu „Mazowsza” o 300 tys. zł pożyczki w celu finansowania proklamowanego strajku, odpowiedź Bujaka i s-ki była szybka i męska: dostaniecie 1.2 mln zł, ale musicie nas słuchać i wykonywać nasze polecenia. Podobnie było w Poznaniu i innych miastach. (...). Jednakże jak przystało na wytrawnych graczy politycznych, niektórzy z nich zdecydowali wypróbować siebie w działalności podziemnej. Oto np. ulotka NZS Akademii Medycznej w Warszawie poucza „Studenci AM zaistniała sytuacja zmusza nas do podjęcia pracy konspiracyjnej. Stosujemy bierny opór wobec zarządzeń. Na czyny przyjdzie jeszcze czas”. Dalej ulotka nawołuje do niszczenia, ochlapywania czerwoną farbą itp. oficjalnych komunikatów i zarządzeń władz Sugeruje także podjęcie dywersyjnych działań w stosunku do sił zbrojnych. (...). Wzorem swych ideowych mocodawców z KPN Zrzeszenie zaprzedało się siłom międzynarodowej reakcji. (...). Potrzeba chwili wymaga w interesie ludzi pracy i całego społeczeństwa, a przede wszystkim samych studentów, aby z polskich*

¹⁰⁷ P Romański, *Za kulisami NZS – w czym interesie?* „Żołnierz Wolności”, nr 1, 2–3 I 1982

*uczelni wyprowadzić organizację roznieczającą napięcia społeczne i polityczne*¹⁰⁸.

Akcja propagandowa skierowana przeciwko NZS, była zaplanowana i koordynowana w różnych pismach, radiu i telewizji. Widać było, że władze przygotowują tą akcją decyzję o rozwiązaniu Zrzeszenia. Zarzuty wysuwane przeciwko NZS powtarzały się we wszystkich środkach masowego przekazu. Zwieńczeniem tej akcji była decyzja o rozwiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów wydana przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W komunikacie wydanym przy tej okazji podsumowano i zebrano wszystkie zarzuty władz wobec Zrzeszenia.

Na podstawie paragrafu 13 Rozporządzenia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Z dnia 18 grudnia 1980 (zmienionego Rozporządzeniem z dnia 29 grudnia 1981 r.) w sprawie organizacji studenckich, Kierownik Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki podjął w dniu 5 stycznia 1982 r. decyzję o rozwiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów, jego wszystkich organizacji uczelnianych i agend.

Działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów na mocy zarządzenia Prezesa Rady Ministrów została zawieszona w związku z wprowadzeniem stanu wojennego. Jednakże wbrew oczywistym wymogom prawa, już podczas tego stanu, nie zaniechane poczynania Zrzeszenia godziły i nadal godzą w spójność społeczny Organizowano strajk w niektórych uczelniach. Wielu działaczy NZS aktywnie uczestniczyło również w strajkach w szeregu zakładach pracy. Publikowane i wydawane są w dalszym ciągu podburzające odezwy i oświadczenia. Sporządza się i kolportuje ulotki z fałszywymi informacjami. Zapowiadano i przystąpiono do nielegalnego organizowania dalszych działań pozostających w sprzeczności z prawem. Wszystko to stanowi jaskrawe naruszenie Dekretu o stanie wojennym.

Genezą tego postępowania był całokształt dotychczasowej działalności NZS zarejestrowanego przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki jako organizacja studencka w dniu 17 lutego 1981 r. W swym statucie Zrzeszenie określiło się jako organizacja reprezentująca interesy – i rozwiązująca problemy socjalne studentów. O takim charakterze NZS świadczyły sformułowania statutu określające, że Zrzeszenie opierać się będzie w swej działalności na konstytucji

¹⁰⁸ J.S., Z.K., *NZS w służbie kontrrewolucji*. „Żołnierz Wolności”, nr 3, 5 I 1982

PRL, będzie apolityczną organizacją uznającą za główne cele ochronę interesów materialnych, społecznych i kulturalnych studentów oraz ich rodzin, rozwój samorządności i autonomii szkół wyższych. Przywódcy NZS od chwili jego powstania wbrew interesom większości członków organizacji, łamali zawarte w statucie zasady oraz dobrowolnie przyjęte przez siebie zobowiązania.

NZS systematycznie naruszało Konstytucję PRL i inne przepisy prawne głównie przez:

- prowadzenie działalności wymierzonej w zasady ustrojowe naszego kraju, jego sojusze, szkalujące władze socjalistycznego państwa,*
- nawiązywanie kontaktów zagranicznych z wrogimi Polsce Ludowej ośrodkami i organizacjami, także w dążeniu do utworzenia nowej antysocjalistycznej studenckiej organizacji międzynarodowej, a zarazem rozbicia istniejącego Międzynarodowego Związku Studentów,*
- drukowanie, powielanie, kolportowanie nielegalnych wydawnictw, broszur i czasopism o treści antysocjalistycznej i antyradzieckiej,*
- podważanie zasadności szkolenia wojskowego studentów i wzywanie do bojkotowania zajęć w studiach wojskowych.*

Zrzeszenie rozwinęło współdziałanie z nielegalnymi organizacjami w tym szczególnie z KPN, udostępniając swoje forum do spotkań i propagandy ideologii tych organizacji, organizując demonstracje uliczne w szeregu miastach.

Przywódcy Zrzeszenia dążyli do naruszania spokoju i normalnej pracy uczelni, tworząc i podsycając napięcia, organizując nieuzasadnione, forsowane przez mniejszość strajki, wywierając niedopuszczalne naciski, godząc tym samym w podstawowe prawa i interesy całej społeczności akademickiej, w tym również członków swojej organizacji.

Nie odniosły skutku wielokrotne napomnienia Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Niebezpiecznej eskalacji postaw i poczynań godzących w dyscyplinę procesu demokratycznego, spokój społeczny i konstruktywne zasady ustrojowe nie zahamowało nawet wprowadzenie stanu wojennego. Działalność NZS naruszająca Dekret o stanie wojennym spowodowała wreszcie decyzję o rozwiązaniu organizacji.

Kierownictwo MNSzWiT wyraża przekonanie, że członkowie byłego NZS właściwie oceniają liderów i ekstremistów tej organizacji, którzy nadużyli ich zaufania,

realizując swe polityczne cele. Podejmując spokojnie studia i respektując prawo mogą być pewni zachowania swego studenckiego statusu. Będą mogli, jak inni studenci, zdobywać wiedzę i uczestniczyć w życiu społecznym środowiska akademickiego.

„Żołnierz Wolności” w komentarzu do tego komunikatu napisał: ...*A byli członkowie NZS? Oni muszą dokonać rozrachunku z tymi kilkunastoma miesiącami swej działalności w organizacji, która powstając budziła nadzieję, a tak niestawnie zakończyła swój żywot. Po namyśle potraktują ten okres jako epizod, z którego trzeba wyciągnąć gorzkie doświadczenia i niechętnie wspominać go będą w przyszłości (...)*¹⁰⁹.

Tymczasem gdy trwała ta kłamliwa i napastliwa kampania propagandowa władz, działacze Zrzeszenia, którzy nie zostali internowani, mimo grożących za to represji tworzyli podstawy do funkcjonowania NZS w podziemiu. W grudniu 1981 r. trzech członków KKK nosiło się z zamiarem powołania Ogólnopolskiego Podziemnego Kierownictwa Zrzeszenia. Zatrzymanie przez SB i internowanie Wojciecha Bogaczyka, a następnie powrót do jawnego życia drugiego z ukrywającej się trójki uniemożliwiły realizację tego projektu¹¹⁰. Drugą próbą powołania krajowego kierownictwa Zrzeszenia było utworzenie w Krakowie Krajowej Komisji Wykonawczej NZS, która jednak nie przejawiała szerszej aktywności. Podziemna działalność Zrzeszenia prowadzona była w ramach ruchu oporu NZS. Krakowski NZS, który w pewnym stopniu miał katolicko-narodowy charakter, korzystał też z zaplecza Kościoła, co było dużym ułatwieniem. Podobne działania podjęto też we Wrocławiu. W tych dwóch ośrodkach utworzone wtedy struktury NZS dotrwały aż do roku akademickiego 1986/87, kiedy to Zrzeszenie zaczęło się odradzać.

W zdecydowanej większości ośrodków, w tym w Warszawie, przeważała jednak koncepcja włączenia się w działalność podziemnej „Solidarności”. Liczne rzesze członków i sympatyków NZS podjęły działalność usługową na rzecz Związku. Obsługiwali jego podziemną poligrafię, zbierali i przekazywali informacje, organizowali sieć kolportażu, prowadzili „mały sabotaż” malując hasła

¹⁰⁹ 7 II 1981 r. pozostający na wolności działacze NZS za pośrednictwem mecenasa Stanisława Szczuki złożyli do Sądu Najwyższego odwołanie w sprawie rozwiązania Zrzeszenia. „Żołnierz Wolności”, nr 4, 6 I 1982

¹¹⁰ S. Podorzecki, *Niezależne Zrzeszenie Studentów (1980–88)* ..., op. cit.

solidarnościowe, a nie NZS-owskie. Członkowie Zrzeszenia wychodzili z założenia, że NZS może odzyskać prawo do legalnego działania tylko w sytuacji posiadania takiego prawa przez „Solidarność”. Na początku stanu wojennego nie rozważano w zasadzie innej perspektywy niż odzyskanie poprzedniego statusu. Stanowisko to przeważało, pomimo zdelegalizowania Zrzeszenia, do jesieni 1982 r. (kiedy to zdelegalizowano „Solidarność”).

Poświęcenie sił i środków na rzecz „Solidarności” ograniczyło w zasadniczy sposób możliwości odbudowy struktur Zrzeszenia w konspiracji¹¹¹.

Jednym z podstawowych przejawów prowadzenia działalności NZS w podziemiu było wydawanie niezależnej prasy, na łamach której publikowano informacje pomijane w oficjalnych środkach masowego przekazu oraz odpierno zarzuty władz w stosunku do Zrzeszenia. W „Przetrwaniu”, podziemnej gazetce z 18 I 1982 r. działacz NZS ukrywający się pod inicjałami S.N. na pytanie: *Jednym z koronnych argumentów władzy jest zaniedbywanie spraw socjalnych studentów przez działaczy NZS-u?* Odpowiedział: *„W sferze socjalnej koncepcją naszego działania było tworzenie samorządów, które jako reprezentacja całego środowiska studenckiego winny przede wszystkim zająć się tą sprawą. Działalność organizacji na tym polu prowadzona była za pośrednictwem członków NZS-u wchodzących w skład samorządów. Byliśmy co trzeba pamiętać pozbawieni bazy materialnej, w fazie organizacji. Samorzady miały przejąć bazę materialną i działać na rzecz całego środowiska akademickiego...”*¹¹². Pisma firmowane przez NZS powstawały w całym kraju, jednak w całym podziemnym ruchu wydawniczym nie odegrały znaczącej roli.

Działania Zrzeszenia w podziemiu, z konieczności, musiały być pasywne. Oprócz wydawania prasy członkowie NZS uczestniczyli we wszystkich niezależnych demonstracjach. Organizowali obchody rocznic wydarzeń w sposób szczególnie związanych ze środowiskiem akademickim (marzec 1968 r., 17 II 1981 r. – rejestracja NZS). Służyło to głównie przetrwaniu i w związku z tym Zrzeszenie stało się organizacją kadrową, co w znaczny sposób ograniczyło możliwości działania.

¹¹¹ A. Anusz, *NZS 1980–2000. Niezależne Zrzeszenie Studentów, czyli nie ma sukcesu bez NZS-u*. Warszawa 2000, s. 22

¹¹² „Przetrwanie”, nr 1 A, 18 I 1982 – wydanie specjalne

Studenci byli najczęściej prześladowaną grupą społeczną zatrzymywaną podczas niezależnych demonstracji. Ks. Józef Maj sekretarz Komitetu Prymasowskiego wspomina: *ponad cztery tysiące osób ukaranych przez kolegia za demonstracje publiczne, a którym Komitet pomógł w spłacaniu kar. W związku z tym problemem doświadczaliśmy jak prawdziwe są słowa poety, że „Żywy student to jest kłopot wielki”. Sekcja Akademicka miała ciągle pełne ręce roboty tak z obroną obecności na uczelniach młodzieży niepokornej jak i z lokowaniem gdzie indziej wyrzucanych. W Sekcji Akademickiej rej wiedli humaniści. Zatem statystyk żadnych nie ma, ale sądzę. Że w skali kraju zajęliśmy się losem ponad tysiąca osób ze środowiska akademickiego*¹¹³.

Gdy stało się jasne, że społeczeństwo czeka „długi marsz” w drodze do odzyskania niezależnych instytucji (w tym legalnego działania NZS-u), przed członkami Zrzeszenia stanęła konieczność wyboru dróg do tego prowadzących. Gdy w drugiej połowie 1982 r. samorząd studencki, po 13 XII 1981 r. zawieszony, zaczął wznawiać działalność, część działaczy NZS, głównie związanych z samorządem już wcześniej, zdecydowała się zaangażować w jego odbudowę. Niektórzy członkowie NZS, po wprowadzeniu stanu wojennego, wycofali się z jakiegokolwiek działalności społecznej. Stan wojenny był dla nich szokiem, który odebrał im wiarę w sensowność prowadzenia działalności niezależnej.

Wielu studentów po wprowadzeniu stanu wojennego wyemigrowało. Również tragicznym jego następstwem był wyjazd z Polski kilkunastu tysięcy młodych pracowników naukowych¹¹⁴. W latach 80. skala emigracji doprowadziła do wyjazdu ponad 1 miliona mieszkańców, co nieraz prowadziło wręcz do wyludnienia niektórych obszarów jak np. Opolszczyzny, która utraciła 20% mieszkańców. Oznaczało to pozbycie się najbardziej wykształconych i aktywnych jednostek w latach 1987–1988 więcej osób z wyższym wykształceniem emigrowało z Polski niż opuszczało mury polskich uczelni¹¹⁵.

¹¹³ Ks. J. R. Maj, *Komitet Prymasowski* – charakterystyczny znak polskiej drogi wychodzenia z etatyzmu komunistycznego. Maszynopis, Warszawa 10 XI 2001

¹¹⁴ A. Anusz, *Dzieci drugiego obiegu. Kto odbudował demokratyczną Polskę*. „Wprost”, nr 45, 7 XI 1999, s. 44–45

¹¹⁵ H. Głębocki, „Solidarność” w grach SB 1981–1989 (przegląd wybranych problemów) [w:] „Arcana” dwumiesięcznik, nr 50, marzec-kwiecień. Kraków 2003, s. 87

Istniała ciekawa zależność pomiędzy wyborem jednej z możliwości działania: wejście w „Solidarność”, wejście w samorząd, tworzenie struktur NZS czy wreszcie wycofanie się z życia publicznego – a przynależnością do jednej z dwóch podstawowych grup, jakie wykrystalizowały się wśród działaczy NZS: fundamentalistów i umiarkowanych. Fundamentalisci, którzy wśród liderów NZS stanowili zdecydowaną większość, zorientowani byli głównie na działalność polityczną, w której reprezentowali stanowisko raczej radykalne i niekompromisowe. W opozycji do nich byli działacze mniej radykalni politycznie, zwolennicy umiarkowanych stopniowych zmian, osiąganych metodą kompromisów, a przede wszystkim zorientowanych na działalność środowiskową. Wielu z nich, należąc do NZS, aktywnie uczestniczyło w pracach samorządu. Tworzenia samorządu w 1982 r. podjęli się „umiarkowani”. Dla „fundamentalistów”, którzy wcześniej całkowicie zaangażowali się w robienie tzw. „wielkiej polityki” przestawienie się na działalność samorządową i niezależną tylko w ograniczonym stopniu, pozbawioną spektakularnych akcji masowych, niepolityczną, było bardzo trudne¹¹⁶. Ta grupa chętnie więc włączała się w struktury „Solidarności”, trwała w podziemnych strukturach Zrzeszenia lub w ogóle wycofywała się z działalności publicznej. „Fundamentalisci” głosili bojkot samorządu niejako programowo. Program „Solidarności” w podziemiu zakładał bowiem bojkot wszelkich instytucji oficjalnych jako reżimowych lub stanowiących jedynie namiastkę niezależności (np. OPZZ), a utrzymywanych przede wszystkim dla uwiarygodnienia ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Podziemne struktury NZS zyskały wsparcie ze strony Kościoła. Dużą aktywność przejawiało Duszpasterstwo Akademickie, grupujące wielu członków Zrzeszenia. Oprócz działalności katechetycznej, duszpasterstwa organizowały spotkania z działaczami opozycji i twórcami kultury niezależnej. Uczestniczyły bardzo aktywnie w corocznych pielgrzymkach na Jasną Górę, podczas których niesiono transparenty Zrzeszenia i kolportowano prasę podziemną.

W pierwszym, legalnym okresie, Zrzeszenie miało kapelana, księdza Józefa Maja, który pełnił tę funkcję do 1984 roku. Był on organizatorem Warszaw-

¹¹⁶ Wywiad z wice przewodniczącym KKK NZS z 1981 r. T. Klineciewiczem. „Kurier Akademicki”, nr 10, II 1988

skich Akademickich Pielgrzymek Diecezjalnych, które odegrały znaczącą rolę w integrowaniu środowiska akademickiego¹¹⁷.

W 1983 roku weszła w życie Ustawa o szczególnej regulacji prawnej w okresie przeciwdziałania kryzysowi. Minister mógł na jej podstawie zwalniać i mianować rektorów, dziekanów i dyrektorów instytutów, zawieszać organy kolegialne na sześć miesięcy, usuwać studentów z uczelni. Nie zniechęciło to jednak studentów do dalszej pracy i nie osłabiło ich działalności. Wśród niektórych działaczy NZS pojawiły się pomysły powołania oficjalnych organizacji akademickich, które dałyby możliwość prowadzenia niezależnej działalności opartej na instytucjach jawnych i posiadających osobowość prawną.

Próby utworzenia Bratniej Pomocy Studentów „Bratniak” podjęto w Warszawie. We Wrocławiu starano się powołać Katolickie Zrzeszenie Studentów. Mimo że rejestracja „Bratniaka” leżała w gestii rektora Uniwersytetu Warszawskiego (po usunięciu przez władze prof. Henryka Samsonowicza rektorem mianowano prof. Kazimierza Dobrowolskiego) i mimo stanowczej uchwały Senatu uczelni nakazującej rejestrację, rektor zwlekał tak długo, aż władze „naprawiły” swój błąd przenosząc kompetencje rejestracji na ministra. Podobnie stało się we Wrocławiu.

Niezależne środowiska podjęły również walkę o przejęcie innych legalnych instytucji akademickich, takich jak koła naukowe, kluby sportowe i turystyczne. W większości przypadków akcje te powiodły się. Władze podjęły walkę z kołami naukowymi, które ze względu na charakter działalności (wydawnictwa o tematyce społeczno-historycznej, spotkania z osobami uznawanymi przez władze za niepożądane) stawały się niezależne. Nałożono na koła naukowe obowiązek ponownej rejestracji. „Opornych kół” nie zarejestrowano (np. na Uniwersytecie Warszawskim koło „Wiedza”) lub pozbawiono środków finansowych. Koła, które przetrwały, rozwinęły ożywioną działalność szczególnie po amnestii dla więźniów politycznych we wrześniu 1986 roku.

Nie chcąc tolerować tak ożywionej działalności na uczelniach, władze zdecydowały się zmienić Ustawę o szkolnictwie wyższym. Wywołało to masowe

¹¹⁷ A. Anusz, *NZS 1980–2000* ..., op. cit., s. 24

protesty w całym kraju. Pomimo to 25 lipca 1985 roku Sejm PRL uchwalił nową ustawę przy pięciu głosach sprzeciwu.

Likwidacja niezależności samorządu sprawiła, że duże grono studentów zrezygnowało z działalności na terenie uczelni i zaangażowało się w podziemne struktury.

16 XII 1986 r. doszło do spotkania przedstawicieli NZS Uniwersytetu Wrocławskiego, Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego. W wydanym komunikacie napisano, że uczestnicy spotkania będą dążyć do „stworzenia ogólnopolskiej płaszczyzny porozumienia niezależnych organizacji i grup studenckich”. 21 XII 1986 r. spotkali się przedstawiciele NZS Uniwersytetu Wrocławskiego z delegatami Międzyuczelnianej Rady Porozumiewawczej NZS uczelni górnośląskich. Uwieńczeniem tych działań było spotkanie, zorganizowane 10 I 1987 r. w Warszawie z udziałem działaczy NZS z kilku ośrodków akademickich, nazwane później II Zjazdem NZS. Uczestniczyli w nim przedstawiciele Wrocławia, Krakowa, Łodzi, Katowic, Radomia i Warszawy, którą reprezentowała politechnika. Zjazd wybrał „krajówkę”. Był to wybór raczej symboliczny, faktycznie dokonał się on w poszczególnych ośrodkach akademickich. Komisja reprezentowała 21 wyższych uczelni. W zjeździe nie uczestniczyli działacze NZS z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy stworzyli najdynamiczniejsze środowisko w stolicy. Od początku już więc powstało pewne napięcie, które później przerodziło się w konflikt. W następnych miesiącach do „krajówki” dołączyły inne ośrodki akademickie, w tym i Unia NZS Warszawa (struktura uczelni warszawskich NZS)¹¹⁸.

W czasie wakacji doszło do dwóch spotkań przedstawicieli KKK NZS z Lechem Wałęsą (6 VII i 2 IX 1987 r.). Świadczyło to dobitnie o wzroście roli politycznej Zrzeszenia.

Konflikt w „krajówce” wywołały odmienne koncepcje funkcjonowania organizacji. Część działaczy związana ze Zrzeszeniem jeszcze w okresie jego legalnego działania dążyła do określenia Zrzeszenia w myśl jednej opcji ideowej. Próba ta nie powiodła się. „Nowa fala” dążyła do podkreślenia środowiskowej

¹¹⁸ Do końca rozdziału opracowano na podstawie: A. Anusz NZS 1980–2000, op. cit., s. 27–52

roli NZS, postulując pluralizm polityczny i ideowy, autonomię uczelni oraz poprawę warunków socjalnych studentów. Postawa ta reprezentowana była przez Unię NZS w Warszawie oraz przez środowisko gdańskie i poznańskie, a w późniejszym okresie przez większość środowisk w kraju. Osłabiona KKK NZS funkcjonowała jako władza Zrzeszenia aż do III Zjazdu NZS (9–11 IX 1988 r.), na którym wybrano nową, już jawną „krajówkę”.

Stopniowo w warszawskim środowisku Zrzeszenia dojrzewała idea przejścia do jawnej działalności. Już w lutym 1988 roku dwaj członkowie podziemnego Zarządu NZS UW, Andrzej Anusz i Mariusz Kamiński, dwukrotnie oficjalnie spotykali się z władzami uczelni (m.in. z rektorem prof. Grzegorzem Białkowskim, przychylnym Zrzeszeniu) informując o działalności organizacji. Powstała idea utworzenia Komitetu Założycielskiego na wzór powstających w zakładach komitetów założycielskich „Solidarności”. Nie liczone na legalizację, lecz uważano, że warunkiem skutecznego działania jest aktywność jawna. Sprzyjającym momentem do rozpoczęcia jawnej działalności była 20 rocznica wydarzeń marcowych, od wielu lat obchodzona na Uniwersytecie Warszawskim. Nastąpiły gorące, pełne napięcia dni.

8 III 1988 r. został ogłoszony na Uniwersytecie Warszawskim dniem rektorskim, wolnym od zajęć. Na polecenie rektora została zamknięta główna brama uniwersytecka, a na teren uczelni wpuszczano tylko pracowników i studentów. Hasło dnia brzmiało: NZS wraca. Podczas wiecu, który zgromadził ponad 2000 osób, ujawniono Komitet Założycielski NZS UW w składzie: Andrzej Anusz, Anna Gosiewska, Mariusz Kamiński, Wojciech Lewicki, Paweł Lisicki, Andrzej Papierz, Robert Pastryk, Cezary Sobieszcza, Aleksander Wolicki i Lech Zakrzewski. Odczytano Deklarację Programową oraz wnioski do Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Śródmieście o rejestrację Zrzeszenia. Po wiecu do NZS zapisało się 899. studentów, co było wielkim sukcesem. Wieczorem, po okolicznościowej mszy świętej w kościele św. Anny, studenci próbowali przejść pod pomnik Adama Mickiewicza (tak jak w 1968 roku) i złożyć tam kwiaty. Oddziały ZOMO brutalnie zaatakowały pochód i rozbiły demonstrację.

21 III 1988 r. Urząd Dzielnicowy Warszawa Śródmieście odmówił rejestracji NZS UW. Pomimo to podjęto jawną działalność, na przykład punkty

jawnego kolportażu pism i książek drugiego obiegu funkcjonowały na uniwersytecie aż do czasu zniesienia cenzury po przemianach 1989 roku.

Na przełomie kwietnia i maja 1988 roku wybuchły zorganizowane przez „Solidarność” strajki w Nowej Hucie i Stoczni Gdańskiej. NZS jako jedyna wówczas siła polityczna podjął masowe akcje solidarnościowe ze strajkującymi robotnikami. To wtedy robotnicy określili Zrzeszenie jako studencką „Solidarność”. Na wielu uczelniach przeprowadzono strajki okupacyjne, między innymi w Warszawie, Krakowie i Gdańsku, na innych odbywały się wiece, podpisywano listy popierające postulaty strajkujących, w tym żądanie relegalizacji „Solidarności”.

10 V 1988 r., zgodnie z apelem Prezydium KKK NZS, odbyły się akcje protestacyjne w całym kraju. Studenci zorganizowali różnego rodzaju publiczne wystąpienia co najmniej w jedenastu miastach.

Podczas sierpniowej fali strajków 1988 roku NZS ze względu na przerwę wakacyjną nie mógł zorganizować strajków solidarnościowych. Jednak studenci aktywnie włączyli się do akcji wspomagania protestujących zakładów. Prowadzili punkty informacyjne, drukowali strajkowe biuletyny, przerzucali żywność na teren strajkujących zakładów.

Od 9 do 11 IX 1988 r. obradował w Gdańsku III Krajowy Zjazd NZS. Wzięło w nim udział 33. działaczy z Gdańska, Lublina, Łodzi, Poznania, Szczecina, Torunia, Warszawy i Wrocławia. Zabrakło, między innymi, Krakowa, Katowic i Bydgoszczy. Zjazd uchwalił Ogólnopolski Program Zrzeszenia. Większość postulatów dotyczyła spraw związanych z funkcjonowaniem uczelni: autonomii, samorządności, dydaktyki, szkolenia wojskowego studentów, spraw socjalno-bytowych. Szósty pakiet stanowiły problemy ogólnospołeczne. Wybrano nową „krajówkę”, która opierając się na statucie z 1981 roku złożyła 14 X 1988 r. w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy wniosek o rejestrację Zrzeszenia. 9 XI władze odmówiły rejestracji. Wtedy złożono odwołanie do ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka. Ten podtrzymał decyzję odmowną. W tym czasie stan organizacyjny NZS był bardzo dobry. Liczba członków wynosiła 20 tysięcy w 76 ośrodkach akademickich. Pod znakiem NZS ukazywało się około stu różnych pism (ogólnopolskich, międzyuczelnianych, uczelnianych, wydziałowych).

Nadszedł czas, gdy władze zaproponowały przedstawicielom „Solidarności” rozmowy „okrągłego stołu”. Związek zaoferował Zrzeszeniu udział w rozmowach. W „krajówce” doszło do gorących dyskusji na temat sensu uczestnictwa w „okrągłym stole”. Przeciwnicy rozmów twierdzili, że jakiegokolwiek dyskusje z władzami nie mają znaczenia i niczego nie rozwiążą. Ponadto pojawiły się sygnały, że strona społeczna skłonna jest traktować sprawę relegalizacji NZS przedmiotowo, jako kartę przetargową w negocjacjach. W tej sytuacji doszło do spotkania Prezydium KKK NZS z Lechem Wałęsą. Nie wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione. Okazało się, że przy głównym stole obrad nie ma miejsca dla przedstawiciela NZS.

W tej sytuacji 6 II 1989 r. członkowie KKK NZS wzięli udział w spotkaniu KKW „Solidarności” i przedstawili swoje obawy. Kilka godzin później „krajówka” Zrzeszenia stosunkiem głosów 9 do 6 zdecydowała o przystąpieniu do rozmów z następującymi postulatami: „przywrócenie statusu prawnego Zrzeszenia z roku 1981, zmiany Ustawy o szkolnictwie wyższym, reformy służby i szkolenia wojskowego studentów”.

Przebieg rozmów i postanowienia końcowe „okrągłego stołu” potwierdziły obawy NZS. W dniu podpisywania umów zaproponowano NZS miejsce przy stole. Jednak nikt z władz Zrzeszenia nie zdecydował się pokazać w telewizji przy podpisywaniu porozumienia, którego nie tylko nie negocjował, ale które nie przynosiło NZS nic konkretnego. NZS nie odrzucił ustaleń „okrągłego stołu”, ale podpisać ich nie mógł. Atmosferę panującą wówczas w Zrzeszeniu dobrze oddaje tekst redakcyjny opublikowany w 55. numerze „Serwisu Informacyjnego CIA” z 24 IV 1989 r. pt. *Następne wybory*: „Owszem, mamy do Was żal. Myślimy: zostawiliście nas, targowaliście nami, aby samemu coś wygrać. A przecież to my pisaliśmy na transparentach «NZS studencką Solidarnością», to my rzucaliśmy pod nosej milicji Wasze ulotki. Owszem, mamy żal. Tymczasem Wy zawarliście kontrakt. Pomiędzy innymi ten najważniejszy – o wyborach. Nie pytaliście nikogo o zdanie. Uznaliście się za jedynej reżyserów, a wszystkie inne siły wślaczaliście w dychotomiczny obraz: za nimi albo za nami. Ale tak nie jest. Ta dychotomia została przez Was narzucona. Stawiając Waszą rozgrywkę o przyszłość całej opozycji na ostrzu noża nie zostawiliście nam wyboru. Poprzemy Was. Poprzemy Was wszystkimi siłami, ale nie dlate-

go, że to jesteście właśnie Wy, ale tylko dlatego, aby to nie byli Oni. Kierując się przekonaniem, że polityczny wybór nie musi być entuzjastyczny, będziemy zbierać Wam podpisy, kleić plakaty z Waszymi nazwiskami. I myślę, że przy tym wszystkim nie będziemy liczyć na wdzięczność, ale na następne wybory”.

Nadzieje nie ziszczyły się. Przy „okrągłym stole” po raz pierwszy drogi „Solidarności” i NZS rozeszły się. Później stosunki Związku ze Zrzeszeniem nie były nigdy tak dobre jak przed „okrągłym stołem”.

W nowej sytuacji politycznej „krajówka” postanowiła zwołać IV Zjazd NZS na 22 IV 1989 r. do Wrocławia. II tura Zjazdu odbyła się w Sopocie 6 V 1989 r. W programie obrad figurowały dwie zasadnicze kwestie: legalizacja NZS i stosunek Zrzeszenia do wyborów. W sprawie wyborów przyjęto uchwałę, w której stwierdzono: „Zbliżające się wybory nie będą demokratyczne. Fakt ten już dziś budzi wiele kontrowersji. W związku z tym decyzję o udziale w wyborach pozostawiamy sumieniu członków Zrzeszenia. Ponieważ jednak wybory te będą ważnym elementem walki politycznej, a w perspektywie mogą przyspieszyć osiągnięcie naszego celu – suwerennej i demokratycznej Rzeczypospolitej – Zjazd uznaje za wskazane zaapelować o techniczno-organizacyjną pomoc poszczególnych organizacji NZS w akcji wyborczej opozycji”.

Najżywszą dyskusję wywołała sprawa osobowości prawnej Zrzeszenia. Zarysowały się trzy koncepcje: krakowska – żadnych zmian w Statucie, lubelska – federacyjna (organizacje uczelniane rejestrują się oddzielnie, uzyskując w ten sposób osobowość prawną, po czym zawiązują stowarzyszenie stowarzyszeń), oraz warszawska – centralistyczna (rejestruje się tylko KKK). Decyzję podjęto dopiero podczas II tury Zjazdu w Sopocie. Uczestniczyło w niej, podobnie jak w I turze, 124 delegatów z 76 uczelni znajdujących się w 22 miastach. Reprezentowali oni około 20 tysięcy członków Zrzeszenia. Moment przełomowy nastąpił po czternastu godzinach dyskusji, kiedy to Zjazd jednym głosem ponad potrzebne 2/3 zdecydował się na zmianę Statutu według koncepcji warszawskiej. Jednak ponad 30 delegatów zgłosiło wobec uchwały *votum separatum*. Zrzeszenie znów stanęło na krawędzi rozłamu.

23 V 1989 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie ponownie odrzucił wniosek o rejestrację NZS. Kolejna odmowa rejestracji, po tym jak studenci dostosowali swój statut do wymogów nowej Ustawy o stowarzyszeniach, była prowokacją

władz, które chciały wywołać zamieszanie w trwającej kampanii wyborczej. Liczono, że za odmowę rejestracji obwiniana będzie „Solidarność”, zbyt słabo popierająca Zrzeszenie w walce o legalizację.

Dopiero powołanie Tadeusza Mazowieckiego na premiera, 24 VIII 1989 r., oznaczało zmianę polityki władz wobec NZS. 22 IX 1989 r. Sąd Najwyższy uchylił decyzję Sądu Wojewódzkiego i zarejestrował Niezależne Zrzeszenie Studentów. Przed Zrzeszeniem otworzył się nowy etap działalności.

Warto zastanowić się, jaką rolę NZS odegrał w drugiej połowie lat 80-tych, w czasie wydarzeń, które doprowadziły do odzyskania przez Polskę niepodległości.

Studenci byli jedyną zorganizowaną siłą, która w widoczny sposób poparła robotników walczących w dwóch zakładach pracy o legalizację „Solidarności”. Zresztą w tych dwóch fabrykach rolę dominującą w czasie strajków odgrywali młodzi robotnicy, którzy w większości nie mieli szansy należeć do „Solidarności” w okresie jej legalnej działalności. Byli to koledzy strajkujących w szkołach wyższych studentów, często jeszcze ze szkół podstawowych. Tak więc to młodzież z tzw. pokolenia stanu wojennego, nazywanego czasem „straconym pokoleniem”, przyczyniła się do tej wiosennej fali protestu, która spowodowała przebudzenie społeczeństwa po kilkuletnim okresie uśpienia i przygotowała fundament pod sierpniową falę strajków zakończoną sukcesem „Solidarności” i doprowadzającą do zmiany sytuacji politycznej w Polsce.

Było to uwięcenie dłuższego procesu, który zachodził w niezależnym ruchu społecznym. W zasadzie od wprowadzenia stanu wojennego ludzie młodzi odgrywali w działalności podziemia politycznego dużą rolę. To w dużym stopniu na nich opierała się sieć kolportażu niezależnych wydawnictw, to oni drukowali podziemną prasę, to przede wszystkim uczniowie i studenci przeprowadzali akcje ulotkowe i malowanie „naszych” haseł na murach. Jednak decyzje polityczne i inicjatywy społeczne podejmowali głównie ludzie ze starszego pokolenia.

W połowie lat osiemdziesiątych opozycja znajdowała się w kryzysie. Działacze „Solidarności” nie mogli odnaleźć czytelnej taktyki i strategii działania. Zwłaszcza po amnestii 1986 roku doszło w Związku do istotnych podziałów m.in. w sprawie konieczności przejścia do jawnej formuły działania oraz co

do dalszego utrzymywania tożsamości „Solidarności”. Niektórzy uważali, że większe możliwości daje jawna, czysto polityczna formuła i należy się pozbyć „związkowego garba”.

To właśnie w momencie największego regresu opozycji nowy impuls w działalności niezależnej dały takie inicjatywy (głównie z udziałem ludzi młodych), jak Ruch Wolność i Pokój, Pomarańczowa Alternatywa Federacja Młodzieży Walczącej i odradzające się Niezależne Zrzeszenie Studentów. Odwoływały się one do konkretnych problemów, np. sprawy odmowy służby wojskowej, sytuacji socjalno-bytowej środowiska akademickiego. Okazało się to decydujące dla sukcesu tych przedsięwzięć. Zjawiska te miały znaczący wpływ na ożywienie całej demokratycznej opozycji.

Z czasem wokół tych inicjatyw powstała grupa młodych ludzi, która była w stanie przystosować doświadczenie „Solidarności” lat 1980–81 do okresu końca lat osiemdziesiątych, nadając temu dziedzictwu nowy sens. Później środowisko tak się powiększyło, że można powiedzieć – może trochę na wyrost – o pokoleniu maja 1988 roku, tak jak mówi się o pokoleniu marca 1968 roku.

Twierdzimy, że właśnie to pokolenie wygrało starcie lat 1988–89 z systemem komunistycznym w Polsce. Jednak już ktoś inny korzystał z owoców tego sukcesu. Okazało się, że w polityce nie ma miejsca na sentymenty. Co prawda Lech Wałęsa mówił, że Niezależne Zrzeszenie Studentów, obok „Solidarności” wiejskiej i robotniczej, jest „trzecią nogą” Okrągłego Stołu, ale „Solidarność”, podpisując porozumienie z władzą, zepchnęła na margines problemy młodzieży, w tym legalizację NZS. Gdyby wtedy zalegalizowano Zrzeszenie, być może duża część aktywnej młodzieży nie przeszłaby do powstających komitetów obywatelskich, a później partii politycznych. Znaczna część poczuła się oszukana i wycofała się z życia publicznego. Brak legalizacji NZS oznaczał w praktyce rozbitcie i rozproszenie części pokolenia maja 1988. Szybka rejestracja Zrzeszenia mogła utrzymać jedność środowiska. NZS przekształciłby się wtedy w poważną siłę polityczną, porównywalną z węgierskim Związkiem Młodych Demokratów, który na Węgrzech był i jest najpoważniejszą siłą polityczną. Wtedy „trzecia noga” przerodziłaby się w „trzecią siłę”. Tak się nie stało.

Zastanawiano się nad nową formułą działania NZS, organizacji przejściowej, której członkiem jest się podczas studiów. Pierwszą inicjatywą powołaną

przez byłych członków NZS był Ruch „Wolność i Pokój” (WiP), zapoczątkowany 17 III 1985 r. głódówką w kościele w Podkowie Leśnej, prowadzoną w intencji Marka Adamkiewicza, skazanego na dwa i pół roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. W 1988 roku część działaczy WiP utworzyła środowisko „Czasu Przyszłego”, mające za zadanie wspieranie i tworzenie ruchu obywatelskiego. Wśród sygnatariuszy znaleźli się również działacze Zrzeszenia, między innymi Jacek Czaputowicz i Jan Maria Rokita.

W 1989 roku wielu działaczy NZS z dużym zainteresowaniem obserwowało działania węgierskiego Związku Młodych Demokratów (FIDESZ), który odnosił samodzielne sukcesy polityczne. Uważali, że potencjał polityczny, którym dysponowało Zrzeszenie i jego dawni członkowie, dawał szansę na powodzenie podobnej inicjatywy w Polsce. Szansa ta nie została wykorzystana.

Zawsze gdy były zagrożone rozpoczęte w sierpniu 1980 roku polskie przemiany, „ludzie z NZS-u” swoją aktywnością wpływali na zmianę sytuacji. Tak było po wprowadzeniu stanu wojennego, tak było wiosną 1988 roku, kiedy „Solidarności” zabrakło sił do przełamania oporu ówczesnych władz. Stało się już tradycją, że „ludzie z NZS-u” byli i są na trudne czasy. Mają różne poglądy, jednak łączy ich więź pokoleniowa, pokolenia doświadczonego stanem wojennym i jego następstwami, pokolenia aktywnie przeciwstawiającego się systemowi komunistycznemu, pokolenia, które wierzyło w zwycięstwo i walczyło do niego przyczyniło, pokolenia ludzi odnajdujących się w nowej rzeczywistości i chcących mieć na nią wpływ. „Mit NZS” jest dla nich znakiem rozpoznawczym.

ROZMOWA Z ANDRZEJEM POTOCKIM

„HEROIZM NIE JEST OBOWIĄZKIEM. PRYZWOITOŚĆ TAK”

– Podczas niedawnego spotkania w gmachu Sejmu, zwołanego w obronie wolności kultury i środków przekazu, oznajmił Pan: „jestem wnukiem żołnierza wyklętego, który spędził kilkanaście lat na Syberii”. Dlaczego akurat w takich okolicznościach złożył Pan osobistą deklarację, odwołując się do dramatycznych doświadczeń własnej rodziny?

– Polskość wyśnioną i nieco bajkową pamiętam z lekcji w szkole podstawowej. Opierała się na powtarzaniu zaklęć: my Polacy jesteśmy najbardziej tolerancyjnym narodem na świecie, nigdy nie kolaborowaliśmy z Hitlerem – i wielu innych, podobnych. Dziś mam wrażenie, że taka wizja historii powraca. Jak każda oparta na zaklęciach – pozostaje uproszczona i zafałszowana. Dla mnie w tamtych latach kontrastowała z wiedzą, wyniesioną z domu rodzinnego, dotyczącą naprawdę dramatycznych losów bliskich mi osób. Mój dziadek, którego wspominałem w trakcie przywołanej przez Pana konferencji, pułkownik Armii Krajowej Władysław Szczepański walczył w partyzantce w lasach janowskich przeciw Niemcom w latach 1941–44. Gdy wspominał tamte lata, zawsze chętnie posługiwał się anegdotami, nigdy nie używał patosu. W tamtym czasie oprócz polskich partyzantów i ścigających ich niemieckich żołnierzy czy żandarmów w lasach janowskich działała również partyzantka sowiecka, ukrywali się żydowscy uciekinierzy z gett, grasowały zbrojne bandy, pod koniec wojny pojawiły się formacje ukraińskie. Po wojnie dziadek nie złożył broni. Z tej przyczyny został aresztowany przez Rosjan na przełomie 1945 i 1946 roku. Już w 1946 r. znalazł się w radzieckim Gułagu,

skazany na 20 lat obozu pracy. Wrócił do Polski w 1956 r. Zdrowotnie stał się wrakiem. Jednak siłę ducha zachował i nie taił przed najbliższymi swoich doświadczeń.

– Jego los kontrastował z wizją polskości, jaką wtłaczano w gierkowskiej szkole?

– W szkole – działo się to w drugiej, może trzeciej klasie podstawówki – pani zapytała nas o represje wojenne. „Czy ktoś z dziadków przebywał w obozie?” Proszę sobie wyobrazić, że zaraz się do tej tradycji przyznałem, podałem również daty, kiedy dziadek w radzieckim łagrze był więziony. Zapanowała konsternacja, jak łatwo się domyślić. Zresztą dziadek, którego zapamiętałem jako wysokiego, postawnego i imponującego mężczyznę, umiającego korzystać z życia, pomimo zrujnowanego zdrowia – postępował podobnie. Przyszłości nie ukrywał. Uzyskał nawet zaświadczenie ze ZBOWiD-u, potwierdzające jego pobyt w obozie.

– W jaki sposób je zdobył, skoro Związek Bojowników o Wolność i Demokrację stanowił twierdzą gen. Mieczysława Moczara, a jego aparat ostoję frakcji twardogłowych komunistów?

– Jakiś urzędnik wystawił je z kompletnej niewiedzy lub samonapędzającej się biurokracji. Po prostu dziadek pewnego dnia poszedł do siedziby ZBOWiD i wrócił stamtąd z zaświadczeniem, które potem wisiało na ścianie. Miał kontakty paryskie poprzez przyjaciół. Za ich sprawą jako dwunastolatek w rodzinnych Gliwicach zetknąłem się po raz pierwszy z „Kulturą”. Wielkie wrażenie wywarła też na mnie książka Jakuba Karpińskiego „Płonie komitet”. Karpiński, którego poznałem osobiście dopiero wiele lat później, opisywał 1956 r. z perspektywy nastolatka przeżywającego wielkie historyczne wydarzenia, co przemawiało do mnie szczególnie, bo sam jako czytelnik miałem wtedy... tyle samo lat. Nieco później przeżyłem równie głęboko jego „Taternictwo nizinne”. Powiem nawet, że trochę się wzorowałem na Jakubie Karpińskim: gdy siadałem już nad własnymi artykułami, starałem się zachować właściwy mu chłodny styl pisanja.

– Gliwice przed wojną nie zależały do Polski, skąd więc dziadek się wywodził?

– Władysław Szczepański pochodził ze Lwowa. Zanim został majorem czasu wojny, kończył artystyczną szkołę rzeźby Kenara w Zakopanem i Politechnikę

Lwowską. We Lwowie w jednym wynajętym mieszkaniu jego kolegami ze stacji byli Kazimierz Górski, znakomity piłkarz a później legendarny trener i twórca największych sukcesów polskiego futbolu oraz Antoni Morończyk, wielokrotny mistrz kraju w skoku o tyczce. Jako młody inżynier budownictwa Władysław Szczepański poznał moją babcię Ludmiłę, która po maturze pracowała w jednej z lubelskich gazet. Właśnie w Lublinie osiedli. Tam dziadek włączył się w konspirację akowską. Z jej punktu widzenia miał niezwykle atrakcyjne zajęcie: już w 1939 r. pracował bowiem na boczniczy kolejowej. Wraz z przyjacielem, zmuszonym ukrywać żydowskie pochodzenie...

– Jak się nazywał ten przyjaciel dziadka?

– Szymon Wiesenthal... A jego żona Cecylia mieszkała z moją babcią i jej trzema siostrami... jako czwarta siostra. Szymon Wiesenthal odznaczał się urodą charakterystyczną, wskazującą na niebezpieczne w tamtych latach pochodzenie, więc szybko został przerzucony z Lublina w inne miejsce. Natomiast Cecylia była blondynką o niebieskich oczach.

– Jak Piękna Pani Seidenman z „Początku” Andrzeja Szczypiorskiego?

– Dokładnie tak ją widzę po latach. U mojej babci mieszkała jako członek rodziny – siostra. Dopiero szantaż ze strony dozorczy sprawił, że ze względu na zagrożenie trzeba ją było konspiracyjnymi kanałami przerzucić do Warszawy. Po latach, gdy esbecy wezwali dziadka na przesłuchanie – a ciągli go notorycznie – jeden z funkcjonariuszy pokazał dziadkowi wydaną w obcym języku książkę Szymona Wiesenthala. „Widzi pan, ten Wiesenthal pisze, że jego żona w domu pana żony była służącą”. Przesłuchanie odbywało się w 1968 roku... Dziadek esbekowi nie uwierzył. I miał rację. W latach 90 już jako poseł byłem na przyjęciu w ambasadzie austriackiej. Ktoś wspomniał pana Szymona, na co ja rzekłem: – Żona Wiesenthala ukrywała się u mojej babci. Ambasador to usłyszał. Zadzwonił do Wiesenthala. Jakiś czas później my z kolei odebraliśmy telefon: – Mówi Szymon Wiesenthal. Czy mógłbym mówić z Ludmiłą?

– Co na to babcia?

– Mało zawału nie dostała... W Wiedniu w cukierni rozmawialiśmy potem z Szymonem Wiesenthalem przy paterze pysznych ciastek. Widoczne również po tylu latach jego przywiązanie do Polski przebijają niemal z każdego zdania. Ale wracał też do 1968 r, do ówczesnej nagonki propagandowej, która za

sprawą autorów takich jak Tadeusz Kur położyła się cieniem na stosunkach polsko-żydowskich. Mnie zaś przypomniało się tamto przesłuchanie dziadka i esbek, kłamiący w sprawie zawartości wspomnień Wiesenthala... Zresztą dziadek podobne doświadczenia miał do końca życia.

– Komunistyczna władza nie dała spokoju weteranowi syberyjskich łagrów?

– Dziadek zachował do tego nękania specyficzne podejście. Chociaż w stanie wojennym miał już siedemdziesiątkę, a esbecy wciąż go nachodzili – łąził z gazetkami i ulotkami, jakby traktując tę działalność jak dalszy ciąg dawnej misji. Powtarzał przy tym: „a co mi mogą zrobić”. Zrobili mu w domu rewizję, tuż po stanie wojennym, jeszcze w 1983 albo już w 1984 roku.

– Co znaleźli?

– Zdjęcie Zbigniewa Bujaka z bardzo osobistą dedykacją... Pokazali triumfalnie. A dziadek w zaparte: to kuzyn z Krasnegostawu. Podobieństwo przypadkowe... Dziadek zmarł w latach 80, a jego dowódca w lasach janowskich, szwagier dziadka Tadeusz Łukasik dożył 99 lat, odszedł dwa lata temu. Wojsko państwa podziemnego zachowało do końca hart ducha...

– Pokolenie dziadka zawsze będzie nazywane akowskim. Z kolei w odniesieniu do Pana roczników najczęściej mówi się o generacji NZS?

– Maturę zdawałem w stanie wojennym w Gliwicach. Wcześniej, przed jego wprowadzeniem, przez uniwersytety i politechniki przetoczył się jak fala strajk okupacyjny, firmowany przez Niezależne Zrzeszenie Studentów. Nie tylko dla tych, którzy mieli już indeksy, okazał się mocnym przeżyciem. My młodzi KPN-owcy uczący się jeszcze wtedy w liceum zapewnialiśmy strajkującym studentom zaopatrzenie w papierosy i kanapki.

– Drogę odbył Pan więc trochę nietypową, bo dla większości młodych pierwszym doświadczeniem był NZS, kolejnym dopiero partie polityczne? Na ile KPN była świadomym Pana wyborem? Pamiętam, jak tuż po przełomie ustrojowym prof. Ireneusz Krzemiński z grupą studentów odwiedzili pierwsze biuro KPN w Pałacu Kultury. Prowadzili socjologiczne badania nad dawnymi konspiratorami. Wywołałem pewne zgorzsenie, bo gdy Stanisław Mazurkiewicz wskazywał na tradycję dziadka, legendarnego generała Radosława z Powstania Warszawskiego, inni na wrażenia z lektury

„Rewolucji bez rewolucji” Leszka Moczulskiego, ja zauważyłem: „Podczas wojny chłop siedł do tej partyzantki, która działała najbliżej jego wsi”. I opowiedziałem, jak wstąpienie do KPN zaproponował mi student prawa Tomasz Markowski, gdy wymienialiśmy się bibułą na ławkach pod BUW-em, a wtedy jako student polonistyki redagowałem już prasę podziemną Regionu Świętokrzyskiego Solidarności, w którym zresztą bywałem tylko przejazdem... I jeszcze tego samego dnia odbyłem spotkanie z Wojciechem Gawkowskim z organizacji akademickiej i Katarzyną Pietrzyk, która potem została Pana koleżanką w pierwszym pochodzącym z wolnych wyborów Sejmie, tyle że Pan zasiadł w klubie Unii Demokratycznej, a ona w ławkach KPN...

– Oczywiście miało dla mnie znaczenie, że środowiska KPN pierwsze użyły terminu niepodległości jako wytyczonego celu. Ale ma Pan rację, że również dla ucznia I Liceum w Gliwicach im. Edwarda Dembińskiego – a była to znakomita szkoła – największe znaczenie miały osobiste kontakty. KPN znajdowała się na miejscu, dysponowała zorganizowaną strukturą. Ze środowiska KOR-owskiego, które zresztą nie głosiło żadnej finlandyzacji, tylko uznawało, że niepodległość stanie się możliwa, gdy spełnione zostaną postulaty demokratyzacji i praw człowieka, jako ich wynik – docierały do nas głównie pisma i ulotki. Najwięcej informacji uzyskiwaliśmy i tak dzięki Radiu Wolna Europa. Ktoś z kolegów z KPN wpadł na znakomity pomysł. Całą KPN-owską grupą licealną założyliśmy Stowarzyszenie Młodzieży Demokratycznej. Oznaczało to, że mamy prawo się zbierać. Formalnie funkcjonowaliśmy bowiem jako przybudówka Stronnictwa Demokratycznego, które już wtedy podlegało dużym przemianom, jakie po latach pozwoliły mu stać się koalicjantem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Spotykaliśmy się więc całkiem legalnie i dyskutowaliśmy o możliwościach odzyskania niepodległości przez Polskę.

– **Starsi wiedzieli o tym, kryli Was?**

– Z pewnością wiedziała o tym, co naprawdę robimy nasza nauczycielka geografii Pani Profesor Anioł, która była wspaniałą osobą i okazała się oczywiście lojalna. Wielkiego zagrożenia dla ustroju pewnie nie stworzyliśmy, raczej debatowaliśmy bez końca, rozmawiając o przeczytanych książkach i sytuacji w kraju. Same chłopaki, bo to klasa matematyczno-fizyczna... Później już

w stanie wojennym ktoś do mnie przyszedł, proponował okupację... innej szkoły, ale nie podejrzewam, żeby w grę wchodziła prowokacja, raczej zupełny brak rozważań. Wiem też po latach, że jeden ze starszych kolegów, który się przy nas plątał, był funkcjonariuszem, jednak nie doprowadził nas do spektakularnej wyspy, bo samego siebie by zdekonspirował, a tego musiał uniknąć. W każdym razie władze już wiedziały o naszych działaniach, wpływać na nie jednak nie mogły. Akcje gwałtowne wtedy odrzucałem, uznając je za samobójcze. Za to gdy wprowadzono stan wojenny i trwały te długie ferie, zacząłem – opierając się na wiadomościach z nasłuchu radiowego RWE i Głosu Ameryki – robić własną gazetę. Sam pisałem, redagowałem i rozprowadzałem, gdy tylko długie ferie się skończyły „Informator KPN Gliwice”. Maciek Bylica z równoległej klasy doradził mi, żebym zajął się też kolportażem poza szkołą. Miałem nadającą się świetnie do tego kurtkę z długimi połami. Pod nimi nosiłem ryzy papieru. I gdy pewnego razu wsiadłem tak do autobusu – w wyniku jednego niezręcznego ruchu wszystkie gazetki rozsypały się dokoła. Zaś ja, zamiast od razu czmychnąć, jeszcze flegmatycznie zbierałem je z podłogi, dokładnie otrzepując z błota. Przygoda ta przydarzyła mi się wiosną 1982 roku, w apogeum stanu wojennego. Pomimo tej beztroski zatrzymania wtedy udało mi się uniknąć.

– Wybrał Pan – mieszkaniec Gliwic i absolwent elitarnego liceum – studia filozoficzne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dlaczego, skoro pod boki miał Pan ten sam kierunek na Uniwersytecie Śląskim?

– Filozofia Uniwersytetu Śląskiego stanowiła wtedy domenę twardogłowych. Jednym z wykładowców był doktor Wsiewołod Wołczew, twórca Katowickiego Forum Partyjnego, które na długo przed stanem wojennym krytykowało władzę PZPR za ustępstwa wobec opozycji. Doskonale orientowałem się w tych meandrach. Czytałem mnóstwo, wśród gazet nawet tygodnik „Rzeczywistość”, który wprawdzie zaczął od wywiadu z Jackiem Kuroniem w pierwszym numerze, ale szybko okazało się, że to tylko gra, mająca na celu zdobycie wiarygodności i czytelników, a pismo rychło zostało nieformalnym organem partyjnego betonu PZPR. Podobny charakter miała „Twórczość Robotników”. Słuchałem nawet Radia Tirana nadającego po polsku w duchu sprzed 1956 r, wiedziałem, kim są twardogłowi. Stąd wziął się wybór KUL, a nie najbliższej geograficznie uczelni.

– Czy Katolicki Uniwersytet Lubelski nie zawiódł Pana oczekiwania, skoro był Pan tak czytany?

– Odpowiadała mi ówczesna otwartość na KUL, studiowali tam ludzie z całej Polski, z różnych środowisk. Wydział filozofii to była twarda szkoła. Filozofia w różnych językach, erudycyjna. Na egzamin z filozofii współczesnej przeczytałem trzy tomy „Głównych nurtów marksizmu” Leszka Kołakowskiego. Wiedza, którą wtedy zdobywałem przydała mi się w latach 1989-91, gdy już po wielkiej historycznej zmianie uczyłem studentów filozofii w Instytucie Nauk Społecznych Politechniki Śląskiej. Na KUL nauka pozostawała ważniejsza od polityki, korzystaliśmy z panującej tam atmosfery wolności intelektualnej.

– Spotkał Pan na KUL wiele osób ważnych dla życia publicznego Polski?

– Byłem na roku z Januszem Palikotem, chociaż akurat on wtedy nie prowadził działań... przynajmniej takich, o których bym wiedział, chociaż za kraty z powodu aktywności opozycyjnej trafił jeszcze jako licealista. Już na KUL nie był łatwym dyskutantem, chociaż podziwiałem jego fantastyczne czytanie i inteligencję. Wtedy Palikot miał poglądy zdecydowanie bardziej konserwatywne od moich. Nie zmieniły się z biegiem lat zapatrywania mojego serdecznego kolegi z historii Dariusza Libionki, mocno krytyczne wobec skrajnej prawicy. Bardziej wygląd zewnętrzny, bo ówczesny Libionka to blondynek z kręconymi długimi włosami jak u NRD-owskiego piłkarza, a dzisiejszy – to poważny doktor. Na tym samym wydziale co ja, tylko rok niżej, studiował Janek Hartman. Zawsze bardzo pogodny i otwarty Piotrek Jaroszyński był wtedy asystentem prof. Krapca, zajmował się estetyką, a po latach stał się gwiazdą publicystyki Radia Maryja. Wtedy jednak na KUL mocne były wpływy personalizmu. Wykładał dla nas ks. Styczeń. Etykiem był świetnym, człowiekiem przeuroczym. Tomizm nigdy nie był na KUL wkładany łopatą do głów. Ćwiczenia z metafizyki prowadził ks. Romuald Waszkinel, który miał zdolność jasnego mówienia o trudnych sprawach. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że jako dziecko został ocalony z holocaustu. Cechowało go wielkie poczucie humoru, a pismo miał całkiem nieczytelne. Dlatego gdy kiedyś przyszła do niego studentka, skarżąc się, że nie potrafi odcyfrować jego napisanej czerwonym długopisem sążnistej recenzji pod pracą

semestralną, spojrział i... wcale jej nie pomógł: „Pisałem to dla Pani, nie dla siebie”... Teorii poznania uczył nas prof. Antoni Stępień, człowiek niezwykle opanowany. Niewysoki, w okularach, łysiejący był tak charakterystyczny, że... mógłby zagrać profesora w jakimś filmie. Podobnie się zachowywał. Trzy dni pisałem dla niego pracę o Kartezjuszu na seminarium na czwartym roku. Gdy wreszcie przyszło do jej oceny, prof. Stępień sformułował ją następująco: „na stronie 11 błędna numeracja przypisu, w bibliografii mylnie zamieniona alfabetyczna kolejność pozycji”. A siedzący obok asystent na wypadek, jakbym miał wątpliwości, scenicznym szeptem rzucił: „Pan profesor ocenia pańską pracę entuzjastycznie”. Intensywne studia przynosiły dużo satysfakcji, od zawsze lubiłem czytać. Oczywiście korzystaliśmy z książek drugiego obiegu, które najczęściej trafiały do nas z Warszawy, odległej o dwie godziny jazdy pociągami. Czasem ja je przywoziłem, czasem kto inny...

– Ale na KUL nie tylko czytaliście, politykowaliście również? Przecież to wywodzący się z KUL weteran pierwszego NZS Wojciech Bogaczyk próbował reaktywacji zrzeszenia, chociaż udało się to dopiero młodszym rocznikom?

– Znałem Wojciecha Bogaczyka, byłem członkiem NZS, lepiej jednak od niego zapamiętałem Jacka Adamczyka, który po latach został burmistrzem Dzierżoniowa. NZS na KUL działał swobodnie, na uczelni nie miał przecież kogo zwalczać. Do struktur ogólnopolskich nie aspirowałem, więc o ówczesnych wysiłkach Bogaczyka niewiele umiem powiedzieć. Zaś na uczelni raczej Jacka Adamczyka uznawałem za lidera, bo mieliśmy bliższe relacje osobiste.

– Poza mury też wychodziliście?

– Angażowaliśmy się w demonstracje uliczne. W trakcie jednej z nich, 11 listopada 1984 r. mocno dostałem pałami. Siedziałem potem na komisariacie, gdzie próbowano mi postawić zarzut, że śmietnikiem rzuciłem w milicjanta. Nieprawdziwy, bo cisnął nim kolega, który na demonstracji stał obok mnie. Wspólnie z Markiem Szczepańskim, który teraz mieszka w Niemczech, otrzymaliśmy kiedyś ulotki do rozprowadzenia. Pewnie w sumie ważyły tonę. Zapowiadały demonstrację przed katedrą. Warto pamiętać, że Lublin to miasto rozległe. Przemierzaliśmy je jednak po przekątnej, trolejbusami, pracownicy te ulotki rozprowadzając. Okazało się, że nasz trud był daremny,

bo ulotki zawierały nieprawidłową datę rozpoczęcia demonstracji – ktoś się pomylił, albo organizatorzy później tę godzinę zmienili, nie powiadamiając już o tym naszych dostawców, jeśli tak można ich nazwać. W efekcie w gazetce podziemnej Fabryki Samochodów Ciężarowych ukazała się wiadomość, że w wyniku celowej i zakrojonej na szeroką skalę akcji dezinformacyjnej cały Lublin został zarzucony ulotkami z fałszywą godziną wiecu pod katedrą. My jednak najlepiej wiedzieliśmy, że wcale nie była to prowokacja, tylko ludzki błąd. Nie zmieniło to faktu, że mieliśmy smutne poczucie, że nasz wysiłek okazał się bezsensowny.

– Jednak im bliżej było 1989 roku, tym rzadziej to poczucie Pana działaniom towarzyszyło?

– Chociaż jeszcze w 1988 r. widok Tadeusza Mazowieckiego, wychodzącego z ponurą twarzą z kończącej strajk stoczni do wielkiego optymizmu nie nastrajał. Nie zmieniłem jednak poglądu, że powtórna legalizacja „Solidarności” stanowi jedyne wyjście dla Polski. Od dawna znałem dobrze Dariusza Wójcika, skazanego potem w drugim procesie przywódców KPN. Cichy, spokojny i sympatyczny, był przy tym niewysoki i wielu z zaskoczeniem dowiadywało się, że to ważny działacz. Ceniłem Darka, ale w Lublinie już do Konfederatów nie przystąpiłem. Głównie z tego powodu, że w KPN nie dostrzegałem tej siły, jaką reprezentował Związek. Jej symbolem pozostawał Lech Wałęsa, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, który nie poszedł na współpracę z władzą. Odkąd Michaił Gorbaczow odszedł od doktryny Leonida Breżniewa i przestawał być gwarantem rządów partii komunistycznych we wszystkich krajach obozu, stało się jasne, że ustrój zacznie się sypać. Odpowiedź na Pana pytanie zacząłem od smutnego wspomnienia porażki strajku w stoczni, ale jeszcze w tym samym 1988 roku miało miejsce wydarzenie, które uznałem za przełomowe. To debata telewizyjna Lecha Wałęsy z liderem OPZZ Alfredem Miodowiczem.

– Ma Pan dla jedynego polskiego pokojowego noblisty wielki sentyment, skoro jeszcze w 2000 r, kiedy większość głosujących wybrała Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta już w pierwszej turze, wielu Pana kolegów z Unii Wolności głosowało na Andrzeja Olechowskiego, ja sam na Darka Grabowskiego, który w moim przekonaniu łączył doświadczenie

przedsiębiorcy z wiedzą ekonomisty i posła – Pan publicznie deklarował, że odda głos na Lecha Wałęsę?

– Dla mnie fascynujące pozostaje to, że chociaż Jaruzelski i Kiszczał mieli wtedy te wszystkie kwity, które po latach wyciągnęła na Wałęsę nie znosząca go pisowska ekipa – przewodniczący Solidarności potrafił się nie ugiąć i jak nikt inny przyczynił się do odebrania im władzy. Zaś okoliczności ich powstania oceniam zgodnie z kontekstem historycznym. Jeszcze jako nastolatek przeczytałem wydaną w drugim obiegu instrukcję „Obywatel a służba bezpieczeństwa”. Dzięki niej wiedziałem, że niczego nie wolno podpisywać, można odmówić odpowiedzi na pytania, nie trzeba wdawać się w dywagacje z pozoru niegroźne w rozmowie z funkcjonariuszem. Robotnicy w 1970 r. taką wiedzą nie dysponowali. Rolę Wałęsy zawsze doceniałem, w 1989 r. byłem zwolennikiem Okrągłego Stołu i pokojowego rozwiązania kryzysu, chociaż wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta wzbudził mój sprzeciw. To jednak była ocena emocjonalna. Za poważny błąd uznałem za to oddanie komunistom listy krajowej, przeciwko której (poza dwoma kandydatami) zagłosowali Polacy – nazwano to wtedy „dożynkami”. Przed 4 czerwca 1989 r. byłem już w Gliwicach, brałem udział w kampanii wyborczej, kleiłem plakaty kandydatów „S”: Andrzeja Wielowieyskiego, Augusta Chełkowskiego i Leszka Piotrowskiego. Uważałem, że wygramy. Zaś już po zwycięstwie – że należy brać władzę, chociaż zarysował się pat. Mój ojciec pytał wtedy retorycznie: – Jak weźmiesz rząd, skoro oni mają większość?

– Z pomocą przyszło odwrócenie sojuszy przez Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

– I zwyciężyła koncepcja Adama Michnika: „ich prezydent, nasz premier”. Gdy w 1990 r. uznałem, że ludzie dawnej opozycji mają prawo się różnić ze względu na tradycję i stawiane sobie zamierzenia, zapisałem się do ROAD. Wkrótce znalazłem się w Unii Demokratycznej. Zgodnie z nazwą była ona demokratyczną strukturą, o kolejności na listach wyborczych decydowało głosowanie wszystkich członków UD w regionie. Mnie zgłosił Józef Tomaszewski, szef koła w Gliwicach, inżynier i naprawdę ścisły umysł. Podjąłem się kierowania kampanią przed pierwszymi całkowicie wolnymi wyborami w 1991 r. To Tomaszewski powiedział mi: – Pan powinien być

posłem. Wskazany na piątym miejscu, w głosowaniu powszechnym byłem już pierwszy. Ludzie mnie trochę znali, wcześniej byłem pełnomocnikiem wojewódzkim Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna, po działacze, która nie zgadzając się na wejście wraz w większość do UD znalazła się w Unii Pracy. W wyborach do Sejmu odnotowałem świetny wynik, jeśli wziąć pod uwagę procent oddanych głosów w pierwszej dziesiątce kandydatów Unii w całym kraju – a z okręgu jeszcze dwóch kolegów weszło do Sejmu. Zapoczątkowało to moją dziesięcioletnią przygodę parlamentarną. Ale to już zupełnie inna historia...

– Przystanek niepodległość... Wracamy więc do Pana dziadka, który niestety niepodległości ani demokracji nie doczekał, chociaż tyle lat o nią walczył. Co razi Pana w dzisiejszym postrzeganiu losów Żołnierzy Wyklętych przez oficjalną pisowską politykę historyczną?

– Nie da się ich historii sprowadzić do jednego wymiaru. Tworzą ją tysiące losów niezłomnych, wśród których byli zarówno przedwojenni inteligenci jak mój dziadek, a także wiejscy chłopcy, którzy szli do lasu zagrożeni aresztowaniem przez nową władzę, wreszcie zwykli watażkowie, co już nie wyobrażali sobie życia w pokoju. Razi mnie mieszanie losów Witolda Pileckiego z dziejami łączniczki Inki czy komendanta Łupaszki. Różne były ich historie i motywacje. Wrzucanie wszystkich do jednego worka to fałsz. Dla dziadka NSZ było organizacją z którą się nie podejmuje współpracy, znaną na podlubelskiej wsi z łupieżczej działalności. Oczywiście w innych regionach mogło to wyglądać inaczej. Jednak mit żołnierzy wyklętych, budowany przez politykę historyczną dziś rządzących, tworzy jednowymiarową ikonę – a prawdziwe bohaterstwo spycha w cień. Prawdziwi bohaterowie mają imię, nazwisko, życiorys, ludzkie zalety i słabości. Czy zauważył Pan, że wśród tzw. Wyklętych nie wymienia się tak niezwykłych bohaterów, jak Kazimierz Moczarski czy Antoni Pużak? Nie pasują do tego, co staje się istotą ideologii „wyklętyzmu” – kultu siły i przemocy usprawiedliwionych potrzebą wyższego rzędu. Tymczasem dla prawdziwych żołnierzy walka była koniecznością, a nie celem.

– Bohaterstwo i tragizm, bo przecież polscy niezłomni i żołnierze wyklęci nie mieli na co liczyć, podobnie jak „leśni ludzie” w krajach nadbałtyckich?

– Amerykanie ujawnili niedawno raporty CIA, z których wynika, że w ogóle nie rozważali poważnie udzielenia jakiejkolwiek pomocy podziemiu poakowskiemu w Polsce. Pomimo takich twardych faktów – wracamy do historii pojmowanej terapeutycznie, w której docenia się głównie działania zbrojne, nie dostrzegając innych form oporu. Podziemni drukarze z białkowym powielaczem pracowali w dojmującym smrodzie acetonu. Tak zaczynał się drugi obieg. Dzięki nim jako dwunasto- czy trzynastolatek z przejęciem przeczytałem „Książki najgorsze” Stanisława Barańczaka, wydany poza cenzurą zbiór szkiców wykpiwających filary ówczesnej polityki kulturalnej. Zawsze będę tym drukarzom za to wdzięczny. I tym bardziej niepokoi mnie, gdy niektóre wydrwiwane wtedy przez Barańczaka postawy i zjawiska powracają w oficjalnej polityce państwa... Gdy Jarosław Kaczyński mówi dziś o pedagogice wstydu, budzi to mój sprzeciw, bo oznacza przeciwstawienie się rozliczaniu szarych kart historii, a nie tylko wspomnianiu tych heroicznych. Historia nie powinna nigdy być narzędziem polityki.

– Sam Kaczyński może odczuwa wstyd, gdy demonstranci skandują przed jego willą „13 grudnia spałeś do południa”, przypominając, że nie znalazł się wśród 10 tysięcy internowanych przeciwników ustroju ani ukrywających się działaczy podziemia? Czy stąd jego agresja się bierze?

– Sam fakt, że zaangażował się w działania opozycyjne już w czasach przedsiępnowych powinien być dla Jarosława Kaczyńskiego powodem do dumy. Nie jestem skłonny go potępiać za to, że nie został internowany. Problem rodzi się, gdy w zaprzyjaźnionych mediach próbuje przedstawiać kilka wersji własnego życiorysu i równocześnie stara się rozliczać innych. Ani etyka boska ani ludzka nie wymaga heroizmu. Co najwyżej przyzwoitości. Warto o tym obowiązku pamiętać.

KULTURA

ANDRZEJ JANKOWSKI
CAPTAIN ANDY

NAZYWAM SIĘ ŻYCIE
(FRAGMENT KSIĄŻKI PRZYGOTOWANEJ DO DRUKU)



Uśmiecham się na wspomnienie tych historii. Czuję teraz lekki głód, ale nie ruszam się już z kokpitu, bo jest zbyt przyjemnie. Chęć jedzenia przypomina mi bar mleczny, ale taki prawdziwy, oryginalny jeszcze w czasach komuny. Studia na Uniwersytecie Warszawskim w Instytucie Dziennikarstwa. Teoria to jedno, a doświadczenie to drugie. Trafiam pewnego dnia na praktyki do działu łączności z czytelnikami gazety codziennej „Życie Warszawy”. Brodaty jegośmość siedzi za biurkiem, a z głośnika zawieszonego na ścianie słyhać zdenerwowany głos. To rozmowa telefoniczna. Czytelnik dzwoni, a redaktor rozparty w zdezelowanym fotelu udziela mu porady prawnej.

- Panie! To proste – mówi. – piszesz pan odwołanie i wysyłasz.
- Nie przeczytają nawet! – grzmi zdenerwowany głos w głośniku.
- Jak nie przeczytają? Przeczytają! A próbował pan?
- No nie.
- No widzisz pan, zadziała! – w głosie redaktora nie ma cienia wątpliwości.
- No to spróbuję... – słyhać niedowierzanie i rezygnację.

Rozmowa kończy się i jegomość zza biurka spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem.

– A kolega na praktyki?

– Tak, chciałbym... – nie kończę, bo z głośnika znów dobiega głos kolejnego czytelnika, który dzwoni na bezpłatną infolinię porad dla czytelników gazety.

– No odbierz pan. – mówi spokojnie redaktor.

– No co pan?

– No tak. Odbieramy. Odbieramy.

Włączam mikrofon, a mój rozmówca, czytelnik mówi jak nakręcony.

– Bo widzi pan, redaktorze! – to chyba do mnie ten zwrot – oni mi ten parking zamknęli, a ja tam parkuję, a oni się uparli i mnie spółdzielnia nie wpuszcza. Spółdzielnia mi mówi, że nie zaparkuję.

Nie mam pojęcia o czym on mówi, a tym bardziej co mam mu odpowiedzieć. Redaktor przychodzi mi na szczęście z pomocą.

– Powiedz mu pan – wyszeptał – żeby im napisał pismo. I niech się powoła na ten artykuł z Kodeksu Cywilnego. – Tu niedbale podsuwa mi poszarpaną książkę, pokazując palcem właściwy przepis, który recytuję i mocno udawanym mądrym głosem zalecam czytelnikowi, by natychmiast pisał pismo.

Odkładam słuchawkę i wyłączam mikrofon.

– Ja się na prawie nie znam. – kszuszę się wyrzucając z siebie tremę, stres i emocje po tym nieoczekiwanym eksperymencie zrobienia ze mnie radcy prawnego.

– Kolega się nie przejmuje.

– Ale serio nie wiedziałem...

– O nie! – przerywa mi w pół zdania.

– Tego nigdy tu nie wolno powiedzieć!

– Czego?

– Że nie wiemy. Panie kolego, ludzie dzwonią do nas, bo mają zaufanie do redakcji. Tak? A kolega by chciał to zaufanie podkopać. Nie wolno.

– Ale jak naprawdę nie wiem? – pytam jednak nieprzekonany.

– Bo jak czytelnik pyta ile wysokości ma na przykład jakaś góra. To kolega mówi, że tysiąc dwieście jednaście i pół metra. Koniecznie trzeba dodać, że

pół, aby było dokładnie. I wtedy czytelnik jest zadowolony. I nasz szef jest zadowolony, że pomagamy. I wszyscy są zadowoleni.

Redaktor triumfuje najwyraźniej, bo twarz mu jakoś łagodnieje.

– A jak się okaże, że czytelnik sprawdzi i góra jest dwa razy niższa? – pytam naiwnie.

– A to wtedy czytelnik pomyśli, że redaktor też człowiek i mógł się pomylić. Ale gazeta i redaktor musi wszystko wiedzieć.

Następnego dnia bardzo niechętnie docieram do redakcji, na spotkanie z redaktorem dobra rada, ale ku mojemu zaskoczeniu i radości nie trafiając już do działu łączności z czytelnikami, lecz do działu miejskiego.

– Pojedziesz do szpitala na Kasprzaka! – oznajmia mi szefowa działu głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Tam ci powiedzą o czym masz napisać.

Jadę autobusem miejskim około pół godziny i po przyjeździe okazuje się, że zamiast zająć się materiałem, na korytarzu przy wejściu głównym do wind na łóżku szpitalnym leży moja matka. Pogotowie dość często zabiera ją w środku nocy, a ten właśnie szpital jest najbliżej naszego domu. Chaos panuje tam nieopisany. Brud zresztą też.

– Nie spałam całą noc przez te windy. – łka moja mama. – Taki tu ruch i zamieszanie. Tak źle się czuję, ale jeszcze mi żadnych badań nie zrobili.

Nagle przez wahadłowe drzwi wychodzi kilka ubranych w białe fartuchy osób. Najstarszy z lekarzy mówi coś głośno i jest wyraźnie zdenerwowany.

– I zabrać mi do cholery te przystawki z drogi! – wrzeszczy wpadając niemal na łóżko mojej matki. – Kto tu tego nastawiał, zaraz mi to zabrać.

– Tak panie ordynatorze już zabieramy.

– Przystawki? – pytam mamy. – Co to?

– To ja. – odpowiada. – Tak tu się mówi na ludzi, z którymi nie mają co zrobić i stawiają na korytarzu.

Kilka minut później odnajduję gabinet ordynatora, próbując zadać kilka pytań uciekającemu przede mną lekarzowi. Sekretarka początkowo krzyczy na mnie, żebym natychmiast wyszedł. Dopiero gdy wyjaśniam, że jestem prak-

tykantem z gazety pilnie mi się przygląda i znika w gabinecie ordynatora. Po minucie wychodzi.

– Do pana... telefon! – sekretarka oddaje mi słuchawkę i z widoczną satysfakcją oczekuje.

– Co ty tam k.... robisz! – słyszę krzyk i rozpoznaję głos szefowej działu. – natychmiast wracaj do redakcji! Sam naczelny cię szuka! Na zbity pysk chce cię wyrzucić.

Już na schodach w redakcji ktoś wyjaśnia mi, że redaktor naczelny tej gazety i ordynator szpitala należą do partii i są obaj członkami komitetu wojewódzkiego. Szefowa działu najpierw krzyczy, a potem mówi kilka minut. Wreszcie oznajmia:

– Dam ci ostatnią szansę! Nic już nie napiszesz mądrego! Jedziesz do baru mlecznego i tak się skończy twoja wielka kariera reportera.

Czuję nieklamany zawód. Chcę pisać ambitne teksty, reportaże, a tu bar mleczny, ale trudno.

Bar „Szwajcarski“ z nazwy, choć z wyglądu jak najbardziej lokalny znajduję przy Nowym Świecie. Otwieram drzwi i w wejściu widzę mężczyznę z plaketką kierownik baru i kilku wystraszonych pracowników w fartuchach.

– Dzień dobry panie redaktorze! – uprzejmie i służalczo wita mnie sam szef.

– Dzień dobry. – odpowiadam mocno zaskoczony powitaniem.

– Stolik już czeka. Proszę uprzejmie.

– Ale...

– Czego się napijemy? Co zjemy?

– No ja...

– Może coś mocniejszego? No pod to mleczko? – mruga do mnie i ku mojemu przerażeniu wyciąga zza siebie butelkę czystej wódki. Czeką na odpowiedź.

– Nie dziękuję. Nie będę jadł, przyjechałem, żeby napisać artykuł o barze. Co tu się u was dzieje?

– No mlekiem i miodem kraina płynąca, panie redaktorze, a może jednak coś do picia – nalega.

– Nie dziękuję. Serio chcę się dowiedzieć czegoś o tym barze. Może macie jakieś kłopoty i problemy?

Zalega kłopotliwa cisza.

– No serio pytam czy na coś na przykład pracownicy narzekają?

Widać zdziwienie na twarzy kierownika, które zamienia się po chwili w niedowierzanie, że redaktor gazety pyta o takie rzeczy, a zaraz potem w lekkie zdenerwowanie.

– Bo widzi pan redaktorze. – zaczyna nieśmiało – my tu mamy, cholera jasna, taki kłopot.

– Taaa... kłopot! – wypala stojąca obok gruba bufetowa, podciągając zbyt duży fartuch. – o mało mnie wczoraj nie zabił ten kłopot, panie kierowniku.

– No, tak tak. – zgadza się pospiesznie wystraszony szef.

– No to co się dzieje? – pytam.

– Zapraszam pana redaktora do piwnicy, to pokażemy.

Schodzimy ciemną, wilgotną klatką schodową w dół. Pierwszy idzie szef, a ja i pozostałe osoby za nim. Nagle staje na ostatnim stopniu, włącza latarkę i dopiero wtedy widzimy, że dalej zamiast podłogi stoi woda.

– Co to jest?

– Zalało nas.

– Ciągłe zalewa. – wtrąca stanowczo bufetowa. – od roku ponad.

– I co?

– No i wczoraj znów maszyna do obierania ziemniaków, no wie pan pod prądem tam jest i to siła, no 400 woltów, no i o mało znów ktoś nie zabiła. Z tej rury ciągle cieknie.

– No to czemu nie zreperujecie.

Zalega całkowita cisza. Patrzą na mnie, ale teraz nikt nie chce już nic dodać.

– Co jest? – pytam, bo widzę, że tu tkwi przyczyna.

– No bo widzi pan panie redaktorze... – zaczyna nieśmiało kierownik – bo chodzi o to, że... – spogląda na mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał bym już go więcej nie męczył.

– O co chodzi? – pytam – Kawałka rury nie możecie naprawić?

Podnosi wzrok a ja wraz z nim.

– No widzi pan, z tej rury wszędzie kapie. Ale obok lecą kable i różne tam przewody.

– No i?

– No te kable biegną do... no i oni nic nie pozwalają tu dotykać czy reparaować – zawiesza głos.

– Kto oni?

– Służby...

– To dokąd biegną te kable?

– Do komitetu centralnego partii. –... kończy i milknie.

Wracam do redakcji z napisanym odręcznie tekstem. Przepisuję go szybko na maszynie do pisania i kładę gotowy już tekst na biurku szefowej, która pogardliwie mruczy coś do siebie i od niechcienia bierze kartki do ręki i głośno czyta.

– „Centralny Bar Mleczny“. Dobry tytuł. – komentuje nieświadoma treści.

Wychodzę natychmiast nie tylko z jej gabinetu, ale i z redakcji, nie czekając nawet, że doczyta pierwszy akapit. Intuicja podpowiada mi, że praktyk studenckich nie uda mi się dokończyć w tym miejsku.

Po tym zdarzeniu nie mam pojęcia jak zaliczę praktyki, jeśli w najbardziej „niezależnej“ z codziennych gazet jest aż tak źle. A na wydziale afera. Wprowadzono niedawno stypendia naukowe. Powyżej 4,8 w skali do pięciu dostajemy spore miesięczne stypendium. Dostajemy, a raczej powinniśmy dostawać. Dotyczy to Tomka, Andrzeja, Arka i mnie. Ale idzie o zasadę, a nie o pieniądze, bo najpierw dużo szumu było z tymi stypendiami, że to zachęta do nauki i studiowania, a teraz kolejny miesiąc i cisza. Postanawiamy z Arkiem pójść do Dziekana całego Wydziału. To nie w naszym Instytucie, gdzie atmosfera jest swobodna, ale na naukach politycznych, słynących z czerwonych poglądów nie tylko kadry, ale również części studentów. Wchodzę po schodach na ostatnie piętro, a Arek przy swojej tuszy ledwo nadąża.

– To Dziekan! – oznajmia sapiąc głośno. – ten, który patrzy przez okno.

– Ten zamyślony?

– Tak.

Podchodzę więc, bo okazja spotkania dziekana i to najwyraźniej nudzącego się na schodach, nadarza się pierwszorzędną.

– Przepraszam Panie Dziekanie. – zaczynam. – Dzień dobry.
– Co?
– Dzień dobry.
– O co chodzi?
– Nie dostajemy stypendiów naukowych od...
– A kim ty jesteś? W czym imieniu pytasz! Kto cię tu przysłał!? – wybucha nagle.

– Jestem student....
– Nie rozmawiam na korytarzu i głowy mi nie zawracać!
Kompletnie nieruchomieję zaskoczony, aż taką agresją. Nie ma szansy na dokończenie wymiany zdań, bo dziekan tak szybko jak reaguje równie szybko odchodzi w głąb korytarza.

– Co nie pożegnał się? – spytał Arek ironicznie słysząc całą rozmowę.
– No nie pożegnał, ale się ze mną jeszcze przywita.
Ruszamy z powrotem na Dziennikarstwo, i po chwili rozmawiam z Andrzejem. Ten słucha jak zwykle w milczeniu całej historii i pyta krótko.

– Co proponujesz?
– No wiesz, nie wiem? Nie płacą już tyle czasu. Jakiś protest.
– Strajk głodowy. – oznajmia Andrzej bez wahania.
– No co ty?
– Strajk głodowy. – powtarza stanowczo.
– OK, to pojedźmy na Kickiego do akademika i coś wymyślimy.

Docieramy tam późnym popołudniem. Zamykamy się z Andrzejem u niego w pokoju i już po chwili wiemy dokładnie co robić. Wielkie karty białego papieru wypełniają się pisaniem odręcznie tekstem i hasłami. „Pogotowie strajkowe“, „Spotkanie wszystkich studentów w sali 210 na pierwszym piętrze“ i kilka zdań opisujących powód zgromadzenia. O siódmej rano, jeszcze przed pojawieniem się kogokolwiek w Instytucie rozwieszamy plakaty na drzwiach wejściowych na dole, na półpiętrach i całym Instytucie, łącznie z gablotą za szkłem, gdzie zazwyczaj to do nas pisze dziekan.

Kiedy przed dwunastą pojawiajemy się powtórnie w Instytucie obaj jesteśmy w szoku. Na korytarzu wrze. Słyszać jak wszyscy komentują treść plakatów. Panuje zamieszanie i zaskoczenie, ale plakaty wiszą nietknięte. Wchodzę

na salę, a tam kilkadziesiąt osób czeka już na spotkanie ze mną i Andrzejem, a wchodzi kolejne grupki studentów. Wskakuję na podwyższenie, gdzie zazwyczaj zasiadają wykładowcy i zajmujemy miejsca za stołem.

– Witam wszystkich! – przekrzykuję początkowo zgłęb i kilkanaście równoległych debat na sali. – Dzień dobry!

Robi się cicho, a my przedstawiamy się zebranym.

– Część z was już nas zna, ale jesteśmy studentami pierwszego roku więc starsi koledzy pewnie nie rozpoznają nas jeszcze. Chciałem rozmawiać z dziekanem o stypendiach naukowych, ale spytał mnie kto mnie przysłał i uciał temat. Zwracam się zatem do was z prośbą o udzielenie mi i Andrzejowi jedno-razowego pełnomocnictwa, abyśmy mogli o tym i innych sprawach porozmawiać oficjalnie z dziekanem. Jeśli macie inne sprawy i postulaty, to poprosimy teraz o ich przedstawienie.

Nie muszę nawet kończyć. Z sali sypią się słowa niezadowolenia z niskiego poziomu części zajęć i wykładowców, ale przede wszystkim otrzymujemy poparcie do stałego reprezentowania zebranych. Kartka puszczona obiegiem po sali zapełnia się imionami, nazwiskami i podpisami tak szybko, że trzeba przygotować kolejną. Po chwili ktoś liczy niemal dwieście podpisów. Mam z czym iść do dziekana. Mam już prawo i kogo reprezentować.

Następnego dnia w czasie wykładu jeden z profesorów wciąż powtarza, że i za sto lat ten system będzie trwał w Polsce i nie ma co liczyć na zmianę. Nie wytrzymuję i przerywam mu wstając z miejsca.

– Komuna i ten reżim szybko runie. – wypowiadam publicznie.

Spogląda na mnie i nonszalancko uśmiecha się.

– Nie runie, nie runie.

– To kolos na glinianych nogach, sypie się gospodarczo i nie ma żadnego fundamentu tutaj. To obcy system.

– Młody kolego. – śmieje się wprost ze mnie wykładowca. – też byłem kiedyś młody i naiwny, ale to mi przeszło.

– Zobaczmy co minie szybciej – odpowiadam i siadam na swoim miejscu.

Tydzień później Andrzej z Historii proponuje mi spotkanie przy bramie głównej Uniwersytetu, na małym dziedzińcu. Idziemy na górę wąskimi schoda-

mi i siadamy w niewielkiej salce. Wszyscy oprócz mnie palą. Zaraz się uduszę, ale nie ja pierwszy poświęcam życie dla konspiry i ojczyzny, więc udaję, że wszystko jest w porządku. Rozmawiam chwilę z nowo poznanym chłopakiem w okularach, w moim wieku lub nieco starszym, do którego wszyscy zwracają się Mario. Siedzi skromnie w rogu i mówi lekko sciszonym głosem. Informuje mnie, że reaktywowali działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów, że to nielegalna organizacja walcząca o swoją legalizację. Pyta mnie co robię, a potem oznajmia, że nadawałbym się idealnie na rzecznika prasowego NZS na naszej uczelni. Szok. Nie spodziewałem się takiej propozycji. Siedzimy chwilę, a ja nagle spostrzegam na ścianie wiszący transparent z wielkimi literami jedna pod drugą, namalowanymi farbą na białym płótnie. „N... Z... S...“, a każda z liter rozwija się w prawo w słowa „Niezależne... Zrzeszenie... Studentów...“. Ale w słowie Studentów, po pisanim dużą literą „S“ jest drugi raz powtórzone małe „s“.

– Mario. – mówię spokojnie nieco zdziwiony. Ten transparent...

– To nasz najdziwniejszy transparent, który przeszedł wszystkie zadymy z milicją i ZOMO... Był nawet ten właśnie na okładce amerykańskiego „Newsweeka“

– Ale... chodzi o to... że tu jest błąd.

– Jaki błąd? – pyta szczerze zdziwiony wbijając teraz wzrok przez swoje okulary w ścianę, na której wisi płótno.

– Tu jest literówka. – dodaję.

– Gdzie?

– No po dużym „S“ jest małe „s“ czyli to brzmi, Sstudentów. Ss.

– O jezu! – wykrzykuje. – sam go nosiłem ze dwadzieścia razy w tłumie i teraz tu wisi ciągle. Nikt tego nie zauważył! Ale numer.

Spogląda na mnie raz jeszcze.

– No widzisz, nadajesz się. Będiesz rzecznikiem i przyjmiesz cię, jeśli wygrasz wybory na swoim wydziale do komisji uczelnianej NZS.

Jachtem lekko buja. To fala z przepływającej w oddali motorówki dobiega do naszego kadłuba, który wpada w łagodny rozkołys i leniwie przechyla się kilka razy to w jedną to w drugą stronę. Noc nadal ciepła, a wiatru nie ma

wcale. Odgłos silnika oddala się tak szybko jak niespodziewanie się pojawił. Przestaje bujać. Co to były za czasy.

Pewnego popołudnia siedzimy w tej samej kanciapie, w której wisi transparent. Dowiaduję się, że jedziemy w kilka osób do Gdańska na spotkanie z Lechem.

– Tym Lechem? Serio! – niemal krzyczę. Rewelacja!

– Tak – uśmiecha się Andrzej, który mi to oznajmia.

– No to rewelacja! Ale numer.

Następnego dnia pociąg rusza z dworca kolejowego z dużym opóźnieniem, a chłopaki natychmiast zaczynają zmieniać przedziały, które mieliśmy zarezerwowane. Powiedzieli mi tylko, że śledzi nas UB-ecja i po przyjeździe do Trójmiasta będziemy musieli ich zgubić. I rzeczywiście zaraz po wjeździe pociągu na stację w Gdańsku rozpraszamy się na dwu, trzy osobowe grupy, by spotkać się dopiero przy wejściu do jakiegoś starego kościoła.

– To Święta Brygida – informuje jeden z kolegów, czytając z mojego zachowania, że nigdy wcześniej tu chyba nie byłem. Idziemy szybko. – dodaje.

Schodzimy po schodach na dół do jakiejś małej sali. Kilka ławek zapelniamy szybko i przypadkowo ląduję w pierwszej. Czekamy bardzo krótko i nagle z bocznych drzwi wchodzi Lech Wałęsa. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę, bo mając piętnaście lat wywoływałem na swoim sprzęcie w domowej ciemni zdjęcia z tym symbolem Solidarności, aby potem rozrzucić je z budynku przy rondzie ONZ w Warszawie. Ale to był tylko symbol, człowiek legenda, który nam młodym dawał tyle siły. Słyszałem o jego internowaniu w stanie wojennym, słuchałem z daleka jego wspaniałego, porywającego wystąpienia na pogrzebie zamordowanego bestialsko księdza Jerzego Popiełuszki, ale to było w tłumie z oddali. Nierealne, dalekie.

A teraz siedzę przed tym człowiekiem na wyciągnięcie ręki. Wita się z nami szybko i od razu zaczyna mówić, ale z taką pewnością w głosie, że słuchałem go nieco oszołomiony. Przecież to my, garstka zwariowanych, ale jednak młodych ludzi bez dużego życiowego doświadczenia wierzy mocno w to, że ten totalitarny system upadnie i skończy się sowiecka okupacja. Ale nawet jak na

legendę Solidarności i laureata Pokojowej Nagrody Nobla, ten człowiek, sporo starszy od nas, a mówi takie rzeczy i z takim przekonaniem, jakby oderwał się jakimś cudem od przygniatającej nas szarej rzeczywistości reżimu, telewizyjnej propagandy i stacjonujących w Polsce rosyjskich wojsk.

– A potem... – kontynuuje – przyciśniemy komunę strajkami i nie będą mieli wyjścia, muszą się cofnąć. Będą musieli się poddać., dogadać. Zrobimy w Polsce nową gospodarkę, wolny rynek, demokrację.

Brzmi to niewiarygodnie solidnie i uspokajająco. I nagle wskazuje ręką wprost na siedzącego obok mnie kolegę.

– A ty zostaniesz niedługo premierem, bo młodzi ludzie muszą w Polsce przejąć władzę, kierować państwem, bo moje pokolenie nie zna się na tym, jesteśmy za starzy, za głupi, jesteśmy do walki, ale nie do budowania. Nie umiemy tego.

Jedziemy z powrotem do Warszawy, a te słowa brzmią w moich uszach cały czas. W kilka dni później na jednym z wykładów mówimy o Akcie Helsińskim. Komunistyczny rząd polski podpisał, zapewne za rosyjską zgodą, traktat na mocy którego państwo gwarantuje swoim obywatelom wolność słowa. Dopytuję wykładowcę o szczegóły, a na przerwie schodzę do naszej biblioteki, by przeczytać oryginalny tekst tej międzynarodowej umowy. To jest to. Pędzę do Piotra, podzielić się nowym pomysłem.

– Zakładamy ruch. Będziemy promować wolność słowa w Polsce i pokazywać ludziom w praktyce, gdzie żyjemy.

– Co masz na myśli? – pyta.

– Za kilka dni robimy akcję! – mówię podekscytowany.

– Jak się nazwiemy?

– No właśnie „Wolność Słowa“, „Ruch Wolność Słowa“!

– Super.

Malujemy transparenty w mieszkaniu mamy Andrzeja na dolnym Mokotowie. Chłopaki rozkładają na podłodze już ostatnie płótno. Ktoś pisze wielki napis Solidarność charakterystyczną i znaną na całym Świecie czcionką. Dochodzi północ.

– To ja może już dokończę zamalowywać środek liter “...ność” – oferuje Leszek z Wydziału Prawa.

– Super, bo ja już padam, a jutro zaczynamy o szóstej.

– To idźcie, a ja dokończę.

Rano jesteśmy na nogach bardzo wcześnie. Brakuje tylko Andrzeja z ostatnim kończonym wczoraj transparentem. Nagle wbiega na dziedziniec ze zrolowanym pakunkiem, ale woła do nas od samej bramy.

– Wiecie co on zrobił!

– Kto?

– No Lesio!

Milczymy czekając na ciąg dalszy.

– dokończył napis na czerwono...

– No, to chyba dobrze. – odzywa się Piotr.

– I wywiesił transparent na balkon, tam na ulicę, żeby wysechł. I to zwiisało trzy metry w dół rano jak przyszedłem napisane taka czcionką. Lokal spalony.

Wychodzimy na Nowy Świat i idziemy w stronę naszego pierwszego celu. Komitet Centralny PZPR, czyli komunistycznej partii. Idziemy w ciszy, bo wszyscy są potwornie niewyspani. Mamy siedem transparentów, paczki z nielegalną, drukowaną w podziemiu prasą i książkami. To jest pierwsza realna akcja Ruchu Wolność Słowa. Sprawdzimy, jakie nam rząd gwarantuje w ramach państwa wolności obywatelskie. Podaliśmy wczoraj swoje imiona i nazwiska oraz adres domowe. Powołujemy się na Akt, Działamy otwarcie, bo przecież nam na to zezwala prawo...

Idziemy Nowym Światem i mijamy Foksal. Ulica pusta, ale nagle ktoś woła mnie po imieniu.

– Andy! Cześć! Co tu robicie chłopaki?

Odwracam się. To Kacper.

– Proszę! Cicho.

– A co tu niesiecie? – pyta. – Bo ja właśnie wracam z super imprezy. Muza

rewelacyjna. Tam była taka wspaniała Monika, brunetka. Fantastyczna dziewczyna, no i graliśmy w butelkę. Ale taką wersję dla dorosłych z cukrem.

– Kacper błagam idziemy pod KC, a nie z imprezy.

– Serio, to super, mogę się do was dołączyć?

– No nie za bardzo, bo długo tam nie postoiemy.

– Aha, to do zobaczenia na uczelni! – i znika.

Do Alei Jerozolimskich docieramy w kilka minut i cała akcja rozpoczyna się bardzo sprawnie. Rozstawiamy stoliki, układamy prasę i książki i rozwijamy transparenty. Na chwilę wokół nas nie ma komunizmu, opresji, cenzury. Jest wolność wyboru i dyskusja na argumenty, w której nikt z góry nie ma racji. Jesteśmy u siebie. Trzy minuty później sytuacja wraca do tzw. normy, ponieważ na chodnik wjeżdża milicyjna Nysa. Wyskakuje z niej kilku mundurowych, którzy natychmiast zabierają się najpierw za likwidowanie kłujących w oczy transparentów.

– Poproszę o pokwitowanie. – mówię człowiekowi w mundurze, który wyrwa mi właśnie z rąk baner.

– Co k...a?! – krzyczy zdenerwowany.

– Proszę pana o pokwitowanie, bo zgodnie z przedwojennym Rozporządzeniem Prezydenta RP, jeśli policja rekwiruje przedmiot o wartości powyżej pięćdziesięciu złotych to jest winna pokwitowanie.

– Co?! – powtarza już bez drugiego słownego przecinka i jest wyraźnie zaskoczony. Bo przecież w rozmowie pojawia się przepis, a na to trzeba zawsze uważać. Funkcjonariusz nie patrzy już na mnie tylko natychmiast idzie do samochodu, wyjmuje radio i woła do mikrofonu.

– Panie komendancie już ich zgarniamy, tylko ten jeden żąda ode mnie jakiegoś pokwitowania?

Chwilę słucha czegoś w słuchawce.

– Nie, nie są agresywni. Aha, Tak jest! – kończy.

W czasie tego zawahania atmosfera interwencji zmienia się diametralnie, bo kilku z moich kolegów robi sobie właśnie zdjęcia przy milicyjnym samochodzie. Wreszcie jednak pakują nas do środka i ruszają na rondo. Jedziemy zaledwie kilkadziesiąt metrów.

– Spier....ać! – krzyczy milicjant.
– A czy mógłbym dostać pokwito...?
– Spier....ać stąd! – wrzeszczy zdenerwowany i milicjanci wypychają nas kolejno.

Nie ciągnę już tematu pokwitowania. Przynajmniej przygotowana przez przyjaciela z Wydziału Prawa formułka odnosi zamierzony skutek.

Następnego dnia powtarzamy akcję pod cenzurą na Mysiej, potem pod redakcją “Trybuny Ludu”. Milicja przyjeżdża coraz wolniej, aż kolejnego dnia, gdy sprzedajemy prasę i książki przy Rotundzie, czyli w samym centrum Warszawy, w ogóle nie przyjeżdża. Ludzie też jakoś niezbyt chętnie do nas podchodzą, bo część nadal boi się, a część myśli, że to jakaś prowokacja. Wokół panuje zniechęcenie, szarość i beznadzieja.

Pewnego dnia wchodzę na Uniwersytet przez bramę główną i skręcam na mały dziedziniec.

– Strajkujemy. – szepcze do mnie Andrzej.

– No co ty? – pytam zaskoczony, bo nigdy nie brałem udziału w żadnym strajku, a jedynie słyszałem o takich w Gdańsku, Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu czy Krakowie i innych miejscach. Adrenalina uderza mocno.

Wchodzę do swojego biura prasowego. Tam za oknem komuna, a tu kilkanaście osób uwija się przy informacjach prasowych, ktoś czyta Newsweek po angielsku i pisze notatkę z tego co dzieje się w Stanach. Biuro tętni życiem, jak zresztą cały uniwersytet. Tu się oddycha swobodnie.

Strajk ogłasza publicznie Mariusz. Mówi spokojnym, nawet nieco przyciszonym lecz stanowczym głosem. Potem przemawia Maciej szef nielegalnej, ale działającej tu w najlepsze “Solidarności”. Na placu kilkuset studentów i z każdą minutą przybywają nowi. Biegnę więc na Dziennikarstwo. Jesteśmy też przy Krakowskim przedmieściu, a imponujący pałac, w którym mieści się instytut znajduje po drugiej stronie ulicy. Wpadam na piętro i od razu piszemy z chłopakami odręczne wiadomości używając wielkich, papierowych kartonów i grubych pisaków z czarnym i czerwonym tuszem. Wywieszamy plakaty przy wejściu do instytutu, przy salach wykładowych. A więc dzieje się. Po tylu latach

zastoju i beznadziei nagle w Polskę i Świat idzie informacja o strajku na Uniwersytecie Warszawskim i innych uczelniach w Warszawie i całym kraju. Jest dobrze, czujemy wielki dopływ energii i podekscytowania. Nareszcie robimy coś, a nie tylko planujemy. Wracam szybkim krokiem zadowolony, by przekazać informację na małym dziedzińcu, gdy nagle spostrzegam, że całą ulicę blokuje kilkadziesiąt szarych milicyjnych samochodów. Zaraz za nimi stają oddziały ZOMO. To nie żarty, mają wielkie tarcze i twarde, niektórzy twierdzą, że metalowe, a nie gumowe pałki do uderzania. Kaski z szybami na twarzach, nakolanniki i ochraniacze na całe ciało. Miarowo i bardzo mocno uderzają pałkami o tarcze, wzbudzając spore poruszenie. A po przeciwnej stronie, na zewnątrz głównej bramy uniwersyteckiej ogromny tłum studentów. Nie umiem go jeszcze oszacować, ale to kilkaset, jeśli nie tysiąc osób. Chaos i zamieszanie. Okrzyki "NZS", "precz z komuną", "chodźcie z nami". Wpadam w środek tłumy, nad którym nikt już nie panuje. Przede mną Andrzej i Piotr.

– Pomóż nam zawrócić wszystkich za bramę na teren uczelni, to eksterytorialny obszar i milicja tam nie wchodzi! Zamkniemy bramę! – krzyczy Andrzej i ledwo go słyszę.

– Ktoś zrobił prowokację i rozrucił stalowe śruby! – woła Piotr. Za chwilę ZOMO ruszy na nas, bo rzucają je w ich stronę i wejdą na Uniwerek pod pozorem przywracania porządku! Będzie koniec!

Patrzę dookoła z niedowierzaniem, bo wokół setki zdenerwowanych studentów krzyczy "NZS! NZS!". Ale trzeba od czegoś zacząć. Łapię najbliższe dwie, trzy osoby obok siebie za rękawy. Znamy się wszyscy, choćby z twarzy.

– Wszyscy do środka! Natychmiast! Wracamy na uniwerek! – wołam – Zawracajcie wszystkich!

– Do środka! – woła osoba obok mnie i po chwili cudem, pierwsza większa grupa studentów wchodzi do wewnątrz na dziedziniec. Coraz więcej osób kieruje się w tamtą stronę.

Zanim milicja i jednostki ZOMO ruszają w naszą stronę, prawie wszyscy studenci są już za żelazną, pięknie kutą bramą. Piotr z lewej, na środku stoi Andrzej, ja z prawej. Po chwili ostatnia grupa kilkudziesięciu osób wbiega na dziedziniec, a my z trudem zatraskujemy żelazne wrota, które ktoś pomaga

nam skutecznie domknąć z drugiej strony, od wewnątrz dziedzińca. Sukces. Ale jak to z drugiej strony, od wewnątrz? Odwracam się i dociera do mnie, że wszyscy studenci są już bezpieczni na terenie uniwersyteckim, ale my we trzech zatrzasnęliśmy ich od zewnątrz i teraz tkwimy tu na chodniku przy ulicy. Kilkadziesiąt metrów przed nami zbity szereg ZOMO przygotowujący się do szturm. Piotr ma szczęście, że przy bocznej furcie stoi dobry znajomy, który silnie szarpie za klamkę i i ciągnie ją na tyle mocno, byśmy mogli wcisnąć się do środka.

Noc spędzam na straży za Pałacem Kazimierzowskim, patrząc z muru czy zgromadzone tam oddziały milicji nie podchodzą bliżej. Po powrocie na Wydział Historyczny widzę, że na schodach i w salach wykładowych studenci leżą na podłogach, niektórzy drzemią, inni rozmawiają, a ktoś używając grzałki i metalowego kubka do mycia zębów gotuje wodę na herbatę. Strajkujemy.

W marinie zupełna cisza. Wszyscy już dawno śpią w swoich domach. Pozostają jedynie puste jachty opuszczone przez swoich właścicieli, którzy większość czasu spędzają na lądzie, zajmując się swym normalnym życiem, przemieszczaniem z domu do pracy, zarabianiem pieniędzy i innymi absorbującymi zajęciami. Żeglarze to już nieistniejący niemal, wymarły gatunek. Wytrzebiony przez cywilizację, jak wspaniali niegdyś Indianie. Żeglarze to ludzie wolni, w czasie, przestrzeni i duszy. To ludzie odważni, bo spełniający swoje marzenia, ale także gotowi psychicznie i fizycznie sprostać wszelkim wyzwaniom ciężkiego morza. Tu obowiązują proste zasady. Wszystko jest prawdziwe i nie da się tego przykryć myślami albo słowami. Albo coś jest związane porządnie i dobrze przykręcone, albo za chwilę pęknie lub odleci. Nawigacja jest prowadzona rzetelnie, albo kadłub zawadzi o zdradliwie schowaną pod wodą ostrą skałę. Obowiązuje dobra praktyka morska, piękny zestaw praw zebranych w żeglarskim worku doświadczeń i rozsądku, a nie na papierze. Praw nie wymyślanych w gabinecie, ale zaobserwowanych i ustalonych za sprawą konkretnych wypadków i tragedii na morzu. Niezmiennych czasem przez setki lat. Tu życie jest proste, bo nie ma miejsca na fałsz. Wszystko od razu widać. Widać w oczach przestraszonych lub dzielnych ludzi. Widać w ich działaniu, a nie opowiadaniu o nim. Tu nie ma czystej teorii, a jest praktyka, pełna realizmu i prostoty. Jedyne prawo stanowi

tu ostatecznie morze, odwieczny ocean, który decyduje i rządzi. Mój żywioł. Moje życie.

Kiedy zaczyna się przygoda z żegluga, wszystko wydaje się ekscytujące, ale skomplikowane. Pełne niejasności i szybkich, jak niekontrolowany zwrot przez rufę, zmian akcji. Ale z czasem, wraz ze wzrostem doświadczenia, te elementy zaczynają układać się w perfekcyjną i spójną całość. Jacht i żeglarz stanowią jedność, człowiek jest częścią jachtu, a ten częścią morza. Morze, częścią wiecznego Oceanu, a ten fragmentem naszej cudownej planety i wszechświata. Oddychasz w bezchmurną noc w świetle księżyca, a czujesz jakby cały wszechświat oddychał z tobą tym samym rytmem. Bo oddycha. Wystarczy tylko wsłuchać się i złapać tempo. Spokojne i piękne. Bez zadyszki dnia codziennego i problemów, które sami wcześniej kreujemy.

Studiowanie na dwóch fakultetach jednocześnie, jest coraz łatwiejsze. Dziennikarstwo i Historia uzupełniają się i łączą. Na czwartym roku przychodzi jednak dzień stadium wojkowego. Początek zajęć o ósmej rano. Student wstaje na takie zajęcia może i przed siódmą, ale budzi się dopiero koło jedenastej. Wchodzimy z Tomkiem kompletnie zaspani na teren studium przy Żwirki i Wigury. Jesteśmy najwidoczniej nie tylko ostatni, ale i mocno spóźnieni, bo na wielkim piaszczystym placu stoi już w równych rzędach kilkaset osób.

– Co tu się dzieje? – mamroczę półprzytomny do Tomka.

– To jakaś zbiórka, apel.

– Do szeregu! – słyszę nagle z boku nieznany, nerwowy głos, ściszony, ale kąśliwy, jak syknięcie węża. To postać w zielonym mundurze i okrągłej, zbyt dużej czapce na głowie.

Zostajemy ustawieni na końcu zgromadzenia i wsłuchujemy się w dziwne słowa, które wykrzykuje do mikrofonu i przez wielkie głośniki przesyła kolejny człowiek w mundurze stojący na drewnianym podwyższeniu.

– To tyle wymagamy w czasie wojny od mężczyzn! Natomiast od kobiet będziemy oczekiwać jedynie troski dla męskich ciał podziurawionych kulami!

– Gdzie ja jestem? – powtarzam już sam do siebie, zastanawiając się czy się nie przesłyszałem.

Apel kończy się słowami “spocznij” i “rozejść się”. Spostrzegam kilka znajomych twarzy więc przyłączamy się do naszej grupy i po chwili żołnierz w zielonym mundurze każe nam ustawiać się pod niskim barakiem w dwóch rzędach. Siadam na parapecie tego parterowego budynku.

– Co robi! – słyszę wrzask zdenerwowanego jegomościa. – Do szeregu!

Rozglądam się, ale to bezosobowe ‘robi’ najwidoczniej skierowane jest do mnie, bo wszyscy stoją już równo.

– Bacność! – krzyczy jeszcze głośniej.

– Przepraszam, panie.... – tu milknę, bo chcę zrobić na krzyczącym żołnierzu wrażenie wymieniając jego range, ale te wszystkie belki i gwiazdki na jego ramieniu niestety niewiele mi mówią, więc rezygnuję – Przepraszam, ale zaszło chyba jakieś nieporozumienie. – odpowiadam spokojnie.

– Co! – wciąż wrzeszczy – Do szeregu!

– Zaszło nieporozumienie, bo ja jestem studentem, a nie żołnierzem i chyba mnie pan z kimś pomylił.

– Nie pan tylko obywatelu kaprału się student zwraca! Bacność!

– No nie dogadamy się. – mówię jedynie pod nosem i pozostaje w pozycji siedzącej na parapecie.

Ćwiczenia okazują się fascynujące. Każdy kolejny wykładowca zdaje się jeszcze bardziej zakręcony na punkcie swojego przedmiotu, tak, że popołudniu wiem już niemal wszystko o obronności kraju. Na przykład jak układać swoje ciało w trakcie pobliskiego wybuchu jądrowego. Kolejne zajęcia za tydzień są podobne do ostatnich. Nudne wykłady powodują, że połowa studentów przysypia. A na prelekcji pułkownika Bronzerta ktoś wpada na pomysł, by położyć na jego biurku kilka zachodnich pism z ciekawymi zdjęciami nagich pań. To rozwiązuje wszelkie problem i mamy już całkowity spokój.

Przychodzi rocznica wydarzeń marcowych ‘68 roku więc rozkładam na ławkach ulotki zachęcające do udziału w manifestacji NZS. Nagle widzę, że któryś ze studentów, zanim jeszcze wykładowca wchodzi na salę, zbiera te ulotki.

– Co ty robisz? – pytam go.

– Jak to co, jestem dziś dyżurnym i nie mogę na to pozwolić.

– Zostaw to na miejscu. – mówię stanowczo.

- Ale jak wejdzie wykładowca...
- To doniesiesz na mnie, że ja to rozłożyłem, ale zostaw.

Zbliża się koniec studium. Dają nam jakieś ankiety do wypełnienia, a wewnątrz coraz dziwniejsze pytania, na które w ogóle postanawiam nie odpowiadać. Wreszcie czytam: "Czy masz rodzinę za granicą i jeśli tak, to w jakich krajach?", zastanawiam się moment i piszę w tej rubryce: "Nie wasza sprawa".

Pół godziny później pułkownik, szef stadium grozi mi konsekwencjami.

– Nie zaliczy student stadium, to w ogóle studiów nie skończy! Rozumie?

– Jak mnie tu choćby jeden dzień zatrzymacie, to wam taka zadymę polityczną zorganizuję, że to pan się będzie tłumaczył, co tu się dzieje. To, żebym zaliczył, to już wasze zmartwienie, a nie moje. Lepiej żebym zaliczył. I zdaję.

Co za rok. Tak. To już pewne. Wokół Związek Sowiecki, komunistyczna Czechosłowacja i Wschodnie Niemcy podzielone jeszcze z Zachodnimi, a u nas reżim usiadł do rozmów przy okrągłym stole z przedstawicielami nielegalnej dotąd opozycji, która oficjalnie nawet nie istnieje. Nie wiem czy ten stół będzie rzeczywiście okrągły, czy to tylko taka przenośnia, ale dowiem się, bo trafiaam do biura prasowego Lecha Wałęsy, które chwilę później zmienia nazwę na Solidarność.

Hotel Europejski zamienia się na kilka miesięcy w mój drugi dom. Odpowiadam za nagłośnienie i wprowadzanie dziennikarzy na salę podczas wszystkich konferencji prasowych, a te są właściwie codziennie. Czytam prasę, słucham radia publicznego i Wolnej Europy, także angielskiego BBC. To na co czekaliśmy tak długo dzieje się naprawdę. Wielka polityka, rozmowy, jakieś kryzysy. Niewiele z tego rozumiem, ale na szczęście koledzy ogarniają, kłócą się o to czy rozmawiać z komuną, czy atakować. Mijają tygodnie. Jest jasne, że do porozumienia coraz bliżej. Media oficjalne też o tym mówią, choć co chwilę krytykują opozycję za błędy i radykalne zachowania.

Jedziemy do studia Polskiego Radia Trójka na Myśliwiecką. Pierwszy program z udziałem przedstawiciela Niezależnego Zrzeszenia Studentów i to na żywo. Chłopaki z komisji uczelnianej zastanawiają się, czy może powinien po-

jechać Mariusz, albo Piotr, ale wreszcie postanawiają, że wezmę udział w audycji, jako rzecznik Niezależnego Zrzeszenia Studentów UW i będzie to naturalne. Zbyszek reprezentuje samorząd studencki. W korytarzu spotykamy przedstawiciela prorządowego ZSP, ale zamieszanie pomaga nie podawać sobie ręki.

– Panowie – zaczyna pani redaktor Olejnik – najpierw rozmawiamy, potem będzie przerwa i w tym czasie słuchamy jazzu, a później wracamy na antenę i na żywo odpowiadacie na pytania naszych słuchaczy.

– Jasne. – kwituje Zbyszek.

Po chwili zapala się czerwone światło i zaczynamy audycję. Rozmowa ostra, miejscami mocno polemiczna, ale zgadzamy się ze Zbyszkciem, kiedy może się dorwać do głosu, prawie cały czas antenowy pozostawiając mi do dyspozycji. Wreszcie mogę mówić na żywo, bez cenzury na antenie radia o wolności, o naszych aspiracjach do niezależnej od reżimu reprezentacji studentów, o upadku komuny. Tu but pani redaktor Moniki ląduje pod stołem na mojej kostce. A jej mina wskazuje, że spodziewa się zmiany słownictwa. Mija jazzowy fragment audycji i rozpoczynają się pytania od słuchaczy.

– Pierwszy telefon – anonsuje pani redaktor i oddaje dzwoniącemu słuchaczowi głos.

– Do nauki byście się lepiej wzięli, albo do pracy, a nie za politykę – grzmi męski głos. – Na polityce się nie znacie, Na niczym się nie znacie. Nawet nie znacie różnicy pomiędzy polem trójkąta, a polem kwadratu, a za trudniejsze sprawy się bierzecie! – krzyczy wzburzony męski głos.

– Czy mogę Pani redaktor? – proponuję przerywając ten słowotok.

– Tak proszę – wskazuje na mój mikrofon.

– Drogi panie. – zaczynam – Jeśli chodzi o pole trójkąta to przy podstawie “a” i wysokości trójkąta “h” wzór na jego pole, to jedna trzecia “a” razy “h”, czyli iloraz, a w przypadku kwadratu, to po prostu “a” kwadrat gdzie “a” to bok kwadratu.

Milknę na chwilę. Po drugiej stronie też cisza. Słuchacz słucha i już nie krzyczy.

– A jeśli chodzi o pana uwagę o polityce, to zaraz skomentuję.

Wychodzimy ze studia ze Zbyszkciem mocno zadowoleni. Powiedzieliśmy to wszystko, co trzeba było powiedzieć i odbyło się to na żywo bez żadnej manipulacji i cenzury. Dogania nas już poza budynkiem redaktor Monika.

– Rozmawiałam z szefem. – woła. – Wicie kto z was był najlepszy? – pyta wstrzymując się z odpowiedzią dla wywołania niepewności. – Pan! – wskazuje na mnie.

– To się cieszę. – uśmiecham się, bo wierzę, że za kilka miesięcy już nikt nie będzie już musiał takich wywiadów nadzorować i komentować.

Podpisane porozumienie to ponoć sukces. Mają się odbyć częściowo wolne wybory do Sejmu i całkowicie wolne do Senatu. Dobre i to od czasów Drugiej Wojny Światowej. Jedni mówią, że to wspaniale i wyjmemy im władzę z rąk, a inni, że to zdrada i nie wolno dogadywać się z reżimem, tylko trzeba go obalić. Pewne jest to, że zmienia się na lepsze wokół nas prawie wszystko.

Piotr i Andrzej mieszkają na Żoliborzu. Jedziemy z Uniwersytetu autobusem i wysiadamy przy Placu Wilsona. Wchodzimy na podwórko, a ja idę za chłopakami. Dzwonią domofonem i po chwili wchodzimy do jakiegoś mieszkania na parterze. W drzwiach wita nas duży człowiek z papierosem w ręku, ale twarzy nie widzę.

– A zapraszam panowie! – woła zachrypniętym, niskim głosem.

Wchodzimy i nagle rozpoznaję przed sobą Jacka Kuronia. Legenda podziemnej Solidarności. Chłopaki witają się najwyraźniej z dobrym znajomym. Ja też ściskam mu dłoń, i po chwili okazuje się, że przyjechaliśmy rozmawiać o zbliżającej się kampanii wyborczej. Będziemy ją robić właśnie dla niego na Żoliborzu.

Rozsiadamy się dookoła biurka zarzuconego papierami. Wokół pełno książek i dokumentów. Jacek zaciąga się papierosowym dymem, który wypełnia całe pomieszczenie. Gospodarz umieszcza centralnie przed sobą butelkę do połowy już wypitej whisky. Podwija rękawy dżinsowej kurtki i stawia szklanki na ostatnim pustym fragmencie blatu biurka.

– Może odrobinę panowie! – proponuje basowym głosem.

– Nie, nie dzięki.

– No to byłem teraz pierwszy raz za granicą! – huczy. – było wspaniale! Odebrali mnie tam w Sztokholmie na lotnisku i chcą prowadzić do samochodu, ale patrzę, a obok budka z hot-dogami, to mówię zjem sobie wreszcie coś na Zachodzie! Lubię hot-dogi! – opowiada podekscytowany i wymachuje rękoma, oczywiście trzymając papierosa w dłoni – a oni do mnie, Jacek, masz oficjalną kolację za dwie godziny, no nie wypada i tak dalej, a ja im mówię, dajcie spokój, zgłodniałem w samolocie. No i trzy hot-dogi zjadłem! Później mnie zaciągnęli na tę oficjałkę, no wiecie, garnitury, przemówienia, dali mi jakąś nagrodę za walkę o wolność, czy coś takiego, to przyjąłem, ale nuda straszna. No i wychodzimy z tej imprezy i mówią mi, że mam wracać do hotelu. A ja im na to, ale panowie jedziemy teraz w miasto. A oni, no Jacek jest późno. No i co z tego? No nic się tu Jacek już nie dzieje. No jak się nic nie dzieje tutaj! Jakieś życie nocne? A oni, że tu nie ma życia nocnego. A ja im na to, Panowie! Co wy wygadujecie, nawet w Skarżysku-Kamiennej jest życie nocne!

Siedzimy już drugą godzinę, a on ciągle opowiada coraz barwniejsze anegdoty. Energia niewyczerpana. Ręce co chwila pokazują coś w powietrzu z nieodłącznym papierosem w ręku.

– No i lecę do Stanów, dali mi tam odznaczenie od Prezydenta USA, wizę załatwili do paszportu to lecę. I najpierw to ja miałem historię cywilizowanego człowieka w dziczy, a potem odwrotnie, dzikiego człowieka w cywilizacji. Bo jak doleciałem wreszcie do Nowego Jorku, na to wielkie lotnisko to, idę najpierw do odprawy paszportowej. A tam kolejka na kilkaset osób. I co chwilę podchodzą, a to siostry zakonne, to puszczałam przodem, a to matka z dzieckiem, to też przepuszczam i tak ponad godzinę prawie drepczemy, aż do budki strażnika. A ten mi jakieś pytania zadaje po angielsku. Przecież nie znam języka to po co. Aż w końcu pokazuje moją wizę i się uśmiecha, ale ja nic nie rozumiem. A on robi zamieszanie i coś mówi, że to chyba wiza specjalna, rządowa. Ale ja nie rozumiem. Potem się okazało, że to rzeczywiście jakaś specjalna. No i zamieszanie jest, ale mnie przepuszcza. Wychodzę wreszcie i szukam bagażu, a tu nic, nie ma. No to, ponieważ w samolocie przez tyle godzin nie pozwolili mi zapalić papierosa – tu zaciąga się i puszcza po chwili dym z ust z dużym zadowoleniem – to sobie tam na lotnisku wyciągam papieroska i zapalam, a tu taka malutka, czarniutka policjantka przybiega i coś do mnie krzyczy tym swoim piskliwym,

ładnym głosikiem. To ja jej mówię, jak człowiekowi... Kochaneńka, ja nie znam angielskiego, to ja cię w ogóle nie rozumiem, dziecinko i uśmiecham się i chcę ją przytulić, więc się do niej nachylam, a ta jak nie wrzaśnie i po broń sięga. No to ja do niej pokazuję, że to tylko papierosek. Niestety nie pozwoliła. Potem pokazuje mi bagaże, a tam wielka sterta kłopotów zrzuconych z tej taśmy, no mówię wam góra cała walizek, toreb, worków i pudeł. Wybierać ile dusza zapagnie. Dwadzieścia minut mojej walizki szukałem, ale na szczęście znalazłem. Wychodzę wreszcie i mam lecieć teraz z Nowego Jorku do Waszyngtonu. No niby proste, ale ja nigdy nie latałem, więc trochę się gubię, ale jakaś ślicznotka mi pomaga, jak jej bilet pokazałem, i tam nas do samolotu szybko zapakowali. Siedzę przy oknie i myślę, że startujemy zaraz, bo samolot jedzie już z dziesięć minut, i dalej jedzie i jedzie. I w końcu dojeżdża do końca pasa, skręcamy, a on staje obok innego samolotu, za którym jest ogromne wysypisko śmieci i żelastwa. I gasi silniki. Cisza. Myślę sobie, hmmm.... Ameryka bogaty kraj, ale żeby nowiutki samolot na złom wyrzucać, i to jeszcze z żywymi pasażerami. No i stoimy tam z pół godziny. To ja sobie myślę, że jednak ta nasza Polska i Europa cywilizowana. I wreszcie rusza, kołuje i startujemy. A jak lądujemy w Waszyngtonie to się wszystko zmienia. Jacek Kalabiński mnie wita na lotnisku i wsiadamy do takiej ogromnej czarnej limuzyny. Nawet nogi mogłem swobodnie rozprostować i jeszcze miejsce było! A w barku whisky! Poważnie. No i jedziemy do hotelu, a tam pałac. Dają mi ogromny apartament, dwa pokoje, wielka łazienka. I zostawiają samego do następnego dnia, żebym się wyspał, bo niby zmęczony jestem. No to się położyłem, jak stałem w ubraniu, bo faktycznie zmęczony trochę byłem. Ale budzę się nagle, no chyba niedługo, i czuję że strasznie tu jest zimno. Więc sobie z walizki jeszcze jedno dzinsy wyjąłem, bo miałem dwie pary i jeszcze sweter założyłem na siebie. Przykryłem wszystkim co miałem, ale do rana zmarzłem strasznie mimo wszystko. A rano wchodzi Kalabiński i pyta co ja robię w kilku swetrach. No jak to co ja robię. Ratuję własne życie przed zamarznięciem. A on podchodzi do drzwi przekręca jakieś pokrętło i mówi mi, że klimatyzacja była ustawiona w nocy na trzynaście stopni Celsjusza. A skąd ja niby to miałem wiedzieć. No i poczułem się teraz jeszcze bardziej jak mała wypuszczona z buszu do cywilizacji!

Tu nasz gospodarz po raz kolejny śmieje się głośno, wypełniając całe po-

mieszczanie dźwiękiem swojego grubego, zachrypniętego głosu, i oczywiście dymem z kolejnego papierosa. Sięga po następną paczkę, bo ta już się skończyła.

– No i posadzili mnie wieczorem na takiej ogromnej sali. To było straszne, bo siedziałem z jegomościami w smokingach przy stole na dużym podwyższeniu, a wszyscy goście poniżej przy okrągłych stołach i ciągle się na mnie patrzyli. A i tak byłem w swojej najlepszej dżinsowej kurtce. To jak ja miałem jeść w takich warunkach? No nie da rady, panowie! No nie ma jak! – wykrzyknął i zaciągnął się dymem.

Następny cały dzień znosimy wydrukowane już właśnie plakaty. Wyszły wspaniale. Na jednych Lech Wałęsa ściska rękę Jacka Kuronia. Wszyscy kandydaci Solidarności takie mają, i rzeczywiście ten plakat robi wrażenie. Drugi jest już samodzielny. Piotr przyjeżdża swoim samochodem koło jedenastej przed południem i zaczynamy je rozklejać. Pierwszy raz w życiu mieszam mąkę z wodą. Z tego powstaje fantastyczny klej i po nasączeniu nim tylnej strony plakatu wystarczy przykleić go do ściany, płotu lub szyby przystanku autobusowego. Trzyma bardzo mocno. Kleimy bez przerwy do północy, a chłopaki przywożą nowe paczki plakatów z drukarni. Następnego dnia zgłasza się do pomocy kilka nowych osób, a po dwóch dniach możemy zająć się innymi sprawami, a cały Żoliborz i pół Śródmieścia są zaklejone plakatami kandydata Solidarności. Wybory w iście Zachodnim stylu. Tymczasem przywożę z domu własny wzmacniacz i ogromne kolumny Altus, moja duma i źródło nieopisanej przyjemności słuchania od kilku lat muzyki z najwyższą możliwą jakością przekraczającą znacznie częstotliwość, jaką słyszą ludzkie uszy. Jeździmy z tym sprzętem i mikrofonami wszędzie tam, gdzie organizowano spotkania z kandydatami, aż pewnego dnia, akurat w sali spotkań przy kościele na Żoliborzu sprzęt odmawia posłuszeństwa. Nagle mikrofon milknie. Ludzie zaczynają syczeć z niezadowolenia i narzekać coraz głośniejsze. Przekładam nerwowo kable i sprawdzam połączenia i bezpieczniki, a Jacek patrzy spokojnie i mówi swoim donośnym głosem.

– No widzicie państwo! Jak wszystko działa, to nie doceniamy tego człowieka, który za to odpowiada, nawet nie wiemy, że istnieje, a jak się zepsuje do dopiero wtedy go dostrzegamy.

W tym momencie sprzęt znów się włącza, nie wiem do końca czemu.

– No widzicie! – woła już przez mikrofon kandydat. – podziękujmy brawami! I wszyscy klaszczą odwracając się z uśmiechem w moją stronę.

Kilka dni do wyborów. Mam pójść na ostatnią konferencję prasową Jerzego Urbana, ostatniego rzecznika reżimu komunistycznego, który wsławił się w stanie wojennym stwierdzeniem, gdy w sklepach brakowało wszystkiego dla zwykłych ludzi, że “rząd się sam wyżywi”. Usiadłem w pierwszym rządzie z plakietką “Biuro prasowe Solidarności”. Podchodzi do mnie jakiś młody człowiek i przedstawia się jako, asystent rzecznika rządu. Chwilę rozmawiamy.

– No to jakie wyniki? – pyta mnie z uśmiechem.

– Jak to? – odpowiadam. – Wygramy sto procent!

– Żarty... – kpi.

– No to możemy się założyć. O skrzynkę dobrego wina.

Nie wiem skąd miałbym taka wziąć, ale zakładam się, bo jestem pewien wyników.

Noc wyborcza to przypływ tak nieprawdopodobnego entuzjazmu, że aż nie można uwierzyć. Solidarność triumfuje. Komuna przegrywa to wszystko, co tylko w częściowo wolnych wyborach można było przegrać. Organizujemy konferencję, na której część mówców jest nawet najwidoczniej przestraszona skalą zwycięstwa. Ale stało się, spełniło marzenie i teraz już nic nie zatrzyma zmian. Jeszcze nie wiadomo jak to będzie, bo w kraju stacjonują sowieckie wojska, a od Zachodu oddzielają nas wciąż Wschodnie Niemcy i stojący w Berlinie mur. Ale mur pada i wolność po raz pierwszy od tak dawna zagłada powoli do naszych domów, mediów, tworzących się biznesów i wychodzi powoli na ulice.

W marinie cisza. Czas spać. Obchodzę pokład dziś po raz ostatni. Cumy i szpringi trzymają dobrze, choć i tak wiatru nie będzie do jutra. Chowam naczynia do środka, bo jutro zaświeci słońce, które towarzyszy mi na szczęście, wreszcie od dwóch tygodni. Zacznie grzać bardzo mocno od rana, a pewnie nie wstanę zbyt wcześnie. W środku jacht wita mnie ciepłym mahoniowym wnętrzem i jakby cieszy się na mój widok. Mnie też jest miło tu wreszcie zaj-

rzeć. Wszystko co na świecie ważne, co wróciło w moich wspomnieniach tego wieczoru zaciera się tu i ginie. Jacht jednego dnia jest w przytulnym porcie, aby kilka godzin później walczyć o przetrwanie. Ale teraz stoi przycumowany bezpiecznie w jednej z najpiękniejszych przystani. Sprawdzam zawory, gaz i gaszę kolejno światła. Zostajemy sami. Ja i ona, łódka, która ze mną wędruje. Trochę wbrew jej woli, ale wiernie podąża za mną i moimi marzeniami. Jeśli czasem się opiera, to przypominam jej i mówię to głośno, gdy zostajemy sami, intymnie we dwoje, że to ja jestem tu kapitanem, admirałem, al admiral, czyli panem, księciem mórz i oceanów. I wtedy się słucha, poddaje, oddaje i płynie tam gdzie chcemy, czasem na przekór pogodzie i żywiołom, bo to dzielna łódź z dzielną duszą i dobrą energią na pokładzie.

Mijają tygodnie żeglugi w ekstremalnie różnych warunkach. Zmieniają się porty, kraje i morza. Przylądek za przylądkiem. Doganiamy latarnie morskie świecące w nocy silnym światłem nadziei. Gdy nadchodzi świt, pojedyncze światła okazują się stać na stromych, skalistych urwiskach, albo pośród piaszczystych plaż. Sztormów północy już nie będzie, ale co kilka dni mamy żeglowanie w dość ciężkich warunkach. Silny wiatr i fala dobijająca do brzegu eksploduje jedna za drugą, a my próbujemy zmieścić się do kolejnej bezpiecznej mariny. Wreszcie osiągając pewnego dnia kolejny cel, nigdy nie kończącej się podróży.

(...)

– Jak skończyłem studia wyjechałem dosłownie tego samego dnia do Wielkiej Brytanii na stypendium rządu brytyjskiego. Pojechaliśmy w ponad dwadzieścia osób na szkolenie z zakresu dziennikarstwa, mediów i komunikacji. Bo coś tam wcześniej robiłem w Polsce w tej dziedzinie. Zakwaterowali nas na początek w dobrym hotelu. Dostawaliśmy kilka tysięcy funtów szterlingów miesięcznie i mieliśmy cały czas spotkania z niesamowitymi ludźmi.

Podniosłem szklankę z grubego pięknego szkła do góry.

– To za zdrowie królowej! Już wiesz czemu dżin z tonikiem. Napijesz się czegoś?

– Ojej, dziękuję Andy, no ja jestem w pracy i nie mogę, bo za chwilę pojawią się tu goście, ale opowiadaj proszę, bo to bardzo ciekawe. Mam czas do rana.

– Pewnego dnia pojechaliśmy na przyjęcie do zamku jakiegoś Sir Obrey’a z Walii. Wszyscy ubrani formalne, ciemne garnitury, a dziewczyny w długich sukniach. Wjeżdżamy przez ogromny park na owalny podjazd przed potężny pałac, a właściwie zamek. Wchodzimy po ciemno szarych, kamiennych schodach, szerokich na kilkadziesiąt metrów, a tu na samej górze przed drzwiami czeka na nas miły, siwy jegomość z zaróżowioną twarzą, okazuje się, że to sam gospodarz. Ale bez marynarki i w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, trzymając w jednym ręku butelkę wina Sherry, a w drugiej dłoni kilka kieliszków i woła do nas. – Zapraszam kochani, zapraszam. Proszę napijcie się ze mną! – i zaczyna sam napełniać nam kieliszki. Na szczęście dla gospodarza, który najwyraźniej zaczął pić już wcześniej, wybiega za nim służba i już po chwili wchodzimy przez ogromne podwójne drzwi do wielkiego hallu ze schodami prowadzącymi na górę. Ale kierujemy się w lewo, gdzie zaczynają się sale recepcyjne i czekają na nas kelnerzy z Sherry. Cudowna, niezwykle wysoka sala balowa ze zwisającymi trzema ogromnymi żyrandolami z kryształu, grube arabskie dywany, mnóstwo starych mebli, a po lewej wielki obraz olejny. Przystaję zdumiony. Właśnie teraz czytam książkę “Siedem wieków malarstwa europejskiego”, gruba na niemal pięćset stron i tylko kilkanaście zdjęć i rysunków, w tym, to niewiarygodne, właśnie ten obraz, wiszący tu na ścianie. Na ponurej skale siedzący dziki, drapieżny ptak, atmosfera tajemnicza, groźna, ale przestrzeń obrazu jest niezemska, magiczna. Patrząc zafascynowany, a nasz gospodarz dostrzega to najwidoczniej, bo bierze mnie pod łokieć i pyta.

– Lubisz obrazy?

– Tak uwielbiam.

– To choć pokażę Ci coś interesującego.

Wracamy do hallu wejściowego do pałacu, a on wskazuje na mały niepozorny sztych wiszący w bogato zdobionej złotej ramie na ścianie z miejscowego piaskowca. Rycina przedstawia potężny szkocki zamek na wzgórzu. W dole

rozszałałe morze próbuje swoimi falami wspiąć się po skałach, ale zamek jest dla nich zbyt wysoko i dumnie spogląda w dół panując nad całą okolicą.

– To dom moich rodziców. – puentuje od niechcenia. A ja uśmiecham się, bo tak właśnie wygląda i żyje stara Europa.

Po wspańiałym miesiącu razem, rozjeżdżamy się po całym Królestwie. Tyrafiem na kilka miesięcy do Szkocji i do radia BBC.

Czas jednak wracać do kraju. Pierwszy rok naszej wolności. Przyjeżdżam, a wszystko zmienia się w oczach codziennie, a co miesiąc zachodzą zmiany, które w innych krajach wywołałyby już dawno rewolucję. Zmieniają się ciągle ceny, dużo się buduje, a media pełne są dziwnych partii i ludzi. Wszystko się kłębi, jeszcze nie rośnie, ale czuć zmianę, zmianę na lepsze.

– Wróciłeś do Polski? – pyta Carmen.

– O tak, przepraszam, powinienem to dodać. Polska i pół Europy zmieniło się nie do poznania. Wracam mając sporo funtów po półrocznym pobycie na Wyspach. Rozglądam się szybko i stwierdzam, że nie chcę pracować dla nikogo i w żadnych mediach. Zawsze lubiłem wyzwania i wolność. Postanawiam więc rozpocząć swój biznes i wreszcie zarabiać pieniądze samodzielnie. Nie mam pojęcia od czego by tu zacząć, więc pewnego dnia znajduję w pięknej starej kamienicy przy Lwowskiej trzy duże pomieszczenia. Są strasznie zaniedbane, ale widać pod odpryskującą olejną farbą piękne naścienne malowidła i kafle. Wynajmuję więc ten lokal i zaczynam odnawiać jak oszalały. Z pomocą jednego tylko kolegi czyścimy wszystkie ściany i sufit, by zobaczyć oryginalne wnętrza i dopiero wtedy wynajmujemy ekipę do tynkowania i malowania. Po kilku tygodniach lokal jest już jasny, pachnący i gotowy. Tylko, że nie bardzo wiadomo co w nim robić. Nie mam pojęcia, ani o biznesie ani o zarabianiu. Jestem bezużytecznym humanistą w młodym kapitalistycznym kraju, a pieniądze z wyjazdu szybko kończą się wraz z końcem remontu.

Noszę wtedy doskonale uszyte w Anglii garnitury na miarę. Pewnego dnia wyruszam na obrzeża miasta, bo przeczytałem o jakiejś hurtowni sprzętu elektronicznego. Podjeżdżam na miejsce, gdzie okazuje się, że w kilku odrapanych budynkach rzeczywiście mieści się hurtownia sprzętu sprowadzanego z Azji. Tłum mężczyzn przed wejściem, z których co drugi trzyma w ręku grubą rulon

banknotów ściśnięty gumką. W pierwszej chwili chcę wracać, ale postanawiam jednak poczekać na swoją kolej, by dostać się do środka. Po pół godzinie docieram pod biuro szefa tego biznesu. Siadam przed nim na podrapanym krześle, a on patrzy na mnie zaskoczony, jakbym nie pasował do tego miejsca. Przedstawiam się, ale nie mam nawet wizytówki.

– Ale my nic nie dajemy na kredyt. – informuje mnie krótko, gdy próbuję wyjaśnić, że mam sklep, ale bez pieniędzy na zakupy. – Ja tu mam, proszę pana kolejkę chętnych po cały mój towar z gotówką w ręku. Wchodzą, płacą i kupują.

Przekonuję go jednak. Nie wiem co powoduje zmianę, ale po kilku minutach rozmowy szef biznesu godzi się, że pierwszą partię sprzętu dostaniemy wyjątkowo bez opłat. Zapłacimy po sprzedaniu towaru. Genialnie. Wracam zachwycony i już następnego dnia nad naszym wejściem pojawia się piękny, oświetlony szyld, a wewnątrz przeszklone gabloty i dwaj sprzedawcy. Mamy czym handlować. Elektroniczne kalkulatory, organizery z kalendarzem i potężną pamięcią wielu kilobajtów. Monitor do komputera, prawdopodobnie zresztą jednego z pierwszych w Polsce i kilkadziesiąt innych przedmiotów. W głębi biuro z pięknymi czarnymi meblami własnego projektu, miękka dywanowa wykładzina, a w tle spokojna muzyka. Czego więcej trzeba.

Miesiąc później katastrofa. Nie sprzedajemy niczego. Wystarczyłoby sprzedać jeden organizator SF-9000 tygodniowo, żebym mógł opłacić pracowników, czynsz i wyjść na swoje, a sprzedając drugi mógłbym się bawić w mieście i to nie sam przez kilka dni. A tu zero. Nic nie rozumiem. Sam ustalałem ceny. Ten sam towar jest obok u konkurencji niemal dwa razy droższy, my dodaliśmy tylko pięć procent marży, towar proponujemy najtaniej w całym mieście, więc o co chodzi. U nich kupują, a u nas nie. Wyszkoliłem wcześniej sprzedawców, by mówili dzień dobry każdemu wchodzącemu klientowi. Miło się uśmiechają, choć nie za bardzo rozumieją po co. Proszę więc teraz sprzedawców, by po prostu zapytali klientów czemu u nas nie chcą nic kupić. I następnego dnia mam już odpowiedź.

– No wie szef, już wiem.

– No dlaczego? – naciskam patrząc jak na wyrocznię.

– No bo ceny...

- Co ceny? Jeszcze za drogo! Przecież obok jest dwa razy tyle!
- No właśnie.
- Co właśnie. – nadal nie rozumiem.
- No trzeba te ceny podnieść.
- Ale czemu!?
- Bo u nas za tanio! Myślą, że jak to samo sprzedajemy co obok, dwa razy taniej, to albo kradzione, albo popsute.

Zatyka mnie kompletnie. Dopytuję jeszcze tylko czy próbowali przekonywać klientów, że to dobry towar, ale okazuje się, że argumenty nie docierają. No dobrze. Chciałem mieć wolny rynek to mam.

– Od jutra podwyższamy ceny! – zarządzam. – Od razu podwyżkę o pięćdziesiąt procent a potem, gdyby się nie sprzedawało codziennie o kolejne dziesięć. Szaleństwo.

Nie przychodzę do sklepu przez kilka dni, bo boję się, że jak przyjdę i nadal nic nie sprzedamy, to będzie koniec. Z hurtowni dzwonią przecież od tygodnia i pytają o pieniądze. Tak się kończy mój flirt z biznesem i trzeba, jak wcześniej planowałem zarabiać głową. Co mnie podkuśiło, żeby pchać się w coś takiego, ale zobaczymy.

Po paru dniach wchodzę wreszcie do sklepu. Jest jedenasta. Aż boję się zapytać. Co gorsza sprzedawca ma twarz niezadowoloną minę, więc dobrze nie jest.

- No i...? – cicho pytam.
 - No problem szefie!
 - No...
 - Nie mamy już ani jednego organizera SF-9000, a te tańsze też już się kończą...
 - Sprzedaliśmy czy ukradli?
 - Sprzedaliśmy szefie! No tu jest kasa – wskazuje na biurko – to niech szef przeliczy i zabierze, bo my się już boimy tyle tego trzymać.
- Zaglądam do szuflady, z której wysypuje się mnóstwo banknotów. Siadam przy biurku i liczę. To dużo pieniędzy. Bardzo dużo.
- No brawo! Wołam w szufladzie jest...
 - A nie szefie, niech szef sprawdzi wszystkie cztery, bo jeszcze ludzie zosta-

wili nam kasę na zamówienia i trzeba będzie jutro po towar jechać.

Następnego dnia jestem już od rana. Pół godziny po mnie wchodzi jego-
mość w dziwnej czerwonej kurtce puchowej i wielkiej zimowej czapce. Mówi
po polsku, ale z wyraźnym wschodnim akcentem.

– No ja prijechał bo chciałem pakować u was tej esefij dziewięć tysięcy.

– Bardzo proszę mamy dwa modele.

– Ale ja prijechał wszystkie wezmę, bo ja sto potrzebuję.

– Ile?

– No sto tak na początek.

– Proszę niech pan usiądzie.

A on siada i na biurku przede mną kładzie walizkę. Otwiera ją i wyciąga
pieniądze w banderolach z jakiegoś banku, po czym rozrywa je i wszystko prze-
suwa w moją stronę.

– A taką maszynę do liczenia u was jest?

– No jest, bo akurat sprzedajemy maszyny do liczenia pieniędzy... – wy-
kształcam.

– To niech liczy i ja kupuję.

– No ale... – zamilkłem, bo już chciałem powiedzieć, że wszystkiego mamy
sześć sztuk. – no ale na jutro towar może być?

– No jak nie może, to ja w jakimś to sypialnyj pajdu i jutro wracam k wam.

– A pieniądze? – pytam zszokowany.

– No jak? Ja z pieniędzmi chodzić po mieście nie buduję. To wam zostawiam
i jutro po towar przyjeżdżę. Dobrze?

– No... dobrze... a cena ta detaliczna to...

– No bardzo dobra, i ja kupuję sto tak.

Jeszcze tego samego dnia jadę do hurtowni, ale mają tylko czterdzieści na
stanie, które kupuję za gotówkę, więc potem jeżdżymy do wieczora po wszyst-
kich sklepach w Warszawie i kupujemy ze zniżką. Udało się i rano na stole leży
sto jeden sztuk.

– A to tak podarunek dla pana! – dodaję podając mu zapakowany w piękny
papier dodatkowy organizator.

– A szto eta wódka?

– No nie! – zaczynam się śmiać.

– A to dziękuję wam i do zobaczenia.

Może na szczęście już nigdy się nie pojawił, ale zostawił w sklepie fortunę.

Po kilku dniach pewnego popołudnia wchodzi do sklepu brunet, niski, szczupły mężczyzna w świetnie skrojonym beżowym płaszczu i brązowych, lśniących dobrze wypolerowanych pastą butach. Rozgląda się po ładnym sklepie, w którym tylko w kilku gablotach leży towar, a reszta to pusta przestrzeń.

– Czy państwo zajmujecie się... – pyta z włoskim akcentem – wystrojami wnętrz? I zanim zaprzeczam dodaje – bo szukamy od miesiąca w Warszawie wykonawcy dla rezydencji ambasadora i nikt nam nie chce pomóc. – kończy.

– Pomóc? Odpowiadam. Nie potrzebujecie państwo pomocy tylko fachowca! Bardzo proszę uprzejmie niech pan usiądzie. Może kawy?

Prace trwają w najlepsze. Mój kolega w ciągu doby przywozi z gór trzech chłopaków, którzy niemal nie śpią zacierając ściany w idealną sztablaturę. Klient jest w szoku. Ja co prawda też, bo nie mam pojęcia, gdzie się tego ci górale nauczyli, ale kolega tylko się uśmiecha i mówi.

– Białe dom tynkowali to się nauczyli.

Po tygodniu prace są skończone. Wystawiamy rachunek i dwa dni później przelew jest na naszym koncie. No to mamy dział w firmie zajmujący się także wystrojami wnętrz. Czas, by jakąś nazwę wymyślić. Siadam przy biurku i od razu wstaję.

– Od dziś nasza firma będzie się nazywała “Plus”

– Jak? – pyta kolega.

– Po prostu “Plus”

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Sprzedaż, a więc i firma rośnie w takim tempie, że nie nadążamy z towarem. W części pomieszczeń zaczynamy coś dziwnego, co się nazywa składaniem komputerów. To blisko Politechniki więc zatrudniamy grupę studentów, którzy przychodzą zaraz po zajęciach i ślęczą do nocy nad jakimiś częściami. Nie znam się na tym, ale dzięki ich obecności nasza firma ma całą księgowość i magazyn prowadzoną

w komputerze równoległe z metodą papierową. Wprowadzam system prowizji od sprzedanego sprzętu.

W dniu Wigilii wyganim wszystkich do domu w południe, robiąc miłą niespodziankę pracownikom.

– Ale szefie zostaniemy! – protestują sprzedawcy – to dobry dzień, bo ludzie szukają prezentów na ostatnią chwilę. Jednak wyganim ich niemal na siłę.

Koło czternastej uspokajają się. Gaszę światła i zamykam kolejno najpierw drewniane, a potem stalowe drzwi, by przez Święta towar był bezpieczny. Jeszcze ostatnie drzwi na zewnątrz kamienicy i stoję na chodniku, gdy dobiega do mnie jakiś mężczyzna lekko zdyszany.

– Co już zamknęli? – pyta biorąc mnie za klienta.

– A pan tu do sklepu?

– No tak, ale się spóźniłem.

– No nie spóźnił się pan. – uśmiecham się wyciągając z kieszeni klucz do drzwi, wkładając go do zamka.

– O to pan tu... No, ale niech pan sobie kłopotu nie robi, bo ja tylko chciałem obejrzeć, a i tak nic dziś nie kupię! – oponuje.

– Proszę pana, jeśli panu chciało się przyjść do mojego sklepu, to ja go panu otworzę, choćby tylko po to, by pan sobie tylko pooglądał. Nic pan nie musi kupować. Zapraszam.

Mężczyzna wchodzi za mną do sklepu i przez chwilę uważnie mi się przygląda. Zapalam światła i podaję mu cennik. Ogląda uważnie a potem mówi:

– Wie pan, macie znakomity sprzęt i najniższe ceny w mieście, a ja jestem dyrektorem administracyjnym Politechniki Warszawskiej. Został nam jeszcze budżet na ten rok i jak go nie wydamy, to w przyszłym dostaniemy o tyle mniej...

– Tak?

– A kiedy pan otwiera po Świętach? – pyta.

– A kiedy pan potrzebuje? – odpowiadam.

Trzy tygodnie później kupuję pierwszy w życiu własny samochód osobowy Volvo, a chwilę później mieszkanie w Warszawie. No i kto się nie zna na biznesie. Ja się nie znam? Że niby humanista ze mnie bezużyteczny? Co za nonsens.

Barmanka śmieje się razem ze mną i zabiera mi pustą szklankę po dzinie. Tak się zagadałem, że nie zauważyłem, jak dookoła pojawili się nowi klienci, a ona z niezwykłą gracją słuchała mnie cały czas obsługując innych.

– Następny dzin? – pyta uśmiechnięta.

– Nie, dziękuję, to mi było potrzebne po tych sztormowych warunkach, a teraz przejdziemy na lokalne wino.

– Białe czy czerwone.

– Na początek białe i zjem coś.

– Czerwone krewetki. – stwierdza bez cienia wątpliwości.

– Doskonale.

– Mam najlepsze na świecie krewetki, nie żartuję – dodaje pewna tego co mówi. – rybacy łowią je codziennie na otwartym morzu, to nie z żadnej hodowli. I podajemy je na ciepłym kamieniu i z odrobiną doskonałej lokalnej soli morskiej w płatkach. Do tego może być wino Sauvignon Blanc.

Ślina cieknie mi od razu więc nie mam już nic do powiedzenia. Przynajmniej w tej kwestii.

– Opowiadaj proszę, ja słucham, naprawdę słucham! – dodaje – tylko będę tu sobie biegła za barem, ale bardzo chcę wiedzieć co będzie dalej.

– A masz butelkę wódki Belvedere? – pytam.

– Oczywiście. A chcesz się napić?

– Nie, ale postaw ją proszę przede mną i przyjrzyj się temu pięknemu budynkowi na butelce. – kończę uśmiechając się.

Zmiany są szalone. Inflacja wynosi kilkaset procent i czasem jak nie kupisz czegoś w poniedziałek to w piątek zapłacisz dwa razy więcej. Ale na pewno na chodnikach w centrum pojawia się więcej... bananów sprzedawanych prawie wszędzie. To oznaka wolnego rynku.

Śledzimy wszyscy wybory prezydenckie w Polsce, bo o mały włos nie wygrał ich jakiś Stan Tymiński, który przyjechał z Kanady lub Peru, a do końca nie wiadomo skąd. Ale Lech Wałęsa zwycięża i zostaje prezydentem.

Kilka dni po tym wydarzeniu wbiegam do domu do rodziców, aby zjeść z nimi szybki rodzinny obiad i porozmawiać.

– Ojej dobrze, że jesteś! – wita mnie podekscytowanym głosem mama.

- No cześć!
- Słuchaj, dzwonili od jakiegoś ministra Drzycimskiego z Belwederu kilka razy i cię szukają.
- Kto mnie szuka?
- No ten minister.
- Skąd?
- Z Belwederu.
- Jakiego Belwederu? Pałacu?
- No tak... – mówi mama, ale sama nie jest pewna chyba co mówi.
- Nie pomyliło ci się, to przecież siedziba prezydenta.
- No naprawdę dzwonili i prosili, żebyś natychmiast przyjechał.
- Dokąd?
- Do Belwederu.

Brzmiało to niewiarygodnie, ale mama nigdy nie robiła mi żadnych żartów tego typu i brzmiała wiarygodnie.

Macham na ulicy próbując zatrzymać taksówkę i wreszcie po kilku minutach jeden z samochodów zatrzymał się koło mnie. Wsiadam i podaję adres.

- Do Belwederu poproszę.
- Gdzie?
- Do Belwederu. – powtarzam sam dziwnie się czując podając taką nazwę.
- Do Pałacu? – dopytuje zaskoczony kierowca i przygląda mi się w lusterku uważnie.
- Tak Pałacu. – potwierdzam.

Staję przed bramą. Dziwne uczucie, bo ta odgradza mnie od placu i pałacu, w którym nigdy w życiu nie byłem. Nie znam też nikogo, kto by tam był. Na pięknym klasycznym, białym budynku powiewa ogromna biała czerwona flaga z orłem. Żołnierz przygląda mi się uważnie, więc podnoszę rękę na znak, że chcę porozmawiać. Podchodzi powoli, bo zapewne co jakiś czas ma do czynienia z turystami.

- Słucham! – pyta groźnie.
 - Ja do ministra Drzycimskiego. – podaję nieznane mi nazwisko.
 - Tak jest! – prostuje się żołnierz. – proszę tu poczekać sprawdzę.
- Odchodzi i dzwoni, a po chwili szybkim krokiem wraca do mnie i otwiera

bramę, przejąc się i salutując. Prowadzi mnie do lewego skrzydła stukając butami o kamienne płyty na dziedzińcu. Wchodzimy po schodkach i pierwszy raz jestem wewnątrz tego tajemniczego miejsca. Wąski korytarz, znów kilka schodków i jestem w jakimś klasycznym pomieszczeniu. Meble ładne, ale współczesne, roczniki pisma "Przekrój" oprawione w płótno, a na końcu podnosi się z fotela lekko siwiejący pan w średnim wieku, w okularach i z pogodną, przyjazną twarzą.

– Panie Ministrze – doprowadziłem gościa! – melduje żołnierz.

– Przyprowadziłem – śmieje się mój gospodarz poprawiając strażnika i wyciąga do mnie dłoń. – Andrzej Drzycimski – przedstawia się i siadamy wygodnie, obok jego biurka. – Jestem rzecznikiem prasowym prezydenta RP Lecha Wałęsy. Trochę pan pewnie zaskoczony, ale chwilę pana szukaliśmy.

– Tak panie ministrze, – przyznaję – takie zaproszenie nie zdarza się codzienne – uśmiecham się.

– No to do rzeczy. – Mówi spokojnym, ciepłym głosem. – Słyszałem o panu od kilku osób, że zna się pan na mediach i dziennikarstwie i jest pan pistolet, dla którego każda rzecz jest możliwa, więc proponuję panu pracę, etat w biurze prasowym prezydenta. W Belwederze. Rozgląda się dookoła jakby przedstawiając również budynek. – Wie pan, szczerze powiem, że ja jestem z wykształcenia historykiem i do końca się na tym nie znam, więc zależy mi, żeby pan do nas dołączył, bo minęło zaledwie kilka dni od wyboru a pracy jest tu mnóstwo. Nic tu nie działa, zostawili nam tylko roczniki "Przekroju" a poza tym nic, wszystkie dokument zniszczone albo wywiezione. Proponuję, żeby zbudował pan ze mną i kilkuosobowym zespołem wspaniałych ludzi biuro prasowe prezydenta, od początku. Co pan na to? – kończy patrząc mi prosto w oczy i uśmiechając się.

– Panie ministrze, – zaczynam nabierając powietrza i osuwając się z tym co przed chwilą usłyszałem, – ja rzeczywiście trochę zajmowałem się mediami, a nawet bardziej biurami prasowymi i budowałem lub pracowałem w kilku. Teraz mam własną firmę. No nie myślałem o czymś takim. Wspaniale, że tu jestem. To niesamowita propozycja.

– A więc. – dopytuje minister.

– Ja mam, panie ministrze – mówię i sam się słucham z zaciekawieniem –

taką zasadę, że na każdą poważną propozycję odpowiadam po tygodniu zastanowienia. – kończę zdanie i sam nie rozumiem skąd mi to przyszło do głowy i czemu akurat teraz to wymyśliłem.

– Rozumiem. Wie pan warunki finansowe są jakie są, bo wynikają z ustawy więc to będzie tyle. – pokazuje na tabelę.

– Moja sekretarka – myślę – zarabia teraz u mnie prawie dwa razy więcej, ale nie o to chodzi.

– Chyba już znam odpowiedź, ale chciałbym się z tym oswoić.

– To jesteśmy umówieni i proszę o kontakt jak się pan zdecyduje.

Idę do firmy pieszo, bo to niedaleko. Już wiem co zrobię, więc gdy dochodzę do biura siadam przy biurku i uśmieciam się. Akurat jest mój kolega, który krząta się przy nowej dostawie towaru.

– Usiądź proszę.

– Mistrzu za chwilę woła! Już kończę przyjmowanie nowego towaru, bo wczoraj znów był niesamowity dzień.

– Chodź, chodź, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Zastyga i widać, że jest lekko przestraszony. Podchodzi powoli jakby spodziewając się najgorszego. Siada na krześle, ale tak jakby miał za chwilę wstać i wyjść.

– Co się stało? – pyta i patrzy na mnie niecierpliwie.

– Nic się nie stało. Sprzedaję ci wszystkie swoje udziały w spółce i zostajesz stuprocentowym jej właścicielem.

– Co?

– To! Jesteś właścicielem firmy.

– Bankrutujesz? Wpadłeś w długi?

– Przeciwnie, jak wiesz idzie nam niesamowicie i za kilka lat będziesz rządził imperium.

– Ale dlaczego? – niemal wykrzykuje.

– Zaczynam w przyszłym tygodniu pracę w Belwederze dla prezydenta.

– Uaaa – uśmiecha się Carmen i stawia przede mną duży kieliszek z ciekiego, delikatnego szkła wypełniony tylko na dnie niewielką ilością białego wy-

trawnego wina – czyli zgodziłeś się i zacząłeś pracę u prezydenta, niesamowite. Ja to nazwisko słyszałam.

– Tak, zgodziłem się i przez następne lata trochę codziennie przeżyłem... – odpowiadam z uśmiechem. Trochę znanych ludzi, których widziałem wcześniej tylko w telewizji też poznałem.

– A na przykład? – dopytuje zaciekawiona – kogo?

– Prezydentów Busha i Clintona, Papieża Jana Pawła II, Króla Juana Carlosa, Prezydenta Rosji Jelcyna, Havla, Della i wielu słynnych niesamowitych ludzi.

– Żartujesz? To opowiedz chociaż jakąś jedną historię. Ale się cieszę, że cię poznałam.

– Ja też. – uśmiecham się, że po tylu tygodniach dopadłem wreszcie ofiarę, z którą mogę rozmawiać, a raczej mogę jej opowiadać i mówić.

– Hmmmm. To szalone czasy, bo pracujemy właściwie non stop. Czasem przyjeżdżam do Belwederu przed siódmą rano, a wychodzę po północy. Błędym świtem robimy dla prezydenta przegląd prasy. Mam wielkie szczęście, bo w czasie tego pobytu w Anglii mieliśmy wizytę i nawet trening na 10 Downing Street w siedzibie brytyjskiego premiera. No wiesz te słynne czarne drzwi.

– Tak widziałam w telewizji! – woła Carmen podając klientom obok cztery kufle piwa z pianką.

– Więc wiemy od razu co i jak robić. Prezydent jeszcze przed śniadaniem, a zawsze mieliśmy jakiegoś ważnego gościa, wie już dzięki przeglądowi co napisała prasa i co się działo. Któregoś razu jestem już tak zmęczony w nocy, bo wracam koło pierwszej, że mimo migającej lampki rezerwy paliwa nie mam po prostu siły podjechać na stację paliw. No i wstaję rano, po kilku godzinach snu i kompletnie o tym zapominam. Dojeżdżam do pierwszego dużego skrzyżowania, ruszam a tu samochód dusi się i staje. Próbuję i nic, stacyjka kręci, ale silnik się nie włącza. Paliwo! Nie mam nic! Opary! Wyskakuję z samochodu i próbuję go zepchnąć, ale zadanie jest beznadziejne bo to ciężkie Volvo. Rozglądam się, ale nikogo do pomocy, a inni kierowcy nerwowo mnie omijają i trąbią. Patrzę na zegarek, bardzo późno, a za chwilę mam witać premiera rządu Tadeusza Mazowieckiego, który przychodzi dziś na śniadanie. Na szczę-

ście jedzie wolna taksówka. Porzucam samochód na skrzyżowaniu i dosłownie wskakuję do samochodu, gdy tylko się zatrzymuje.

– Niech pan rusza! – krzyczę niemal na niego w pośpiechu.

– Ale dokąd? – pyta spokojnie kierowca.

– Do Belwederu!

– Jaka ulica? – pyta wciąż taksówkarz, ale nie rusza.

– Belwederska! Niech pan rusza.

– To do pałacu pan jedzie. – dopytuje i patrzy na mnie zdziwiony.

– Tak, ale ruszajmy już proszę.

Rusza, jedzie, ale po kilkudziesięciu, kilkuset metrach nasza prędkość nie przekracza trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę.

– Możemy szybciej? – proszę go.

– I tak przed Zachodnim zaraz korek będzie.

– Ale próbujmy.

Po chwili stajemy w ogromnym korku przed długim tunelem. Masakra. Koniec.

– Niech pan jedzie po chodniku. – ordynuję.

– Gdzie? – odwraca się zaskoczony.

– Po chodniku, jest pusty! – na moją odpowiedzialność, jak pana policja zatrzyma to ja płacę i wszystko tłumaczę.

Staje się cud. Żółtim tempem, ale jednak jedziemy. Do Belwederu podjeżdżamy za minutę ósma. Kładę pospiesznie pieniądze za kurs na przednim siedzeniu i dosłownie sprintem wbiegam przez boczną bramę, gdzie zazwyczaj parkuję auto. Widzę, że po placu maszeruje już premier Mazowiecki. Wpadam z hukiem do biura prasowego. Koledzy patrzą na mnie zdziwieni.

– Cześć! – wołam i przebiegam, mijając ich tylko potrącając jakieś dokumenty, które spadają z biurka.

Skaczę od razu na górę pomijając wszystkie schodki i pędzę korytarzem pałacu do wejścia głównego. Przez okna widzę, że premier wchodzi już pod pałacowe kolumny przy wejściu głównym. Szarpie za klamkę wysokich, ciężkich drewnianych drzwi, które uchylają się w chwili, gdy premier podnosił właśnie rękę, by je samemu otworzyć.

– Dzień dobry panie premierze! – mówię spokojnie i nienaturalnie powoli, wstrzymując wewnątrz zwierzęce sapanie i czując jak serce wali mi jak zwariowane.

– A dzień dobry! – odpowiadam lekko skulony i markotny, najwyraźniej zaspany jeszcze premier i podaje mi rękę.

Pewnego dnia wzywa mnie do siebie minister Kozakiewicz odpowiedzialny za kwestie gospodarcze.

– Tak panie ministrze!

– Tylko nie ministrze, jestem Andrzej! – i wyciąga rękę i silnie ściska moją

– Ty podobno masz jakąś firmę komputerową?

– No miałem.

– To może byś tu wprowadził odrobinę nowoczesności i z informatyzował nam kancelarię?

– Ale ja już nie mam tej firmy.

– No to jak chcesz to jeszcze trzy prezydenckie ministerstwa także?

– Ale ja serio już nic z tym nie mam wspólnego, jestem teraz urzędnikiem państwowym i dlatego pozbyłem się biznesu. Zresztą moja sekretarka zarabiała u mnie prawie dwa razy tyle co ja tu, więc to, że odłożyłem spore oszczędności pozwala mi tu pracować. – śmiejemy się obaj.

– Słuchaj, jutro przyjedzie do Belwederu Michael Dell.

– Ten Dell, od komputerów? – pytam.

– Tak, twórca i właściciel. Chciałbym, żebyś był podczas tego spotkania u prezydenta. Ta wizyta będzie na górze w apartamentach prezydenckich.

Każdego dnia prezydent przyjmuje już rano na śniadaniu specjalnego gościa, potem czas na kilka wywiadów, dziś wychodzi właśnie ekipa CNN, a na ich miejsce wchodzi Japończycy. Dźwiękowiec przygotowuje sprzęt, zakłada słuchawki na uszy i nagle widać w jego oczach przerażenie. To nasz ogrodowy paw właśnie zaczyna poranne nawoływanie. Ptaszyśko potrafi wrzeszczeć niesamowicie głośno. Jeśli ktoś nie jest na to przygotowany może się nieźle przestraszyć takiego hałasu w prezydenckiej siedzibie.

Po nich jeszcze dziennikarze krajowi i pięć wywiadów później media na dziś

zakończone. Lunch także z gościem specjalnym, bo to zawsze czas na bardziej prywatne rozmowy i wreszcie amerykański gość podjeżdża belwederskim dziedzińcem pod kolumnadę pałacu.

Witamy się w hallu głównym i tu zaczekamy na wszystkich ministrów zanim pójdziemy na górę.

– Wspaniały pałac! – komentuje gość. – rozglądając się dookoła.

– Dziękujemy! – odpowiadam. Mamy jeszcze trochę czasu, więc mogę chwilę oprowadzić zanim rozpoczniemy spotkanie.

– To fantastycznie!

– Proszę się czuć jak w gościnnym polskim domu.

Idziemy korytarzem, gdzie posadzka zmienia się z kamiennej na piękny drewniany parkiet.

– Rzeczywiście atmosfera domowa. – zachwyca się gość. – i patrzy na drewno.

– Tak, w czasie wojny Niemcy wyłożyli podłogi kamieniem, żeby podkute wojskowe buty stuknęły głośniej, ale nie jesteśmy tak bojowo nastawieni, więc nasi konserwatorzy zabytków przywrócili oryginalne podłogi.

Wchodzimy do wspaniałej sali pompejańskiej, ze ścianami w całości ozdobionymi naściennymi freskami.

– To niezwykle piękna sala – przedstawiam.

– Także zniszczona w czasie wojny? – pyta gość?

– I tak i nie. – uśmiecham się – to bardzo niezwykła historia, bo przemianowali ją na salę Walkirii, bogini wojny, a wszystkie ściany pomalowali czerwoną farbą.

– Nieprawdopodobne! Tak piękne malowidła!?

– Niestety. Ale i na to konserwatorzy znaleźli sposób i to bardzo oryginalny. Udało im się zetrzeć całą okropną czerwoną farbę ze ścian przy pomocy chleba.

– Czego?

– Skórek od chleba, które starły farbę ale nie uszkodziły fresków pod spodem. Zużyli aż trzy tony tych niezwykłych gumek do jednej tylko sali. – tłumaczę i zapraszam przez kolejne piękne drewniane drzwi.

Trafiamy do mniejszego, ale uroczego gabinetu.

– O portret Kościuszko! – rozpoznaje amerykański gość.

– Tak to nasz i wasz bohater.

Gość zatrzymuje wzrok na pięknym drewnianym biurku pełnym intarsji.

– A tu leżą dokumenty na biurku? – pyta zaskoczony.

– Tak, to dawny letni gabinet marszałka Piłsudskiego. – dodaję.

– Czyli ktoś tu na codzień urzęduje? – pokazuje gość na dokumenty.

– Tak akurat ja – śmieję się przekładając kilka teczek na biurku. – Nie spodziewałem się gości, ale aż takiego bałaganu nie ma.

Wracamy z wycieczki i dostaję sygnał od ochrony, że prezydent jest już gotowy do spotkania. Wchodzimy na górę.

– Panie prezydencie to wielki zaszczyt spotkać pana. Jest pan dla nas w Ameryce, ale dla mnie osobiście również wielkim bohaterem i legendą. Tak się cieszę, że pana mogę spotkać.

– Panie Dell, to zrobmy jakiś biznes razem tu w Polsce, bo coś słyszałem, że pan się do Rosji z inwestycjami wybiera.

– Tak panie prezydencie, bo koszt siły roboczej i rynek...

– Panie Dell – przerywa prezydent – pan jest młody człowiek, ale mądry więc takiego błędu pan nie zrobi.

– To znaczy?

– Panie Dell! – prezydent mówi charakterystycznym dla siebie, zdecydowanym i śmiałym głosem i wyciąga ręce – Pan tu w Polsce znajdzie wystarczająco inżynierów i pracowników. Kompetentnych. Widzi pan nawet prezydent w Polsce jest byłym elektrykiem.

Wybuchamy wszyscy śmiechem, a gość jest najwyraźniej zachwycony otwartością gospodarza i atmosferą.

– Ale Panie Dell. – kontynuuje prezydent – pan nie może ryzykować swoich pieniędzy i biznesu, bo za naszą wschodnią granicą bywa różnie i z szacunkiem do prywatnej własności i do prawa. To panie Dell, pan tu u nas w Polsce pobuduje sobie te wszystkie fabryki i produkcja tu musi być, a sprzedawać może pan gdzie pan chce za granicę.

– No tak, no tak. – gość powtarzał potakując.

– No to powodzenia życzę. Widzi pan jak bym tu roboty nie miał to się u pana zatrudnię. – kończy Lech Wałęsa.

Wychodzimy od prezydenta wciąż się śmiejąc. Gość przez minutę cytuje wypowiedziane do niego zdania zachwycony, a jego współpracownik Mirek przystaje i pyta lekko zakłopotany.

– Nie wiem, czy to wypada, ale mamy taki mały prezent dla pana prezydenta, tylko nie było okazji spytać.

– A o co chodzi?

– Michael przywiózł ze sobą najnowszy komputer, taki przenośny lekki laptop, który chcielibyśmy przekazać z podziękowaniem za spotkanie. A po tym spotkaniu jak widzę, może się okazać że z tyłu będzie kiedyś napis “Made in Poland”.

– Tak oczywiście! Przekażę! I bardzo dziękujemy, ale przede wszystkim życzę mądrych decyzji i inwestycji. Mam nadzieję, że zapamiętacie panowie te ważne słowa.

– Tak jesteśmy pod ogromnym wrażeniem.

Goście wychodzą, a my z Andrzejem zostajemy z niewielkim pakunkiem.

– No to teraz idź do prezydenta i wytłumacz jak działa ten komputer. – zwraca się do mnie minister.

Paczkę rozpakowuje i sprawdza ochrona i po kilku minutach dostaję informacje, że sprzęt jest gotowy. Wchodzę z komputerem po schodach na górę, tym razem skręcam w lewo i witam się z sekretarkami, by wejść bezpośrednio do gabinetu prezydenta. Lecha Wałęsa siedzi za swoim biurkiem i podpisuje jakiś dokument.

– Witam raz jeszcze panie prezydencie. Czy można?

Prezydent podnosi wzrok.

– Tak, zapraszam! Co tam? – patrzy pytająco.

– Mam tu panie prezydencie prezent od naszego gościa, tego prezesa Della, to komputer i oczywiście nazywa się Dell. Pan minister Kozakiewicz poprosił mnie bym wyjaśnił panu prezydentowi jak działa ten sprzęt.

– No proszę! – zaprasza akceptująco prezydent i opiera się wygodniej w fotelu odkładając pióro.

Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że nigdy nikomu nie tłumaczyłem jak działa komputer, więc wyjmuję kabel z zasilaczem z pudełka i sam bardzo cienki i ważący zaledwie półtora kilograma laptop.

– Zatem panie prezydencie. – rozpoczynam lekko zagubiony.

Prezydent patrzy na mnie i czeka.

– A więc bierzemy kabel i podłączamy go do kontaktu... – wymyślam.

– No co pan! Elektrykowi będzie pan tłumaczył jak się wtyczkę elektryczną wkłada do kontaktu?

Zaczynamy się śmiać razem i dalsza część instruktażu przebiega już gładko.

– Niesamowite – komentuje Carmen – miałeś codziennie kontakt z prezydentem i takimi ciekawymi ludźmi!

– Ale nie tak pięknymi jak ty.

Uśmiecha się swoimi uroczymi grubymi ustami pokazując śnieżno białe zęby kontrastujące z jej ciemną, opaloną skórą.

– Przepraszam cię, na chwilę – prosi i zaczyna przygotowywać kolejne koktajle dla nowych gości.

Rozglądam się po sali, korzystając z chwili przerwy. Przy stolikach nie ma już wolnego miejsca i przy barze nie można również znaleźć pustej przestrzeni.

– O są już twoje krewetki. – woła stawiając przede mną czarny prostokątny kamień a na nim siedem przepięknych, czerwonych krewetek w pancerzach. Aromat świeżości i morza dociera do mnie natychmiast. Obieram rękoma pierwszą gorącą krewetkę, której soczyste wewnątrz i niemal surowe mięso nie wymaga już żadnej przyprawy. Kładę na niej jedynie płatek soli, którymi są posypane. Wkładam do ust i chcę sięgnąć po kieliszek białego wina. Ale zamierzam w bezruchu. To smak o takiej delikatności i świeżości, jakiej w krewetkach nigdy w życiu dotąd nigdzie na świecie nie spotkałem. Przemykam oczy. Delektuję się jedzeniem, tą chwilą, tym przeszywającym wrażeniem unikatowości i niepowtarzalności. Jestem w raju, również kulinarnym. Nie wiem ile to trwa, ale gdy otwieram oczy piękna Carmen nachyla się wprost nade mną i patrzy mi w oczy.

– Mówiłam. – śmieje się uroczo. – To najlepsze krewetki na świecie, z Garucci, z otwartego morza, dzikie, a nie z jakiejś hodowli.

– O Boże! – niesamowite. Prawie surowe i tylko ta sól.

– Teraz dopiero spróbuj z odrobiną cytryny i wina, ale same są najlepsze.

– Boskie!

– No to jesteś moim dłużnikiem – znów się śmieje – no nie wiem jak mi się odwdzięczysz? – patrzy na mnie swoimi pięknymi ciemnymi oczami chwilę dłużej niż poprzednio. Odwraca głowę, a jej gęste, długie włosy falują wokół szczupłej szyi.

Jem krewetki, piję wino, patrzę na jej zwinne kocie ruchy a ta chwila trwa i trwa.

– Przeżyłeś w jeden rok tyle co ja w dziesięć. – przerywa nagle moje zamyślenie.

– U mnie tak zawsze.

– Opowiadaj dalej. Czas mi dzięki temu tak szybko biegnie jak nigdy.

– Pewnego dnia zostałem zaproszony do prawego skrzydła pałacu. Czekał na mnie szef gabinetu prezydenta i bez żadnego wstępu poinformował, że przechodzę do pracy u niego. Zrobiłem wielkie oczy, ale wytłumaczył, że nie ma ani jednego pracownika tu na miejscu i będę odpowiadał za kilka spraw, ale najważniejszą to przygotowywanie wizyt zagranicznych prezydenta.

– Przygotowywanie? Czyli na czym to polegało?

– Dostałem funkcję Szefa Protokołu Dyplomatycznego Prezydenta RP. To było niesamowite. Leciałem do jakiegoś kraju, najczęściej z szefem Biura Ochrony Rządu i szefem protokołu dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Odwiedzaliśmy w dwa, trzy dni wszystkie zaproponowane miasta, pałace, hotele, miejsca i decydowaliśmy które z nich odwiedzi nasz prezydent i z kim się spotka.

– Dużo podróżowałeś?

– Dużo. – śmieję się. – Leciałem najpierw do danego kraju, a zaraz potem jeszcze raz ale już z prezydentem i całą delegacją, a wizyt zagranicznych prezydent miał dużo, kilka w miesiącu to minimum. W jednym miesiącu byłem więc na przykład w Egipcie dwa razy, w Rosji, w Niemczech, na Węgrzech, w Hiszpanii... Wpadałem do domu po kolejne garnitury i koszule odebrane z pralni i już mnie nie było. To nie było takie zwykłe podróżowanie. To niesamowite wyprawy, których nigdy nie miałbym okazji zrobić sam. Bo w Moskwie spałem na przykład dwie doby na Kremlu. To siedziba prezydenta, a kiedyś carów, za takim wielkim czerwonym murem. Niezwykłe miejsce, miasto w mieście, oddzielone od Świata i zwykłych obywateli, tunelami. Jak twierdza.

Dopiero jak zobaczyłem prezydenta Rosji, któremu żołnierze w asyście głośnej muzyki otwierają kilka razy wyższe od niego ociekające złotem drzwi to zrozumiałem jak ci ludzie są odrealnieni. Jak żyją całkiem odcięci od rzeczywistości. Wyszedłem sobie w nocy z pałacu kremlowskiego na spacer po Placu Czerwonym i to było niesamowite, kiedy musiałem przejść krętymi, wąskimi tunelami wydrążonymi wewnątrz murów Kremla i długich na kilkadziesiąt metrów.

W Egipcie otwierano nam sarkofagi ze z mumifikowanym ciałem faraona, pokazano od wewnątrz piramidy. W Stanach w Waszyngtonie byliśmy w Białym Domu.

– Andy, ty byłeś w Białym Domu?

– No Tak.

– Wewnątrz?

– Dwa razy.

– I jak tam jest?

– No jak na filmach katastroficznych, byliśmy w gabinecie owalnym, w sali narad obok i w sali, gdzie odbywają się słynne konferencje prasowe. Kiedyś, jak pojechaliśmy z prezydentem, to żeby zapalić papierosa, bo wewnątrz nie wolno, musiał wyjść przed Biały Dom i stał razem z Vaclavem Havlem, prezydentem Czech pod tymi czterema wielkimi filarami i razem palili. A my obok staliśmy i śmialiśmy się, że to trochę jak w szkole podstawowej.

Carmen przyglądała mi się coraz uważniej, cały czas śmiejąc się.

– To poznałeś prezydenta USA?

– Tak.

– Którego!?

– No Busha i Clintona.

– To może i Królów znasz?

– Twojego na przykład poznałem i to w dosyć zabawny sposób.

– Króla Hiszpanii? Jak?!

– Poznałem, ale poprzedniego. Łądujemy na lotnisku obok Alhambry. Wizyta z okazji światowej wystawy Expo. Wychodzę pierwszy z samolotu, jako szef prezydenckiego protokołu sprawdzam czy wszystko jest przygotowane. Wita mnie szef ceremoniału królewskiego i idziemy w stronę prezydenckiej limuzyny. Brakuje naszej flagi na samochodzie. Obsługa przyjmuje moją uwa-

gę sama zaskoczona, że o tym zapomnieli. Wracam do samolotu i zapraszam prezydenta Lecha Wałęsę z Małżonką. Idziemy w stronę auta, gdzie kierowca właśnie montuje białe czerwony proporzec z orłem. Dochodzimy do czarnej limuzyny i w tym momencie szofer uruchamia radio a antena wysuwa się automatycznie na zewnątrz... z prezydenckim proporcem zatkniętym na jej szczycie. Widzę zdziwienie na twarzy prezydenta. Kierowca pomylił sztycę do flagi z radiową anteną, więc wybiega na zewnątrz i naprawia błąd zatykając flagę na specjalnej sztycy, którą limuzyna ma przygotowaną na tę okazję. Każdy samochód ambasadora dysponuje takim uchwytem, a co dopiero limuzyna głowy państwa. Kryzys flagowy zażegnany.

Droga do pałacu w Alhambrze mija błyskawicznie. Wchodzimy w mury bajkowej rezydencji. Na dziedzińcu cudowna fontanna i ogród. Król Juan Carlos z Małżonką wita naszą parę prezydencką i kolejno ministrów. Pełno dziennikarzy, kamer i ochrony. Ściskam im dłonie i przechodzę dalej z szachami pod pachą.

– Z szachami? Dlaczego miałeś szachy?

– Ach, te szachy. Jeszcze w Warszawie nasze ministerstwo spraw zagranicznych pytało jaki prezent proponujemy. Rozmawiałem z ministrem, pomyślałem chwilę i jest. Tylko jeden prezent może zapaść królowi Hiszpanii i Hiszpanom w pamięć na lata i przejść do annałów dyplomacji. Łączy nasze narody wielka miłość do koni, więc co innego od legendarnego przywódcy Solidarności może dostać król. Oczywiście tylko czystej krwi arabskiej konia.

– Konia!? Żywego?

– Żywego. To nie taki zwariowany pomysł. Tysiąc lat temu darem polskiego księcia Mieszka I dla cesarza Ottona III był... wielbłąd. Wyobrażasz sobie. W tamtych czasach to było możliwe w Europie. Niestety nikt poza mną nie podzielił pomysłu podarowania konia i mojego entuzjazmu, więc musiały wystarczyć srebrne szachy wysadzone bursztynem. I dlatego niosłem szachy.

– Aha – przytakuje Carmen, jednak wygląda na lekko zagubioną.

– Szef ceremoniału królewskiego zaprasza obie pary do wnętrza pałacu. Ministrowie ruszają za prezydentem, ale nagle ktoś powstrzymuje ich stanowczo tłumacząc, że to tzw. rozmowy w cztery oczy i ich obecność nie jest przewidziana.

na. Bunt członków delegacji zostaje stłamszony w zarodku i wszyscy ministrowie zostają wysłani na oglądanie wystawy plakatu.

– A pan? – zwraca się do mnie szef ceremoniału.

– Mam prezent dla króla. – odpowiadam i to otwiera mi drogę do pałacu.

– Zapraszam.

Idziemy bardzo długim korytarzem, by dotrzeć wreszcie do wielkiej sali przyjąć. Kilka schodków do góry i obie pary skręcają w prawo zasiadając przy niskim stole. Para królewska przy ścianie a nasza prezydencka naprzeciw. Pomiędzy nimi tłumaczka. Armia dziennikarzy, fotoreporterów i kamer powoli wypychana jest z sali przez ochronę. Coraz mniej ludzi na sali. Małe zamieszanie. Szukam wzrokiem jakiegoś miejsca by usiąść, gdy nagle ten sam szef ceremoniału, który zaprosił mnie tutaj stanowczo stwierdza, że nie możemy zostać wewnątrz sali. Kładę więc prezent na jakimś stoliku i razem z moim hiszpańskim przewodnikiem wychodzimy znów na korytarz. Nie ma tu już nikogo. Ochrona zabrała dziennikarzy. Siadamy więc na wąskiej ławce stojącej w długim hallu. Rozmawiamy chwilę, gdy nagle z sali wychodzi zdecydowanym krokiem jakiś wysoki mężczyzna, podchodzi do nas i pyta o coś mojego gospodarza po hiszpańsku. Szef protokołu wstaje i szybkim krokiem oddala się w głąb korytarza a jego miejsce przy mnie zajmuje ten rosyjczyk. Myślę, że to zapewne jeden z reporterów zagubiony jeszcze na sali, więc pytam jak przebiega spotkanie. Mężczyzna odpowiada z uśmiechem, że całkiem dobrze i pyta mnie co robię. Wyjaśniam, że jestem szefem protokołu prezydenta i dłuższą chwilę trwa nasza rozmowa. Nadbiega zdyszany szef protokołu.

– Wasza Wysokość! – zwraca się do siedzącego koło mnie mężczyzny i wręcza mu popielniczkę, po którą najwidoczniej biegł.

Dociera do mnie, że siedziałem właśnie obok króla Hiszpanii i rozmawiałem z nim, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Zrywam się na równe nogi. Król uśmiecha się i wraca niosąc osobiście popielniczkę do sali, a ja podążam za nim. Nie będę słuchał rad sztywnego szefa protokołu, jeśli sam król nie robi problemu, by wyjść z sali jak zwykły człowiek i rozmawiać ze mną siedząc na jednej ławce.

Król zajmuje miejsce koło swej małżonki i orientuję się z sytuacji, że jestem

w środku jakiejś pasjonującej opowieści prezydenta, który odpala właśnie papierosa wyraźnie rozemocjonowany.

– Wasza wysokość! – kontynuuje opowieść Lech Wałęsa, z której po chwili orientuję się, że prezydent został zapytany dlaczego w Polsce stacjonują nadal wojska sowieckie, gdy wycofano jej już z Czech czy Węgier.

– To bardzo proste! Tłumaczka spieszy się z tłumaczeniem w tle.

– Ja prezydent Polski mogę im jutro nakazać by się wynosili! I to zrobią. Jesteśmy niepodległym krajem i to my decydujemy. Ale...! – wstrzymuje głos prezydent. – Wasza Wysokość! Oni u nas byli tyle lat, tak długo i jest ich tak dużo i mają tyle tego sprzętu, tych rakiet poukrywanych w lasach. Głęboko. I broń jądrowa.

Król i królowa poruszeni do granic. Prostują się w fotelach. Pamiętają przecież katastrofę w elektrowni atomowej w Czarnobylu na Ukrainie sprzed kilku lat, więc co dopiero broń nuklearna. To robi wrażenie.

– Niech sobie Wasza Wysokość wyobrazi – kontynuuje prezydent z papierosem w ręku mocno pochylony nad stołem w stronę pary królewskiej – że ja im jutro nakazuję opuścić Polskę. I oni słuchają i natychmiast się wycofują. Ładują te rakiety, głowice na te pociągi i lawety, jedna na drugą, tak na stertę. I te głowice wystają z tych wagonów w czasie jazdy Wasza wysokość! I jakby któraś zaczęła o coś! Jakby to wszystko pierdzielnęło!

Król zamiera, królowa blednie. Zapada cisza.

Nie mam pojęcia jak tłumaczka przetłumaczy słowo “pierdzielnęło”, ale opowieść robi szokujące wrażenie. Sam widzę oczami wyobraźni niewiarygodny widok jak z okna pociągu wystaje wielka rakietą z czerwoną głowicą, a pociąg pędzi w lesie w pobliżu słupów elektrycznych.

Król aż unosi się z fotela łapiąc prezydenta Wałęsę za nadgarstki.

– Panie prezydencie! – woła podniesionym głosem – jakie to mądre! Nie, nie wolno się spieszyć! Ma pan prezydent absolutną rację! Trzeba to wszystko mądrze i powoli. Gdyby hiszpański rząd mógł tu jakkolwiek pomóc, coś sfinansować, to proszę tylko panie prezydencie o prywatny list do mnie i sprawa będzie załatwiona!

(...)

– Wieczorne zajęcia w Belwederze dobiegają końca. Prezydent już poza pałacem, ministrowie też. Za pół godziny mam wyjechać do domu. Nagle dociera do nas pilna informacja z Turcji. Wielkie trzęsienie ziemi, tysiące ofiar. Tragedia. Próby skontaktowania się z ministerstwem spraw zagranicznych są skuteczne, ale poza dyżurnym nikt nie jest w stanie do nas oddzwonić pilnie i pomóc w przygotowaniu depeszy kondolencyjnej od prezydenta RP.

Wychodzę ze swojego gabinetu, tego pięknego gabinetu, który przed wojną służył, jako letni gabinet Marszałka Józefa Piłsudskiego. Proszę sekretarkę o natychmiastowe połączenie z naszym Ambasadorem w Turcji. Kto jak nie on będzie miał najlepsze informacje o tragedii oraz wycucie miejscowej kultury, a więc i niuansów przy tworzeniu tekstu depeszy.

Wracam do gabinetu i chwilę tylko czekam zasiadając za biurkiem. Dzwoni jeden z kilku telefonów, odbieram i sekretarka mówi mi, że właśnie mnie łączy z ambasadą. Czekam.

– Hello! – słyszę głos w słuchawce z dziwnym, obcym akcentem.

– Hello! – odpowiadam, wyobrażając sobie natychmiast, że jeśli ktoś o tej porze mówi do mnie po angielsku w polskiej ambasadzie, a jest tam jeszcze o godzinę później niż w Warszawie, to musi to być jakiś dozorca lub ochroniarz miejscowego pochodzenia, czyli stąd język angielski i turecki akcent.

– Good evening! – kontynuuję. May I talk to the ambassador, please?

– Hello! I am Turkish! – słyszę w słuchawce.

Rozumiem, że ochroniarz jest Turkiem, bo przecież to nawet logiczne tam na miejscu zatrudnić miejscową osobę w nocy, ale nie to jest dla mnie najważniejsze, więc proszę spokojnie:

– May I talk to the ambassador, please? – mówiąc zdecydowanie wolniej.

– I am Turkish! – słyszę stanowcze stwierdzenie.

– OK, I understand, but I need to talk to the ambassador, please.

– I am Turkish! – słyszę zirytowany i uniesiony głos i nagle połączenie urywa się, jakby ktoś je specjalnie przerwał. Zapewne coś zawiodło na łączach. Przecież mieli trzęsienie ziemi.

Proszę sekretarkę, aby spróbowała raz jeszcze i po chwili słyszę znajomy już głos w słuchawce.

– Hello!

– Hello! – odpowiadam chcąc po raz kolejny poprosić ambasadora do telefonu lub poczekać, aż ktoś go odszuka na przykład w rezydencji.

– I would like to talk...

– I am Turkish! – przerywa mi zirytowany ochroniarz naszej ambasady, krzycząc niemal na mnie. Połączenie urywa się. To niewiarygodne. Dociera do mnie, że to nie kłopoty z połączeniem. On odłożył po prostu słuchawkę. O nie. Prezydentowi i jego najbliższymi współpracownikom się nie odmawia. Kiedy trzeba było poruszaliśmy w Polsce i na Świecie niebo i ziemię, by osiągnąć cel. I zawsze skutecznie. Czuję, że to jakiś absurd, by lokalny dozorca z naszej ambasady tak się zachowywał.

Sekretarka łączy mnie kolejny raz. Tym razem nie pozwolę mu odłożyć słuchawki ani mnie tak potraktować. Dostanie za swoje, połączy mnie lub odszuka ambasadora, mimo późnej pory, albo go jutro...

– Hello! – słyszę już nie zirytowany głos, ale krzyk w słuchawce i wyraźnie rozłoszczony głos Turka.

– Hello!. Do not hang up the phone! – ostrzegam przed próbą rozłączenia się tym razem. – Listen to me carefully! I am a chef of the protocol of the president of Poland and I am calling on his behalf...

– I am Turkish! – wrzeszczy rozwścieczony.

– I know that you are Turkish! – krzyczę w słuchawkę. – and I will fire you tomorrow if you will hang up one more time! – kończę surowo i skutecznie.

– I am Turkish! – słyszę jak krzyczy na mnie i rzuca słuchawkę. Cisza.

Stoję osłupiały. Dopiero w tym momencie dociera do mnie, że niemożliwe, bym rozmawiał z naszym pracownikiem w ambasadzie. Odkładałem słuchawkę, podchodzę do drzwi i je otwieram wychodząc do sekretariatu.

– Pani Aniu, dokąd my dzwonimy?

– Do ambasady w Turcji. – odpowiada lekko zdziwiona pytaniem sekretarka.

– A skąd ma pani numer telefonu? – pytam podchodząc do jej biurka.

– Z książki telefonicznej MSZ. – odpowiada pokazując mi stosowny wpis.

Oglądam. Widzę lokalny numer, ale brak tu numeru kierunkowego do Turcji i kierunkowego do Ankary, stolicy tego kraju.

– A kierunkowy jak pani ustaliła?

– No turecki numer międzynarodowy i ten do Istambułu. – odpowiedziała natychmiast.

Nie! To się nie dzieje naprawdę. Dociera do mnie cała prawda. Rozmawiałem z kimś z Turcji, ale to nie był nasz ochroniarz w ambasadzie w Ankarze. Ojej. To był ktoś w Istambule. Turek. Turek! I am Turkish! Powtarzał mi tyle razy. I ten biedny Turek, wcale nie udawał Turka, tylko nie rozumiał przez cały czas o co mi chodzi z jakimś polskim ambasadorem! O nie! I jeszcze to... „w imieniu prezydenta RP...” i „zwolnię cię jak odłożysz słuchawkę...”.

Wracam do gabinetu. Siadam przy biurku i wyobrażam sobie teraz czteropiętrowy blok w Istambule, wieczór, rozpalony gril na tarasie i rodzina zgromadzona wokół pana domu. A on trochę jeszcze zapewne roztrzęsiony kontynuuje.

– Nie wiem o co mu chodziło! Gadał coś po angielsku, chyba o jakimś ambasadorku czy prezydencie, a ja mu trzeci raz tłumaczę, że jestem Turkiem. Co za idiota! I mnie jeszcze chyba z pracy zwalnia! Skąd on wie, że gdzie ja pracuję? Siedzę przy biurku w Warszawie, w pałacu belwederskim i zaczynam się śmiać.

Śmiejemy się teraz razem z Carmen bardzo głośno.

– Wiesz, za każdym razem, bo wielokrotnie opowiadałem tę historię, mam ochotę odszukać ówczesny numer telefonu do naszej ambasady i dodać do niego turecki numer międzynarodowy oraz kierunkowy do Istambułu. Zadzwońlibym w towarzystwie tłumacza i wyjaśnił całą sytuację. Zapewne z obu stron byłoby dużo śmiechu. Jeśli dopłynę kiedyś do Istambułu, a choćby dla tej jednej anegdoty warto, to może zrobię to i pojedę na grilowanego barana na ten taras.

Carmen uwija się przez cały czas, gdy opowiadam i jakimś cudem znajduje czas, by stać przy mnie i słuchać. Nalewa sobie do szklanki wodę, bierze mały łyk, raczej dla zwilżenia pełnych, wydatnych ust niż, by się napić i prosi o więcej anegdot.

– A najbardziej poruszająca historia?

– Było ich tak wiele, ale to na przykład nasz lot z Polski do Niemiec. To niezwykła wizyta, bo okazało się przy jej organizacji, że ostatnia wizyta oficjalna to Cesarz Otton III, który przyjechał do nas. A teraz to polski prezydent leci do sąsiedniego kraju. Samolot prezydencki, Tupolew...

– Co Tupol...?

– TU-154 to był taki polski air force 1...

– Aha

– No i lecimy nim do Bonn, bo to była wówczas w podzielonych jeszcze Niemczech stolica Niemiec Zachodnich. Startujemy z Warszawy w piękną pogodę. Po chwili rozmawiamy już o szczegółach programu, pierwszych spotkaniach, gdy nagle pilot przerywa ciszę i ogłasza przez głośniki, że przekraczamy właśnie polsko-niemiecką granicę i wlatujemy na terytorium sąsiada. I nagle wstrzymuję oddech. Wszyscy milkną. Siedzę po prawej stronie i widzę zdumiony, że kilkanaście metrów od naszego skrzydła pojawiają się dwa szare wojskowe myśliwce czarnymi krzyżami. Ktoś woła, z lewej strony, że też widzi samoloty z krzyżami. Nasz prezydencki samolot dostał honorową asystę czterech bojowych myśliwców Luftwaffe. Ciarki przechodzą mi po plecach. Wiesz, ja pochodzę z Warszawy zniszczonej niemal całkowicie przez takie samoloty w czasie wojny. Fizycznie czuję, jak cisza miesza się ze wzruszeniem i nieopisanym zmieszaniem. Przecież samoloty Luftwaffe z czarnymi krzyżami bombardowały Stare Miasto, paliły Zamek Królewski i niszczyły całą Warszawę i Polskę, ale także Londyn i inne cele. A teraz głowa polskiego państwa, otrzymuje honorową asystę i polski samolot jest bezpiecznie eskortowany w powietrzu, by podkreślić wagę tej wizyty. Milczenie i wzruszenie trwa jeszcze kilkanaście sekund. Nikt nic nie mówi, bo członkowie delegacji, każdy na swój sposób, przeżywamy ten moment. Nagle ktoś z tyłu woła – Czy nasz pilot wie, że oni są w pokojowych zamiarach? I wybucha salwa śmiechu, która kończy ciszę.

Przy barze coraz głośniej. Muzyka miesza się z rozmowami. Gdzieś z zewnątrz dochodzi przygłuszony ryk trwającego nadal sztormu. Silny wiatr próbuje, jak my wcześniej wcisnąć się do wnętrza, ale odbija się jedynie od szyb. Wewnątrz ciepło i przytulnie w świetle lamp i świec. Jest późny wieczór.

– A co działo się z tobą dalej Andy?

– Pewnego dnia podczas wizyty oficjalnej, właśnie w Rosji, kiedy śniadanie jedliśmy w Moskwie w Pałacu Kremlowskim, naprzeciw mnie siedzi minister spraw zagranicznych profesor Skubieszewski. I to w czasie rozmowy pyta mnie o moją ciekawą pracę. Opowiadam mu sporo o tym i o sobie, a wtedy minister proponuje, żebym przeszedł do jego gabinetu. I kilka tygodni później zostaję wiceszefem gabinetu ministra. Zaczynam przygodę z niezwykle sztuką, jaką jest dyplomacja.

– Byłeś dyplomatą!? – Carmen niemal krzyczy i nie jestem pewien czy to ze względu na hałas czy wrażenie jakie to na niej to zrobiło.

– Niestety tak. – odpowiadam śmiejąc się z jej entuzjazmu.

– Służyłem ministrowi kilka lat. Wcześniej myślałem, że dużo pracuję, ale dopiero tu zrozumiałem co to praca na okrągło. Samą korespondencją i dokumentami, jeśli tylko byliśmy w kraju, zajmowaliśmy się pięć, osiem godzin dziennie. A do tego mnóstwo spotkań i wyjazdów. To był dziewiętnastowieczny gentleman, profesor z klasą. Miał do mnie zaufanie i przez te kilka lat chyba ani razu go w poważnych sprawach nie zawiodłem, choć bywało różnie.

– Tzn?

– Siedzę w swoim gabinecie w MSZ a minister dzwoni do mnie z tego bezpośredniego telefonu, więc idę do niego.

– Panie dyrektorze! – mówi głośno, wyraźnie, choć lekko przez nos, poprawiając swoje okulary. – Pamięta pan tę urnę z prochami, którą sprowadziliśmy rok temu ze Szwajcarii.

– Tak, panie ministrze. – Odpowiadam, i tłumię uśmiech, bo ta urna stojąca cały czas u dyrektora departamentu konsularnego w szafie pancерnej zdążyła się już stać tematem licznych anegdot i legend w resorcie.

– Proszę, by skontaktował się pan z Departamentem Konsularnym i władzami Krakowa i przygotował pogrzeb.

Wreszcie. Tyle razy pytałem kiedy to nastąpi, ale sierpień był najluźniejszym miesiącem w roku i wreszcie nadszedł ten czas. Uzgadniam z Prezydentem Krakowa i Wojewodą wszystkie szczegóły uroczystości pogrzebowej. Wszystko dopięte na ostatni guzik. Minister będzie zadowolony.

W przededniu wyjazdu dzwonię do Biura Ochrony Rządu. Po chwili rozmowy ustalamy, że nie pojedziemy naszym pięknym, czarnym, ale wysłużonym już mercedesem, tylko kierowca zadba o jakieś niezawodne nowe auto.

Podjeżdżam wcześniej rano, chwilę przed siódmą do ministerstwa. Zostawiam samochód i wychodzę przed gmach, aby przesiąść się do naszej limuzyny.

– No nie, panie Romku! – wołam z daleka.

– Dzień dobry! Panie dyrektorze!

– Dobry, ale co to za samochód.

– Nowiutki, panie dyrektorze.

– No tak ale ten kolor?

– No ładny.

– Bordowy... na pogrzeb...

– Ale ma silnik mocny i...

Rozmowę kończymy już w samochodzie, który pachnie nowością i rzeczywiście wygląda wewnątrz imponująco. Wiem już jednak jak minister zareaguje za chwilę. Pracujemy ze sobą wystarczająco długo.

Samochód zatrzymujemy przed wejściem. Profesor idzie z domu pewnym krokiem. Poranny chłód powoli mija i słońce już zaczyna grzać, ale minister ubrany jest w lekki szary płaszcz, jedwabny szalik i skórzane czarne rękawiczki. Buty jak zwykle wypastowane nienagannie. Zwalnia z każdym metrem, który przybliża go do samochodu i gdy przystaje koło limuzyny zaczyna się.

– Co to jest!? – niemal krzyczy. Jego stanowczy głos miałem już okazję nie raz słyszeć w obecności wielu osób i nawet premier kraju mu ulegał, więc zaskoczony kierowca robi krok w tył. – Co to za kolor! Czerwony!

– To ciemne bordo panie ministrze... – próbuje jeszcze nieświadomy funkcjonariusz BOR.

– Ja się pytam, jak mam czerwonym samochodem jechać na pogrzeb! To kpina!

– Panie ministrze... – cichym głosem próbuje jeszcze kierowca.

– Niesłychane! – kontynuuje profesor.

– Panie Ministrze. – włączam się do rozmowy. – To ja poprosiłem o zmianę samochodu, ponieważ nasz Mercedes... – niestety nie miałem okazji dokończyć zdania.

– Pan dyrektorze niech się nie odzywa nie jest pan kierowcą. To niesłychane. Nie mamy czasu już zmieniać samochodu, co za historia! Czerwonym samochodem pojadę na pogrzeb!

Profesor z niechęcią wsiada na tylne siedzenie auta z prawej strony. Ja podchodzę z lewej i zajmuję miejsce z tyłu obok ministra. To siedzenie, które zawsze zajmuję, gdy podróżujemy razem. Z przodu siedzi jedynie kierowca, a prawe miejsce jest puste, bo w kraju nie jeździliśmy z ochroną. Zresztą nasz kierowca dzisiaj to właśnie funkcjonariusz BOR. Nie ujechaliśmy jednak zbyt daleko. Słońce już dość wysoko zaczyna świecić do wewnątrz samochodu przez tylną szybę.

– A gdzie są zasłonki? – pyta stanowczym głosem profesor?

– Panie ministrze, to nowiutkie auto, dziś w garażu jeszcze folie z siedzeń zdejmowałem, więc nie założyli.

– Proszę zatrzymać samochód! Natychmiast!

Zjeżdżamy na pobocze lokalnej drogi i minister zdejmuje płaszcz. Wsiadamy ponownie i widzę na jego twarzy duże wzburzenie.

– A pan! – zwraca się do mnie minister. – niech usiądzie z przodu.

Po raz pierwszy od dwóch lat jedziemy więc w tym dziwnym ustawieniu. A profesor z tylnego siedzenia co chwila komentuje całe zajście. Widzę, że z kierowcą dzieje się coś złego. Nie wytrzymuje tak stanowczego głosu za sobą i dwa razy niemal przekracza linię ciągłą na pustej na razie drodze. Jest wyraźnie zdenerwowany.

– Panie Romku, spokojnie. – mówię szeptem, ale na niewiele to się zdaje, bo po minucie minister znów podkreśla czerwień naszego ciemno bordowego auta.

Kierowca i funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu został wyszkolony zapewne na wszystkie kryzysowe sytuacje, posłizg na lodzie, ucieczkę w przypadku ostrzelania, czy jazdę w deszczu i mgle, ale nie był szkolony na jazdę z tak wzburzonym profesorem Skubiszewskim.

Na szczęście sucha droga i piękna pogoda pozwalają nam szybko pokonać dystans z Warszawy do Krakowa. Podjeżdżamy najpierw do willowej dzielnicy, gdzie na ministra oczekuje już rodzina z wczesnym obiadem.

– Czerwony samochód mi dali na pogrzeb! – woła do zgromadzonej przy

bramie rodziny profesor wysiadając z auta. – Ja tego nie wybierałem!

Po krótkim poczęstunku i rozmowie minister wraca do auta wyraźnie zadowolony. Podjeżdżamy pod cmentarz a tam czeka już na nas prezydent Krakowa, Wojewoda i kilkanaście innych osób. Porywają ministra i uwalniam się na godzinę, bo ostatnią rzeczą jakiej mi teraz trzeba to uczestniczenie w pogrzebie.

Po godzinie minister wraca do auta, odprowadzany przez tłum osób. Jest zadowolony, rozmawia, dziękuje, ściska mnóstwo dłoni i wreszcie siada na tylnym siedzeniu, a kierowca zamyka za nim drzwi.

– Panie dyrektorze. – zwraca się do mnie minister, swoim typowo spokojnym głosem. – a pan gdzie usiadł? Przecież pana miejsce jest tu z tyłu. Zapomniał pan? – pyta.

Uśmiecham się i przesiadam z przedniego prawego fotela na tylny lewy fotel naszej limuzyny. Samochód rusza, a profesor pyta kierowcę.

– Czy to auto dobrze się prowadzi?

Skąd u ministra takie słownictwo, kiedy całe życie spędził od rana do wieczora czytając książki lub je pisząc. Zapewne, nie nauczył się tych słów ani w Oksfordzie w All Souls College, ani jako profesor, czy minister. Najwyraźniej słuchał wcześniej jakiejś wymiany zdań naszych kierowców.

– Świetnie! Panie ministrze! – odpowiada kierowca. – To doskonałe auto!

– A do kogo należy?

– Jest bez przydziału! Prosto z fabryki, panie ministrze. – kontynuuje zachwycony rozmową kierowca i wyraźnie już zrelaksowany. – Jest do wzięcia.

– Nie o siebie pytam. – uśmiecha się profesor wyraźnie dumny, że w odróżnieniu od niemal wszystkich ministrów, a nawet marszałka Sejmu, oszczędza budżet państwowy i dziennikarze nie krytykowali go ostatnio jak innych za rozrzutność i nadmierne wydawanie publicznych pieniędzy.

Dalsza podróż przebiega w doskonałej atmosferze. Najwyraźniej organizacja uroczystości zrobiła wrażenie. Przed Warszawą w okolicy Grójca, wśród pięknych ogromnych sadów pojawiają się przydrożne stoiska z owocami. Mijamy je jedno za drugim.

– Panie Dyrektorze? – zwraca się do mnie profesor.

– Tak panie ministrze?

– Czy nie chciałby pan sobie do domu kupić trochę owoców?

– Oczywiście panie ministrze. – odpowiadam domyślając się dalszego ciągu, choć nie przyszło mi to nawet do głowy.

– Ach to doskonale! To i ja kupię.

Tak oto, nakierowany zdalnie na zakup owoców polecam kierowcy, by zatrzymał się przy najbliższym stoisku. Zwalnia i wybiera przydrożny stragan złożony jedynie z kilku skromnych drewnianych skrzynek pełnych owoców. Siedzi przy nich bardzo młoda dziewczyny. Ciemno bordowa, choć zdaniem odrębnym czerwona limuzyna zatrzymuje się na poboczu. Dziewczyna patrzy na długi i doskonale wyczyszczony w każdym detalu samochód, z którego najpierw bardzo szybko wysiada szofer, który następnie podbiega do tylnych prawych drzwi i otwiera je ministrowi. Słońce grzeje bardzo mocno, piękne niebo i niemal bezwietrznie. W tym czasie ja wychodzę w ciemnym garniturze, białej koszuli i krawacie, a wypastowana czarna skóra sztytów na miarę butów lśni w słońcu. Profesor także już na zewnątrz ubrany w czarny, nienagannie skrojony garnitur, na szyi szalik i na wszelki wypadek zakładany właśnie kapelusz. Ruszamy w stronę stoiska, gdy nagle minister przystaje i dłonią tarasuje mi dalsze przejście.

– Czy pan ją widzi?

– Tę dziewczynę? Panie ministrze, tak oczywiście.

– Ona jest całkiem nago! – szepce niemal profesor.

Przyglądam się raz jeszcze dziewczynie, którą widziałem dotąd jedynie przez okno i uspokajam.

– Jest gorąco panie ministrze, dlatego ubrała się w lekką koszulkę, no i... – tu szukam słowa przez chwilę na opisanie tego co przylega do jej pupy i ledwo odkrywa uda, kończąc się przed kolanami delikatną koronką – nosi leginsy.

– Co to jest?

– Leginsy, to panie ministrze takie spodnie.

– Ale ona jest w samej bieliźnie.

– Ale formalnie to spodnie.

– Jest pan tego pewien?

– Tak panie ministrze, z całą pewnością.

Argument wypowiedziany przeze mnie stanowczo działa i ruszamy w stronę dziewczyny, której oczy zdradzają, w ten gorący miły dzień, że widok limuzy-

ny z szoferem i dwoma mężczyznami ubranymi na czarno traktuje nieco jak lądowanie ufo.

– Proszę panie dyrektorze. – zwraca się do mnie minister, uprzejmie wskazując dłonią owoce.

– Ależ panie ministrze, bardzo proszę pan minister pierwszy! – nalegam.

– Tak, dobrze.

Mina dziewczyny jest równie zdziwiona jak jej wzrok.

– Poproszę panią o pół kilo śliwek – ordynuje minister.

– Ile? – pyta dziewczyna, która zapewne wyraźnie słyszy zamówienie, ale chce się upewnić.

– Pół kilo. – powtarza profesor.

Młode dziewczęce dłonie otwierają małą plastikową torebkę i wkładają śliwki na sztuki, tak by odważniki na wadze zrównały się z zawartością torby. Dokłada jeszcze jedną śliwkę i podaje profesorowi bez słów małe zawiniątko.

– Dziękuję pani uprzejmie. – zwraca się do niej.

– Sześćdziesiąt groszy. – odpowiada sprzedawczyni.

Minister wyjmuje z wcześniej przygotowanego portfela i otwartej już przegródki na monety pięćdziesiąt groszy, a potem dziesięć i wręcza całą kwotę. Następnie pokazuje dłonią, że teraz moja kolej. No i ja mam tylko jedno rozwiązanie.

– Poproszę również pół kilograma śliwek. – mówię uśmiechając się.

Odwzajemnia mój uśmiech swoim pięknym uśmiechem, ale jej źrenice rozszerzają się jeszcze bardziej. Bez słowa wkłada kolejne śliwki na sztuki, by waga zamówienia zgadzała się jak najbardziej. Otrzymuję swój precyzyjnie, jak w aptece, zważony zakup i płacę.

Dziękujemy i ruszamy w stronę auta, przed którym kierowca czeka z szeroko otwartymi drzwiami i dłonią na klamce.

Nagle profesor znów przystaje, odwraca się na chwilę spoglądając w stronę dziewczyny, a potem chwytą mnie za łokieć i z lekkim uśmiechem zwraca się do mnie w dobrotliwym tonie.

– A może, panie dyrektorze, chciałby pan tu zostać z tą panią.

– Ależ...

– Niech pan zostanie. Przyślę po pana kierowcę.

Wybuchamy śmiechem. Dojeżdżamy pod dom ministra i zegnamy się do następnego dnia. Przeżyłem pogrzeb.

Carmen śmieje się zza baru.

– Oj Andy, Andy – patrzy mi prosto w oczy kręcąc głową.

– Podobne rozliczenia miałem z ministrem w Waszyngtonie.

– Znow w Stanach?

– Tak, tym razem nie byłem już u prezydenta, ale jako część delegacji leciałem właśnie z ministrem Skubiszewskim. Trzydniowa wizyta, również w Białym Domu. A ostatniego dnia amerykański Secret Service i nasza ochrona prezydenta ustalają wyjazd z hotelu na lotnisko na dziewiątą rano. Jemy z ministrem śniadanie w hotelowej restauracji, za które płacę i zostawiam kelnerowi napiwek. Za pięć dziewiąt pukam do drzwi profesora. Po chwili uchylają się i wchodzę do wewnątrz.

– Panie ministrze, możemy wychodzić.

– Tak jest – mówi minister precyzyjnie poprawiając ułożenie szalika i kołnierza płaszcza. – jeszcze tylko oddam panu pieniądze, bo płacił pan rano za śniadanie i zostawił napiwek.

Stało się. Gdybym znał ministra krótko zapewne powiedziałbym coś w stylu, “później panie ministrze” lub co gorsza “nie ma sprawy”, ale pracujemy razem tak długo, że wiem, iż to tylko pogorszyłoby sytuację. Czekam więc spokojnie – przynajmniej udając to na zewnątrz – a wewnętrznie błagam opatrność i amerykański bank centralny by przyspieszył ten transfer pieniędzy, bo za drzwiami słyszę już naszą ochronę, która za chwilę wyjdzie z prezydentem z apartamentu. Kiedy prezydent, który chodzący z wyjątkowo szybko, wychodzi z hotelu i wsiada do pancерnej limuzyny nikt i nic nie zatrzyma już jej pędu aż do schodów oczekujących przed samolotem. Względy bezpieczeństwa, o protokolarnych już nie wspominając, nakazują, by pozostali, wszyscy bez wyjątku członkowie delegacji byli już w samolocie przed głową państwa.

– Jeszcze sześć centów – ogłasza spokojnie profesor.

Za drzwiami słyszę głos Leszka, szefa ochrony prezydenta, który najwyraźniej za chwilę ruszy z całą obstawą do wyjścia z hotelu.

– Tak panie ministrze. – odpowiadam równie spokojnym głosem a myślami jestem na wojnie w Zatoce Perskiej.

– Tak proszę, pięć centów.

Mała srebrna moneta ląduje w mojej dłoni, która walczy, by moneta nie upadła na podłogę i nie zginęła na przykład pod szafą.

– I jeszcze poszukamy jednego centa. – dodaje minister i przechyla portfel by monety zsunęły się bliżej krawędzi.

Jeśli sekundy mogą trwać dłużej niż w rzeczywistości to te były z pewnością najdłuższe na świecie. Słysząc było za drzwiami, że ochrona nawołuje się do wyjścia.

– O jest! – triumfalnie oznajmia minister i z satysfakcją wręcza mi niewielkiego, cienkiego miedziaka. Możemy ruszać z czystym kontem i bez długów.

Pewnego dnia minister wzywa mnie do gabinetu. Rozmawiamy długo, bo wiadomo już, że za chwilę kończy swą kilkuletnią służbę ministra i ukoronowaniem jego prawniczej kariery będzie objęcie prestiżowego stanowiska sędziego międzynarodowego. Cieszy się takim szacunkiem na Świecie i w środowisku, że wybory, w których zgłoszona jest jego kandydatura to tylko formalność.

– Skończyliśmy już z korespondencją tajną i poufną i z urzędowymi sprawami, ale pozostaje jeszcze sporo spraw nie pozamykanych, w którym potrzebowałbym pańskiej pomocy... – patrzy po raz pierwszy pytająco.

– Oczywiście panie ministrze.

– No na przykład zacząłem odpisywać na zaległą korespondencję i chciałby nadrobić pewne zaległości.

Dochodzi dwudziesta druga. Sprawdzam kolejne pismo nim podam je do podpisu profesorowi. “Wielce Szanowna Pani Profesor, Na wstępnie mego listu pragnę przeprosić za czteroletnie opóźnienie spowodowane powołaniem mnie...” Potem przychodzi kolej na odpowiedź na odręczny, właściwie nabażrany list z więzienia we Wronkach.

– Bo widzi pan, dyrektorze. – tłumaczy profesor. – mój Wuj siedział tam za sprawy polityczne przed wojną i stąd mam sentyment. Ten więzień prosi o jakieś książki by stworzyć bibliotekę. Myślę, że możemy przekazać mu jakieś pozycje i albumy, które dostawaliśmy w czasie naszych wizyt. Co pan sądzi?

- Jak najbardziej panie ministrze.
- Ale proszę sobie coś z tych albumów zatrzymać.
- Ależ nie panie ministrze.
- Nalegam.
- Na prawdę nie mógłbym, ale dziękuję za tak miłą propozycję.

Wracam do swojego gabinetu, siadam na gościnnej kanapie przy biurku, gdzie zazwyczaj przyjmuję gości i patrzę na imponującą bibliotekę, która przez kilka lat wypełniła się niezwykłą kolekcją unikatowych książek i albumów. Prado, Luwr, British Museum, limitowane wydania oprawione w skórę, wykańczane złotem grzbiety... Nie mogę patrzeć już dłużej, bo miłość do drukowanej, pachnącej książki to trudna relacja, więc albo musiałbym zabrać je wszystkie, albo – jak postanowiłem – za chwilę zaczniemy je pakować co do jednej do wysyłki z adresem zakładu karnego we Wronkach.

Minister odchodzi z resortu spraw zagranicznych, więc nadarza się idealny moment. Nie wiem ile ludzi tak miało, ale pewnego dnia na moim biurku leżą trzy oferty stypendiów. Pierwsze dwie do Stanów Zjednoczonych na Uniwersytet Stanford lub Harvard JFK School of Government a trzecia do Wielkiej Brytanii na Oxford University. Serce już wybrało, ale na krótką chwilę trzeba włączyć rozum. Analiza jest prosta. Stanford to Ameryka, California, czyli ogromne możliwości i potencjał. Ale ciepło, plaża i ładne dziewczyny – myślę – więc nauka zagrożona jest widmem serfowania na desce i ogniskiem na plaży w towarzystwie pięknej blond serferki. W tym scenariuszu nie widzę w ogóle studiowania. To może też USA ale Harvard, wschodnie wybrzeże, Boston, więc powyżej Nowego Jorku czyli zimniej i pada deszcz, a zimą śnieg. Lepiej. No i wreszcie Oxford. Tak jednak Uniwersytet Oxfordzki, bo przecież to Anglia. Piękne kobiety pomijamy, pada jeszcze częściej niż w Bostonie no i jedzenie... Więc zamiast szwendać się po knajpach i tułać z opalonymi amerykankami w bikini po kalifornijskich plażach będę siedział w zimnym pokoju na poddaszu w Anglii i może się czegoś jednak uczył. Decyzja zapada. Lecę.

- Andy czy chcesz mi powiedzieć, że studiowałeś na Oxford?
- Tak.

– Aha. – Carmen patrzy na mnie i głośno się śmieje, po czym macha ręką i mówi.

– OK opowiadaj proszę!

– Najpierw wyprawili mi wielkie pożegnanie w Warszawie. W Łazienkach Królewskich zbiera się kilkaset osób, tak że Restauracja Belvedere pęka w szwach na szczęście pogoda jest piękna i mamy prawdziwie oksfordzką atmosferę garden party korzystając z pięknego otoczenia i parku. Są przemówienia a potem same niespodzianki. Otrzymuję laptop, biorę go do ręki i śmieję się widząc napis Dell na jego grzbiecie. Od prezydenta dostaję wielką prezydencką białą-czerwoną flagę z orłem, którą zdjęto wczoraj z Pałacu Belweder. Następnego dnia, kiedy myślę, że jestem już w drodze do Wielkiej Brytanii, bo siedzę już w fotelu wewnątrz samolotu nagle wywołuje mnie stewardesa.

– Jest pan proszony na zewnątrz. – mówi uprzejmym głosem, ale to nie jest dobra wiadomość dla kogoś kto proszony jest z nazwiska o opuszczenie samolotu.

Wychodzę przez rękaw do hali i nagle widzę kilkudziesięciu przyjaciół i kolegów zgromadzonych przed wejściem. Robią mi niezwykłą niespodziankę, a na domiar tego w moich dłoniach ląduje prawdziwa, ostra szabla polska wzór 1920.

– Przechowamy to panu – mówi z uśmiechem ta sama stewardessa, która przed chwilą niemal wypraszała mnie z samolotu, wtajemniczona oczywiście w całą intrygę.

Pierwszy dzień w Oxford to szok. Nie tylko trafiam na wymarzoną, legendarną, wspaniałą uczelnię znaną na całym Świecie, ale do tego do The Queen's College jednego z najbardziej prestiżowych i tradycyjnych kolegów na całej uczelni. Rozpakowuję kilka rzeczy w ogromnym dwupoziomowym pokoju z widokiem na przepiękne ogrody Magdalen College. Są tak rozległe, że zatrudniają tam dwudziestu trzech ogrodników i mają własne stado jeleni.

Na mojej pustej, nudnej ścianie ląduje ogromna białą-czerwona flaga z orłem i ostra szabla. Ołtarzyk polskiego nacjonalisty gotowy. Wychodzę na korytarz, by zorientować się co dzieje się w sąsiedztwie. Na drzwiach kuszące karteczki z imionami współmieszkańców kolegium. Janette, Roxana, Gabrie-

la... Ku mojemu zaskoczeniu dziewczyny wychodzą nagle ze swoich kryjówek. Realia bliższe są raczej rodzinie Adamsów, gdy pojawiają się na korytarzu, więc jednak będę się pilnie uczył.

Chwilę później spotykam pierwszego sąsiada. Idzie dynamicznym, dziarskim krokiem, długie lekko kręcone włosy odsłaniające wysokie czoło falując mu na głowie. Yoeri z Amsterdamu, gestykuluje i opowiada z pasją, jak cieszy się, że tu przyjechał. Nie kończy zdania, bo wpada na nas biegnący wysoki chłopak, który przeprosza nas wypowiadając pięć słów na sekundę i gestykulując długimi rękami jeszcze bardziej niż Yoeri. Chris z Niemiec. W minutę opowiada nam historię swojego życia i tłumaczy, że przyjechał z Bonn, bo miał dosyć samych Niemców dookoła studiujących literaturę niemiecką i... właśnie dowiedział się, że jego sąsiadem tu w kolegium jest Niemiec z Bonn studiujący literaturę niemiecką. Pozostaje tylko przypieczętować tę znajomość wspólnym piwem, więc po chwili wychodzimy z kolegium i lądujemy w pubie.

– Wiecie, że The Kings Arms założono w 1607 roku i działa tak bez przerwy? – pyta Yoeri. – jest tu ponoć najwyższy współczynnik IQ na metr kwadratowy na świecie.

– Aż do dziś! – odpowiadam patrząc wymownie na nasze odbicie w starym lustrze. – Idę po piwo!

Podchodzę do baru, przy którym jest spore zamieszanie, ale po chwili mogę zamówić trzy pinty piwa.

– dziewięć pięćdziesiąt! – woła barman.

– Ok – odpowiadam, sięgając do kieszeni i uświadamiam sobie, że nie mam jeszcze brytyjskich funtów tylko amerykańskie dolary. Ale to w sumie obca waluta.

Kładę na drewnianym blacie papierowy, zielony banknot, czyli dziesięć amerykańskich dolarów i...

– A co ja mam z tym zrobić? – mówi mi barman wytrzeszczając oczy ze zdumienia i pokazując na gotówkę.

– No nie mam funtów...

– Nie jesteśmy w Ameryce!

– To zauważyłem chociaż język podobny.

Wracam z tarczą do stołu i stawiam przed chłopakami piwo. Niestety panowie poległem przy płaceniu. Postawiłem piwo fizycznie, ale nie do końca.

– A co się stało? – pyta Chris.

– Płaciłem dolarami, ale nie przyjęli.

Konsternacja.

– Próbowaleś w starym brytyjskim pubie zapłacić za piwo amerykańskimi dolarami.

– No tak.

Obaj patrzą na mnie przez chwilę. Potem zaczynają się śmiać i niemal płaczą po chwili.

Następnego dnia idziemy razem na niezwykle spotkanie Oxford Freshers Fair. Kilkaset stowarzyszeń, klubów sportowych, kół naukowych i innych najdziwniejszych kongregacji prezentuje tu swoją ofertę. Oxford Debating Society, Rowing Club, Stowarzyszenie Przyjaciół Włoskich Dziewczyn, hmmm.... Jest w czym wybierać.

Wpisujemy swoje imiona i nazwiska na kolejne listy klubów i stowarzyszeń, które nas interesują, aby następnego dnia zjawić się już w ich siedzibach.

Ranek jest chłodny, choć, co dziwne, nie pada jak zwykle. Wieje silny, zimny wiatr. Dochodzimy w sportowych strojach z Chrisem i Yoerim do bram Christ Church College, za nimi rozpościera się wielka przestrzeń zieleni i wody.

– Meadows! – woła Yoeri, gdy zaczynamy lekkim truchtem pokonywać tę przestrzeń.

– Niesamowity widok, taki niedotknięty cywilizacją, dziewiczy! – odpowiadam.

– Właśnie tak, dokładnie, zostawili to wszystko tak jak zastali pierwsi mnisi zakładający Oxford! Takie niezwykle słowo! Każdy na świecie słyszał o nim, a przecież to od słowa Ox, czyli bydło i słowa ford, czyli brodu.

– Bród, płytka przeprawa, dla bydła – wołam zaskoczony – niesamowite!

Biegniemy wzdłuż niskiego metalowego ogrodzenia, a za nim na wielkich mokradłach pasie się kilka wołów, podgryzających rosnącą tam dziko trawę.

Proste rzeczy zmienione dzięki genialnemu ludzkiemu umysłowi, konsekwencji setek lat i pracy w legendę.

Dobiegamy do nabrzeża wąskiej rzeki. Isis jest spokojna i malownicza. W tym fragmencie przypomina bardziej szeroki kanał, bo obie strony są zabudowane niewielkimi budynkami z jasnoszarego, lokalnego piaskowca. Te po lewej to budynki towarzystw wioślarskich. Nasz jest niemal na końcu.

– QCBC! – odczytuje z duma Chris! Queen's College Boat House. – rozwija skrót.

– Uaaa! Chris! Jesteś jak Sherlock Holmes! – komentuje Yoeri.

Przy nabrzeżu krząta się spora grupa wioślarzy z symbolem The Queen's College czyli trzema orłami i skrótem QCBC na bluzach. Paul, wysoki, atletycznie zbudowany chłopak z bujną rudą czupryną zarządza kolejką chętnych do spróbowania swoich sił.

– Zdejmij proszę buty i wskakuj do łodzi! – woła, gdy przychodzi moja kolej.

Tak zwana łódź to urządzenie przypominające raczej wielką kuwetę z plastiku, która unosi się na powierzchni wody przycumowana na stałe do nabrzeża. Wskakuję do niej, siadam na specjalnym siedzisku, które poruszać się będzie wraz ze mną wprzód i w tył. To już podejrziałem, kiedy kilka osób ćwiczyło przede mną. Kilka lat wcześniej kończyliśmy wizytę prezydenta w Niemczech i około drugiej w nocy poszliśmy zmęczeni na basen by zapomnieć o ostatnich kilkudziesięciu godzinach. I wtedy okazało się, że jeden z ministrów był nawet w kadrze wioślarskiej. Pokazał mi na podobnej maszynie podstawy i dał kilka cennych rad. Teraz to się przydaje.

– Zaczynaj wiosłować! – woła Paul. – i macha ręką włączając stoper.

Wiosłuję z całych sił, ale kontrolując, by pióro wiosła na końcu wchodziło gładko i prostopadle w wodę. Potem z całych sił nogami, zablokowanymi w łodzi, odpycham się od podłoża, a ramionami dociągam wiosło do klatki piersiowej. Trwa to minutę, może dwie, może dłużej.

– Wystarczy. – słyszę wreszcie i dysząc opuszczam łódkę.

– No i jak mi poszło?

– Super! Witaj na pokładzie! – kończy Paul i wyciąga dłoń w moją stronę.

– Będziesz pływał w pierwszej obsadzie Queen's w samym środku ośmioosobo-

wej załogi, nie licząc coxa, czyli sternika. Masz dużo siły więc będziesz, razem z drugą osobą, jak silnik całej obsady. Ty będziesz na prawym wiosle na środku, a Erica damy na lewym. – Tu wskazał dłonią na atletycznie zbudowaną postać o włoskich rysach. Krótko ostrzyżony brunet. Macham mu i wyciągam dłoń.

– Cześć jestem Andy.

– Cześć Andy, nazywam się Eric Garcetti! – mówi to z wyraźnie amerykańskim akcentem. Więc zapewne nie Włoch.

– Ok chłopaki! Wybrałem was już do obsady, poprawimy waszą technikę na wodzie i na siłowni popracujemy nad dynamiką, ale zostaje jeszcze jeden test.

– Jaki? – pyta Yoeri, który wraz z Chrisem też się zakwalifikował.

– Ten test to bieg pięciu mostów.

Zaczyna się niewinnie. Wystartował nas Paul i wszyscy biegniemy, jeden obok drugiego wzdłuż rzeki. Pokonujemy, sto, dwieście, pięćset metrów, potem pierwszy kilometr, drugi i wreszcie jest most. Świetnie. Jestem na razie w dobrej formie, ale właśnie docierają do mojej mocno już spoconej czaszki dwie informacje. Pierwsza, że uprawiałem dawniej kilka sportów wyczynowo, ale nie w ostatnich kilku latach. Druga, dużo gorsza. Dlaczego ktoś nazywa bieg, biegiem pięciu mostów. Dlatego zapewne, że zamierza nas przegonić przez pięć mostów. Tylko, jest haczyk. Mostów nie buduje się jeden obok drugiego. Biegniemy, biegniemy, biegniemy, a drugiego mostu nadal nie widać. Biegniemy. Teraz czuję, że puls mam bardzo wysoki, serce wali, a cała grupa nie zwalnia. Wręcz przeciwnie, kilku chłopaków z przodu zaczyna przyspieszać. A drugiego mostu nadal nie widać. Może zwodzony nam się wcześniej trafi? Nic z tego. Dopiero na horyzoncie widać sylwetkę kolejnej przeprawy. Dobiegamy do drugiego mostu jeszcze w grupie, ale potem peleton rozciąga się bardzo. Wydaje się, że trzeci most osiągamy po czasie dwa razy dłuższym niż poprzedni. Serce wali jak oszalałe, a w nogach czuję ostry, przenikliwy ból i klucie. Biegnę, choć instynkt samozachowawczy podpowiada mi, że powinienem przestać, przystanąć, zatrzymać się i odpocząć. Przychodzi taka myśl, ale za nią pojawia się druga. Ciężko wypracowana w treningach szermierki, ale przede wszystkim karate. Nie poddajemy się nigdy, nie zatrzymujemy i zawsze dajemy radę, choćbym miał paść, będę poruszał nogami i rękoma i biegł. Ból

jest czymś zewnętrznym, zaczynam go obserwować, jak coś co mnie osobiście nie dotyczy. Odcinam myślenie i zamieniam się w automat. Nie analizuję już i nie przewiduję. Pot zalew mi dosłownie oczy, prawie nic nie widzę, poza plecami osoby, która biegnie przede mną. Rytmicznie poruszamy się do przodu. To pomaga. Krok i następny, kolejny i jeszcze jeden. Biegnę, po prostu biegnę, choć mój organizm najwyraźniej już dawno stracił energię, by ciągnąć to dalej. Nie dam mu satysfakcji, nie dostanie ode mnie komendy, by się wyłączyć.

Biegniemy wieczność, już nie czuję nawet bólu i po prostu poruszam mechanicznie nogami. Wbiegamy na ostatnią prostą i most. Wystarczy. To wreszcie koniec. Dyszę jak zwierze. Przystaję pochylając się do ziemi i łapiąc cenne łyki powietrza. Mam to za sobą.

Wracamy z Yoerim i Chrisem do kolegium szczęśliwi i roześmiani. Będziemy nie tylko chodzić do The Kings Arms na piwo, ale również wiosłować razem w pierwszej z trzech obsad QCBC. Rewelacja.

Mijamy portiera w czarnym meloniku i długim, także czarnym płaszczu.

– Dzień dobry John! – wołam.

– Dzień dobry Sir Andrew! – odpowiada, kłaniając się uprzejmie starszy ode mnie o kilkadziesiąt lat jegomość.

Wbiegamy po skrzypiących, drewnianych schodach na ostatnie piętro i rozmawiamy jeszcze chwilę, aż wreszcie chłopaki zostawiają mnie samego na korytarzu.

Ciemność i cisza. Może nie zupełnie cisza, bo słyszę w głowie lekki szum. Śpię? Nie, nie śpię. To czemu leżę na czymś twardym i mam zamknięte oczy. Gdzie ja jestem? Nie wiem. No musze być w domu, gdzieś w Polsce. Właściwie nie wiem co się dzieje. Ktoś nagle szarpie mnie za ramię. Otwieram oczy. Nade mną jakaś ciemnoskóra twarz szczyrzy do mnie białe zęby.

– Telefon do ciebie. –mówi.

– Co? – wyszeptuję.

– Telefon do ciebie z Polski.

Dopiero teraz dociera do mnie, że jestem w Anglii, w Oxfordzie. Leżę na podłodze w kolegium. Ale dlaczego ja leżę na podłodze.

– Czemu ja tu leżę? – pytam nieprzytomnie.

– Bo zemdlałeś! – mówi szczerzący nadal białe zęby młody, dwudziestoparolatek o ciemnej hinduskiej karnacji i czarnych włosach.

Dociera do mnie, że straciłem przytomność po tym biegu. Pierwszy i ostatni raz w życiu naprawdę zemdlałem. Podnoszę się z ziemi.

– Aha, telefon do mnie? – upewniam się. I zbiegam na dół by go odebrać.

Ten wypadek przypomina mi, że jadąc tu na studia chciałem mieć telefon zainstalowany w moim pokoju. System kontaktów w kolegium jest iście prehistoryczny. Ktoś dzwoni na numer do portiera. Ten odbiera i ustala kto i do kogo dzwoni. Potem, stosując zasady angielskiej pisowni notuje nazwisko. Wrzuca kartkę do przegródki, zwanej pigeon-hole i wiadomość czeka, aż podczas wizyty w portierni zapytam czy są jakieś wiadomości. Jeśli jest wiadomość to sprawa jest już bardzo prosta. Prosta jak rozszyfrowanie egipskich hieroglifów z dynastii tebańskiej. Polskie nazwisko zanotowane przez angielskiego portiera nabiera nowej treści, ale zawsze kończy się na 'sky' więc łatwo jest się domyślić, że to nie o niebo chodzi tylko o nazwę własną osobnika, który dzwonił.

Konsultuję sprawę z Yoerim, a ten tłumaczy mi, że to niemożliwe, bym miał w swoim pokoju telefon.

– Ponieważ?

– Bo nikt go nigdy nie miał i nie ma. – odpowiada.

– To za słaby argument.

– No to chodź do gabinetu Home Bursar'a.

– Kogo?

– To taka funkcja w kolegium, rodzaj ekonoma, gospodarza, zarządzającego między innymi techniczną, gospodarczą, a nie naukową stroną życia.

– To idziemy.

Pukam w stare, ciężkie drewniane drzwi.

– Tak proszę! – słyszymy głos z wewnątrz.

Wchodzimy do wielkiego gabinetu. Po prawej kominek a nad nim olejny obraz z wizerunkiem konnych jeźdźców goniących za lisem, z lewej w głębi, piękne dębowe biurko a za nim, tak się domyślam, home bursar. Widać jedynie rozłożone wysoko obie kolumny The Times i dwie dłonie. Resztę zasłania

gazeta, ale domyślałam się, że kryje postać, która zaczyna rozmowę nie opuszczając pisma.

– W czym mogę pomóc? – pyta tajemnicza osoba.

– Dzień dobry, chciałbym zainstalować telefon w moim pokoju. – oznajmiam.

Gazeta opada powoli a zza niej wyłaniają się najpierw siwe, gęste włosy, a potem szczupła, blada twarz wyposażona w okulary w złotych, wąskich oprawkach. Patrzy na mnie wyraźnie zdziwiony i obserwuje przez chwilę

– To niemożliwe! – oznajmia stanowczo po chwili.

– Ale ja muszę mieć w pokoju telefon, ponieważ...

– To niezgodne z regułami kolegium.

– Ale ja muszę...

– Nie ma takiej możliwości. – kończy.

Moja niczym nieograniczona siła przebicia trafia na betonowy mur, mocniejszy od berlińskiego. Ofensywa zatrzymuje się i zamiera. Wychodzę z Yoerim i tłumaczę mu, że zapewne tu wrócę a sobie, że doszło zapewne do nieporozumienia i to jeszcze wyjaśnię.

Kilka dni później Provost zaprasza wszystkich nowych studentów na przyjęcie do swojej prywatnej części kolegium, czyli do rezydencji i ogrodu. Rozmawiamy chwilę. W lewym ręku wysoki, wąski kieliszek szampana, w prawym talerzyk z truskawkami udekorowanymi białą bitą śmietaną. W kominku płonie ogień, z którego wesoło strzelają iskry. Nad nim olejny obraz. Drewniana, kilkusetletnia podłoga skrzypi cicho wygłuszona równie starym dywanem perskim. Dostrzegam home bursara który popija porto i stoi sam przyglądając się czemuś uważnie przez okno.

– Nie przeszkadzam? – pytam i widzę, gdy na mnie spogląda, że nie jest szczęśliwy na mój widok, przypominając sobie najwyraźniej moją wizytę.

– Tak?

– To ja byłem u pana w sprawie telefonu?

– Tak pamiętam. – odpowiada beznamiętnie.

– Potrzebuję tego telefonu, bo jeśli ktoś do mnie zadzwoni z Polski i musi czekać kilka minut...

– Z Polski? – pyta najwidoczniej poruszony. – Ale pan jest Niemcem!? –

oznajmia lub pyta wbijając poruszony wzrok w moje blond włosy, jakby tam widać było także mój dowód tożsamości.

– Nie jestem Niemcem, jestem Polakiem.

– Jakże cudownie! – niemal krzyczy i łapie moją dłoń ściskając ją z całej siły. – A myślałem... ach... nieważne. To wspaniale! Bo widzi pan, ja byłem w czasie wojny pilotem RAF-u.

– Royal Air Force.

– Dokładnie

– Tak oczywiście! Nazwisko Urbanowicz i Dywizjon 303 znają w Polsce wszyscy.

– O Boże, jak wspaniale, bo wie pan, miałem wtedy wśród polskich pilotów wielu przyjaciół. To byli najlepsi piloci RAF, nieprawdopodobnie odważni i dzielni, ale przede wszystkim skuteczni.

Rozmowa nabiera rumieńców.

– To gdzie pan chce mieć zainstalowany ten telefon?

– A to możliwe!? – pytam szczerze zdziwiony.

– No wie pan, ogólnie nie, ale ja o tym decyduję.

– Nie, nie już dziękuję. Dzięki pana wcześniejszej odpowiedzi i kilku spędzonym tu dniom zrozumiałem, że takie odseparowanie od zewnętrznego Świata to przywilej. Dobrze to robi i moim studiom i mnie samemu.

– Ale gdyby pan czegoś potrzebował to proszę zawsze do mnie. Zapraszam na kieliszek porto. Wie pan, że sprowadzamy porto od trzystu dwudziestu lat z tej samej winnicy w Portugalii i tych butelek z herbem Queen's nie można kupić w żadnym sklepie na świecie. W piwniczce mamy ponad sześćdziesiąt tysięcy butelek.

– Ile?

– No tak, wie pan w latach sześćdziesiątych była taka poprawność, że część kolegów uznała, że to niepolityczne mieć wino w kolegium, więc kupowaliśmy całe kolekcje. Tak że zapraszam, serdecznie zapraszam.

Carmen odstawia koło mnie pięknie wypolerowane kieliszki. W barze już niemal pusto. Dwóch Anglików po prawej rozkoszuje się smakiem zamówionego osiemnastoletniego Balvenie.

- Masz Andy ochotę na whisky? – pyta dostrzegając mój wzrok.
- Na to akurat z pewnością.
- Balwenie?
- Tak, dokładnie.
- Lód? Woda?
- Nie, poproszę bez niczego, to zbyt szlachetny trunek. Prosiłbym tylko niską szklankę z grubego szkła.

Whisky o cudownie szlachetnym kolorze bursztynu wypełnia kryształowe naczynie. Barwa i zapach, a potem smak subtelny, z początku, ale po chwili mocny i wyrazisty.

– Opowiadaj Andy, proszę. Ja mam teraz dużo pracy przy barze, ale chętnie słucham.

– Jasne. Właściwie każdego dnia dzieje się coś unikatowego i niezwykłego. Dosłownie każdego. Nawet jak znikam z Oxfordu na kilka dni to po powrocie słyszę tyle opowieści, że zazdroszczę najpierw kolegom, a później sam sobie, każdej godziny życia w Queen's. Kiedyś wracam na przykład samolotem z Warszawy i ląduję na londyńskim Heathrow. Potem przejazd do Victoria Station i autobusem do Oxford.

Wchodzę do siebie, gdy Yoeri już puka po chwili i od razu otwiera drzwi.

- Jesteś gotowy? – woła.
- Zawsze jestem! – odpowiadam – Ale na co?
- Na wykład! Chris ci nic nie mówił? Znalazł coś bardzo interesującego.
- No nie za bardzo...
- To zbieraj się, proszę i idziemy..

Drogę znam, bo prowadzi do jednego z naszych ulubionych pubów „The King's Arms“. Ale tym razem wchodzimy do pobliskiego kolegium lekko spóźnieni. Na sali w refektarzu tłum. Jeszcze czegoś takiego w Oksfordzie nie widziałem, aby studenci siedzieli nie tylko na ławach, ale i drewnianych długich stołach, a nawet na podłodze. Dosłownie przeciskamy się do przodu, bo tam są jeszcze ostatnie wolne miejsca na ziemi. Wielka sala z drewnianym sklepieniem z mahoniowego drewna, olejne obrazy na ścianach wysokich na co najmniej dwadzieścia metrów.

Nagle zrywają się gromkie brawa, bo na wielką salę wkracza przez główny portal dean kolegium w towarzystwie słynnego profesora.

– Naszym gościem jest dziś wybitny znawca literatury, człowiek renesansu, wspaniały pisarz, ale również wielki mówca. Profesor.... – brawa są tak głośnie, że nie słyszę nazwiska. Wydaje mi się, że tylko ja nie mam pojęcia kto to jest, bo wszyscy wokół mnie są wprost zachwyceni.

– Panie i panowie, rozpoczyna profesor, gdy opadają oklaski. Nachyla się przez chwilę nad notatkami leżącymi przed nim na stole i kontynuuje. – Tematem mojego inauguracyjnego wykładu będzie twórczość w systemach totalitarnych, na przykładzie pisarzy i poetów, ale nie tylko, a dokładnie fenomen bogatej twórczości tam, gdzie działały reżimy totalitarne. Znacie państwo fakt, że większość literatury miłosnej powstała nie pod wpływem szczęścia i ogarniającej autora miłości lecz pod bezpośrednim wpływem porażki i zawodu miłosnego właśnie.

Po sali rozchodzi się szmer pochlebnych komentarzy i zapewne skojarzeń z ostatnimi zawodami miłosnymi części zebranej publiczności.

– Zatem tak samo działa to w społeczeństwie, gdy system totalitarny, na przykład sowiecki uciskał swych obywateli, a to wydało z siebie wielkich pisarzy i wspaniałe dzieła. Ale te fakty wszyscy znamy z historii, a ja chcę dziś mówić o terażniejszości, więc za przykład niech posłuży nam współczesny fenomen. Polska i jej przemiany polityczne ostatnich kilku lat po 1989 roku.

Nastawiam uszu. No zaczyna się ciekawie, bo właśnie wróciłem z Polski dzisiejszym lotem więc to niewiarygodny zbieg okoliczności.

– Proszę Państwa, wielokrotnie odwiedzałem Polskę jeszcze w czasach komunizmu w latach osiemdziesiątych. Głównie odwiedzałem uniwersytet w Krakowie. Fenomen tego miasta nie dotyczył tylko uczelni. W Nowej Hucie, zbudowanej przez reżim po drugiej wojnie światowej kwitło awangardowe życie kulturalne w podziemiu, eksperymentalne teatry na poziomie nie znanym wprost w naszej, zachodniej części Europy.

Już mi się podoba. Nareszcie coś pozytywnego. – myślę.

– Na moje wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim przychodziły tłumy studentów! – podkreśla z satysfakcją profesor – których już nigdy więcej nie widziałem.

Rozglądam się nieco zdziwiony po sali, na której nie ma już ani jednego wolnego miejsca. Zastanawiam się gdzie zatem mogli siedzieć, a nawet wisieć dodatkowi studenci w tamtych czasach, jeśli nasza wielka oksfordzka sala pęka teraz w szwach, a nadal nie może równać się z tamtą.

– I wszyscy studenci słuchali mnie wówczas w skupieniu jak wyroczni. I prawie wszyscy robili odręczne notatki, a nie jak dziś kopiowali jedynie na xero notatki jednego studenta, który akurat obudził się i przyszedł na zajęcia.

Na sali rozlegają się pojedyncze brawa i słysząc śmiech.

– W tamtych czasach sala wykładowa na każdym moim wykładzie wypełniona była tam po brzegi. W czasach stanu wojennego i reżimu komunistycznego młodzi ludzie chcieli mnie słuchać i robić notatki. Ale mur runął. Po kilku zaledwie latach od tamtych czasów zostałem ponownie zaproszony w tym roku do Krakowa.

Proszę Państwa! Kiedy wszedłem na salę spodziewając się tłumów zastałem tam garstkę studentów. Zacząłem wykład i prawie już nikt nie notował. Ci ludzie nie bali się już reżimu i byli wolni. To było wstrząsające, że w wolnej już Polsce spadło tak dramatycznie zapotrzebowanie na kulturę wyższą, na coś bardziej wartościowego.

Przerywa na chwilę dla nabrania oddechu i pije nieco wody.

– A potem pojechałem do Warszawy i zobaczyłem jeszcze bardziej dobitne zmiany. Zamiast podziemnej, bardzo żywej i aktywnej twórczości teatrów, wartościowych spotkań zobaczyłem w samym centrum miasta wielki plakat reklamowy filmu „Park Jurajski”. Koniec epoki reżimu oznaczał także koniec epoki sztuki wyższej, która przecież rozwijała się wcześniej tak doskonale. Proszę państwa systemy totalitarne wyzwalają emocje, ale i sprzeciw. To powoduje, że ludziom chce się protestować, uczestniczyć i spierać. Nie tak jak w naszych czasach na Zachodzie gdzie nikt niemal nie uczestniczy w twórczym, pełnym niezgody dyskursie. Pochłanianie nas konsumpcja, demokracja się wypaliła, wolny rynek to tylko produkcja i zmuszanie wszystkich do kupowania. Nie zależy już ludziom i nie uczestniczą, a twórczość też na tym cierpi.

Znów nabiera powietrza wyraźnie zadowolony z wygłoszonej kwestii. Tym razem dean collageu korzysta z okazji i pyta czy ktoś z nas tu obecnych nie zechce zadać jakiegoś pytania naszemu znakomitemu gościowi.

Gotuje się we mnie. Co on wygaduje? Natychmiast podnoszę rękę bez zastanowienia. Na końcu sali ktoś również chce zadać pytanie więc dean wskazuje na mnie, bo jestem najbliżej. Siedzę na podłodze więc wstaję szybko i okazuję się, że nadal zaślaniają mnie studenci siedzący na stołach.

– Stań na ławie – podpowiada Yoeri. Wskakuję więc na wolny jej fragment i mam doskonałe pole do obserwacji.

– Szanowny Panie Profesorze. – rozpoczynam wolno. – Cieszę się, że jestem na pańskim wykładzie. Jeszcze dziesięć minut temu, proszę mi wybaczyć szczerość, nie wiedziałem wiele ani o panu ani po co mnie tu koledzy zaprosili. Wrodzona ignorancja.

Kilka osób wokół mnie śmieje się cicho.

– Teraz jednak wiem, że jestem tu po to, by siedzieć, słuchać co pan nam tutaj opowiada i się dziwić. Widzi pan, panie profesorze, tak się składa, że kiedy odnosił pan swoje wielkie triumfy w Polsce okupowanej przez sowiecki reżim, byłem studentem. Nie na uczelni w Krakowie, a w Warszawie. Ale klimat i realia znam. Tak się również składa, że akurat dziś wróciłem z Polski. I muszę na początku, panie profesorze pana rozczarować lub ucieszyć, ale nie poszedłem na premierę reklamowanego przez pana filmu „Park Jurajski“, ale na znacznie ambitniejszy niestety film z Anthonym Hopkinsem w roli głównej o tytule „Pozostałości dnia“. Gdybym wiedział, że grają „Park Jurajski“ to też bym chętnie obejrzał.

Na całej sali słychać śmiech.

– Panie Profesorze, ale to nie powód mojego nieśmiałego wystąpienia. Z całym pana wystąpieniem, a co ważniejsze z jego główną tezą mam duży problem. Gdyby rozejrzał się pan dziś dookoła to dostrzegłby pana, że znakomita publiczność wypełniła tę wspaniałą salę po brzegi.

Wskazuję ręką dookoła widownię.

– Kiedy pan profesor odwiedzał krakowską uczelnię, dodam, że wówczas wizyty profesorów z zachodnich krajów były wyjątkiem i organizowano je za cichą zgodą reżimu, był pan jednym z nielicznych naukowców, których wpuszczono i zezwolono na takie wykłady. Zatem konkurencji nie miał pan żadnej. Oczywiście do głowy mi nie przyszło, że tylko dlatego tak tłumnie przybywali na spotkania z panem studenci. A może teraz już nie przychodzą nie dlatego,

że kultura upada. Może, zaryzykuję, że studenci mają dziś większy wybór. Kiedy mówił pan o robieniu notatek na kolanie, to dlatego, że w tamtym czasie kopiowanie jakiegokolwiek dokumentu na ksero wymagało oficjalnej zgody. I wreszcie najważniejsze. Twierdzi pan profesorze, że reżim stał się pośrednio przyczyną tak wspaniałej twórczości. A może trzeba powiedzieć, że twórczość byłaby tam nawet większa, gdyby nie wymordowano polskich artystów lub nie odcięto ich od społeczeństwa poprzez cenzurę i brak wolnych mediów. Może to nie dzięki reżimowi a wbrew niemu, dlatego, że przedwojenny duch jeszcze przetrwał tworzono te wszystkie dzieła i inicjatywy. I już kończę. Ta teza o systemie totalitarnym jest groźna. Bo jaki miałby być zatem wniosek? Przecież chcemy wspierać twórczość i sztukę, zatem ten system represji miałby być lepszy niż demokracja i wolność? To nie jest po prostu prawda. Koło nas w Londynie w tym tygodniu jest wiele wspaniałych premier teatralny i filmowych. Ludzie korzystają z wolności, drukują książki i pisma, polemizują, podróżują i głosują nogami na przykład przychodząc tłumnie na pański wykład. Ale nie dlatego, że totalitaryzm nas do tego zmusza. To wolność pozwala nam tworzyć, a nie walczyć o przetrwanie, to wolność trzeba wychwalać a nie wyciągać błędnych wniosków z wizyt w obcym systemie przemocy, który na szczęście skończył swój żywot, a wygrała wolna i demokratyczna Europa z jej bogactwem kultury i twórczości.

Brawa są głośne. Nie słyhać deana, który najwyraźniej chce coś ogłosić. Owacje trwają i ku mojemu zdziwieniu profesor wstaje ze swego miejsca nachyla się do deana szepcząc mu coś do ucha i szybko wychodzi z sali. Koniec wykładu. Chyba mnie koledzy nieprędko zaproszą na następny wykład – myślę.

Myliłem się, bo kilka dni później sytuacja niemal powtarza się w moim pokoju, tylko z zupełnie nowym i zaskakującym scenariuszem. Słucham właśnie wygodnie rozparty w fotelu mojego ulubionego koncertu Antonio Vivaldiego na dwie gitary i orkiestrę, gdy nagle puka, a może właściwie nie puka tylko wdziera się do mnie jak zwykle z energią burzy Yoeri. Znowu ma ten niezwykły błysk w oczach kiedy naprawdę na czymś mu zależy.

– Masz smoking? – pyta.

– Mam, a co się szykuje?

– To przygotuj się na środę. To bardzo ważny wieczór. I nikomu nic nie mów.

– Ale czego mam nie mówić, jak sam nic...

Drzwi zatraskują się i Yoeri znika tak szybko jak się pojawił. Następnego dnia próbuję się czegoś dowiedzieć, ale uśmiecha się jedynie i prosi mnie bym już o nic nie pytał tylko przyszedł do niego kolejnego dnia w umówionym stroju o dziewiętnastej.

Pukam do jego drzwi. Yoeri otwiera i mierzy mnie przenikliwym, po chwili akceptującym wzrokiem. Lakierki lśnią po kilkunastu minutach polerowania. Blask lampy odbija się w ich czarnym lakierze. Smoking perfekcyjnie wyprany i wyprasowany w naszej pralni. Biała śnieżnobiała koszula i czarna wiązana mucha. Mawia się, nie wiedzieć czemu, że śnieg Eskimosi potrafią nazywać na kilkadziesiąt sposobów, ale w wypadku białej koszuli to czysto retoryczny, a nie meteorologiczny zabieg.

– Czy możesz mi teraz coś więcej zdradzić?

– Tak, jasne. Zaprosiłem cię, Andy, jako jedyne go przyjaciela spoza grona Holendrów na kolację z Księciem Constantinem Orańskim.

– Kim? – pytam.

– Księciem orańskim, czyli młodszym synem Królowej Beatrix.

– Księcia Niderlandów! – wołam zdradzając moją szczątkową wiedzę genealogiczną.

– Tak to młodszy syn królowej.

Łatwo wyciągam wniosek, że skoro Yoeri jest Holendrem i zaprasza mnie na taki wieczór to zapewne pani Beatrix jest Królową Holandii.

– Świetnie! A skąd go znasz?

– Studiowałem z nim w Leidzie i przyjaźnię się z całą rodziną i jego matką, to znaczy Królowa mnie dobrze zna.

– Aha. – komentuję przenikliwie nadal mocno zaskoczony.

– No wiesz. – ciągnie Yoeri – ty znasz wszystkich w Polsce a ja w Holandii, bo jest mniejsza. Śmiejemy się razem i wychodzimy z kolegium. Po chwili znajdujemy się w zamkniętej i zarezerwowanej tylko dla nas sali restauracyjnej przy

High Street. Przed wejściem wita nas dwóch rośliwych jegomości ze słuchawkami w uszach. Yoeri przedstawia mnie i jeden z ochroniarzy kiwa głową i gestem pokazuje, że mogę wejść do środka. Za niewielkim stołem siedzi zaledwie kilka osób. Sami koledzy Yoeriego.

Yoeri wychodzi, by po chwili wrócić w towarzystwie honorowego gościa. Wysoki, krótko przystriżony, z dumnie wyprostowaną sylwetką. Okulary z dość grubą, ale gustowną oprawą i świetnie skrojony garnitur. Witamy się kolejno i siadamy przy stole. Dwie godziny mijają tak prędko, że nie nadążamy nawet skończyć pierwszych tematów rozmowy, a już powstaje lista kilkunastu następnych. Śmiejemy się do łez, gdy Constantine opowiada kolejne anegdoty ze swojego niezwykłego, książęco-królewskiego życia ograniczonego wieloma wymogami protokołu, ale przecież również normalnego, bo ludzkiego żywota. Kolejne puste kufle po wypitym piwie znikają ze stołu, ale w sekundę są zastępowane przez nową dostawę. Atmosfera sięga zenitu.

– Suchaj Constantine! – mówię po imieniu do księcia siedzącego naprzeciwko mnie i ku całkowitemu zaskoczeniu siedzącego koło mnie Holendra. – Dajmy spokój z tym – Wasza wysokość! Nie dość, że jesteś ode mnie odrobinę młodszy to wasza rodzina rządzi takim nisko położonym krajem, że to „Wasza wysokość” brzmi obiektywnie dość na wyrost.

Książę wybucha śmiechem i wyciąga do mnie przez stół przyjaźnie rękę. W ten sposób pieczętujemy ceremonię przejścia na „ty” mocnym uściskiem dłoni. Atmosfera jest fantastyczna. Innego zdania jest niestety obsługa, gdy okazuje się, że już nic nie zamierzają nam podać. Zapada decyzja. Idziemy do Univerity College do nocnego baru – ordynuje Yoeri. Problem w tym, że po pierwsze nie możemy, jako studenci innego kolegium po prostu tam wejść, a po drugie jest już bardzo późno. Yoeri podnosi nas jednak na duchu.

– Dajcie spokój panowie, przecież to żaden problem! – woła. – Tylko, żeby wszyscy szli wyprostowani i zmieńcie te wasze głupkowate, pijackie uśmieszki na twarzach, kiedy będziemy przechodzili obok portiera.

Polecenie staram się wykonać skrupulatnie, a moja twarz zastyga w groteskowym grymasie przypominającym zapewne z zewnątrz raczej nieudaną próbę roli czaszki w Hamlecie niż mądrą minę studenta Oxfordu. Jesteśmy przed bramą Univerity College. Książęca mość Constantine, Yoeri, a następnie

ja i jeszcze kolejne dwie osoby przechodzą bez przeszkód, a portier kłania się nam nawet, ale nagle jeden z naszych kolegów potyka się o równy chodnik z kamiennych płyt, w którym na jego nieszczęście, żaden fragment kamienia nie wystaje.

– Przepraszam pana uprzejmie! – woła nagle portier Univerity unosząc swój czarny, okrągły melonik w geście niedowierzania. – Czy jesteście panowie członkami tego kolegium? Nie sądzę! – wydaje na nas wszystkich wyrok.

– Wiejemy! – krzyczy Yoeri i cokolwiek miał na myśli biegnę za nim i za księciem jak najszybciej potrafię.

Wpadamy dosłownie na kamienny portal i z hukiem otwieramy ciężkie drewniane drzwi do kolegium, które na szczęście zatrząskują się za nami automatycznie. Schody prowadzą na górę i tam kieruje się nasza ucieczka. Peleton zgubiliśmy gdzieś na podwórzu. Nieoczekiwanie Yoeri szarpie za klamkę wąskich drzwi, które mijamy i wbiega pierwszy, za nim Constantine, a ja na końcu. Pomieszczenie to... mała ubikacja na korytarzu.

– Zamykaj Andy! – syczy Yoeri i sam przyciąga klamkę do siebie.

Drzwi zatrząskują się całkowicie, a my ściskamy we trzech w pomieszczeniu ciasnym nawet dla jednej osoby.

– Nie oddychać panowie! Cisza! – dodaje i jak na komendę wciągamy zapas powietrza.

Na korytarzu słychać zbliżające się szybko kroki.

– Znajdę was panowie! – słychać z zewnątrz głos portiera, ale na szczęście mija nas i oddala się w głąb korytarza.

Po chwili Yoeri uchyla bardzo ostrożnie drzwi. Na zewnątrz absolutna cisza. Wychodzimy powoli i stąpając delikatnie po trzeszczącej drewnianej podłodze ruszamy w stronę nocnego baru. Gwar wewnątrz nieopisany, dym, piwo, mnóstwo ludzi. Jesteśmy w raj.

Jest chyba wcześniej rano, ale na dworze jeszcze ciemno. Dochodzimy do High Street i stajemy na przystanku w oczekiwaniu na autobus do Londynu, który kursuje całą dobę. Mamy szczęście, bo wielki bus zjawia się po chwili. Wchodzę na stopień pierwszy i kupuję jeden bilet. Następnie wręczam go naszemu honorowemu gościowi. Żegnamy się w niezastąpionym w takich wypadkach niedźwiedzim uściskiem żałując, że tak szybko kończy się ten wie-

czorek zapoznawczy. Upewniamy się jeszcze, że to my zostajemy z Yoerim na chodniku w Oxfordzie, a gość wsiada do pojazdu, a nie odwrotnie i machamy na pożegnanie, gdy autobus rusza w trasę.

Poranek nie jest dla mnie łaskawy. Gołębie tupią głośno za oknem swoimi ogromnymi pazurami skrobiąc po kamiennym chodniku. Firanka powiewająca lekko na wietrze także wydaje straszne dźwięki. Ale trzeba będzie to wytrzymać. Na biurku widzę kartkę, którą napisał Yoeri. Nastawiam ostrość. Powoli z kształtu białego papieru wyłaniają się cienkie litery.

– „Pojechałem do Londynu do biblioteki w poszukiwaniu dwóch rękopisów. Wracam popołudniu“.

Yoeri wraca późnym wieczorem.

– Constantine się nie odzywał.

– A czemu by miał?

– Zawsze tak robi! Trochę się martwię.

– Czym?

– Zgubiliśmy w Univerity jego ochronę, no i ten autobus.

– No sam mu bilet przecież kupowałem.

– I w tym problem bo przecież przyjechał tu inaczej. Co gorsza, gdy wyjeżdża oficjalnie z Holandii to musi uzyskać pozwolenie komisji spraw zagranicznych parlamentu. To oficjalne nie było, ale... – milknie wyraźnie zmartwiony. Następnego dnia jest jeszcze gorzej. Cisza. I kolejnego dnia też. Co się mogło stać? Snujemy teorie o zagubionym autobusie, przespanym przystanku i innych scenariuszach.

– Królowa mnie zabije, bo przecież dobrze się znamy i wie, że byłem tu jego gospodarzem. Masakra. Nie mam po co wracać do Holandii, gdyby coś się stało.

Na szczęście następnego dnia jest wiadomość. Przychodzą wspaniałe podziękowania za gościnę i niezapomniane chwile. Książę jest zachwycony i wdzięczny z całego serca. Jesteśmy ocaleni. Możemy żyć i studiować dalej.

Kilka dni później do Oxfrodu przyjeżdża Bill Clinton, prezydent Stanów Zjednoczonych. Spotkałem go w Białym Domu w czasie naszej wizyty z pre-

zydentem. Tym razem to Clinton odwiedza swój dawny uniwersytet, na którym studiował, ale nigdy nie skończył. Jego autorem w Pembroke College był polski profesor Zbigniew Pełczyński. Ale młody Bill wybrał chyba zapach zioła i wycieczki po Europie i nigdy nie ukończył studiów. Teraz jako głowa państwa i wielkiego mocarstwa dostanie honorowy dyplom. Dlaczego? Bo nie skończył studiów, ale został prezydentem USA.

Idę do Bodleian Library poszukać źródeł do mojej nowej pracy, gdy zatrzymuje mnie przed wejściem ekipa telewizyjna BBC z rozstawioną kamerą i futrzanym mikrofonem, który ląduje niespodziewanie przed moją twarzą.

– Co sądzisz o wizycie prezydenta USA i fakcie, że dostanie dyplom?

– Zastanawiam się czy kończyć studia?

– Jak to? – pyta zaskoczona dziennikarka.

– Myślę czy nie przerwać studiów, wrócić do Polski i zostać prezydentem, a wtedy dyplom Oxfordu dostanę później. – śmieję się i odchodzę.

(...)

– Na szczęście zna mnie też sporo dobrych, wspaniałych i nieznanych. Jednak tak mi się to układa, że najśmieszniejsze zdarzenia mam często z bardzo znanymi. Kiedyś do Polski przyjechała z wizytą oficjalna Królowa brytyjska Elżbieta II.

– No tylko mi nie mów, że ją też poznałeś?

– Nie tylko poznałem, ale ma niestety dla ciebie kolejną opowieść.

Śmiejemy się razem.

– Królowa przyleciała do Polski i rano jedno z pierwszych spotkań miała w British Council w Alejach Jerozolimskich z absolwentami brytyjskich uczelni. W tamtych czasach było nas bardzo niewielu. A jako jedyny reprezentowałem wówczas Oxford i jeszcze ciekawiej, The Queen's College, który ukończyłem.

Królowa wchodzi do pomieszczenia, gdzie stoimy w zaledwie kilka osób i gdy następuje prezentacja, pada nazwa mojego kolegium.

– Był pan w The Queen's College? Czy wie pan, że moja mama jest patronką pańskiego kolegium.

– Oczywiście wasza wysokość. – odpowiadam. – to wielki zaszczyt dla nas wszystkich.

Rozmawiamy dłuższą chwilę, a królowa wyraźnie zainteresowana wypytuje mnie o życie w kolegium i moje doświadczenia z pobytu. Bardzo to miłe.

Wieczorem w Operze Narodowej wielka gala z jej udziałem. Wielkie defile z udziałem królowej i jej męża na czerwonym dywanie. Po obu stronach niemal dwa tysiące gości podziwia stroje i z bliska przygląda się niezwykłym gościom. Monarchini imperium i idzie w niezwyklej sukni z koroną na głowie, a obok niej ambasador Wielkiej Brytanii, który co chwilę pochyla się i szepce coś królowej. Nagle spostrzega mnie i znów pochyla się w jej stronę wskazując otwartą dłoń w moim kierunku. Znamy się z ambasadorem oczywiście z ministerstwa spraw zagranicznych, ale ten jego gest mnie zaskakuje, bo wyraźnie oboje patrzą teraz w moim kierunku i nagle królowa schodzi z czerwonego dywanu i staje przede mną.

– To pan Andrzej Jankowski – przedstawia mnie ambasador.

Kłaniam się uśmiechając, a królowa patrzy na mnie i odzywa się.

– Pamiętam pana. – uśmiecha się do mnie naturalnie.

– To zaszczyt dla mnie wasza wysokość. – odpowiadam i raz jeszcze kłaniam się.

Ambasador stoi obok i gdy padają słowa, że królowa mnie pamięta, wbija we mnie oczy tak zaskoczony, że przez chwilę wygląda na nieobecnego. Królowa uśmiecha się i wraca na czerwony dywan. Oczywiście jest mi bardzo miło, ale nie ma w tym niczego niezwykłego, bo przecież rano rozmawialiśmy o moim Queen's i jej mamie, królowa ma znakomitą pamięć, być może także do moich blond włosów, a ambasadora po prostu rano nie było przy tej rozmowie.

Kilka dni później spotykam się z ambasadorem na przyjęciu, a ten niemal biegnie do mnie, żeby zapytać.

– Ale jak to możliwe? Jak to nasza królowa cię pamięta? – pyta wciąż poruszony i zaintrygowany.

– To nasza tajemnica. – odpowiadam uśmiechając się tylko.

Wiem, że nie odpowiem teraz ambasadorowi, bo nie stracę od razu takiej okazji, by go jeszcze zaintrygować. Zresztą podobną historię przeżyłem, gdy

już nie pracowałem jako dyplomata. Pewnego dnia dostałem, zaproszenie na przyjęcie bożonarodzeniowe do ministerstwa spraw zagranicznych na Szucha. Znajomy budynek, w którym spędziłem tyle lat i znajome twarze. Wchodzę na piętro szerokimi schodami i od razu do sali recepcyjnej gdzie kilkadziesiąt osób rozmawia w małych grupach, składa sobie życzenia lub wznosi ciche toasty. Nagle na mój widok Ambasador Komorowski z uśmiechem wykrzykuje na całą salę.

– To on! – konsternacja. Patrzę zdziwiony a on kontynuuje. – To on mi zrujnował mój najważniejszy w dyplomacji dzień w życiu.

– A jak to zrobiłem? – pytam uśmiechając się, ale jestem rzeczywiście zadowolony. A ambasador zaczyna opowieść.

– Pojechałem do Holandii objąć placówkę z listami uwierzytelniającymi od naszego prezydenta dla królowej Beatrix. Dzień uroczystości zaczął się dla mnie niesamowicie. Być ambasadorem w królestwie, to taki przywilej. Pod moją rezydencję w Hadze podjechała karoca z sześciokonnym zaprzęgiem. Wsiadłem do niej oszołomiony a na dodatek obok nas jechała konna straż. Coś niezwykłego, gdy jedziesz do pałacu królowej takim zaprzęgiem, a kilka ulic blokuje specjalnie na tę uroczystość. Dojeżdżamy więc do pałacu, królowa przyjmuje mnie w przepięknej sali przyjęć siedząc na tronie a na głowie ma oczywiście koronę. Przekazuję kredencjały, zamieniamy kilka słów i jest bardzo uroczyste, ale też formalnie. A nagle królowa pochyła się nieco i pyta mnie.

– Panie ambasadorze, zakończyliśmy już część oficjalną uroczystości, ale mam do pana jeszcze prywatne pytanie.

– Tak wasza wysokość. – odpowiadam zachwycony, że poza protokołem znalazła dla mnie chwilę i jest czegoś ciekawa.

– Czy pan zna pana Andrzeja Jankowskiego?

– Jestem w szoku. To przecież moja uroczystość! Ale nie mam czasu na milczenie. – Tak wasza wysokość! – odpowiadam kompletnie zaskoczony.

– To proszę go pozdrowić – mówi spokojnie królowa – ode mnie i od mojego syna.

Śmiejemy się wszyscy wokół i nikt nie może w to uwierzyć. A Stefan kończy anegdotę.

– Do tego momentu, w tej karocy i w pałacu, czułem się choć przez chwilę

najważniejszą osobą na świecie, a ty to wszystko zepsułeś. – kończy i śmieje się głośno wraz z nami.

– Jak będziesz się widział z królową to też ją ode mnie pozdrów. – kwituję i śmiejemy się jeszcze głośniej.

– No dobrze, ale teraz mi się wytłumacz skąd królowa cię zna i jak to było w ogóle możliwe.

– Hmmm. W Oxfordzie poznałem jej syna księcia Constantijna. I zrobił nam obu niezły dowcip, prosząc pewnie rano swoją mamę przy śniadaniu o taki żart.

– No to się tylko dziwię w takim razie, znając cię, czemu nie pozdrowiła cię od córki.

– Tylko dlatego, że nie ma córki.

(...)

– Studia na Oxfordzie szły mi świetnie, do tego stopnia, że dostałem propozycję zrobienia doktoratu i to od razu popartą ogromnym stypendium, bo doktorat na tej uczelni kosztuje fortunę. Napisałem konspekt, który bardzo zainteresował mojego promotora. Ale rozmowa z komisją kwalifikacyjną obu stronom przyniosła zaskoczenie.

– Był pan dyplomatą? To bardzo dobre dla tematu pańskiej dysertacji.

– Byłem i jestem.

– Jest pan nadal dyplomatą? Przecież kończy pan właśnie studia?

– Tak, ale zaraz po egzaminach wracam do służby zagranicznej.

– Jak to, do czynnej dyplomacji? To niemożliwe!

– Czemu?

– Bo musi pan zostać fizycznie w Oxfordzie przez trzy lata.

– To niemożliwe. – tym razem ja jestem zaskoczony.

– No musi pan tu być.

– Będę pisał doktorat i często tu przyjeżdżał.

– Tak się nie da, trzeba wybrać. To niezgodne z zasadami. Każdy kto chce robić doktorat musi to być przez trzy lata.

– W takim razie panowie już wybrałem. Wracam, bo mam tam sprawy

ważniejsze od doktoratu. Przepraszam zatem, że zabrałem tyle czasu i energii. Miłego dnia. – I wychodzę.

– I co zrobiłeś?

– Zdałem egzaminy, zdobyłem dyplom Oxfordu i wróciłem do kraju. Dostałem znów propozycję od kolejnego ministra spraw zagranicznych Andrzeja Olechowskiego. Poprosiłem o tydzień na zastanowienie choć decyzję już podjąłem. Wchodzę do jego gabinetu, tego samego, który znałem tak dobrze przez lata pracy dla poprzednika, a tu szok. Zamiast stosu dokumentów, listów i książek pusto.

– Co panie ministrze z roboty pana wyrzucili! – śmieję się pokazując puste biurko.

– Nie, ale mi tu naznosili na początku pełno papierów i każdy był podobno ważny. Co dyrektor departamentu to ważniejsza sprawa.

– I zawsze pilna! – dodaję – znam to. – Śmiejemy się obaj.

– Tak, dokładnie! Każda jest pilna, ale jak proszę o uzupełnienie faktów, to już kilka dni czekam, a jak po tygodniu zapytam, to nawet nie pamiętają, bo mamy kolejne ważne i pilne sprawy.

– No z tym sobie poradzimy.

– Będzie pan dla mnie pracował? – pyta minister.

– Tak. Panie ministrze, sprawdziłem stan konta i stać mnie na takie hobby.

– Pracowałeś tak długo z tym ministrem, jak z poprzednim? – pyta Carmen

– Nie, to była ciekawa współpraca, ale krótsza. Pewnego dnia zadzwonił telefon. Za kilka minut miał się u mnie w gabinecie zjawić jeden z naszych ambasadatorów. Ten z Wiednia. Placówka ważna w Środkowej Europie, ale w czasach starań o nasze członkostwo w NATO i Unii Europejskiej nie tak znowu strategiczna. Ale ambasador, który za kilka godzin ma zostać kolejnym ministrem spraw zagranicznych i moim szefem to inna sprawa. Bartoszewski? Nie znam osobiście, a tylko pamiętałem to nazwisko z tajnych depeesz.

Drzwi od mojego gabinetu otwierają się gwałtownie i bez zapowiedzi. Do środka wchodzi pośpiesznie miły, starszy pan mocno gestykulując i niemal krzycząc lekko zachrypniętym głosem. Rozmawia z moją sekretarką, która

usiłuje zaanonsować ambasadora, ale nie nadają, bo chwilę później siedzimy z gościem przy moim biurku. Cała akcja ma być bowiem utrzymana w absolutnej tajemnicy więc życiorys kandydata na ministra zaczynam pisać sam. Piszę i coraz bardziej się dziwię.

– A potem? – pytam, zapisując kolejne punkty z życia ambasadora.

– A potem trafiłem do obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Przesaję pisać. Spoglądam uważnie na ambasadora. Oczywiście nie żartuje.

– Panie Ambasadorze... czy pan coś jadł od wylotu z Wiednia? – pytam.

– No właściwie nie za bardzo.

Podnoszę słuchawkę i proszę, by przyniesiono nam kilka kanapek i herbatę dla gościa. Dalej piszę już w większym skupieniu i każde krótkie zdanie z tego życiorysu może posłużyć za rozdział odrębnej powieści.

– Panie Ambasadorze, komisja spraw zagranicznych przesłucha pana w Sejmie dopiero w nocy. Ma pan się w co przebrać.

– Hmm. Przyjechałem tak jak stałem, a moje mieszkanie w Warszawie...

– Dobrze to też zorganizujemy.

Kilka dni później nie tyle wchodzimy co wbiegamy do budynku telewizji publicznej na Placu Powstańców. Minister wszystko robi tak szybko. W korytarzu, pomimo zbliżającego się długiego wywiadu telewizyjnego na żywo, udziela jeszcze wywiadu do radia, a potem pełen energii kieruje się do studia. Zdążam tylko wspomnieć ministrowi, że redaktor Semka będzie zadawał ostre i odważne pytania. Kamera rusza i kilka milionów Polaków przed telewizorami słucha wywiadu, a właściwie przez cały program mówiącego bez przerwy ministra. Na końcu redaktor zadowolony z kolorowego przebiegu rozmowy, ale wybity z rytmu, żegna widzów.

– Proszę państwa, naszym i państwa gościem był dziś profesor Władysław Bartoszewski, nowy minister spraw zagranicznych, Dobry wieczór państwu! – wymawia te słowa redaktor w programie na żywo i zdając sobie sprawę z pomyłki, uderza dłonią w czoło i dodaje – O Jezul! – kamera stop. Wywiad już nie nagrywany a minister z troską, ale i wesołością w głosie zwraca się do redaktora.

– Pan jest taki młody, po co pan się denerwuje!

Wychodzimy z budynku telewizji. To piętnasta godzina naszej wspólnej

dziś pracy. Ledwo już żyję, a minister patrzy na mnie i mówi głośno klaszcząc w ręce.

– To co, panie dyrektorze, robimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem.

Kilka dni później profesor musi odpowiadać na zapytania poselskie, nikt nie może pójść w zastępstwie. Sztab naszych urzędników przygotowuje na każde z zapytań długą pisemną odpowiedź. W drodze do parlamentu tłumaczyć ministrowi, że będzie stał na mównicy, a kolejni posłowie będą powtarzać ustnie swoje zapytania, ale zazwyczaj nie ograniczają się do krótkiego pytania, lecz korzystają z okazji, by wypowiedzieć się na wiele różnych tematów. Nie wolno się wtedy niestety odzywać i komentować na bieżąco, tylko trzeba cierpliwie czekać na koniec wszystkich wypowiedzi.

Na sali pustawo, minister unieruchomiony na stojąco na sejmowej mównicy, a piąty już z kolei poseł zadaje pytanie, a potem dodaje kilkunastominutowy czasem komentarz. Po raz pierwszy minister nie może nic powiedzieć bodaj od godziny, na twarzy widać zniecierpliwienie, a potem cierpienie. Przystępuje z nogi na nogę i porusza nerwowo rękami. Dostrzega to marszałek sejmu Cimoszewicz sądząc, że starego profesora męczy tak długie stanie.

– Panie Ministrze, może pan usiądzie?

– Dziękuję panie marszałku! Swoje już w życiu odsiedziałem.

Salwa śmiechu z ław sejmowych i wśród publiczności.

– To nie była, panie ministrze, propozycja w tym sensie.

– W tym sensie, panie marszałku, – ripostuje błyskawicznie minister – byłaby to propozycja nie do odrzucenia.

Kilka tygodni później podczas wielkiej międzynarodowej konferencji w Paryżu spotykamy rosyjskiego ministra Kozyrjewa, który nalega na kwadrans rozmowy w czasie przerwy. Panowie witają się i profesor zaczyna mówić pierwszy. Opowiada, komentuje, żartuje, rozprawia, gawędzi i po nieprzerwanych piętnastu minutach na chwilę przerywa. W tym momencie gość korzysta z okazji i mówi.

– Panie ministrze, bardzo miło było pana poznać. Mam nadzieję, że będziemy mieli też kiedyś okazję porozmawiać.

Lecimy kiedyś chyba do Smoleńska. Minister poważnie na moment

NAZYWAM SIĘ ŻYCIE

i chwilę opowiada mi o czasach Stalina i potwornych zbrodniach, jakich jego pokolenie było świadkiem.

– Panie ministrze, zwracam się bez zastanowienia, gdy na moment przerwa, zapatrzonej w ziemię pod nami. – Czemu i skąd ma pan tyle energii i optymizmu?

Patrzy na mnie przez moment. Nie zastanawia się, nad odpowiedzią, ale czuję, że to będzie bardzo prywatne wyznanie.

– Wie pan, kiedy miałem osiemnaście lat, to leżałem w błocie na placu w obozie koncentracyjnym Auschwitz, a esesman kopał mnie podkutym butem po twarzy. Przeżyłem. Każdego dnia, kiedy budzę się rano, dziękuję panu Bogu za to, że żyję, ale przede wszystkim za możliwość zrobienia w swoim życiu choć jeszcze jednej dobrej rzeczy.

(...)

Andrzej Jankowski, żeglarz, pisarz i podróżnik. Były rzecznik podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów UW, przez kilka lat w końcu lat osiemdziesiątych również Szef NZS na swoim Wydziale Dziennikarstwa i NP, delegat na Zjazd Krajowy NZS, założyciel Ruchu “Wolność Słowa”. Były Szef Protokołu Prezydenta RP Lecha Wałęsy w Belwederze, dyplomata w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP pracujący pięć lat bezpośrednio m.in. z Prof. K. Skubiszewskim, dr A. Olechowskim i Prof. W. Bartoszewskim. Absolwent Oxfordu, The Queen’s College. Kapitan jachtowy prestiżowego Royal Yachting Association, obecnie w niezwykłym Rejsie dookoła Świata. Przede wszystkim wielki pasjonat i marzyciel realizujący, czasem za dużą cenę wyrzeczeń i ogromnej pracy i wysiłku, najśmielsze ludzkie marzenia o szczęściu.

Zabiera nas w swojej książce – która ukaze się pod koniec roku - zatytułowanej “Nazywam się Życie” w głęboką podróż. Opisując w lekki, często zabawny sposób drobne, ale zawsze autentyczne zdarzenia ze swego życia i pokazuje różnorodność Świata i doświadczeń, jakie stały się jego udziałem. Zabiera nas

na chwilę na Spitsbegen w stronę bieguna północnego i na niebiańską plażę na Oceanie Indyjskim. Ale to jedynie wierzchołek góry lodowej, którą opisuje zresztą dla nas tak barwnie, bo tak książka poświęcona jest przede wszystkim i dedykowana Życiu i radości życia, pokazująca, że marzenia można i należy spełniać, a nie tylko o nich mówić lub myśleć. Ukazuje nie tyle swoją biografię, lecz na swoim przykładzie przedstawia, jakim cudem może być życie pojedynczego człowieka i jaką tajemnicą jesteśmy my ludzie, zwierzęta i rośliny, a nawet planety i gwiazdy połączone wielką energią życia we wszechświecie.

Z pokładu jachtu żaglowego w rejsie dookoła Świata wiele rzeczy, spraw widać lepiej, wyraźniej, bo to przestrzeń nieograniczona ziemskimi troskami i zasadami. Tam obowiązuje prawo morza i żywiołu, prawo Oceanu. Kapitan Andy zabiera nas w niekończącą się nigdy podróż życia, którego i ty i ja – jak pisze autor - jesteśmy wspaniałą częścią i która nigdy się nie kończy.

Nim wyruszył w obecny Rejs dookoła Świata, przeżył na różnych jachtach żaglowych setki niezwyklej historii na lądzie, a także podczas morskich wypraw od Spitsbergenu pod biegunem północnym, przez zimne i groźne Morze Północne, Bałtyk, Morze Śródziemne, aż po Karaiby, Seszele czy Tajlandię.

Andy jest praktykiem szczęścia, a na pokładzie jachtu i podczas wystąpień publicznych, które prezentuje publiczności i w firmach w Polsce i na Świecie. Dzieli się swoim doświadczeniem, pokazując różne aspekty żeglarskiego życia, które w doskonały sposób można przełożyć na: LEADERSHIP, czyli przywództwo; TEAM BUILDING, czyli pracę w zespole; CRISIS MANAGEMENT, czyli zarządzanie kryzysem; WELL BEING i good life, czyli jak korzystać i cieszyć się z życia, również zawodowego. Dla każdego z powyższych tematów Kapitan dobiera w czasie wystąpień barwne historie i anegdoty obrazowane własnymi fotografiami i filmami z „podróży przez Życie”.

Książka „Nazywam się Życie”, obecnie w ostatecznym opracowaniu, ukaże się w końcu bieżącego roku.

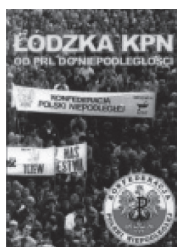
POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



JAK Z PIERWSZEJ BRYGADY
Biografia Andrzeja Ostoja - Owsianego
autorstwa Łukasza Perzyny



POETA NA URZĘDZIE
Biografia Tomasza Merty
autorstwa Łukasza Perzyny i Beaty Mikluszki



ŁÓDZKA KPN. OD PRL DO NIEPODLEGŁOŚCI
Historia łódzkiej KPN
autorstwa Karola Chylaka i Marka Michalika



SKRZYPEK. JEDEN Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
Biografia polityczna Sławomira Skrzypka
autorstwa Sebastiana Reńcy

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl